DARIUSZ ŁYŻNIK

MORDERSTWA POLITYCZNE XX WIEKU

WSTĘP

Nie zawsze musi dojść do wojny, by nastąpił znaczący zwrot polityczny. Kula, ładunek wybuchowy, cios noża potrafią skierować historię świata na nieprzewidziane tory. W naszych czasach mord polityczny był popularniejszym niż wojna środkiem korygowania losów całych narodów.

Mord polityczny jest tak stary jak historia, przynajmniej ta pisana. Zamachy uwiecznione zostały w Starym Testamencie, w greckich i rzymskich sztukach klasycznego antyku, zaś świat arabski wzbogacił zachodnią mowę o techniczne określenie "assassin" - morderca - w języku angielskim i francuskim, oznaczające pierwotnie członka bractwa haszyszowego, jak Arabowie określali średniowieczną sektę fanatycznych morderców, dla których nie było przeszkód w dotarciu do wyznaczonego celu.

Późniejsze stulecia szlifowały technikę morderstwa politycznego,jak np. trucizna Borgiów. A wiek XIX i XX poszerzył spectrum potencjalnych morderców o anarchistów i terrorystów.

Przez stulecia mord polityczny dorobił się również wymiaru moralnego. Filozofowie i teolodzy głowili się, czy zamach na tyrana jest moralnie usprawiedliwiony, jak np. zamach na Adolfa Hitlera z 20 lipca 1944 roku.

Smutne statystyki mówią nam jednak, że w większości wypadków ofiarami zamachów nie są krwawi tyrani, lecz ludzie dążący do pokoju określanego przez innych jako zdrada narodu.

Tak czy inaczej - mord polityczny ciągnie się krwawym ściegiem przez historię powszechną. W tym aspekcie nic się nie zmieniło, a wiek XX był szczególnie obfity w krwawe zamachy.

ALEKSANDER I OBRENOVIĆ (1876 - 1903)

10 czerwca 1903 roku wieczorem jaśniały wszystkie światła rezydencji władców Serbii tzw. "starego Konaku". Z powodu duchoty otwarto okiennice, a w ogrodzie przygrywała wojskowa kapela.

Król Aleksander I zaprosił tego wieczoru członków gabinetu i niektórych znacznych członków i popleczników rodu Obrenović na naradę zakończoną galowym przyjęciem.

Niespełna dwudziestosiedmioletni monarcha od miesięcy dręczony kłopotami wewnątrz- i zewnątrzpolitycznymi był w wyjątkowo dobrym nastroju. Powodem świetnego humoru było podpisanie wczesnym wieczorem tego dnia zaczepnego sojuszu z Bułgarią, który miał być podstawą do wspólnego ataku na Turcję. Świetne zwycięstwo nad arcywrogiem miało odświeżyć nieco wyblakłą sławę rodu Obrenović.

Doradcy Aleksandra nie byli takimi optymistami. Premier Demeter Cincin-Marković złożył swoją rezygnację, zaś minister wojny chętnie przesunąłby termin ofensywy na jesień. Ale król miał dość czekania.

Wojskowe obrady zakończyły się po 22.00. Całe towarzystwo udało się do jadalni. Przy drzwiach jeden ze służących doręczył królowi zapieczętowane pismo, które ten nie czytając schował do kieszeni zapominając o nim niemal natychmiast. Nie powinien był tego robić, gdyż pismo zdradzało wszelkie tajniki zamachu na królewski dom, który miał się odbyć niespełna dwie godziny później.

Po 23.00 pożegnali się ministrowie. Król nadal w doskonałym humorze odprowadził ich do schodów, podczas gdy królowa pełna niepokoju zwierzyła się jednemu z ministrów: "Wiem, że coś jest przeciwko nam przygotowane, Rosja spiskuje przeciwko królowi - to duże zagrożenie i wszyscy nasi przyjaciele powinni teraz stać przy nas." Królowa Draga miała powody, by bardziej od męża obawiać się rozlicznych wrogów.

Przed dziesięciu laty Aleksander uwolnił się z pęt regencji i jako siedemnastolatek proklamował swoją pełnoletność. Lud i armia

przyklasnęli trochę blademu ale nieźle wyglądającemu młodemu człowiekowi. Po usunięciu z tronu ojca sybaryty Milana I i likwidacji niepopularnej regencji wyglądało na to, że z nowym monarchą wstaje nowa era. Tron serbski jednak był zawsze kruchym siedziskiem. Z czterech dotychczasowych władców jednego zamordowano, a trzech przepędzono.

Miodowy miesiąc niezakłóconej harmonii pomiędzy Aleksandrem a jego "ludem", czyli elitarną warstewką zaangażowanych politycznie serbskich możnowładców, zakończył się bardzo szybko.

Finansowe kłopoty zmusiły Aleksandra do prowadzenia podwójnej gry zarówno w polityce zagranicznej jak i wewnętrznej.

Krótko po swojej intronizacji zezwolił ojcu na powrót z banicji. Ten momentalnie zaczął ingerować w sprawy rządowe, zaś przede wszystkim próbował przywrócić proaustriacką politykę zagraniczną, której syn poniechał.

Intrygi Milana I trwały dopóty, dopóki nie skłócił się z synem-królem, który ponownie zesłał go z Belgradu. Na miejsce Milana pojawiła się jego małżonka Nathalie, próbując przekonać Aleksandra do prowadzenia polityki prorosyjskiej. Wiedeń skontrował jej wieńczone sukcesem wysiłki środkiem wypróbowanym już w przeszłości - zakazem importu serbskiej wieprzowiny, co było mocnym ciosem godzącym w podstawy serbskiej gospodarki, premiującym jednocześnie rolnictwo węgierskie.

Jednocześnie Austriacy przychylnym okiem spojrzeli na Piotra Karadjordjevicia - rywala Aleksandra i jego spiskową działalność na terenie naddunajskiego mocarstwa, zmierzającą do uzyskania serbskiego tronu. Z przychylności owej Austriakom niewiele przyszło, gdyż Piotr nawet nie pomyślał o ograniczeniu swoich kontaktów z Petersburgiem.

W życiu prywatnym Aleksander pozwolił sobie na mezalians. Tuż po intronizacji serbscy dyplomaci rozpoczęli poszukiwania odpowiedniej kandydatki na żonę dla króla Serbii. Wprawdzie księżniczka któregoś z rodów panujących w Europie raczej nie wchodziła w grę ze względu na zbyt małe znaczenie rodu Obrenoviciów, tym niemniej poślubienie potomkini któregoś np. z niemieckich rodów książęcych było dla młodego Aleksandra całkiem realne. Również Rosjanie włączyli się próbując zaaranżować małżeństwo z jedną z córek księcia Mikołaja Montenegro.

Aleksander przekreślił wszelkie rachunki swoim swatom. Zakochał się w o dziesięć lat od siebie starszej damie dworu swojej matki - Dradze Masin.

Poznał ją jako szesnastolatek podczas wizyty w Biarriz. Chłopiec cierpiał na zahamowania wobec kobiet spowodowane phimosą - deformacją członka - łatwą do usunięcia na drodze operacyjnej. Dlaczego do operacji nie doszło, nie wie nikt.

Prawdopodobnie Dradze Masin sprawiało przyjemność pomaganie królowi w przezwyciężaniu zahamowań, przez co uzależniła go od siebie całkowicie.

Królowa-matka, jak się zdaje, błogosławiła początkowo temu związkowi. Gdy zorientowała się, że jest to coś poważniejszego niż drobna miłostka, było już za późno. W połowie 1897 roku w ręce Nathalie wpadł liścik Aleksandra do Dragi, po przeczytaniu którego zasłona spadła jej z oczu. Natychmiast zwolniła Dragę z funkcji damy dworu, co błyskawicznie wykorzystał Aleksander ściągając ją do Belgradu w celu zainstalowania w małym ale luksusowym domu niedaleko Konaku.

W tym czasie powrócił król Milan do Belgradu i wraz z ówczesnym premierem Vladanem Djordjeviciem postanowili wymusić na królu decyzję ożenku. Jako kandydatkę swatali księżniczkę Andreę von Schaumburg - Lippe. Po krótkiej zwłoce Aleksander oświadczył, że jest gotów spotkać się z księżniczką w Karlsbadzie i wysłał przodem swego ojca jako swata.

Potem jednak nastąpiło nieoczekiwane "zjawisko zewnętrzne", które pobudziło opór Aleksandra względem ojcowskich planów matrymonialnych. 28 czerwca 1900 roku austriacki następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand, zrezygnował z praw dziedziczenia dla swoich dzieci z małżeństwa z hrabiną Sophią Chotek, jako warunek wstępny tego małżeństwa.

Decyzja Franciszka Ferdynanda zrobiła na Aleksandrze bardzo duże wrażenie. Serbski król nie cofnie się przed decyzją, na którą było stać austriackiego następcę tronu. Również Draga wiedziała, jak wykorzystać moment i poinformowała króla, że jest w odmiennym stanie. Podobno już wcześniej dwukrotnie spędzała ciążę wyjeżdżając w tym celu za granicę - co jednak nie znalazło potwierdzenia przy późniejszych badaniach lekarskich - tym niemniej raport austriackiego poselstwa mówi, że jednym z motywów decyzji Aleksandra była "niechęć króla do żądania trzeciej ofiary od Dragi".

W każdym razie Aleksander musiał szybko podjąć decyzję. O radę zwrócił się do ministra spraw wewnętrznych Djordje Gencicia, który notabene natychmiast poinformował o tym króla Milana. Następnego dnia król wtajemniczył również pozostałych ministrów. Wierni poplecznicy rodu Obrenović byli wstrząśnięci, ich sprzeciwy wzbudziły jedynie gniew Aleksandra. Gdy w związku z tym cała rada ministrów złożyła rezygnację dla królewskiego prestiżu, nie było już odwrotu i 21 lipca 1897 roku ogłosił oficjalnie zaręczyny z Dragą Masin.

Ministrowie próbowali w międzyczasie wymóc na Dradze rezygnację, knując jednocześnie porwanie i wywiezienie jej z Serbii. Draga pozornie zgodziła się zrezygnować ze związku z królem i zaproponowała ministrom, że na razie ukryje się u przyjaciółki, przed opuszczeniem gniazdka poinformowała jednak o miejscu pobytu swego brata, który o wszystkim doniósł królowi.

Aleksander sprowadził kochankę do pałacu i jął mścić się na doradcach. Przy wszystkich spoliczkował ministra Gencicia, gdy ten w pałacu przy służbie w porywie rozpaczy zakrzyknął: "Nie możecie pojąć tej kobiety, która była dziwką wszystkim - mnie też".

Również generalicja zaklinała króla, by ten odstąpił od swego samobójczego planu. Pułkownik Aleksander Konstantinović, królewski kuzyn, który twierdził, że również spał z Dragą, został wydalony z Serbii.

Dla prostego ludu wybór króla był niezrozumiały, ale nie z przyczyn moralnych czy dynastycznych - w oczach ludu 37-letnia kobieta była starą babą.

Niezwykle oburzone były zagraniczne rody książęce - szczególnie te, z którymi przed skandalem prowadzono rokowania na temat ewentualnego połączenia z rodem Obrenović. Przez przedłożenie Dragi Masin nad którąś z księżniczek, serbski monarcha obraził całą europejską arystokrację.

Podczas gdy zachodnioeuropejskie rody panujące postanowiły zignorować królewski mezalians, Rosja zwietrzyła dużą szansę na podbudowanie swojego wpływu w Belgradzie. Mikołaj II jako jedyny monarcha pogratulował Aleksandrowi z tytułu zaręczyn, mało tego - zgłosił gotowość uczestniczenia w ślubie jako świadek. Rosja nie myślała jednak stawiać wszystkiego na jedną kartę - kontakty z królewskim rywalem Piotrem Karadjordjeviciem były dalej rozbudowywane.

Ślub - odwleczony przez zamordowanie włoskiego króla Umberto - odbył się 5 sierpnia 1900 roku w katedrze w Belgradzie. Pannę młodą do ołtarza prowadził jej brat Nikodem, zaś w imieniu cara jako świadek wystąpił poseł rosyjski graf Kapnist. Po ceremonii państwo młodzi fetowani przez dziesiątki tysięcy ludzi przejechali otwartą karetą do pałacu. Po południu pokazali się jeszcze raz na mieście, a wieczorne galowe przedstawienie teatralne zakończyło ten historyczny dzień.

W nocy ciężka burza przetoczyła się nad Belgradem, co przesądni uznali za złą wróżbę. Inni nie przydawali temu zjawisku żadnego znaczenia - letnie burze nie są rzadkością w Serbii.

Po ślubie wpływ Dragi na królewskiego małżonka narastał. Z dużą stratą dla Aleksandra, gdyż Draga, mądra w życiu prywatnym, nie znała się kompletnie na polityce, w którą próbowała się coraz mocniej angażować.

W lutym 1901 roku umarł w Wiedniu stary król Milan - Aleksander nie pojawił się u łoża śmierci powstrzymywany przez małżonkę popieraną w tym zamyśle przez rosyjskiego posła. Powszechne odczucie głosiło: "Król jest

bez serca".

Dużym ciosem dla Aleksandra było ogłoszenie testamentu starego króla - w ostatniej woli zlecił on bowiem, by pochowano go nie w Belgradzie lecz w ortodoksyjnym klasztorze w Syrmii. Milan był wprawdzie intrygantem, lecz jego zwolennicy tworzyli jedyną liczącą się podporę domu Obrenović.

Śmierć starego króla równoważyła poniekąd oczekiwanie na następcę tronu. Draga widocznie grubiała i coraz rzadziej ukazywała się publicznie. Z czasem przybierały jednak na sile plotki, że z jej ciążą jest coś nie tak. Wyliczony termin dawno minął. Z Europy Zachodniej sprowadzono lekarzy, którzy po krótkim czasie postawili diagnozę: ciąża urojona.

Wrogowie Dragi natychmiast stwierdzili, iż zaaranżowała ona ciążę i zamierzała potem udawać macierzyństwo biorąc cudze dziecko. Taka argumentacja przyjęta jest bezkrytycznie przez aktualną jugosłowiańską historiografię. Jednak historyk Glad, nie mający powodów do wybielania królowej, twierdzi, że ciąża urojona jest bardziej prawdopodobna. Rumuńska królowa Elżbieta (bardziej znana jako poetka Carmen Silva) oraz caryca Aleksandra swego czasu miały bardzo podobne objawy.

Przeciwnie do oczekiwań, afera z ciążą nie wstrząsnęła pozycją Dragi w pałacu. Aleksander we wzruszający sposób starał się ją pocieszać i wpływy królowej stały się jeszcze bardziej widocze.

Belgradzka firma głosiła w tym czasie, że Draga pragnie przekonać króla do mianowania swego brata Nikodema następcą tronu. Tak daleko Aleksander nie zamierzał się jednak posunąć. Na audiencji w obecności zagranicznych posłów zdradził się z zamiarem adopcji chłopca z jednej z bocznych gałęzi rodu Obrenović i obwołania go księciem następcą tronu.

Król zamierzał dodatkowo podeprzeć nadwątlony autorytet na drodze oficjalnych wizyt zagranicznych. Jednak próba przywrócenia lepszych stosunków z dworem austro-węgierskim spaliła na panewce. Również Wschód nie spełnił jego oczekiwań. Wprawdzie car jako jedyny uznał jego małżeństwo, lecz umizgi dyplomatyczne w celu zaaranżowania wizyty króla Serbów potraktowane zostały bardzo chłodno.

W ten sposób Rosja wystawiła Aleksandra niejako "na odstrzał".

Na taki sygnał wrogowie Aleksandra czekali już od dawna. Spiskowców nie brakowało. Od 1900 roku narastało niezadowolenie w kręgach polityków i oficerów armii. Po ogłoszeniu królewskich zaręczyn niezadowoleni zaczęli się konsolidować tworząc pierwociny spisku; pod koniec 1900 roku spisek liczył 200 osób, w tym około stu czynnych oficerów. Do kluczowych postaci zaliczali się silny jak niedźwiedź kapitan Sztabu Generalnego Dragutin Dimitrijević, bardziej znany pod pseudonimem "Apis" oraz porucznik Piotr Żiwković, przydzielony do królewskiej lejbgwardii.

Uznany jugosłowiański historyk, między innymi biograf marszałka Tity, profesor Vladimir Dedjer przedstawia spiskowców jako kryształowo czystych patriotów. Z pewnością byli między nimi idealiści, jednak większością kierowały pobudki osobiste, głównie chęć zemsty oraz pragnienie wywierania większego wpływu na serbską politykę.

Pierwotnie puczyści zamierzali wyeliminować jedynie królową Dragę. Jeden z nich konsultował się w tej sprawie z "delegatem" Piotra Karadjordjevicia, który był naturalnie przeciwny zastosowaniu półśrodka. Rozumowanie obozu pretendenta do tronu było proste - usunięcie przyczyny, dla której aktualny król Serbów stał się pariasem wśród arystokracji europejskiej, mogłoby doprowadzić do wzmocnienia pozycji Aleksandra na tronie - rodowi Karadjordjeviciów zależało na czymś dokładnie przeciwnym.

Początkowo spiskowcy zamierzali zgładzić parę królewską w czasie uroczystego nabożeństwa z okazji Palmowej Niedzieli. Nie doszło do zamachu, gdyż z powodu złej pogody monarchowie odwołali swój udział w obchodach.

W kilka dni później szef kuchni spostrzegł jednego z kucharczyków dosypującego białego proszku do garnka. Chłopiec zmuszony do spożycia tej potrawy zmarł po kilku minutach. Oficjalny komunikat głosił, iż

młodzieniec otruł się z powodu nieszczęśliwej miłości.

Nerwowość wśród spiskowców narastała. Dogodny do zamachu czas uciekał, zbliżał się bowiem termin rozpoczęcia wojny przeciwko Turcji, zaś spodziewany wybuch "wojennego patriotyzmu" prawdopodobnie uniemożliwiłby dokonanie zamachu.

Ostatecznie zdecydowali się na noc z 10 na 11 czerwca, noc, na którą porucznik Živković miał wyznaczoną służbę w pałacu.

Dla większej pewności przekupili jeszcze kapitana Mikę Naumovicia osobistego adiutanta króla, który za 50000 franków zgodził się przystąpić do spisku przeciw człowiekowi,któremu wszystko - łącznie ze spłacaniem długów karcianych - zawdzięczał.

Akcja rozpoczęła się krótko przed północą, gdy ostatni goście opuścili Konak. Pół batalionu piechoty, normalnie stacjonującej w starej tureckiej fortecy zwanej Kalmegdan, pod dowództwem jednego z puczystów obsadziło ulice pomiędzy pałacem a centrum miasta. Jeden z komisarzy wiernej królowej policji zaobserwował przemieszczenie wojska i poinformował o tym natychmiast prezydium. Jego zaspany przełożony polecił mu skontaktować się w tej sprawie z oficerem policji mającym służbę w dzielnicy pałacowej. Ten jednak dużo wcześniej opuścił swój posterunek, by wziąć udział w libacji, zaś zastępca nie bardzo wiedział co ma począć z tak wiele mówiącą informacją. W ten sposób przepadła ostatnia szansa zdławienia puczu w zarodku.

W tym czasie śmiertelny wróg królowej pułkownik Masin pojawił się w koszarach Palilua. Całkowicie zdezorientowanemu oficerowi służbowemu przedstawił się jako nowy dowódca dywizji naddunajskiej polecając jednocześnie zbiórkę regimentu pod bronią. Tymi ludźmi, nie mającymi naturalnie pojęcia o celu operacji, odizolował Konak wytaczając na koniec w pobliże pałacu działa.

Zadanie zasadniczego ciosu przypadło. w udziale kapitanowi Dimitrijeviciovi i grupie około 50 młodych oficerów, którzy podchmielili sobie nieco w celu nabrania odwagi, co potem negatywnie odbiło się na ich sprawności.

Przy ogrodowej bramie do Konaku czekał już porucznik Živković by wpuścić zamachowców. Uprzednio uśpił swego przełożonego, kapitana Panajotovicia, dosypawszy mu środka nasennego do wina. Przy wnikaniu do ogrodu podpici oficerowie spowodowali tyle hałasu, że obudzili sierżanta straży pałacowej, który zaalarmował swoich ludzi, budząc również uśpionego kapitana. Gdy straż pałacowa przeciwstawiła się intruzom, ci otworzyli ogień, zabijając kapitana i sierżanta.

Również Dimitrijević został przy tej niezaplanowanej wymianie strzałów lekko ranny - nie powstrzymało go to jednak przed dalszym działaniem. Živković wykorzystał zamieszanie spowodowane śmiercią dowódcy gwardii, by straży pałacowej "w imieniu króla" wydać rozkaz nieingerowania w tok zdarzeń. Żołnierze podporządkowali się bez dyskusji, gdyż Živković był ich bezpośrednim przełożonym.

Po strzelaninie zamachowcy podzielili się na dwie grupy. Pierwsza, pod dowództwem Naumovicia pobiegła w stronę bramy głównej, by otworzyć ją od środka, druga do apartamentów osobistego sekretarza Aleksandra, generała Lazy Petrovicia. Generał, który jeszcze nie spał, zdążył chwycić dwa pistolety, zanim powalił go pierwszy strzał rebeliantów. Część z nich zamierzała dobić rannego w ramię generała, przeważyła jednak opinia innych, którzy stwierdzili, że trzeba go pozyskać do puczu, gdyż znany jako "piękny Laza" generał raczej nie będzie chciał nadstawiać karku stając w obronie przegranej sprawy.

Ten błędny osąd o mało nie doprowadził do upadku spisku, gdyż jak się potem okazało, generał był rzeczywiście gotów umrzeć za swojego króla.

Tymczasem przed główną bramą pałacu spiskowcy bezskutecznie oczekiwali na otwarcie bramy przez Naumovicia, gdyż ten upił się tego wieczoru i po prostu zasnął. Oficerowie postanowili wysadzić bramę główną, jednak użyli ładunku wybuchowego tak wielkiej mocy, że hałas poderwał na nogi pół miasta, w tym również obsadę posterunku policji w pobliżu Konaku,

która otworzyła ogień. Ich opór został błyskawicznie zdławiony, gdyż placówka liczyła jedynie 16 żandarmów.

W wyniku detonacji obudził się także Naumović. Gdy zataczając się wyszedł rebeliantom naprzeciw, Dimitrijević po prostu go zastrzelił. Dopiero teraz mocarny "Apis" Dimitrijević odczuł skutki upływu krwi po postrzale, opadł na schody i resztką sił polecił swoim ludziom przeszukanie komnat królewskich.

Pary królewskiej nigdzie nie można było znaleźć. Bezradni spiskowcy sprowadzili generała Petrovicia i zażądali jego pomocy. By zyskać na czasie, "piękny Laza" pozornie się zgodził. Słusznie podejrzewał, że para królewska schroniła się w tajemnej komnacie obok sypialni królowej i próbował odciągnąć spiskowców w innym kierunku. Monarchowie, stwierdził, z pewnością udali się do bocznego skrzydła pałacu. Oficerowie natychmiast rzucili się w tamtą stronę, zderzyli się jednak z pułkownikiem Masinem, zdążającym z przeciwka, który wściekły odesłał ich z powrotem do przeszukiwania komnat królewskich.

Tajemnego pomieszczenia nie mogli jednak również znaleźć w asyście Masina. Szarzało już i puczystom zaczął doskwierać niepokój - gdyby król zbiegł, musieliby się liczyć z kontruderzeniem mogącym nastąpić w każdej chwili.

W decydującym momencie pomogła im bezwiednie królowa Draga. Z małego okienka w tajnym pokoju, w świetle nastającego poranka spostrzegła w ogrodzie bezczynnie stojącą straż pałacową. By ją żołnierze spostrzegli, wychyliła się tak daleko, jak tylko było można i przez okno krzyknęła: "Żołnierze! Wasz król jest w niebezpieczeństwie! Na pomoc! Na pomoc!"

Żołnierze pozbawieni przywództwa nie zareagowali, za to stojący przy nich jeden z zamachowców dobrze wymierzonym strzałem zranił ją w bark. W ten sposób spiskowcy poznali położenie kryjówki, nie mogli jednak znaleźć zamaskowanych drzwi, więc jęli demolować ściany siekierami. Ponieważ dotarcie do króla było już tylko kwestią czasu, interweniował ponownie sprowadzony Petrović. Podjął się on wskazać wejście do kryjówki w zamian za przyrzeczenie oszczędzenia życia monarchów. Gdy spiskowcy ochoczo wyrazili zgodę, Petrović zapukał do tajnych drzwi i zawołał: "Wasza Wysokość, proszę otworzyć. To ja, wasz Laza z waszymi oficerami".

Przed oczyma puczystów otworzyła się ściana i para królewska wkroczyła do komnaty, Aleksander w spodniach i koszuli, Draga w halce i żółtym gorseciku, z którym kontrastowała duża plama krwi na ramieniu.

Wywiązała się krótka wymiana słów. Oficerowie zażądali abdykacji króla. Ten dumnie odparł: "Nie jestem królem Milanem!", po czym przypomniał oficerom o przysiędze na wierność, którą mu składali. Nagle jeden z oficerów zaczął strzelać. Draga rzuciła się do przodu, by zasłonić swego męża i jako pierwsza została trafiona. Również Petrović wyciągnął schowany uprzednio pistolet i otworzył ogień do zamachowców. Nierówna walka trwała zaledwie kilka sekund. Król Aleksander i generał Petrović padli brocząc z wielu ran.

Na ten widok spiskowcy wpadli w zabójczy amok. Strzelali do nieruchomych postaci pary królewskiej, tratowali nogami, w końcu posiekali zwłoki szablami i wyrzucili przez okno do pałacowego ogrodu. Ci z oficerów, którzy nie dali się ponieść emocjom, przetrząsali królewskie komnaty w poszukiwaniu łupów, po czym zniknęli z całą biżuterią królowej i prywatną szkatułą króla.

O wschodzie słońca pojawił się przed Konakiem poseł rosyjski Mikołaj Czarykow, który miał możność śledzenia większości wypadków z okien bliskiego poselstwa jak z loży.

Na widok okaleczonych zwłok cofnął się z przerażeniem: "Na Boga! Sprzątnijcie stąd te zwłoki!" - taki był jego pierwszy komentarz. Spiskowcy zlecili kilku żołnierzom opłukać zwłoki i złożyć je na stole na parterze pałacu.

W ciągu dnia dwu lekarzy - Serb i osiadły w Belgradzie Francuz - przeprowadzili autopsję. Stwierdzili, że Aleksander został trafiony 30 pociskami a Draga 18. Dodatkowo usłużnie potwierdzili bezpłodność obojga

królewskich małżonków w wyniku długoletniej choroby wenerycznej. Po czym zwłoki pogrzebane zostały na cmentarzu poza miastem. Tej nocy zabito również braci Dragi oraz prawie wszystkich członków rządu. Ich domy zostały splądrowane. Uratował się tylko ciężko ranny minister spraw wewnętrznych Velija Todorović.

Następnego dnia puczyści zlecili wywieszenie flag narodowych w całym mieście, by udokumentować w ten sposób spontaniczne poparcie ludności. Nastroje były jednak bardzo marne.

Zachodnia Europa była przerażona krwawą łaźnią. Król Edward VII odwołał swego posła i wzdragał się przed mianowaniem nowego.

Austro-Węgry nie wykorzystały znakomitej okazji do wkroczenia do Serbii, mimo że mordercy króla nie byliby w stanie stawić znaczniejszego oporu, gdyż znikąd nie otrzymaliby poparcia.

Również Rosja pochłonięta narastającym konfliktem z Japonią nie odważyła się na interwencję.

Dzięki temu 24 czerwca 1903 roku Piotr Karadjordjević wkroczył triumfalnie do Belgradu. W drodze intryg wywalczył wprawdzie koronę, ale - na szczęście - on i jego najstarszy syn Georg zmarli w opętaniu. Drugi syn - pierwszy król Jugosławii Aleksander - został zamordowany w 1934 roku w Marsylii. Druga wojna światowa zmiotła ze sceny dom Karadjordjewiciów.

Przedtem jednak nowa dynastia znalazła wartą odnotowania drogę do zatuszowania krwawych wydarzeń z 1903 roku: zlecili zburzenie Konaku.

FRANCISZEK FERDYNAND AUSTRIACKI (1863 - 1914)

Nastrój w sarajewskim Konaku, byłej rezydencji tureckich paszów, przerobionej na siedzibę austro-węgierskich gubernatorów prowincji Bośnia - Hercegowina, była niezwykle napięta. Pracujący tu urzędnicy nie widzieli jeszcze nigdy szefa prowincji Oskara Potiorka w tak złym nastroju.

Jego nerwowość miała uzasadnienie. Zapowiedziana na koniec czerwca 1914 roku wizyta następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda wraz z morganatyczną małżonką, księżniczką Sophią von Hohenberg, ciążyła mu na sercu.

Nie była to bowiem rutynowa wizyta członka rodu panującego w związku z zakończeniem manewrów dwu korpusów c.k. armii w małym egzotycznym miasteczku położonym na najdalszym południu naddunajskiej monarchii. W Sarajewie - stolicy Bośni i Hercegowiny, najmłodszej prowincji przyłączonej w 1908 roku do cesarstwa Habsburgów po trzydziestoletniej wojskowej okupacji na drodze dyskusyjnej proklamacji wiedeńskiego rządu - następcę tronu miało spotkać wyjątkowo uroczyste przyjęcie z honorami odmawianymi mu gdzie indziej, przez intrygi zazdrosnej dworskiej kamaryli, bojkotującej w miarę możliwości małżonkę księcia.

Udana wizyta podniosłaby znaczenie Potiorka w oczach tego młodego człowieka, który raczej wcześniej niż później - cesarz Franciszek Józef miał już 84 lata - zasiąść miał na tronie Austro-Węgier.

Rozdrażnienie Potiorka narastało wraz ze zbliżającą się wizytą. Wysocy panowie z Wiednia narzucili mu się uprzejmie jako asysta przy planowaniu zabezpieczenia wizyty. Owszem, Bośnia była niespokojną prowincją. W każdym mieście, w każdej większej miejscowości funkcjonowały antyaustriackie tajne związki. Demonstracje, sabotaże, nawet zamachy stały na porządku dziennym. Ale któż wiedział o tym lepiej od Potiorka? Któż jeśli nie on zagwarantować miał bezpieczeństwo gości?

Szef prowincji przyznał jednak, że termin wizyty nie został wybrany zbyt szczęśliwie. 28 czerwca to dzień świętego Wita obchodzony przez Serbów "również w Bośni - jako rocznica krwawej bitwy pod Amselfeldem, w której w 1389 roku sułtan Murad pokonał serbskiego króla Lazara. Hańbę porażki częściowo zmył serbski szlachcic, Milos Obilić, który w nocy po bitwie zakradł się do namiotu sułtana i go zasztyletował.

Wydarzenie to, od stuleci opiewane przez serbskich bardów,

gloryfikujących czyn Obilicia, wprost prowokowało do naśladownictwa. Wystarczyło w miejsce Murada podstawić Franciszka Ferdynanda.

Tego w Wiedniu nie wiedziano, bądź nie brano pod uwagę wyznaczając wizytę następcy tronu na 28 czerwca. Potiorek przez pewien czas rozważał możliwość, by samemu wpłynąć na przesunięcie terminu wizyty, porzucił jednak ten zamysł, sądząc iż tego rodzaju działanie zinterpretowane zostałoby jako okazanie słabości przez zarządcę prowincji i wykorzystane przez jego wrogów.

Był to brzemienny w następstwa błąd. Potiorek nie był bowiem jedynym, któremu bliska wizyta przyszłego cesarza zajmowała umysł.

W niezbyt od Sarajewa oddalonej stolicy Serbii - Belgradzie pułkownik Dragutin Dimitrijević, szef serbskiego kontrwywiadu, od tygodni śledził doniesienia o przyszłej wizycie Franciszka Ferdynanda w Bośni. Pułkownik Dimitrijević, bardziej znany jako "Apis" z uwagi na byczy kark, był już w 1914 roku postacią legendarną. Przed jedenastu laty dowodził grupą oficerów, która w belgradzkim Konaku bestialsko zamordowała ostatniego króla z rodu Obrenoviciów, Aleksandra I wraz z żoną Dragą. Apis został wtedy w pałacowym ogrodzie postrzelony przez jednego z nielicznych wiernych królowi żołnierzy i o mało się nie wykrwawił.

Przeżył jednak i pragnął nowych, większych czynów. Czymże był bowiem król Serbów wobec austriackiego następcy tronu!

W 1911 roku Apis założył tajne stowarzyszenie "Jedność albo śmierć", bardziej znane w Europie pod nazwą "Czarna Ręka", którego celem było zjednoczenie wszystkich etnicznie serbskich obszarów.

Macki tej organizacji sięgały najwyższych stanowisk rządowych w Serbii i sąsiedniej Bośni, a agentury funkcjonowały w większości europejskich stolic.

Dla Dimitrijevicia pobyt Franciszka Ferdynanda w Sarajewie nie był żadnym wyzwaniem - Apis nie ulegał emocjom - była to jednak znakomita okazja do zadania ciosu znienawidzonej Austrii. Tego zdania był nie tylko Apis, ale również jego przyjaciel i protektor - akredytowany w Belgradzie carski attach, wojskowy Wiktor Artamanow.

Trzy lata później, walcząc przed sądem o własne życie, Dimitrijević ujawnił rolę swoją i Artamanowa w spisku przeciwko arcyksięciu: "Myślałem, że tylko przez usunięcie austriackiego następcy tronu Franciszka klika militarystów, której był przywódcą, straci na znaczeniu, przez co niebezpieczeństwo wybuchu wojny zostanie odsunięte... Zdecydowałem się dopiero, gdy Artamanow zapewnił, że Rosja nie zostawi nas na pastwę, gdyby Austria zaatakowała".

Uprzedzamy jednak wydarzenia. Wszystko, czego Apis potrzebował jeszcze wiosną 1914 roku to sprawni mordercy, gotowi sprawie Serbii poświęcić życie. Nie mogli to jednak być obywatele serbscy, by na szefa kontrwywiadu nie padł nawet cień podejrzenia.

Dimitrijević nie musiał długo szukać. Wiadomość o rychłej wizycie księcia w Sarajewie odebrana została jako prowokacja rządu wiedeńskiego - szczególnie w kręgach licznej bośniackiej emigracji w Belgradzie. Trzon jej stanowili bośniaccy uczniowie relegowani z sarajewskich gimnazjów z powodu panserbskich przekonań, którzy kontynuowali naukę w stolicy Serbii. Zwyczajowym miejscem ich spotkań była kawiarnia "Pod Dębowym Wieńcem". Stałymi bywalcami była mała grupka Bośniaków debatująca o wizycie następcy tronu. Szczególnie nieprzejednaną postawę prezentował niespełna 20 - letni uczeń - Gavriło Princip. On i dwu jego ziomków Nejedlo Cabrinović i Trifko Grabez postanowili dokonać zamachu na tyrana - Franciszka Ferdynanda, by pomścić haniebną okupację swojej ojczyzny.

Pierwszą rzeczą, której potrzebowali dla urzeczywistnienia swoich planów, była broń. O tę nie było trudno w Belgradzie.

Wojna bałkańska dopiero co się skończyła i stolica Serbii zarzucona była legalną i nielegalną bronią. Princip przypomniał sobie nieco starszego od siebie krajana Milosa Ciganovicia, który walczył przeciwko Turkom jako ochotnik tzw. "komitaczi", u którego w domu widział cały

arsenał broni.

Młodzi Bośniacy udali się do Ciganovicia, który ochoczo zgodził się im pomóc, pod warunkiem jednak, że uzyska akceptację swego "gospodina". Tym "gospodinem" był nie kto inny jak znany z kampanii tureckiej waleczny major Vojin Tankosić, członek komitetu centralnego Czarnej Ręki, prawa ręka Apisa. W ten właśnie sposób pułkownik Dimitrijević znalazł swoich zamachowców.

Kim jednak był ów Gavriło Princip, którego czyn zburzył stary porządek Europie? Jugosłowiańska historiografia uczyniła z niego bohatera eposu narodowego, potomka kasty wojowników.

W rzeczywistości Princip był szczupłym, bladym chłopcem o głęboko pesymistycznym nastawieniu do całego świata. Nawet wąs - duma każdego "komitaczi" - nie chciał mu rosnąć.

Z przebrzmiałej wielkości jego rodziny już nic nie pozostało,gdy 13 lipca 1894 roku Gavriło przyszedł na świat, jako drugie z dziewięciorga dzieci w małej bośniackiej wiosce Grahovo Polje. Tylko żywa inteligencja wyróżniała go spośród innych wiejskich dzieciaków. Po szkole podstawowej ojciec chciał wysłać go do szkoły wojskowej do Sarajewa i gdyby przyjaciel rodziny tego nie odradził, Gavriło zostałby być może dzielnym oficerem c. k. armii.

Zapisał się jednak do szkoły handlowej w Sarajewie, z której przeniósł się po trzech latach do gimnazjum humanistycznego, wówczas "twierdzy" tajnej organizacji "Młoda Bośnia". W lutym 1912 roku został usunięty ze szkoły za udział w antyaustriackiej demonstracji.

Jak wielu ziomków udał się na dalsze studia do Belgradu, przepadł jednak na egzaminach wstępnych. Wybuch pierwszej wojny bałkańskiej skłonił go do zgłoszenia się do "komitaczich", do wspomnianego już majora Tankosicia. "Za mały i za słaby" - brzmiała dyskwalifikująca opinia majora. Tej obrazy Princip nigdy nie wybaczył Tankosiciowi. Zdeprymowany powrócił do domu, postanawiając w przyszłym roku ponownie szturmować bramy belgradzkiego gimnazjum. Silnej woli nie wystarczyło jednak do matury i Princip przyłączył się do młodych ludzi snujących wielkie plany w kawiarnianych oparach serbskiej stolicy.

Początkowo trzej spiskowcy zamierzali powrócić do Sarajewa natychmiast po otrzymaniu pistoletów i bomb, by tam oczekiwać na swoją ofiarę.

Dyletanci nie zdawali sobie sprawy z tego, że prowadzenie operacji przejęli już zawodowcy. Pod komendą Ciganovicia w parku Kosutniaka odbyło się przeszkolenie w użyciu broni palnej, następnie instruktaż dotyczący obsługi bomb - były to granaty ręczne typu zaczepnego pochodzące z wojskowego arsenału w Kragujevacu.

Pod koniec maja szkolenia były zakończone. Princip został strzelcem wyborowym, co bardzo podbudowało jego pewność siebie. Teraz trzeba było znaleźć bezpieczną trasę przerzutu do Sarajewa, tak by nie wzbudzić zainteresowania austriackich służb granicznych. O to major Tankosić musiał zatroszczyć się osobiście. Uprzednio pragnął jednak poznać wykonawców. Ku zdziwieniu przyjaciół Princip odrzucił zaproszenie - nie zapomniał wstydu z 1912 roku. W końcu jedynie Grabez poszedł na spotkanie, gdyż Princip obawiał się, że gadatliwy Cabrinović sprawi na majorze złe wrażenie.

27 maja - w wieczór poprzedzający ich wyjazd, Bośniacy otrzymali nie tylko broń i granaty, ale i kapsułki z cyjankiem, które mieli połknąć po dokonaniu zamachu. Tankosić nie chciał żyjących współuczestników.

Rankiem 28 maja Princip, Cabrinović i Grabez opuścili Belgrad, statkiem udając się do Sabac - ok. 65 km na zachód od stolicy Serbii.

Stamtąd przekazywani byli niejako "z ręki do ręki" przez mężów Zaufania Czarnej Ręki. Początkowo byli to oficerowie serbskiego wywiadu, których role przejęli później zawodowi przemytnicy, dorabiający sobie jako kurierzy Apisa.

Bezpośrednio przed granicą spiskowcy ze względu na bezpieczeństwo postanowili się rozstać. Cabrinović miał przekroczyć granicę legalnie posługując się dokumentami nieco podobnego Grabeza, który nie figurował

na austriackiej liście podejrzanych i tuż za granicą w bośniackim miasteczku Tuzla miał oczekiwać na swych towarzyszy.

Przy pomocy odkomenderowanego przez Czarną Rękę przewodnika również Princip i Grabez bez przeszkód przekroczyli graniczną rzekę Drinę, by po dwu dniach pojawić się w Tuzli, gdzie przyjaciel czekał na nich w kawiarni. Do Sarajewa dojechali pociągiem - 4 czerwca. Przedtem Cabrinović otrzymał ważną informację od policjanta, przyjaciela jego rodziców (nb.nastawionych bardzo pro-austriacko, prawdopodobnie dlatego Cabrinović znalazł się po przeciwnej stronie), że arcyksiążę miał zawitać w Sarajewie 28 czerwca. Następca tronu ostatnie dni przed wyjazdem do Bośni spędził wraz z rodziną w swej czeskiej posiadłości w Chlumecu. Nie ukrywał przed swoimi bliskimi współpracownikami, że czuje się nieswojo. Mimo że praktykujący katolik, był jednocześnie bardzo przesądny - złe przeczucia prześladowały go. W dodatku zdawał sobie sprawę z tego, że Bośnia jest prawdziwym kotłem - już w 1910 roku młody Bośniak próbował zamordować ówczesnego gubernatora, generała Varesanina. Od tego czasu incydenty mnożyły się do tego stopnia, że centralnej administracji ciężko było je zewidencjonować.

Bezpośrednio przed zaplanowanym wyjazdem następcy tronu cesarz niespodziewanie zachorował. Rząd sugerował Franciszkowi Ferdynandowi odwołanie wizyty w Bośni. Arcyksiążę prawdopodobnie przyjąłby chętnie tę propozycję, ale duma nie pozwoliła mu na to. Zdecydował się odbyć swój mały triumf bez względu na złe przeczucie, głównie z uwagi na żonę, której niechętny dwór odmawiał swoich względów.

Stosunki pomiędzy Franciszkiem Ferdynandem a Starym Cesarzem z Sch"nbrunn dalekie były od serdeczności. Wynikało to zarówno z odmiennych orientacji politycznych jak i z przyczyn osobistych. Cesarz nigdy nie wybaczył siostrzeńcowi morganatycznego małżeństwa z czeską hrabiną Sophią Chotek. Przy zawieraniu małżeństwa następca tronu musiał zrzec się praw dziedziczenia tronu przez swoich bezpośrednich potomków. Franciszek Józef uczynił hrabinę księżną von Hohenberg, podobnie jak jego dziadek cesarz Franz uszlachcił mieszczańską wybrankę swego brata Johanna tytułem hrabiny von Meran. To było jednak jego ostatnie ustępstwo. Sophia była wyłączona z wszelkich honorów moralnie przynależnych małżonce następcy tronu.

Franciszek Ferdynand miał 51 lat. Z żelazną konsekwencją sterował swym prywatnym losem, podobnie jak w młodości konsekwentnie zwalczał gruźlicę. W wiedeńskim belwederze, byłej rezydencji księcia Eugena von Savoyen, utworzył gabinet cieni i oczekiwał na przeprowadzkę do Sch"nbrunn.

Nie mogło to już trwać długo - cesarz miał 84 lata i nie cieszył się najlepszym zdrowiem. Bezpośredniego zagrożenia śmiercią nie było jednak i arcyksiążę w tych okolicznościach nie chciał zrezygnować z wizyty w Sarajewie.

Następca tronu zdawał sobie sprawę z tego, że serbscy nacjonaliści go nienawidzą. Nie dlatego, że czuł awersję do południowych Słowian - wręcz przeciwnie. Koncepcją Franciszka Ferdynanda było przekształcenie podwójnej austro-węgierskiej monarchii w potrójną, w której południowi Słowianie na równi z Austriakami i Węgrami tworzyliby państwowość. Zaistnienie trialistycznej monarchii wytrąciłoby serbskim irredentystom wiele argumentów z ręki. Mało tego - "niepolityczni" Serbowie mogliby rozważać, ze względów ekonomicznych, przyłączenie zacofanej Serbii do potrójnej monarchii, w której ich braciom powodziłoby się znacznie lepiej.

Prawdopodobnie ta myśl przyszła również do głowy Apisowi, dlatego Franciszek Ferdynand musiał umrzeć.

Arcyksiążę wraz z małżonką opuścili Chlumec 23 czerwca, pozostawiając w posiadłości obydwu synów. Już przy odjeździe doszło do incydentu. Z powodu awarii osi cesarska salonka zajęła się ogniem - książęca para musiała przesiąść się do normalnego przedziału pierwszej klasy, przy czym następca tronu proroczo wygłosił: "Teraz się pali, a tam na dole

będą nas obrzucać bombami".

W Wiedniu rozdzielił się z żoną, która miała dojechać przez Węgry i wsiadł do następnego pociągu do Triestu. Znów zły omen - nie działające oświetlenie salonki sprowokowało go do wygłoszenia sarkastycznej uwagi: "Ciemno jak w grobowcu".

Po przybyciu do Triestu wsiadł na okręt wojenny "Viribus Unitis",jeden z dwu nowoczesnych drednotów austro-węgierskiej floty. Morska podróż wzdłuż dalmatyńskiego wybrzeża była ostatnim spokojnym okresem w jego życiu.

Potiorek oczekiwał dostojnego gościa w Metkovicu. Pociągiem dojechali do Mostaru, a następnie samochodem do kąpieliskowej miejscowości Ilidze, gdzie oczekiwała już księżna. Manewry 15. i 16. korpusu armii miały zacząć się następnego dnia. Ulegając niespodziewanemu kaprysowi zdecydowano się na wypad do Sarajewa. Czasu starczyło akurat na przejazd przez bazar i wizytę w sklepie z orientalnymi dywanami. W tłumie zaludniającym bazar znajdował się również młody człowiek skamieniały z zaskoczenia: Gavriło Princip po raz pierwszy stanął przed swoją ofiarą. A arcyksiążę nie miał się dowiedzieć nigdy, że śmierć otarła się o niego.

Tygodnie od przybycia do Sarajewa wykorzystał Princip do intensywnych przygotowań przed zamachem. Jeszcze w Belgradzie postanowił wciągnąć do spisku swego o pięć lat starszego przyjaciela, u którego matki mieszkał w Sarajewie. Danilo Ilić odmówił początkowo twierdząc, iż obecna chwila nie sprzyja zamachowi, potem ostrzegał przed odwetową reakcją władzy. W końcu dał się jednak przekonać, a nawet odegrał znaczącą rolę przy przygotowywaniu zamachu.

Skaptował mianowicie trzech następnych spiskowców: stolarza Mehmeda Mehmedbasicia, który od dłuższego czasu należał do różnych tajnych związków, oraz dwu 16-letnich uczniów: Vaso Cubrilovicia i Cvetkę Popovicia. Mehmedbasić wydawał się Principowi trochę za stary, postanowiono przyjąć go jednak jako jedynego muzułmanina do spisku, by nadać zamachowi szerszą bazę.

Princip i jego przyjaciele nie mogli dłuższy czas zdecydować się na wybór miejsca zabójstwa, aż miejscowa gazeta "Bośniacka Poczta" opublikowała dokładny program wizyty. Po obchodzie trasy zdecydowali się na część promenady ciągnącej się wzdłuż rzeki Miliacka, ponieważ odcinkiem tym samochód następcy tronu przejeżdżać miał dwukrotnie. Zamachowcy postanowili rozstawić się parami co sto metrów, gdyby pierwsza para chybiła, akcję kontynuować miała następna i tak dalej.

Podczas gdy spiskowcy poszukiwali dogodnego do zamachu miejsca, w sarajewskim Konaku odbywała się odprawa dotycząca czynności mających zabezpieczyć dostojnych gości. Dr Josip Sunarić, Chorwat i były przewodniczący bośniacko-hercegowińskiego parlamentu, zaproponował metody sprawdzone uprzednio podczas wizyty cesarza Franciszka Józefa przed kilku laty.

Potiorek odrzekł dumnie, iż honor munduru sprzeciwia się oddaniu nawet części odpowiedzialności za bezpieczeństwo cesarskiej rodziny w ręce cywilów. Dwu wysokiej rangi urzędników narodowości serbskiej generał-major Lukas Snjarić, komendant lokalnej żandarmerii oraz Theodor Zurunić, szef administracji miejscowego rządu, obaj na wylot znający miejscowe stosunki, zaproponowali własny projekt, odrzucony również przez Potiorka.

Dr Edmunt Gerde, pochodzący z Węgier cywilny szef policji zapobiegliwie sprowadził z Wiednia wykwalifikowanych detektywów, ale użyto ich tylko do pilnowania szkatuły z biżuterią księżny. Ostatecznie wzdłuż całej trasy rozstawiono jedynie 150 policjantów w mundurach i po cywilnemu. Nie mogło być zatem mowy o skutecznym zabezpieczeniu przejazdu.

Rankiem 28 czerwca Princip, Mehmedbasić, Cubrilović i Popović pomaszerowali prosto na promenadę. Pozostali spotkali się wcześniej w ciastkarni.

Ulegając nieoczekiwanemu kaprysowi Cabrinović zlecił uwiecznić swój wizerunek miejscowemu fotografowi, prosząc jednocześnie znajomego o odebranie zdjęć i przesłanie ich pod sześć różnych adresów. Po czym również poszedł na promenadę.

Zamachowcy przyszli o wiele za wcześnie. Godzinę z okładem musieli spacerować w górę i w dół promenady starając się nie zwrócić na siebie uwagi patroli policyjnych.

Około godziny 10 pierwszy z sześciu otwartych samochodów orszaku arcyksięcia osiągnął tę część promenady, przy której czatowali spiskowcy. Samochody przejechały koło Mehmedbasicia, który nie uczynił nic. Później twierdził, że żandarm przypadkowo stanął tuż przy nim. Również następnym członkom grupy, młodemu Cubriloviciowi, Popoviciovi a w końcu Grabezowi nerwy odmówiły posłuszeństwa. Na kolejnym posterunku stał Cabrinović.

W przeciwieństwie do innych zachował zimną krew. Bezpośrednio przed przejazdem kolumny odważył się nawet zapytać policjanta, w którym z samochodów siedzi następca tronu. "W trzecim" - odparł przyjaźnie policjant.

W tym momencie podjechały samochody. Cabrinović odpiął bombę od swego paska i rozbił bezpiecznik o słup latarni, nie mógł już jednak odczekać przepisowych 13 sekund. Cisnął bombę w kierunku trzeciego w kolejności samochodu. Bomba chybiła arcyksięcia i obiwszy się o złożony dach jego samochodu eksplodowała dopiero pod następnym, raniąc wielu ludzi - między innymi osobistego adiutanta przyszłego cesarza.

Niebezpieczeństwo nie było jednak zażegnane. Bezpośrednio po detonacji samochód arcyksięcia zatrzymał się - kilka metrów od Gavriły Principa. Ten jednak, zaskoczony skutkami eksplozji, nie wyciągnął broni i kolumna pojazdów minęła go.

Tuż po rzuceniu granatu Cabrinović wetknął sobie w usta kapsułkę z cyjankiem i próbował przez barierę skoczyć do rzeki - nim zdążył przegryźć ampułkę, został ujęty przez policjantów.

W tym samym czasie Franciszek Ferdynand wraz z orszakiem dotarł do ratusza. Siłą rzeczy przyjęcie było kompletnym fiaskiem. "Tak witacie waszego następcę tronu!" - wsiadł arcyksiążę na kompletnie roztrzęsionego burmistrza, który z przerażenia nie mógł nawet słowa z przygotowanej mowy wykrztusić. Panowie z orszaku radzili natychmiast wyjechać. Franciszek Ferdynand uparł się i obstawał, by przed wyjazdem odwiedzić w szpitalu wojskowym swego rannego adiutanta. Potiorek zaproponował nieco dłuższą trasę, nie wiodącą tuż przy brzegu rzeki, ale umożliwiającą rozwinięcie większej prędkości. Nie poinformował jednak o tym zamyśle żadnego ze swoich współpracowników. Nawet szef policji Gerde dowiedział się o zmianie dopiero, gdy chciał przedłożyć własny plan przejazdu.

Franciszek Ferdynand wraz z małżonką zajęli miejsca - znów w trzecim samochodzie. Potiorek dosiadł się do nich, zaś właściciel pojazdu Franciszek Harrach stanął na lewym stopniu, by własnym ciałem chronić dostojnych gości. Później okazało się, że stał na niewłaściwym stopniu.

Gdy orszak był już gotowy do drogi, zarządca Potiorek ogłosił kierowcom głośno i wyraźnie: "Jedziemy trasą zgodnie z planem!". W ostatniej chwili bowiem wpadł na pomysł, który miał wywieść w pole ewentualnych następnych zamachowców. Dwa pierwsze samochody miały zgodnie z oficjalnie proklamowanym planem przejechać przez niebezpieczny odcinek w centrum, pozostałe zaś inną trasą.

Stało się jednak inaczej. Tuż przed rozjazdem obu zaplanowanych tras arcyksiążę zapytał Potiorka o grupę budynków stojących na przeciwległym brzegu rzeki. Zarządca referując przegapił właściwy moment do poinstruowania kierowcy co do dalszej trasy i wóz pojechał za pozostałymi na promenadę. Gdy Potiorek się zreflektował i polecił kierowcy zawrócić, auto znajdowało się już na promenadzie. Kierowca, by wykonać manewr, zatrzymał pojazd - bezpośrednio przed Principem, czatującym na rogu promenady i ulicy Franciszka Józefa, na tzw. rogu

Schillera, który nazwę swą zawdzięczał nie wybitnemu poecie, lecz żydowskiemu kupcowi Morycowi Schillerowi.

Tym razem Princip nie przegapił okazji. Natychmiast wyciągnął pistolet i z najbliższej odległości oddał dwa strzały w kierunku arcyksięcia i, jak mu się wydawało, Potiorka. W ostatniej chwili pomógł mu jeszcze przypadek. Stojący w pobliżu detektyw przytomnie ocenił sytuację i chciał wytrącić pistolet z ręki zamachowca, jednak nie mający z zamachem nic wspólnego znajomy Principa kopniakiem uniemożliwił mu interwencję.

Początkowo nic nie wskazywało, by arcyksiążę lub jego małżonka odnieśli obrażenia. Sztywno siedzieli w samochodzie, podczas gdy dwu oficerów z ich orszaku rzuciło się na zamachowca, któremu, podobnie jak Cabrinoviciowi, nie udało się połknąć kapsułki z cyjankiem.

Gdy samochód wreszcie zawrócił, arcyksiężna opadła na kolana męża, który nadal siedział sztywno wyprostowany. Dopiero gdy zaczął mówić: "Nic mi nie jest", strumień krwi trysnął mu z ust. Kolumnę skierowano do Konaku. Tam książęcy szambelan wyciągając księżnę z samochodu stwierdził jej śmierć. Franciszek Ferdynand był w tym czasie już nieprzytomny. Złożono go na sofie, na której po chwili umarł.

Po zamachu narzuciło się pytanie, na ile serbski rząd znał kulisy spisku. Premier Nikola Pasić z pewnością nie był przyjacielem Czarnej Ręki. Jego ludzie infiltrowali tę tajną organizację na równi z infiltracją najwyższych kręgów administracji państwowej prowadzoną z kolei przez zaufanych Apisa.

Przynajmniej jeden z rządowych agentów brał udział w przerzucie grupy zamachowców do Bośni, informując o tym swoich przełożonych w Belgradzie. Pasić wiedział więc dość dokładnie, co się kroi, znajdował się jednak w bardzo drażliwej sytuacji. Miał poinformować Wiedeń i zyskać śmiertelnego wroga w osobie Apisa, czy też przymknąć na wszystko oczy?

Zdecydował się na formę pośrednią. Zaaranżował niejasny przeciek na użytek wiedeńskiego rządu, którego jednak wiedeńczycy nie potrafili właściwie zinterpretować.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej serbski rząd nie był już tak powściągliwy. Ljuba Jovanović, minister oświaty w rządzie Pasicia, wyznał: " Spisek przeciwko Franciszkowi Ferdynandowi był znany całemu gabinetowi na długo przed morderstwem. Nie było jednak możliwości powstrzymania wyjazdu zamachowców do Bośni".

Z nie wyjaśnionych powodów oficjalna reakcja Austrii nastąpiła dopiero 23 lipca 1914 roku. Austro-węgierski poseł akredytowany w Belgradzie baron von Giesl przekazał rządowi serbskiemu ultimatum, które opiewało na 48 godzin. Premier Pasić zaakceptował wszystkie jego punkty z wyjątkiem jednego, który żądał zgody na ingerencję austro-węgierskich organów ścigania na terytorium Serbii, na co von Giesl oświadczył, że ultimatum uważa za odrzucone. W ten sposób wybuchła pierwsza wojna światowa.

Proces przeciwko zamachowcom, ich pomocnikom i powiernikom - łącznie przeciwko 25 osobom rozpoczął się 12 października 1914 roku. Nawet jugosłowiańscy historycy przyznają: "Mimo wszelkich swoich słabości Austro-Węgry były państwem prawa i oskarżeni mieli możliwość przedstawienia swoich politycznych i osobistych motywów.

Wyrok ogłoszono 8 listopada. Ponieważ wszyscy właściwi zamachowcy wyjąwszy zbiegłego Mehmedbasicia - mieli mniej niż po 20 lat, nie mogli być skazani na karę śmierci. Princip, Cabrinović i Grabez zostali skazani na 20 lat więzienia, Cubrilović na 16, a Popović na 13 lat.

Ilić wraz z dwoma wspólnikami został skazany na śmierć - wyrok wykonano. Dwu następnych animatorów zostało skazanych również na śmierć, ale nie stracono ich. Pięciu innych otrzymało pomniejsze kary więzienia, a trzynastu uniewinniono.

Koniec monarchii naddunajskiej przeżyli jedynie Cubrilović i Popović. Cabrinović i Grabez zmarli w więzieniu na gruźlicę, a Princip podążył ich śladem 28 kwietnia 1918 roku.

Również pułkownik Dimitrijević nie doczekał się rozpadu monarchii

austro-węgierskiej. W 1917 roku został oskarżony o przygotowywanie spisku przeciwko serbskiemu następcy tronu Aleksandrowi, skazany na śmierć i stracony.

Po drugiej wojnie światowej Apis został zrehabilitowany przez marszałka Josipa Broz-Tito.

ALEKSANDER I KRÓL JUGOSŁAWII (1888 - 1934)

Generał Atsa Dimitrijević był głęboko nieszczęśliwy. Marszałek nadworny jugosłowiańskiego króla Aleksandra I siedział w przedziale sypialnym ekspresu jadącego z Belgradu do Paryża. Nogę miał wysoko ułożoną, gdyż od dłuższego czasu cierpiał na podagrę. Zadręczał go nie tylko ból fizyczny.Jego zadaniem było przygotowanie wyznaczonej na 9 października 1934 roku wizyty swego monarchy we Francji - wizyty, którą uważał za bardzo niebezpieczną. Wiedział bowiem, że chorwaccy terroryści, popierani przez Włochy i Węgry, wydali na króla zaoczny wyrok śmierci. Tuż przed swoim wyjazdem dowiedział się od ministra spraw wewnętrznych Lazicia, że dwu niebezpiecznych terrorystów opuściło swoją kryjówkę w Janka Puszta udając się na Zachód. Czy ich celem była Francja? Lazić - bezwolny protegowany króla - nie był pewien. Pod naciskiem Ligi Narodów Węgry przyrzekły niedawno zlikwidować placówki terrorystyczne na swoim terenie. Może terroryści zostali po prostu wydaleni z Węgier?

Lazić i minister spraw zagranicznych Boboljub Jevtić podzielali obawy marszałka dworu dotyczące wizyty we Francji. Jevtić uważał, że wystarczyłoby gdyby on sam pojechał do Paryża. Ale król nie dał się odwieść od swego zamiaru. W poprzednim roku czynił wszystko, by rozładować napięcie polityczne na Bałkanach. W tym celu przedsięwziął nawet wizytę we wrogo nastawionej Bułgarii, osiągając tam ku zdziwieniu polityków porozumienie z królem Borysem. W swą politykę odprężenia wciągnął również Rumunię, Grecję i Turcję. Teraz pragnął osobiście odwiedzić dwa zachodnioeuropejskie mocarstwa - Francję i Wielką Brytanię, by uzyskać błogosławieństwo dla swych zamierzeń. Na jego wysiłki kosym okiem patrzyły Włochy, widząc siebie w roli rozjemcy w konfliktach bałkańskich.

Od 1918 roku, kiedy to Belgrad skłócił się z Rzymem podczas podziału pozostałości po monarchii austro-węgierskiej, stosunki między obu państwami pozostawiały wiele do życzenia. Po dojściu do władzy faszystów jeszcze się pogorszyły.

Rzym prowadził niewypowiedzianą wojnę przeciw Belgradowi przy pomocy przedstawiciela, samozwańczego "poglawnika" (wodza) ekstremistyczno - prawicowej organizacji ustaszów, mecenasa Ante Pavelicia, który marzył o niezawisłej Chorwacji - przy czynnym poparciu Mussoliniego i jego węgierskich protegowanych. Urządził on obóz treningowy nie tylko w Janka Puszta ale i we włoskiej miejscowości Borgo di Taro, poza tym do dyspozycji jego propagandystów stała radiostacja w Bari, oddzielona od Jugosławii jedynie Adriatykiem.

Wszystko to wystarczyło, by odebrać sen wiernemu Atsy Dimitrijeviciowi - nie mylić z zabójcą Dragutinem "Apisem" Dimitrijeviciem.

Po jego przybyciu do Paryża obawy dworskiego marszałka jeszcze narosły. Francuzi najpierw pozwolili mu antyszambrować, następnie nie zgodzili się, by na czas wizyty króla sprowadzić do Francji kilku serbskich funkcjonariuszy tajnej policji. Konsultacja z Belgradem była również niezadowalająca. Aleksander dał mu do zrozumienia, że skoro Francuzi sami mają zagwarantować jego bezpieczeństwo, musi to wystarczyć. Dimitrijević musiał się zadowolić możliwością zarezerwowania żądanych przez niego apartamentów w hotelu Crillon.

Problemów przysparzał również program wizyty jugosłowiańskiej królowej Marii. Aleksandrowi ze względów prestiżowych zależało na przybyciu do Francji na pokładzie jedynego "prawdziwego" okrętu wojennego floty jugosłowiańskiej - niszczyciela "Dubrownik".

Królowa obawiając się niewygód na pokładzie małego okrętu wojennego wolała podróż pociągiem. Z trudem udało się Dimitrijeviciowi zsynchronizować obie trasy tak, by para królewska razem osiągnęła Paryż.

Następnym przystankiem nadwornego marszałka była Marsylia, gdzie król miał zejść na ląd. A tam obawy generała przekształciły się w panikę. Nie przewidziano żadnych dodatkowych środków bezpieczeństwa ani paryska SÓret, Nationale nie była obecna, ani żadne posiłki nie wzmocniły miejscowej policji. Obecność wojska ograniczona była do gwardii honorowej i nikt nie myślał obserwować podejrzanych cudzoziemców, których w tym - portowym w końcu - mieście nie brakowało. Jak w 1914 roku w Sarajewie - prawdopodobnie pomyślał Dimitrijević. Tyle, że wtedy stał po przeciwnej stronie.

Generał nie wiedział, że również kto inny zgłasza wątpliwości - przewidziany do obsługiwania wizyty króla kierowca, policjant Foissac na widok wybranego dla króla Aleksandra pojazdu wykrzyknął: "To przecież karawan, a nie samochód!"

Był to olbrzymi nieco staroświecki pojazd z olbrzymią ilością chromów za to minimalną koni mechanicznych - w najlepszym wypadku wyciągał 30 km na godzinę.

Foissac zasugerował: "Może by lepiej wziąć auto burmistrza?" "Chcesz urządzać wyścigi?" - odparto jego sugestię - "I tak będziesz jechał najwięcej 10 km na godzinę".

Gdy uwagi kierowcy dotarły do generała, zastanawiał się on nad dramatycznym zwróceniem uwagi króla na niepodjęcie przez Francuzów żadnych środków bezpieczeństwa. Porzucił jednak ten pomysł wiedząc z góry, co "król-żołnierz" by mu odpowiedział: "Gdy umrę w łóżku w moim pałacu, będę wyjątkiem wśród władców mego kraju".

I miałby rację, bowiem ze wszystkich książąt i królów zasiadających na belgradzkim tronie tylko jeden przetrwał od koronacji aż do normalnej śmierci.

Karadjordje - "czarny Georg"- założyciel dynastii Karadjordjeviciów i pierwszy władca autonomicznej Serbii - właściwie Georg Petrović został zamordowany we śnie. Nie przez tureckich wrogów, lecz przez agentów swego rodaka Milosa Obrenovicia, który przejął rządy nad krajem. Po dwudziestoletnim panowaniu Milos został zmuszony do abdykacji na rzecz swego syna Milana, który jeszcze w tym samym roku zmarł w bardzo niejasnych okolicznościach. Jego brat Michał został po trzyletnich rządach obalony przez syna "czarnego Georga" - Aleksandra. Temu też nie poszło lepiej. W rewolucyjnym roku 1848 został obalony, a na jego miejsce powrócił stary Michał Obrenović. Po jego śmierci ponownie panował obalony uprzednio Michał Obrenović. Aż został zamordowany w 1868 roku. To, że Karadjordjeviciowie za tym stali, było tajemnicą poliszynela. Następny władca, znowu Milan z rodu Obrenoviciów, obwołał się wprawdzie królem, musiał jednak wkrótce abdykować. Jego synowi Aleksandrowi powiodło się jeszcze gorzej - w 1903 roku został bestialsko zamordowany.

Po czym naturalną koleją rzeczy nastąpili Karadjordjeviciowie. Zakrwawiony tron nie przyniósł im jednak szczęścia. Piotr I obwołany królem przez morderców poprzedniego z latami pogrążył się w obłędzie. Uprzednio musiał izolować swego najstarszego syna Georga, którego dzikie ekscesy popełniane w atakach niepoczytalności mogły przedwcześnie wywołać konflikt zbrojny z Austro-Węgrami.

W ten sposób Aleksander, studiujący uprzednio w Genewie i Petersburgu awansował na następcę tronu.

Aleksander dążył w pierwszej kolejności do honorów wojskowych i wkrótce miał okazję sprawdzić się na tym polu. W czasie wojen bałkańskich 1912-1913 osobiście dowodził zwycięską armią serbską. Rok później otrzymał drugi chrzest bojowy. Ponieważ kraj potrzebował silnej władzy w związku z wybuchem pierwszej wojny światowej, niedołężnego Piotra I wycofano z obiegu, mianując Aleksandra regentem i głównodowodzącym.

Szczęście początkowo dopisywało Serbii. Austriacy, dowodzeni przez wyjątkowo niezdolnego generała, zostali odrzuceni z jej granic. Dopiero skoncentrowana operacja niemiecko-austriacko-bułgarska zmusiła armię serbską do oddania całego terytorium Serbii i urządzenia swojej głównej kwatery w greckich Salonikach pod osłoną wojsk Ententy.

Tam też rozegrała się przygrywka, do dziś różnie interpretowana. Aleksander miał zawsze ambiwalentny, by nie rzec dwulicowy stosunek do tych wojskowych, którzy drogą morderstw wynieśli jego ród do władzy. W zamordowanie austriackiego następcy tronu prawdopodobnie nie był zamieszany, jednak biorąc udział w wojnie o przetrwanie nie mógł pozwolić sobie na wydalenie z dowództwa armii osławionego Apisa.

W Salonikach powstała zupełnie nowa sytuacja.Teraz Aleksander mógł pozbyć się swoich niesamowitych sprzymierzeńców. Pod koniec 1916 roku Apis został aresztowany i oskarżony o planowanie zamordowania Aleksandra. Wprawdzie Apis popełnił wiele zbrodni, jednak przeciwko Aleksandrowi raczej nie spiskował, tym niemniej sąd wojenny skazał go na karę śmierci, która została wykonana w czerwcu 1917 roku.

W ten sposób Aleksander został panem - jeśli nie we własnym kraju, który był wówczas okupowany, to przynajmniej we własnym domu. Można to skomentować krótko: Piotrowi wystarczało panować, a Aleksander chciał rządzić.

Pierwszym krokiem było przekazanie dowództwa Ententy, by w 1918 roku od Salonik rozpocząć ofensywę przeciwko "miękkiemu podbrzuszu" państw osi - co istotnie przyczyniło się do rychłego zakończenia wojny. W traktatach pokojowych z St. Germain i Trianon większość - jeżeli nie wszystkie - życzenia Belgradu zostały spełnione. Nagle Aleksander odnalazł się na pozycji króla nad czteronarodowościowym państwem.

Na początku próbował tuszować nieporozumienia między wszystkimi swoimi ludami - przemianował na przykład swoje państwo na Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Nic to jednak nie dało. Jeśli nie Słoweńcy to Chorwaci spostrzegli wkrótce, że jedno obce panowanie zamienili na drugie.

W czasie pokoju Aleksander (od śmierci swego ojca w 1921 roku prawowity monarcha) stał przed równie wielkimi problemami jak uprzednio w czasie wojny. Ale jeszcze ślizgał się na fali powodzenia.

W czerwcu 1922 roku pojął za żonę córkę rumuńskiego króla księżniczkę Marię zyskując w ten sposób naturalnego sprzymierzeńca. W rok później przyszedł na świat pierwszy syn - Piotr. Na chrzciny do Belgradu przybył nawet książę Yorku - późniejszy brytyjski król Jerzy VI. Zdjęcia szczęśliwego Aleksandra obiegły światową prasę.

W polityce wewnętrznej sytuacja nie wyglądała jednak tak różowo. Serbska konstytucja z 1903 roku z niewielkimi poprawkami rozciągnięta została na całe królestwo - a to mściło się. Próby wytworzenia federalnych struktur torpedowane były przez nadal dominujących polityków serbskich. Pomimo to w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców początkowo funkcjonowała demokracja.

Na marginesie - dzięki tej demokracji w parlamencie zasiadało początkowo 58 komunistów - najwyższy odsetek w demokratycznie rządzonych państwach. Tak przeraziło to Aleksandra, że momentalnie rozwiązał partię komunistyczną w swoim kraju.

Komuniści kontynuowali jednak walkę z podziemia. W czerwcu 1920 roku dokonano pierwszego, nieudanego zamachu na Aleksandra, w rok później komuniści zamordowali ministra spraw wewnętrznych Draskovicia.

Po wyborach parlamentarnych z 1923 roku Chorwaci stali się najsilniejszą grupą opozycyjną. W Stefanie Radiciu znaleźli doświadczonego przywódcę, który ideologię biernego oporu potrafił wcielić w czyn, na co serbska większość zareagowała rozwiązując w 1925 roku partię chorwacką.

W Jugosławii zapanował nierząd. Po krótkim czasie doszło jednak do kompromisu. Radić pogodził się jednak z Aleksandrem, a nawet przyjął stanowisko ministra i w następnych latach był częstym gościem w pałacu

królewskim.

To sprowokowało znów serbskich ekstremistów. Ich polemiki stały się coraz zjadliwsze, kryzysy gabinetowe narastały, jednak król wzdragał się przed zdymisjonowaniem swego chorwackiego sprzymierzeńca. Wybory z 1927 roku znów żadnej ze stron nie przynoszą zdolnej do sformowania gabinetu większości, a Radić doradza królowi osobiste przejęcie władzy z generałem jako szefem rządu.

20 czerwca dochodzi w parlamencie do incydentu, który zmieni drastycznie przyszłość kraju. Deputowany Punisa Rahić, dziki Czarnogórzec przychodzi do sali obrad uzbrojony. Gdy chorwacki deputowany próbuje przywołać go do porządku, zostaje po prostu zastrzelony. Potem Rahic zabija jeszcze deputowanego Basaricheka, rani Stefana Radicia, a ostatnią kulą zabija siostrzeńca Radicia - Pawła.

Lekarze liczą na utrzymanie Radicia przy życiu. Król spieszy do rannego i proponuje mu stanowisko premiera, ten jednak ponownie obstaje przy powołaniu wiernego królowi reżymu wojskowego. Już się wydawało, że śmierć minęła przywódcę Chorwatów, gdy wdają się komplikacje powodujące zgon.

Chorwaccy deputowani odpowiadają eksodusem z parlamentu. Król Aleksander powołuje słoweńskiego księdza dr Koreseca na premiera, lecz krajem już nie można rządzić.

W końcu majestat przecina węzeł gordyjski - rozwiązuje parlament i rzeczywiście premierem mianuje generała. Obwołanie królewskiej dyktatury wprowadza podział wśród Chorwatów. W dzień po rozwiązaniu parlamentu Ante Pavelić zakłada w Zagrzebiu faszystowski ruch ustaszów.

Ustasze zostali w czasie II wojny światowej wyolbrzymieni do ruchu masowego, w rzeczywistości ich baza była tak wąska, że "wódz" natychmiast musiał rozejrzeć się za pomocą zagraniczną. On sam twierdził, że początkowo ruch liczył około 1000 członków, co już wydaje się nieco przesadzonym. Marzyło mu się w owym czasie utworzenie rewolucyjnej armii na wzór tajnej macedońskiej VRMO, która w tym czasie siała przerażenie w całej południowej Serbii.

Większość Chorwatów trwała jednak dalej przy starej partii Stefana Radicia prowadzonej teraz przez dr. Macka.

Za swoją sabotażową działalność Ante Pavelić skazany zostaje zaocznie na karę śmierci - jednak od dawna przebywa w swoich kwaterach głównych we Włoszech i na Węgrzech, przez co kryzys jugosłowiański zyskuje wymiar międzynarodowy.

Dyktatura królewska okazała się w międzyczasie niewypałem. Kryzys gospodarczy zaostrza jeszcze sytuację. Ante Pavelić nie pozostaje bezczynny. W ulotkach rozdawanych Chorwatom nazywa Aleksandra "królem Cyganów" czyniąc aluzję do niezbyt szlachetnego rodowodu jego dynastii - sformułowanie zostało również przyjęte przez komunistów. Pomiędzy radiostacjami w Belgradzie i w Bari rozpoczyna się obrzucanie błotem w eterze.

Nie kończy się na pojedynkach słownych. W grudniu 1933 roku Pavelić wysyła do ojczyzny grupę zabójców, która zamordować ma Aleksandra podczas jego pobytu w Zagrzebiu - w jaskini lwa. Terroryści tracą jednak nerwy, zamach spala na panewce. Po przesłuchaniach ujawnione zostają wszystkie szczegóły planu zamordowania króla.

Ale Pavelić nie poddaje się tak łatwo. Z szeregów VRMO otrzymuje w międzyczasie wzmocnienie - ich"najlepszego"człowieka.Jest to Vlada Georgiew Czernozemski zwany Vlada Szofer, który w wieku lat 37 wyróżnił się ponad tuzinem dokonanych morderstw. Potrafił obchodzić się z bronią palną równie dobrze jak z granatami czy bombami zegarowymi. Początkowo Pavelić zatrudnił go jako goryla - dla ochrony przed jugosłowiańskim antyterroryzmem, teraz wódz wyznaczył go do większego celu.

Pavelić chciał zorganizować następny zamach na Aleksandra podczas jego wizyty państwowej w Bułgarii, ale Vlada odmówił. Nie jest samobójcą - argumentował, a w każdym bułgarskim komisariacie wisi jego list gończy. Takiej logice Pavelić nie mógł się przeciwstawić, a na kolejną próbę

realizowaną przy pomocy partaczy nie mógł sobie pozwolić.

Szefa ustaszy zaczyna pomału naciskać brak czasu. Po nieudanym zamachu w Zagrzebiu Węgry zostały zmuszone - przynajmniej pro forma do ograniczenia działalności Chorwatów na swoim terytorium, a wielki protektor Mussolini jest również Paveliciem zawiedziony. Gdyby ten nie mógł pochwalić się wkrótce jakimiś sukcesami, Duce mógłby zakręcić kurek z pieniędzmi.

Następna okazja nie daje na siebie długo czekać. Prasa zapowiada na październik 1934 roku wizytę króla Aleksandra we Francji i Wielkiej Brytanii. Pavelić jest uradowany. Wie, że Europa Zachodnia traktuje zabezpieczenia przeciw zamachom dość niedbale.

Pavelić planuje operację w sposób sztabowy, bowiem tym razem nikt i nic nie może zawieść. Nadzór prowadził będzie osobiście on i to na miejscu jakkolwiek z bezpiecznego dystansu. Swoich ludzi dzieli na"sztab" i "żołnierzy" Sztab tworzą prócz samego wodza: jego adiutant Eduard Kwaternik, syn byłego c. k. pułkownika i ex-pułkownik Percevic. Grupę żołnierzy tworzą, prócz głównego bohatera - Vlady - najlepsi ludzie wśród ustaszy, szkolonych w Janka Puszta - Kral, Pospischil i Raitsch.

Ponieważ do każdego spisku należy tajemnicza kobieta, postarano się również o femme fatale: Maria Vudrasek, która pojawi się później na łamach światowej prasy jako tajemnicza blondyna, ma podwójne zadanie: z jednej strony ma przeszmuglować broń i materiały wybuchowe do Francji, z drugiej zaś ma utrzymywać swą urodą Vladę w dobrym humorze.

Tym razem Pavelić wkalkulował ewentualność, że pierwszy zaplanowany w Marsylii zamach się nie powiedzie. W takim wypadku drugi zamach ma odbyć się w Wersalu, znajdującym się również w programie wizyty jugosłowiańskiego monarchy. Gdyby i tu zamach nie wypalił, trzecia próba nastąpić miała w Lozannie, gdzie król przed powrotem do ojczyzny chciał skonsultować się z okulistą.

Dla siebie i swoich współspiskowców Pavelić założył całą kolekcję fałszywych paszportów, umożliwiających dowolną zmianę tożsamości. Kvaternik został wysłany do Szwajcarii w celu dokonania wymiany większej kwoty lirów na francuskie i szwajcarskie franki. Gdyby któryś z zamachowców został pochwycony, nic w jego posiadaniu nie miało wskazywać na powiązania z Włochami.

Pod koniec września Maria Vudrasek udała się do Paryża przewożąc pistolety i bomby. W tym samym przedziale siedział - nie poświęciwszy pięknej kobiecie nawet jednego spojrzenia - Ante Pavelić mający w wypadku jej zdemaskowania zorganizować dodatkowy przerzut broni przez żołnierzy. Zabezpieczenie to okazało się niepotrzebne. 26 września przebywający we Włoszech Kvaternik otrzymuje telegram: "Owoce dotarły do Francji w dobrym stanie".

Teraz kolej na adiutanta. Pod nazwiskiem Eugen Kramer, razem z Vladą legitymującym się węgierskim paszportem wystawionym na Rudolfa Suka wjeżdżają do Szwajcarii.

Przybywszy do Zurychu udają się na pocztę główną, gdzie czeka na nich telegram z Węgier i list z Berlina. Kvaternik jest zadowolony: szef jest w Paryżu, a "druga obsada" z Węgier dotrze Orient-Ekspressem jeszcze tego samego dnia z Wiednia.

Trzej kompani z Janka Puszta docierają na miejsce punktualnie i w dobrych nastrojach - może nawet zbyt dobrych. "A więc zabijemy króla" - mówi Raitsch Kvaternikowi przy opuszczaniu dworca. Ten jest przerażony taką lekkomyślnością; "Nawet ściany mają uszy" - ostrzega nowo przybyłego. "I pamiętajcie,ja jestem Kramer, a mój towarzysz to pan Suk."

"Zjednoczenie wojsk" oblewane jest w restauracji. Po zamówieniu menu dla wszystkich Kvaternik opuszcza współbiesiadników. Wie, że nowoprzybyła trójka obstawiana była w pociągu przez węgierskiego tajnego agenta, który czeka teraz przed restauracją. Agent przynosi niepokojącą wiadomość. Serbski szpicel rozpoznał trzech terrorystów w

pociągu i niewątpliwie doniósł o tym do Belgradu. W związku z tym należało się liczyć z wystąpieniem komplikacji.

Kvaternik musiał więc zmienić plany. W niesprzyjających okolicznościach trio z Węgier mogło zostać rozpoznane przy kontroli na francuskiej granicy. Nie jadą więc bezpośrednim pociągiem do Paryża, a do Lozanny, gdzie meldują się w "H"tel des Palmiers". Tam Kvaternik postanawia na nowo ubrać swoich wspólników, gdyż w garniturach "Made in Hungary" są łatwi do rozpoznania przez każdego wprawnego wywiadowcę. W nowych szwajcarskich ubraniach prezentują się natomiast całkiem nieźle. Jedynie Vlada opiera się twierdząc, że w swoim starym ubraniu może zabić króla równie dobrze jak w nowym. Wizyta u fryzjera celem przystrzyżyn i ogolenia jest jego najdalej idącym ustępstwem.

Nad Jeziorem Genewskim spiskowcy wynajmują łódkę i z całym spokojem wiosłują na drugą stronę do francuskiego Thonon. Jeszcze raz zacierają ślady jadąc nie do Paryża, lecz wysiadając w Fontainebleau. Miejscowość ta ma stanowić bazę dla Raitscha i Pospischila przy ewentualnym drugim zamachu na króla. Po dokładnym zapoznaniu się z topografią okolicy spiskowcy jadą dalej do Paryża autobusem. Tam Kvaternik rozdziela swych ludzi między trzy drogie hotele. On sam zajmuje pokój w hotelu "Bellevue", skąd kontaktuje się z Paveliciem i Marią zameldowanymi jako małżeństwo w hotelu "St. Anne".

Następnego wieczoru jest przewidziana kolacja w małym kręgu, tylko dla Pavelicia, Kvaternika, Vlady i Marii, przy czym Marii zgodnie z ustaleniami przypada utrzymywanie dobrego nastroju Vlady. Co się jej znakomicie udaje. Również Pavelić jest zadowolony. Dostał dokładny plan wizyty królewskiej, skąd dowiedział się, że Francuzi odrzucili żądanie marszałka nadwornego Aleksandra dotyczące sprowadzenia na czas wizyty agentów jugosłowiańskich tajnych służb.

Pobyt spiskowców w Paryżu przebiega bez incydentów. 6 października rdzeń grupy - Pavelić, Vlada, Kral i Maria jadą na południe, zaś Pospischil i Raitsch zostają wysłani do Fontainebleau.

Pavelić jest bardzo ostrożny. Grupa nie zamieszkuje w Marsylii lecz w Aix-en-Provence, gdzie Kvaternik uprzednio zarezerwował pokoje w hotelu. Stamtąd Pavelić i Vlada dokonują lustracji terenu w Marsylii. Są zgodni co do tego, że zamach ma nastąpić na głównej ulicy - Cannebiere, pomiędzy portem a prefekturą policji na wysokości giełdy. Vlada ma oczekiwać naprzeciw okazałego gmachu giełdy na orszak samochodów, wskoczyć na stopień królewskiego pojazdu i zastrzelić jugosłowiańskiego monarchę. Kral zaś ma zająć stanowisko na stopniach giełdy i po usłyszeniu pierwszych strzałów rzucić w tłum bombę, by Vlada mógł ujść w spodziewanym zamieszaniu wywołanym eksplozją.

Po inspekcji miejsca zamachu Pavelić i Vlada powracają do Aix-en-Provance, gdzie jeszcze raz spotykają się z Kvaternikiem. Tego samego wieczoru zostaje on odesłany do Włoch, bowiem Pavelić obiecał staremu pułkownikowi Kvaternikowi, że jego syn powróci bezpiecznie. Poza tym "poglavnik" zdaje sobie sprawę z tego, że jego adiutant, choć dobry organizator, nie zalicza się do najodważniejszych.

Rankiem 9 października Vlada i Kral pobierają broń - ciężkie pistolety Mauser i Luger. Pavelić udziela ostatnich wskazówek. O 13.00 mają wsiąść w autobus w Marsylii, co pozostawi im wystarczającą ilość czasu na zajęcie stanowisk, gdyż król spodziewany jest dopiero o 16.00. "Poglavnik" obiecuje czekać na obu zamachowców tegoż dnia wieczorem w hotelowej restauracji w Aix.

Pavelić prawidłowo ocenił upływ czasu. Vlada i Kral stawili się punktualnie. Wzdłuż Cannebiere ustawiło się wielu gapiów, lecz ciżba nie była zbyt duża. Wkrótce słychać salut armatni oddany z Port Vieux oznajmiający dostojnego gościa.

Dimitrijević wypłynął na spotkanie króla barkasem i wstąpił na pokład niszczyciela. Ponieważ okręt nie mógł przycumować bezpośrednio do mola, Aleksander w kapiącym od złota admiralskim mundurze - który nosił niechętnie, gdyż uważał się za członka korpusu piechoty - minister spraw

zagranicznych Jevtić i Dimitrijević motorówką dobili do brzegu.

Gwardia honorowa piechoty morskiej pozdrowiła króla siedmiokrotnym "Vivat", weterani kampanii greckiej witali w ten sposób swego byłego towarzysza broni.

Do formalnego powitania wysunęli się francuski minister spraw zagranicznych Jean Louis Barthou i burmistrz Marsylii. Mała dziewczynka w stroju prowansalskim wręczyła królowi bukiet złożony z dzikich kwiatów. Przy bramie portowej czekał już "karawan" Foissaca. Ciepły, pogodny dzień sprawiał, że dach był całkowicie złożony, nie dając pasażerom żadnej osłony. Aleksander i Barthou zajmują miejsca na tylnych siedzeniach, przed nimi ciśnie się wojskowy szef przyjęcia, generał Georges, na małym składanym krzesełku, w jakie w owym czasie wyposażony był każdy większy samochód. Nie ma wojskowej eskorty - jedynie dwu konnych oficerów, pułkownik Piolet i kapitan Vigoreux jadą stępa po obu stronach królewskiego pojazdu.

Kilkuminutowe opóźnienie spowodowane zostało ekipą kamerzystów filmujących powitanie króla, kolumna rusza. Jevtić z burmistrzem jadą drugim samochodem, w trzecim zajął miejsce Dimitrijević. Orszak w żółwim tempie przemieszcza się przez Cannebiere, podczas gdy eskadra lotnictwa morskiego z rykiem przelatuje nad dzielnicą portową. Kilka metrów przed giełdą generał Georges wychyla się na lewo, by przywołać konną eskortę, która wysforowała się zbytnio do przodu. W tym momencie Vlada jak pantera skacze na prawy stopień samochodu i z bezpośredniej bliskości oddaje do jugosłowiańskiego monarchy dwa strzały. Jeden z wystrzelonych pocisków przebija ciało króla na wylot raniąc jeszcze ministra Barthou w ramię.

Stojący na posterunku na stopniach giełdy policjant Celestin Galy spostrzegł w międzyczasie, że ktoś wskoczył na stopień królewskiego samochodu, sądził jednak, iż jest to jakiś Serb pragnący uścisnąć dłoń swego władcy. Beztrosko podszedł więc do pojazdu, by ściągnąć natręta-entuzjastę z powrotem na ulicę. Vlada odwrócił się błyskawicznie i strzelił mu w brzuch.

Dopiero w tym momencie generał Georges, nie słyszący wystrzałów z uwagi na ryk przelatujących samolotów, widzi się oko w oko z mordercą. Nie tracąc zimnej krwi wyskakuje na lewą stronę i obiega samochód dookoła, by pojmać Vladę. Ten jednak jest szybszy - trzema strzałami powala generała.

Dokładnie w tym czasie wspólnik Vlady - Kral - miał rzucić bombę na stopniach giełdy, by pomóc zabójcy umknąć. Ale Kral traci nerwy i po prostu umyka. Vlada, zaskoczony takim obrotem sprawy rozgląda się dookoła, następnie zmienia magazynek i jak dziki zaczyna strzelać do tłumu. To daje pułkownikowi Pioletowi czas, aby obrócić konia. Z siodła, obnażoną szpadą paradną zadaje Vladzie dwa ciosy, po których ten się przewraca. Podbiega pierwszy umundurowany policjant i strzałem w głowę dobija zamachowca. Gapie przemagają strach - pod ich uderzeniami ciało spiskowca zamienia się w skrwawiony strzęp.

Minister Jevtić pospieszył królowi z pierwszą pomocą. Barthou wytoczył się na ulicę - kula rozszarpała mu tętnicę w ramieniu, lecz póki co nikt nie zatroszczył się o niego.

Foissac otrzymuje rozkaz jechania do prefektury z maksymalną prędkością. Zapala silnik i daje pełny gaz. Gdy samochód skręca w rue St. Ferreol, tłumy zgromadzone po obu stronach ulicy wiwatują, gdyż nikt nie spostrzega, co się stało.

W prefekturze ciało Aleksandra złożone zostaje na kanapie, z pobliskiego szpitala sprowadzony pośpiesznie lekarz mógł już tylko stwierdzić zgon. Również dla Barthou pomoc lekarska nadeszła zbyt późno, stary polityk stracił tyle krwi, że zmarł podczas pierwszej transfuzji w szpitalu H"tel-Dieu.

Również niefortunnie interweniujący policjant Galy oraz dwie kobiety postrzelone przez Vladę umierają w wyniku doznanych obrażeń. Sztuka lekarska ratuje jedynie generała Georgesa.

Powstałe zamieszanie umożliwia Kralowi ujść niepostrzeżenie. Autobusem udaje się do Aix, gdzie Pavelić oczekiwać miał powrotu zamachowców. Lecz Pavelić był w tym czasie w Marsylii, gdzie z niewielkiej odległości obserwował przebieg morderstwa, po którym natychmiast, w towarzystwie Marii zbiegł do Włoch.

Kral czekał więc daremnie. Gdy na ulicach pojawiły się wydania specjalne gazet z wiadomością o zamachu, postanowił uciekać dalej. Jego celem było Fontainebleau, gdzie podejrzewał zastać swych wspólników, Raitscha i Pospischila. Mimo że zachowywał się dość podejrzanie, bez przeszkód osiągnął swój cel. Tam oczekiwało go jednak drugie rozczarowanie. Raitsch i Pospischil dawno już czmychnęli. Samotnie postanowił się przeszmuglować do Szwajcarii. Już na dworcu kolejowym natknął się na patrol policyjny, spłoszony umknął więc do lasu w okolicach Fontainebleau. Dopiero głód zmusił go do opuszczenia kryjówki. W okolicy Melun daje się bez oporu pojmać policji.

Raitsch i Pospischil też nie mają szczęścia. Docierają wprawdzie do francuskiego brzegu Jeziora Genewskiego, zostają tam jednak pojmani, gdyż ambitny szef lokalnej policji zlecił na własną rękę obostrzenie kontroli w pasie granicznym.

Wszyscy trzej pojmani terroryści zeznają bez oporów przemilczając jedynie swe powiązanie z Ante Paveliciem a przez to z Włochami. Tym niemniej Mussolini czuje się zmuszony do zastosowania wobec przywódcy ustaszy i Kvaternika aresztu profilaktycznego. Gdyby bowiem powiązania wyszły na jaw, Duce nie chciał uchodzić za wspólnika.

W tym czasie ciało króla Aleksandra było już przetransportowane do Belgradu. Jedynym co można było dlań jeszcze uczynić, był pompatyczny pogrzeb, uświetniony całą europejską śmietanką polityczną od Hermanna G"ringa aż po księcia Kentu - w którego weselu chciał wziąć udział Aleksander.

Wraz z królem Jugosławii zmarł jego zamysł polityczny. Jego następca - król Piotr II ma dopiero jedenaście lat, a kuzyn Aleksandra książę Paweł, blisko spowinowacony ze zmarłym królem rodzinnie, ale bardzo odległy w poglądach politycznych, przejmuje władzę jako regent. Paweł podziwia Włochy i jest gotowy pogrzebać jugosłowiańską koncepcję bałkańską wraz z jej wynalazcą.

A ponieważ Belgrad potrzebuje kozła ofiarnego, wynajduje go w osobie, która jest najmniej winna: nadworny marszałek Dimitrijević zostaje zwolniony ze swego stanowiska z powodu poważnych zaniedbań, których się jakoby dopuścił, a nawet przez pewien czas podlega aresztowi domowemu.

Dalszy ciąg przypomina zgoła farsę. Jedynym, który żąda zbadania sprawy, jest minister Jevtić. Zamierza oskarżyć Włochy przed Ligą Narodów, lecz nowy minister spraw zagranicznych Francji sugeruje mu, by zostawić Mussoliniego w spokoju. Jedyne co udaje się wywalczyć to nagana udzielona Węgrom za pobłażliwość wobec terrorystów.

Procesu przeciwko zamachowcom Laval - awansowany w międzyczasie na stanowisko premiera - nie może zatuszować, w końcu obok bałkańskiego monarchy zginął również francuski minister.

Rozprawa przeciw wspólnikom Vlady rozpoczyna się w listopadzie 1935 roku w Aix. Zostaje natychmiast przerwana i wznowiona dopiero w lutym 1936 roku. Powiązania z Włochami i Węgrami są starannie przemilczane, a neutralni obserwatorzy mają wrażenie, iż nie zabójcy są osądzani, lecz zamordowany król. Mimo tych odczuć Kral, Raitsch i Pospischil skazani zostają na dożywocie, zaś nieobecni Pavelić, Kvaternik i Percević na karę śmierci.

Dożywocie oznacza rok 1940. Wraz z zajęciem Francji przez Niemców trzej spiskowcy zostają uwolnieni i znikają z kart historii.

Zagrzeb stał się stolicą pseudoniepodległego Królestwa Chorwatów, królem mianowano pewnego włoskiego księcia, który notabene nigdy nawet nie odwiedził swego królestwa. A przywódcą tego satelickiego państewka został nie kto inny jak Ante Pavelić - inspirator i animator śmierci króla Aleksandra I.

Terrorystyczne metody rządów zastosowane przez Pavelicia nawet jego niemieckich protektorów wprowadzają w zakłopotanie. Mimo to sprawiedliwa kara nie dosięga go nigdy. Rychło przed zakończeniem wojny Pavelić umyka do Ameryki Południowej, gdzie pracuje u kilku dyktatorów z kolei jako doradca do spraw wywiadu. W końcu przenosi się do Hiszpanii, gdzie pod opiekuńcze skrzydła bierze go generał Franco. Umiera w Madrycie w latach sześćdziesiątych.

JEAN JAURES (1859 - 1914)

"Vivos voco! Wzywam żywych do obrony przeciw nadchodzącemu potworowi!"
"Poruszenie wśród publiczności" - rejestruje, prócz tego okrzyku, sprawozdawca bazylejskiej "Gazety Narodowej".
"Mortous plango! Opłakuję niezliczonych zmarłych padłych tam na Wschodzie, których smród rozkładu dochodzi do nas jako wyrzut "
Znów poruszenie.
"Fulgura frango! Połamię pioruny wojny grożące nam teraz z obłoków!"
Reporter rejestruje burzę oklasków.
Godnym uwagi był skład słuchaczy, osoba mówcy oraz czas i miejsce prelekcji.
Był rok 1912, dokładniej 24 listopada. Przed miesiącem w dalekiej Turcji wybuchła wojna bałkańska przeciw Ottomańskiej Porcie, grożąc rozszerzeniem się w poważny międzynarodowy konflikt zbrojny.
Formą reakcji Międzynarodówki Socjalistycznej było zwołanie w Bazylei nadzwyczajnego kongresu. Przemówienie inauguracyjne - co z pewnością jest godne odnotowania - odbyło się na ziemi poświęcanej w bazylejskim M□nsterze. Głównym mówcą był Jean Jaures - najwybitniejsza figura wśród francuskich socjalistów. A ponad pięćsetosobowe zgromadzenie tak często go oklaskujące składało się w połowie z Niemców!
Zdania historyków są w zależności od poglądów politycznych i osobistego stosunku podzielone odnośnie traktowania tego kongresu. Czy była to ostatnia próba powstrzymania nadciągającej wojny światowej, czy też był to tylko pokaz samooszukiwania się?
Pacyfizm Jeana Jauresa stoi jednak poza wszelką dyskusją - swe przemówienie zakończył słowami: "Opuszczamy to zgromadzenie z przysięgą ratowania pokoju i cywilizacji".
Jego biograf - Urs Brand - głosi: "Kongres bazylejski był ostatnim wielkim zgromadzeniem socjalistów, nim wojna rozwiała wszelkie nadzieje. Jednak Międzynarodówka była wtedy tylko wyznaniem wiary z biurem w Brukseli".
Jean Jaures całe swoje życie poświęcił temu wyznaniu i za nie też umarł, nie będąc nigdy marksistą w klasycznym znaczeniu tego słowa. Swój rodowód polityczny wywodził z heterogenicznych grupek lewicowców, które na początku stulecia zjednoczyły się pod określającą nazwą "Francuska Sekcja Międzynarodówki Robotniczej" - zachowaną zresztą do lat sześćdziesiątych.
Jaures pochodził z mieszczańskiej rodziny osiadłej w robotniczej Langwedocji na południowym zachodzie Francji - pochodzenie wypominane mu przez ortodoksyjnych towarzyszy nawet jeszcze po dziesięciu latach walki. Kariery nie zrobił dzięki pochodzeniu czy protekcji lecz przez przewagę intelektualną nad innymi. Statystyki francuskiej oświaty do dziś notują go jako gimnazjalistę, który w czasie uczęszczania do szkół zdobył najwięcej nagród. Te walory połączone ze stypendium umożliwiają mu wstęp do najbardziej elitarnej Ęcole Normale Superieur, którą lepiej porównywać do amerykańskiego college'u niż do normalnej szkoły.
Z Ęcole droga prowadzi go prosto na uniwersytet w Tuluzie. Tam prawdopodobnie pozostałby przez całe życie, gdyby głęboko ludzkie zaangażowanie nie doprowadziło go do polityki. Stosunki społeczne w jego rodzinnym departamencie nie były najlepsze. Jedynymi pracodawcami w całej okolicy byli: baron Reille i markiz de Solages, ludzie, z którymi będzie walczył przez dziesiątki lat.

By przeciwstawić się tej sitwie, Jaures kandyduje w 1885 roku po raz pierwszy do parlamentu, z listy republikańskiej i od razu zdobywa większość głosów w departamencie.

Praca w parlamencie jest dla najmłodszego deputowanego nie lada udręką. W ówczesnej Francji nie ma bowiem jeszcze wykształconych prawdziwych partii politycznych jak np. w Niemczech czy w Anglii. Parlament dzieli się na republikanów i monarchistów. Republikanie są z kolei podzieleni na umiarkowanych "oportunistów , radykałów, którzy wtedy naprawdę byli radykalni oraz socjalistów. Jean Jaures przyłącza się do "oportunistów" - obie pozostałe grupy mierżą go.

W czasie trwania kadencji zmienione zostaje prawo wyborcze. Wybory z 1891 roku podlegają już nowej procedurze, rozpisane są na pojedyncze okręgi wyborcze i Jaures przegrywa w swojej rodzinnej miejscowości - Castres z konserwatywnym kandydatem protegowanym przez rodziny de Solages i Reille i popieranym przez kręgi klerykalne i reakcyjne.

Pokonany znosi to spokojnie, wraca na uniwersytet w Tuluzie, gdzie nie tylko wygłasza odczyty, ale i pracuje nad swą rozprawą doktorską pisaną w dwu językach jednocześnie - po francusku i po łacinie. Dodatkowo zatrudnia się jako dziennikarz pracując dla "D,pŘche de Toulouse".

Działalność akademicka Jauresa pozostaje jedynie przerywnikiem. W kopalniach wybuchają ciężkie niepokoje wśród górników - dochodzi do zamieszek skierowanych przeciwko właścicielom. Deputowany z okręgu Jauresa pod wpływem dochodzących zewsząd krytycznych głosów składa swój mandat poselski. Niedoszły docent wygrywa wybory uzupełniające z olbrzymią przewagą.

W Palais Bourbon nie przyłącza się tym razem do "oportunistów", lecz bloku socjalistycznego rozbitego na co najmniej cztery ugrupowania, od umiarkowanych aż do prawie-anarchistów. Jaures skłania się ku największemu ugrupowaniu - "Partii Ouvrier", kierowanej przez Julesa Guesda, z której później swój rodowód weźmie partia jednościowa.

W następnych wyborach, rozpisanych zgodnie z harmonogramem w 1893 roku, Jaures bez żadnych problemów zostaje ponownie wybrany. Wybory te - rozgrywane w cieniu francuskiego plątania się w finansowanie budowy Kanału Panamskiego przynoszą socjalistom pierwsze wielkie zwycięstwo. Zdobywają czterokrotnie więcej mandatów, niż mieli w poprzedniej kadencji.

Deputowany z Castres jeszcze nie zalicza się do prominentów swego ugrupowania, choć wyrobił już sobie dobrą markę jako publicysta. Jego wielka godzina nadchodzi w związku z aferą Dreyfusa. W grudniu 1894 roku żydowskiego pochodzenia kapitan Alfred Dreyfus skazany zostaje na dożywotnie więzienie na Diabelskiej Wyspie u południowoamerykańskiego wybrzeża Gujany Francuskiej przez sąd wojskowy, na podstawie sfabrykowanych dowodów, świadczących o szpiegostwie na rzecz Rzeszy Niemieckiej. Francuskiej opinii publicznej pomału świta, że sprawa nie była czysta. Choćby dlatego, że sztab generalny nie chce przyjąć do wiadomości faktów prezentowanych przez szefa tajnych służb pułkownika Georgesa Picquarta zmieniających sprawę na korzyść Dreyfusa.

Francuscy socjaliści nie zaliczają się do "dreyfusardów" pierwszej godziny. Uważają aferę za wewnątrzmieszczański konflikt, prócz tego obawiają się, że zaangażowanie po stronie żydowskiego kapitana odbierze im głosy robotników w wyznaczonych na 1898 rok wyborach. Dopiero przeczytanie przez Jauresa historyczngo artykułu Emila Zoli zamieszczonego w gazecie "Aurora" z 13 stycznia 1898 roku uświadamia mu, iż nie chodzi o los jednostki, lecz o zagrożenie praw ludzkich. Odcina się od politycznych zastrzeżeń swych towarzyszy partyjnych i przyłącza się do "dreyfusardów". Jean Jaures chwyta za pióro i w zbliżonej do jego poglądów gazecie "Petit Republique" pod tytułem "Dowody" publikuje serię artykułów stanowiącą dokumentalne poparcie oskarżeń Emila Zoli.

Za to przepada w wyborach, powtórnie tracąc mandat. Powrót na uniwersytet nie wchodzi tym razem w rachubę, za to przerwa w działalności parlamentarnej pozwala urzeczywistnić mu projekt, nad

którym zastanawiał się od lat. Razem z wieloma wybitnymi współpracownikami opracowuje monumentalną "Historię Francji od rewolucji", czterotomowe dzieło, w którym okres od wybuchu rewolucji aż do upadku Robespierre'a sygnowany jest przez samego Jauresa. Książka nie zostaje wprawdzie "podręcznikiem historii dla klasy robotniczej", jak to sobie wymarzył pomysłodawca, jest jednak pierwszą - na tak wielką skalę - próbą pisania historii przez socjalistów.

Również politycznie Jaures nie pozostał bezczynny. Wydawało mu się, że jest na tropie afery większej jeszcze niż afera Dreyfusa. Rewizjonizm zagrażał jego zdaniem nie tylko prawom człowieka, ale i pokojowi w Europie. Początkowo rewizjonizm był tylko żądaniem rewizji wyników przegranej wojny 1870 roku, popieranym przez lewicę. W późnych latach dziewięćdziesiątych militarystyczna prawica przywłaszczyła sobie ten program. Pierwszym wynikiem tego kierunku było podpisanie we wczesnych latach dziewięćdziesiątych wojskowego układu pomiędzy Republiką Francuską a reakcyjną carską Rosją, oficjalnie jako zrównoważenie Trójprzymierza pomiędzy Niemcami, Austro-Węgrami a Włochami, w rzeczywistości próba wzięcia Niemiec "w kleszcze".

Im bardziej prawica przyznawała się do rewizjonizmu, tym bardziej dystansowała się lewica. Szczególnie przymierze z rosyjskim arcywrogiem klasy robotniczej wydaje się socjalistom kompletnie nieprzydatne do usunięcia ze świata "krzywdy roku 1870".

Poprzez to dochodzi do zbliżenia pomiędzy niemieckimi i francuskimi socjalistami. Na forum do zacieśnienia współpracy, tak przeciwnej trendom politycznym epoki, znakomicie nadała się reaktywowana w Paryżu w 1889 roku Międzynarodówka Socjalistyczna. Jean Jaures po raz pierwszy wziął udział w kongresie tej organizacji w Londynie w 1896 roku i z czasem awansował na pierwszoplanowego zwolennika międzynarodowej kooperacji. Niestety, skuteczność Międzynarodówki jako instrumentu nadnarodowej współpracy niweczona jest przez podziały wewnątrz poszczególnych partii. Debata nad rewizjonizmem, o który oskarżono niemieckiego socjaldemokratę Eduarda Bernsteina na lata zepchnęła inne - jak pokazała historia - o wiele ważniejsze kwestie na dalszy plan.

W 1902 roku Jean Jaures decyduje się ponownie porzucić teorię na rzecz praktyki politycznej - w tegorocznych wyborach parlamentarnych zamierza odzyskać swój mandat poselski. Jego przeciwnikiem w okręgu jest markiz de Solages. Dość skąpą większością 400 głosów wygrywa Jaures. Nie tylko on ma powód do radości. Partia socjalistyczna wchodzi do parlamentu solidnie wzmocniona. Łącznie lewica dysponuje ponad 350 mandatami przeciwko stopniałemu do 230 mandatów potencjałowi prawicy.

Ciężar polityczny socjalistów pomniejsza jednak wewnętrzne rozdarcie. Dlatego Jaures jako pierwszoplanowe zadanie dla siebie widzi pokonanie wszelkich sił odśrodkowych. Pierwszym krokiem do politycznego dowartościowania swej frakcji jest stworzenie "delegacji lewicy", która doradzać ma ówczesnemu premierowi radykałowi Justinowi Combowi we wszelkich ważkich kwestiach, zabezpieczając mu jednocześnie szeroką parlamentarną bazę. Nie jest to jednak krok łączący frakcje - "Parti Ouvri,re" pod kierownictwem Guesdesa bojkotuje delegację.

Dopiero w kwietniu 1905 roku Jauresowi udaje się zwołać "kongres zjednoczeniowy". Biorąc pod uwagę wieloletnie walki frakcyjne nadspodziewanie szybko dochodzi do porozumienia.

25 kwietnia następują chrzciny - jeśli można użyć tego określenia w stosunku do zawzięcie antyklerykalnych w owym czasie socjalistów - zjednoczonej partii. Nazywa się: Partia Socjalistyczna Sekcja Francuska Międzynarodówki Robotniczej i utrzymuje tę nazwę przez dziesiątki lat, do czasu gdy Fran‡ois Mitterand stworzy prostą Partię Socjalistyczną, która w 1982 roku osiągnie swe największe zwycięstwo.

Powróćmy jednak do Jauresa. Większość historyków jest zgodna, że bez niego nigdy nie doszłoby do zjednoczenia. Daniel Havely twierdzi: "Czym była ta partia? Można to zdefiniować jednym słowem. To był Jaures. Ona była jego myślą, on ją stworzył i utrzymywał w całości".

Jaures wraz z przyjaciółmi zaczął interesować się nowym organem partyjnym, gdyż "Petit Republique" nie wydawał się im już odpowiedni. Założyli "L'Humanit,", która wkrótce staje się najważniejszą gazetą francuskiej lewicy.

Obok swoich kampanii na rzecz jedności socjalistów i przeciwko rewizjonizmowi, Jauresa prowadzi jeszcze jedną walkę - przeciwko bardzo popularnemu wtedy kolonializmowi. Wprawdzie wielki podział Afryki i Azji jest już dawno zakończony, ale Francja ma jeszcze jedną możliwość rozszerzenia swych kolonialnych włości - jest to niezależny Sułtanat Maroko. Jednak francuskie aspiracje zderzają się na tym polu z dążeniami Niemiec, które spóźniły się nieco przy podziale kolonii i teraz próbują to odrobić.

W 1905 roku podczas krótkiej wizyty w marokańskim porcie Tanger kaizer Wilhelm II nieproszony i bez skonsultowania tego ze swoim ministrem spraw zagranicznych ogłasza deklarację poparcia dla niepodległości Maroka. Sułtana prawdopodobnie to ucieszyło, ale Francuzi traktują to jako wyzwanie. Rozwija się histeria wojenna, w której udzielają się wszystkie partie poza socjalistami. Europa stoi czas jakiś na krawędzi wielkiej wojny. Ponieważ jednak Rosja jest osłabiona wojną japońską oraz rewolucją 1905 roku i raczej nie przyszłaby sprzymierzonej Francji z pomocą, rząd paryski się miarkuje. Odpowiedzialny za francuską politykę wobec Maroka minister Theophile Delcasse musi ustąpić. A gniew znieważonych Francuzów spada na głowę "zdrajcy" Jauresa, który od początku uprzedzał o możliwych skutkach marokańskiej awantury.

Niemiecki rząd ocenia sytuację odmiennie. Jaures, który miał wziąć udział w spotkaniu z niemieckimi socjaldemokratami, otrzymuje zakaz wjazdu do Niemiec.

W hiszpańskim Algeciras zwołana zostaje międzynarodowa konferencja mająca zająć się sprawą Maroka. Niemcy są izolowane, rezultatem końcowym jest zwycięstwo "na punkty" przyznane Francji, nie wystarcza to jednak, by uciszyć rozbuchane emocje.

W związku z kryzysem marokańskim następuje zerwanie Jaures z sojusznikami z czasów afery Dreyfusa - aktualnym radykalnym premierem Georgesem Clemenceau. Faktycznie nie chodzi jednak o wielką politykę światową czy o zwiększenie liczebności francuskiej armii. Rzeczywistą przyczyną jest polityka socjalna nowego gabinetu. Clemenceau nie waha się przed wysłaniem wojska przeciwko strajkującym robotnikom, podobnie jak czynili to jego reakcyjni poprzednicy.

Mimo wszystko, na przekór wszystkim konfliktom, lata między 1906 a 1912 stanowią znakomity okres w życiu Jeana Jauresa. We Francji jest uosobieniem socjalizmu, w kręgach decyzyjnych Międzynarodówki zalicza się do ścisłej czołówki na równi z gigantami miary Augusta Bebla czy Emila Vandervelde.

Latem 1907 roku spełnia się jedno z wcześniejszych marzeń Jauresa. Kongres Międzynarodówki odbywa się w Niemczech, w Stuttgarcie, na zaproszenie socjalistów niemieckich. Nikt nie broni francuskiemu przywódcy socjalistów wjazdu, choć temat kongresu: "Militaryzm a wojna", niekoniecznie odpowiada wyobrażeniom rządu Rzeszy Niemieckiej.

Debata kończy się kompromisem. Wniosek radykalnego lewego skrzydła, by Międzynarodówka zakwalifikowała strajk generalny jako główną broń przeciw wojnie, zostaje na wniosek pragmatyka Jauresa nieco rozwodniony. Strajk jest jedną z broni. Obok niego należy rozważyć również inne akcje, w parlamentach i wśród szerokiej opinii publicznej. Co powstało, jest "Dokumentem dobrej woli", jak to określa historyk Peter Nettl.

Wielki występ Jauresa następuje nie na samym kongresie, lecz na publicznej manifestacji. Sam fakt, że zaproszony mówca wygłasza drugą część swojej mowy po niemiecku - w języku, nad którym panuje bardzo miernie - wywołuje burzę oklasków. Jak również potępienie militaryzmu i rewizjonizmu, niezależnie od strony, po której występują.

Samo to nie powoduje jeszcze europejskiego odprężenia. Mocarstwa dozbrajają się niepowstrzymanie. Jaures próbuje zastąpić ten

niebezpieczny trend koncepcją zreformowania armii. W 1910 roku na sześciuset stronach tworzy studium, które składa w formie wniosku o przeorganizowanie wojska parlamentowi, który koncepcję odrzuca. W następnym roku studium ukazuje się w formie książkowej pod tytułem "Nowa armia" agitując za przekształceniem narodowej armii w siły zbrojne wzorowane na modelu szwajcarskim. W ten sposób Jaures o wiele dziesiątków lat uprzedza koncepcję "obywatela w mundurze".

We Francji książka napotyka na bardzo mocną krytykę, głównie z powodu rzucanych na wojsko oskarżeń, iż jest ono wylęgarnią reakcyjnego elementu. Jednak najbardziej złości francuskich nacjonalistów głoszona przez Jauresa koncepcja skupienia strategii wyłącznie na obronie własnego terytorium, co jest równoznaczne z rezygnacją z odzyskania Alzacji i Lotaryngii.

W tym samym roku Jaures zostaje pierwszy raz zaproszony do Ameryki Łacińskiej. Krótko przed wyjazdem następuje ponowny francusko-niemiecki kryzys, który podczas jego nieobecności przekształca się w konfrontację.

Zamieszki skierowane przeciw cudzoziemcom, które wybuchły w Maroku, posłużyły Francji za pretekst do przerzucenia 25000 żołnierzy stacjonujących w Casablance w głąb kraju. Jaures żąda wycofania tych oddziałów, nim jednak dochodzi do decyzji, Niemcy wysyłają okręt wojenny "Panther" do portu marokańskiego w Agadirze. Znów wojna wisi na włosku. Na szczęście dla Europy u steru rządów we Francji stoi umiarkowany polityk Joseph Caillaux - specjalista od spraw gospodarczych, który czyni wszystko, by nie dopuścić do wojennej konfrontacji.

Jeszcze raz dochodzi do kompromisu: Francja dostaje wolną rękę w Maroku, co zrekompensowane zostało Niemcom poprzez rozszerzenie ich posiadłości w Afryce Zachodniej.

Przez to Europa dostaje odroczenie, ale obie strony czują się poszkodowane tym kompromisem.

W dodatku kolejny mąciciel pokoju pojawił się w Paryżu. Jest nim nowy rosyjski ambasador Aleksander Iswolskij. Dyplomata ów, jako minister spraw zagranicznych, był głównym negocjatorem strony rosyjskiej podczas rokowań w sprawie aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry i odszedł od stołu pokonany. Od tego czasu Iswolskij miał jeden tylko cel - rozpętać wielką odwetową wojnę. W Paryżu miał do tego dużo okazji.

Spokój po incydencie w Agadirze trwał krótko. W październiku 1912 roku wybucha wojna bałkańska. Podjudzone między innymi przez Rosję chrześcijańskie państwa Europy Południowej napadają na Turcję. Koniec Porty Ottomańskiej wydaje się przesądzony, gdy między zwycięzcami wybucha krwawy konflikt o podział zdobyczy. To umożliwia mocarstwom po raz ostatni wymusić pokój.

Socjalistyczna Międzynarodówka zareagowała błyskawicznie na wojnę bałkańską. Na wstępie wspomniane posiedzenie w Bazylei zamienia się w przejmującą demonstrację na rzecz pokoju. Jaures gasi euforię swych towarzyszy. Twierdzi, że teraz należałoby podjąć konkretne wysiłki dla utrzymania pokoju. Ale do tego już nie dochodzi. Wręcz przeciwnie. Po obu stronach spirala zbrojeń przekręca się o jeden obrót. W odpowiedzi na zwiększenie liczebności armii niemieckiej Francja zamierza przedłużyć służbę wojskową z dwu do trzech lat. Socjaliści wraz z umiarkowanym skrzydłem radykałów zwalczają tę koncepcję i wydaje się, że trafiają na podatny grunt w społeczeństwie.

Na masówkę zorganizowaną w Paryżu, na której przemawia Jaures, przychodzi nie mniej niż 150000 ludzi. Debata parlamentarna przeciąga się w nieskończoność - projekt ustawy zostaje w końcu uchwalony głosami prawicy i centrystów. I znów w słownych pojedynkach zadawane są jątrzące rany. Były współpracownik Jauresa - Charles Peguy głosi: "Jeśli mówię, że we Francji istnieje niemiecka partia i że Jaures jest pangermanistą to nie jest to pomówienie. On jest agentem niemieckiej partii, on pracuje na rzecz idei wielkich Niemiec!"

Francuska opinia publiczna jeszcze nie jest gotowa podążać bezkrytycznie za głosami podżegaczy wojennych. Mimo bezprzykładnego

obrzucania błotem, wybory rozpisane wiosną 1914 roku kończą się zwycięstwem lewicy i centrolewicy. Socjaliści uzyskują ponad półtora miliona głosów i zdobywają po raz pierwszy więcej niż 100 mandatów poselskich.

Pod przywództwem socjalisty Rene Vivianiego powstaje centrolewicowy rząd koalicyjny. Lecz ci socjaliści, którzy zajęli rządowe fotele, nie są już z tak wojowniczego materiału jak Jaures.

Wzorem ich niemieckich kolegów zmieniają kurs na bardziej, jak uważają, patriotyczny. Ponadto Viviani działa pod przygniatającym autorytetem prezydenta Raymonda Poincar,go - zgorzkniałego wroga Niemiec.

28 czerwca 1914 roku w Sarajewie zamordowany zostaje austriacki następca tronu - wydarzenie, którego pełnego znaczenia nie doceniają początkowo europejscy socjaldemokraci.

Podżegacze wojenni po obu stronach nabierają wiatru w żagle. Wiedeń wystarał się o pełnomocnictwo in blanco z Berlina na swoją akcję przeciwko Serbii, która z kolei otrzymuje poparcie z Sankt Petersburga. Po kilku dniach staje się jasnym, że nowa wojna w południowo-wschodniej Europie jest nie do uniknięcia. Pytanie tylko, czy konflikt przemieni się w wojnę światową.

Jaures bezskutecznie próbuje się przeciwstawiać wyznaczonej na 16 czerwca oficjalnej wizycie prezydenta Poincarego i premiera Vivianiego w Rosji. Zaostrzenie sytuacji spowodowane wiedeńskim ultimatum wręczonym Serbii 23 lipca, skłania socjalistów do kolejnych rozpaczliwych wysiłków. Socjalistyczna Partia Niemiec rozpowszechnia w swoim kraju antywojenny apel, we Francji związkowcy demonstrują przeciwko "Międzynarodówce fabrykantów broni".

25 lipca Jean Jaures wygłasza swą ostatnią publiczną mowę na francuskiej ziemi - w Lyonie z okazji wyborów uzupełniających. Jeszcze raz próbuje ostrzec przed nieobliczalnymi skutkami wojny, głosząc jednocześnie, że wina będzie leżała po obu stronach.

28 lipca Austro-Węgry wypowiadają wojnę Serbii. Jaures redaguje memorandum skierowane do niemieckiego i francuskiego rządu wzywając, by te wzięły w karby swych nieodpowiedzialnych sojuszników, nim jeszcze nie jest za późno. Następnego dnia wyjeżdża do Brukseli, by wziąć udział w posiedzeniu biura Międzynarodówki. Przewodniczący Niemieckiej Partii Socjalistycznej Hugo Haase gwarantuje mu, że niemieccy socjaliści zapobiegną włączeniu się Niemiec do wojny. Lecz Jaures jest zbyt doświadczonym politykiem, by dać się zwieść takim oświadczeniom.

W swej ostatniej mowie - wygłoszonej w królewskim cyrku w Brukseli - Jaures wytacza argumenty, którymi szermuje od lat, przy czym wyraźnie bierze w obronę aktualnie sprawujący władzę rząd francuski. Premier Viviani zbija później na tym kapitał polityczny głosząc przedśmiertne "nawrócenie się" Jauresa w stronę nacjonalistyczną. Ten już nie mógł się bronić przed taką interpretacją.

Gdy przywódca socjalistów powraca do Paryża - 30 lipca, sytuacja jest jeszcze bardziej zaostrzona. Rosja ogłosiła powszechną mobilizację. Jaures natychmiast jedzie do premiera Vivianiego, by poznać wyniki rozmów prowadzonych w Sankt Petersburgu. Szef rządu próbuje go uspokoić przemilczając kwestię zasadniczą - że Francja zobowiązała się przyjść Rosji z pomocą.

Jauresowi zaświeciła iskierka nadziei, zdmuchnięta następnego dnia. Austro-Węgry ogłaszają mobilizację przeciw Rosji, a Berlin proklamuje "stan zagrożenia wojną".

Po południu, 31 lipca, Jaures śpieszy do parlamentu, gdzie ze zdziwieniem stwierdza, iż większość mandatariuszy nie popiera prowojennej polityki prezydenta i premiera. Natychmiast chce spotkać się z Vivianim, ten jednak nie ujawnia się zlecając przyjęcie Jauresa przez podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który zbywa go oświadczeniem, że wojna jest nieunikniona.

Na Jauresa działa to jak uderzenie pałki. Nie poddaje się jednak.

Jeszcze tego samego wieczoru pragnie, w najlepszym stylu Emila Zoli, zredagować swoje własne "J'accuse". Przedtem jednak, wraz z kolegami z redakcji "L'Humanit," udaje się na kolację do Caf, Chop, du Croissant przy rue Montmartre, gdzie ma swój stały stolik w przyokiennej niszy.

Jaures zasiada w fotelu plecami do okna i zaczyna referować kolegom rezultaty swego ostatniego spotkania na Quai d'Orsay. Nie zdaje sobie sprawy, że w rozświetlonym obramowaniu okna stanowi doskonały cel dla zamachowca.

Niektórzy przechodnie rozpoznają przez okno przywódcę socjalistów zatrzymując się przed kawiarnią tworzą niewielkie zgromadzenie. O 21.40 - Jaures już prawie skończył swe wyjaśnienia - nagle rozlegają się dwa strzały. Roztrzaskując szybę okienną trafiają Jauresa w tył głowy. Śmiertelnie ranny polityk osuwa się, przyjaciele układają go na ławce. Umiera, nim zdołano wezwać lekarza.

W międzyczasie zamachowiec zostaje zatrzymany przez przechodniów. Jest nim niejaki Raoul Villain, młody człowiek z dobrego domu, który dał się otumanić szowinistycznym hasłom głoszonym przez przeciwników Jauresa.

Następnego dnia rząd francuski z ubolewaniem oświadcza, iż czynu dokonał chory umysłowo samotnik, podczas gdy w Niemczech krąży pogłoska o spisku. Ale w tym czasie pierwsza wojna światowa już się rozpoczęła.

Myśl, że Jaures mógł jeszcze odroczyć wybuch wojny, jest bardzo nieprawdopodobna. Jednak wraz z jego śmiercią zniknął ze świata jeden z najwybitniejszych orędowników pokoju, człowiek, który mógł być niewygodny również w przyszłości.

Pogrzeb socjalistycznego przywódcy przekształca się w olbrzymią manifestację - nie na rzecz pokoju, lecz na rzecz narodowej solidarności. Padają słowa, które Jaures za swego życia odrzucał.

W niewiele dni później francuscy socjaliści przyłączają się do frontu patriotycznego, podobnie jak czynią to ich niemieccy towarzysze w Berlinie.

Termin procesu przeciw Raoulowi Villainowi przesuwany jest ciągle pod różnymi pretekstami. Nie odbyło się jednak żadne śledztwo dotyczące wyjaśnienia motywów zbrodni czy też tła samego zamachu.

Proces odbył się dopiero w 1919 roku. W trybie przyspieszonym morderca zostaje uniewinniony z uwagi na niepoczytalność.

Długo trwa, zanim zasługi Jauresa zostają odpowiednio docenione. Dopiero w 1924 roku, gdy wybory wygrywa lewica, zwłoki Jauresa zostają przeniesione do krypty w Panteonie i pochowane obok innych wybitnych Francuzów.

ADMIRAŁ FRAN€OIS DARLAN (1881 - 1942)

Obaj admirałowie milcząc siedzieli naprzeciw siebie. Znali się wzajemnie już od dziesiątków lat. W pierwszej wojnie światowej walczyli, jak to się mówi, okręt w okręt. Wtedy nie było żadnych problemów. Teraz ich stosunki zmieniły się. Nie byli sprzymierzonymi, ale i nie wrogami.

Admirał Wiliam Daniel Leahy był amerykańskim ambasadorem w Vichy akredytowanym przy rządzie "Państwa Francuskiego". Naprzeciw niego siedział admirał Fran‡ois Darlan, głównodowodzący francuskiej floty w czasie wybuchu drugiej wojny światowej, wicepremier i minister spraw zagranicznych, w końcu minister obrony w rządzie tego państwa, które pod kierownictwem Phillipe'a Petaina nie chciało w nazwie umieścić słowa "republika".

Po załamaniu się Francji, w czerwcu 1940 roku, w Londynie pod przywództwem generała de Gaulle'a powstał Komitet Wolnych Francuzów, będący rodzajem rządu na wychodźstwie. Wielka Brytania, oraz wszyscy jej bezpośredni sojusznicy, sami reprezentowani w Londynie przez rządy emigracyjne, uznały rząd de Gaulle'a.

Ale nie Stany Zjednoczone. Prezydent Franklin Delano Roosevelt nadal uznawał reżym Petaina. Nie z powodu sympatii dla ludzi z Vichy, ale

powodowany praktyczną kalkulacją. Wprawdzie Petain i jego ludzie rządzący "nie okupowaną Francją" byli uzależnieni od Hitlera, lecz francuskie terytoria zamorskie utrzymały w dużym stopniu swą samodzielność. Szczególnie w Afryce Północnej w Tunezji, Algierii i Maroku nadal stało 125000 Francuzów pod bronią. Wojska te mogły któregoś dnia być niezwykle przydatne w walce przeciwko Hitlerowi.

Roosevelt nieprzypadkowo mianował admirała Leahy'ego swym przedstawicielem w Vichy, odwołując go z emerytury, na której przebywał od 1939 roku. Zasadnicze znaczenie miała jego stara znajomość z admirałem Darlanem, który stojąc po stronie Petaina, uchodził za silnego człowieka "w reżymie Vichy", o ile oczywiście można mówić o występowaniu silnego człowieka w tak słabym rządzie.

Leahy poruszał się po kwaterze głównej Darlana bez żadnych przeszkód, na co kosym okiem patrzyli przedstawiciele Niemiec również akredytowani przy Vichy. Nie mogli jednak na to nic poradzić, w każdym razie nic zasadniczego, co mogłoby zagrozić stosunkom pomiędzy Waszyngtonem a Vichy, które bądź co bądź przydawały rządowi Petaina pewnego splendoru.

Admirał Leahy znał dokładnie osobiste odczucia Darlana. Wiedział, że ten południowy Francuz nigdy nie przepadał za Brytyjczykami, którzy w czasie pierwszej wojny światowej wyśmiewali się z udziału floty francuskiej, a w czasie drugiej wojny światowej zatopili mu wiele okrętów w północnoafrykańskich portach.

Z drugiej strony admirał Darlan nie był marionetką w ręku Niemiec, a porażka w 1940 roku mocno go uderzyła. Dlatego Leahy mógł postawić mu pytanie zasadnicze w sposób otwarty. Stany Zjednoczone, ujawnił francuskiemu koledze, wcześniej czy później, jak w 1916, przystąpią do wojny przeciw Niemcom. W jakich warunkach, chciał się dowiedzieć, Francja przystąpiłaby ponownie do wojny po stronie aliantów? Darlan zastanawiał się milcząc przez kilka sekund, po czym odpowiedział: "Gdy Stany Zjednoczone będą mogły zdesantować w Marsylii pół miliona - żołnierzy, trzy tysiące czołgów i trzy tysiące samolotów, wtedy będę gotów pomaszerować z wami".

Warunki postawione przez admirała wydawały się w tym czasie, w 1941 roku, nie do spełnienia. W rok później Francuz przypomniał sobie rozmowę z Amerykaninem. W międzyczasie wiele się wydarzyło. W czerwcu 1941 roku Hitler pomaszerował na ZSRR, a 7 grudnia tegoż roku Japończycy wciągnęli USA do wojny bombardując Pearl Harbor. Na początku września 1941 roku Darlan otrzymuje poufną informację od jednego ze swoich tajnych agentów w USA - Amerykanie przygotowują dużego formatu inwazję na wybrzeże północnoafrykańskie.

Cóż uczynił Darlan? Jako filar reżymu Vichy powinien postawić swe siły w Afryce Północnej w stan gotowości bojowej oraz powiadomić "sprzymierzonych" Niemców o otrzymanej informacji. Nie czyni nic z tych rzeczy. Przeciwnie, postanawia przy pomocy pośredników nawiązać samemu kontakt z Amerykanami, a mianowicie z ich przedstawicielem w Algierze, Robertem Murphym.

W rzeczywistości Darlan już wcześniej delikatnie wyciągał czułki w kierunku Ameryki. Teraz jego czas dojrzał. Sztabowy oficer stacjonujący w Algierze, major Dorange, pyta Murphy'ego, czy może z nim przeprowadzić ściśle poufną rozmowę. 13 października 1942 roku spotykają się i major Dorange ujawnia swemu rozmówcy, iż admirał Darlan jest zasadniczo gotowy do zmiany frontu.

Posłanie to było Murphy'emu bardzo na rękę. Jedną z niewiadomych przy lądowaniu w Afryce Północnej była postawa francuskiej floty. Z Darlanem jako sprzymierzeńcem problem wydał się załatwiony. Z drugiej strony Murphy'ego dręczyły wyrzuty sumienia. Wcześniej nawiązał bowiem kontakt z grupą francuskich oficerów i urzędników administracji algierskiej - dla ułatwienia nazwał ich "grupą pięciu". Przy czym nie byli oni stronnikami de Gaulle'a. Przywódca wolnych Francuzów cieszył się wprawdzie dużym autorytetem w Ruchu Oporu na terenie okupowanej Francji, również kilka niedużych terytoriów zamorskich zaliczało

się do jego stronników, niemniej jednak zawodowa kadra oficerska północnoafrykańskiej armii uważała go za angielską marionetkę. A Anglicy byli szczerze znienawidzeni w Algierii. W związku z tym Murphy potrzebował - a jego pięciu rozmówców było z nim zgodnych - sztandarowej figury, której podporządkuje się cała francuska armia Afryki Północnej.

Pierwszy wybór padł na generała Maxima Weyganda, którego Petain wysłał jako "prokonsula" do Algieru. Jednak amerykańskie media popełniły niezręczność wynosząc pod niebiosa patriotyzm generała, co wzbudziło nieufność Niemców, którzy w końcu wymusili odwołanie Weyganda do Francji.

Murphy musiał więc rozejrzeć się za inną symboliczną postacią.

Z pomocą przyszedł mu przypadek. Jeden z najbardziej znanych francuskich bohaterów wojennych, generał Henri Giraud, zbiegł właśnie z niemieckiej niewoli i przyjaciele ukryli go gdzieś we Francji. Amerykanie nawiązali więc z nim kontakt, by skłonić starego generała do udziału w północnoafrykańskiej akcji. Giraud okazał się trudnym partnerem do rozmów. Żądał lądowania Amerykanów nie tylko w Afryce, ale i w macierzystej Francji. Dopiero po żmudnych negocjacjach udało się Amerykanom skłonić go do udziału w operacji. Pod jednym warunkiem - miał zostać, przynajmniej nominalnie, głównodowodzącym inwazją.

W ten sposób, po rozmowie z emisariuszem Darlana, Murphy miał nie jednego ale dwóch znacznych Francuzów. Postanowił nie dokonywać wyboru, lecz prowadzić, z zachowaniem maksymalnej ostrożności, dwutorową grę.

Darlan w tym czasie nie był bezczynny. 22 października rozpoczął dłuższą podróż inspekcyjną po Afryce Północnej. Zasadniczym celem wizyty było zintensyfikowanie kontaktów z Amerykanami, przy zachowaniu pozorów lojalności wobec Vichy. W czasie rozmowy ze swoim głównodowodzącym w Afryce Północnej generałem Juinem, przeprowadzonej 28 października, Darlan wtajemnicza go w rozmowy swego emisariusza Doranga prowadzone z Murphym.

O zbliżającej się inwazji Amerykanów Darlan otrzymał wieści na początku listopada. Postanowił działać. Jedną z dwu stojących do dyspozycji rządu z Vichy maszyn poleciał do Algieru. Oficjalnym powodem były odwiedziny ciężko chorego syna Alaina, osiadłego w Algierze.Wiele wskazuje na to, iż admirał poinformował zarówno marszałka Petaina jak i premiera Pierr'a Lavala o swych prawdziwych zamierzeniach.

Jednego jednak Darlan nie wiedział - że termin desantu został wyznaczony na noc z 7 na 8 listopada. Termin utajniony był do tego stopnia, że nawet "grupa pięciu", której sympatyków miano wykorzystać do przeprowadzenia operacji, dowiedziała się o nim tuż przed samą akcją.

7 listopada był słonecznym dniem. Algier był całkowicie spokojny. Dopiero wczesnym wieczorem spiskowcy "grupy pięciu" rozpoczęli zajmowanie strategicznych punktów miasta, obsadzonych głównie przez cywili. Tóż po zachodzie słońca praktycznie całe miasto było w rękach rebeliantów. Czekali tylko na Amerykanów, by jak na tacy podać im miasto.

Przekonany o gładkim przebiegu akcji Murphy pojechał do willi generała Juina, by oficjalnie zażądać od niego przyłączenia się do aliantów.

Senegalscy wartownicy nie zatrzymali znanego im z widzenia dyplomaty. Całkowicie zaskoczony generał Juin przyjął swego gościa w piżamie. Wieści przyniesione przez Murphy'ego wtrąciły generała w duchową rozterkę. Przysięgał Petainowi na wierność, oprócz tego przy swoim zwalnianiu z niemieckiej niewoli przyrzekł nie walczyć przeciw Niemcom. Z drugiej strony był prawdziwym Francuzem.

Bijąc się z myślami, oświadczył Murphy'emu, że musi poinformować swego przełożonego, admirała Darlana. Ściągnięty telefonicznie Darlan jest wściekły, że jego, wielkiego admirała, nie wtajemniczono w mające nastąpić lądowanie Amerykanów. Przede wszystkim złości go rola, którą Amerykanie przypisali Giraudowi, pomijając akces Darlana. "Giraud w

polityce jest dzieckiem!" - protestuje zaperzony.

Murphy godzinami przekonuje obu Francuzów. Juina już prawie przekonał, ale Darlan nadal staje okoniem. Pojawienie się pierwszych amerykańskich oddziałów wprowadziłoby zasadniczy zwrot, ale póki co, nie ma nawet ich śladu. Jak się potem okazało, oddziały przeznaczone do zajęcia Algieru zostały wysadzone w odległości trzydziestu kilometrów bez uprzedniego rozeznania terenu i bez map - przez pomyłkę. Przez to sytuacja robi się krytyczna dla Murphy'ego i jego francuskich sprzymierzeńców.

O świcie dwa angielskie niszczyciele zbliżyły się do portu i zostały powitane gwałtownym ogniem baterii nadbrzeżnych. W mieście wybuchła panika, a spiskowcy spostrzegają, że sytuacja zaczęła wymykać się im z rąk. A potem sprawy jęły przekształcać się w groteskę. Przed gmachem Admiralicji, znajdującej się w rękach ludzi Darlana, gdzie rezydował zaufany admirała - major Dorange, pojawia się samochód spiskowców przynosząc wiadomość, co do której do dziś nikt nie wie, skąd pochodziła: "Niemcy wylądowali w Tunezji, a admirał poprosił Amerykanów o wkroczenie do Algierii!"

Dorange wie dokładnie, że wiadomość jest nieprawdziwa, postanawia ją jednak wykorzystać. Rekwiruje pojazd i udaje się do koszar zmotoryzowanej gwardii miejskiej, które spiskowcy do tej pory ostrożnie omijali dużym łukiem, gdzie powtarza wiadomość od siebie dodając, że Niemcy wzięli do niewoli generała Juina. Wzywa gwardzistów, by podążyli za nim i uwolnili generała. Po kwadransie willa głównodowodzącego jest "zdobyta", a obecni Amerykanie są pojmani jako przypuszczalni niemieccy agenci. Tylko z trudem udaje się Dorange'owi powstrzymać gwardzistów przed postawieniem ich pod ścianą.

Darlan udaje się natychmiast do kwatery głównej armii znajdującej się w Fort l"Empereur", skąd poleca stawiać opór aliantom. Spiskowcy są zrozpaczeni - nie tylko Amerykanie zawiedli, ale i generał Giraud, który miał przejąć dowództwo, gdzieś się zawieruszył. Pod rozkazami Darlana wojska rządu Vichy przechodzą do kontruderzenia.

W rzeczywistości Darlan gra podwójną grę. Nie chce Amerykanów - którzy w tym czasie nareszcie pojawili się na obrzeżu miasta - zepchnąć z powrotem do morza, lecz pragnie zmusić ich, by sprzymierzyli się z nim a nie z Giraudem. Juin w międzyczasie przeszedł do Amerykanów i uzgodnił z nimi przerwanie ognia.

Wieczorem, w osobistej kwaterze głównej Darlana, w hotelu St. Georges rozpoczynają się oficjalne rozmowy o zawieszeniu broni. Ponieważ żadna ze stron nie ma stosownych pełnomocnictw, zostają od razu odroczone, ale admirał zezwala Amerykanom na użycie portu w celu ściągnięcia posiłków, stając tym samym po ich stronie.

Następnego dnia rokowania są kontynuowane w obecności osobistego pełnomocnika głównodowodzącego Dwighta Eisenhowera, generała Marka Clarka. Clark nie jest takim dyplomatą jak Murphy. Stawia Francuzów przed wyborem: albo zawieszenie broni, albo rozbrojenie przemocą. Francuzi protestują przez pewien czas, potem poddają się idąc po linii najmniejszego oporu.

Przejdźmy do generała Girauda. W czasie międzylądowania na Giblartarze generał Eisenhower przekazał mu z ubolewaniem, że sam musi przejąć naczelne dowództwo, pozostawiając Giraudowi tytuł gubernatora. Na co Francuz oświadczył, że wszelkie ustalenia uważa za niebyłe. Dopiero następnego dnia, gdy dowiedział się, że Amerykanie już wylądowali, zgodził się polecieć do Algieru.

W ten sposób Giraud stracił szansę wejścia do historii. Gdy dotarł do Algieru, Amerykanie już się dogadali z Darlanem i stary generał nagle okazał się zbędny. Podobnie jak grupa spiskowców, która ponosząc w sumie największe ryzyko, umożliwiła całą operację.

Konieczność zmusiła generała do kompromisu. Poprzez generała Juina swego starego znajomego, dał Darlanowi do zrozumienia, że gotów jest dzielić z nim władzę. Ten jednak chciał zyskać na czasie. Pracował mianowicie nad rozciągnięciem zawieszenia broni na całą Północną Afrykę,

na co pragnął uzyskać akceptację Petaina. Amerykanie dali mu pięć minut na podpisanie stosownego dokumentu. Darlan podpisał.

Wtedy nastąpiła reakcja z Vichy. Pod naciskiem Niemców Petain odwołał ze stanowiska Darlana, mianując na jego miejsce głównodowodzącego z Maroka, generała Noguesa.

Na to Darlan chciał cofnąć swoją zgodę na zawieszenie broni. "Będę zmuszony wziąć pana do niewoli" - zagroził Clark. "Proszę bardzo, niech pan tak zrobi" - odparł Darlan i wydawało się, że mu ulżyło.

Następnego dnia alarmujące wieści dotarły do Francji. Niemcy rozpoczęli okupowanie "wolnej" do tej pory części Francji. Było to wystarczające dla Darlana, by znów zmienić front. Z własnej inicjatywy polecił dowódcy 19 korpusu, generałowi Koeltzowi wkroczyć niezwłocznie do Tunezji, by uprzedzić niemieckie lądowanie. Kolejnej zmiany frontu było Koeltzowi za wiele. Chciał otrzymać pisemny rozkaz od desygnowanego na następcę Darlana generała Noguesa. Tego jednak nie było na miejscu, przez co alianci stracili wyjątkową okazję zajęcia Tunezji przed Niemcami praktycznie bez walki.

Dopiero 12 listopada nastąpiła pełna zgoda między "obu dziadkami", jak Clark ochrzcił Darlana i Girauda. Darlan sprawować miał najwyższą polityczną funkcję w Afryce Północnej, a Giraud pod nim rozkazywać miał wszystkim wojskom francuskim. Decydującą dla kompromisu była postawa generała Juina, który nie upierał się przy zachowaniu dotychczasowej funkcji, godząc się służyć pod Giraudem.

Zgoda nie nastąpiła nawet chwili za wcześnie, gdyż następnego dnia do Algieru zawitał Dwight Eisenhower. Powodowany olbrzymim wrażeniem, jakie wywarł na nim szacunek żywiony w Algierze wobec Darlana, a za nim i Petaina, zaproponował Waszyngtonowi zaaprobowanie ustalonego status quo. Decydującym dla niego czynnikem była możliwość opanowania przy pomocy Darlana całej Afryki Zachodniej z jej najważniejszym portem - Dakarem - za jednym zamachem. By urzeczywistnić swój zamiar, gotów był nawet pójść na warunek Darlana i utrzymywać de Gaulle'a i jego ludzi jak najdalej od Afryki Północnej.

Admirał był u szczytu władzy. Tytułował się wysokim komisarzem i codziennie wydawał rozporządzenia - w imieniu marszałka Petaina. W istocie znów był w trakcie rozpoczynania niebezpiecznej podwójnej gry. Z jednej strony uważał Amerykanów za sojuszników, z drugiej polecił zamknąć znanych gaullistów, kazał cenzurować prasę i wzmocnił wierną Vichy policję. Pozwolił nawet na ponowne zorganizowanie się faszystowskiej partii ludowej (PPF). W każdym urzędzie państwowym widniał jego wizerunek - obok portretu marszałka. Zupełnie jakby nic się nie stało.

Admirał zdawał sobie sprawę, że bez poparcia Amerykanów jego struktury władzy rozsypią się jak domek z kart, dlatego postanowił poszerzyć bazę swego reżymu, dopuszczając do "gabinetu" przedstawicieli grupy Girauda.

Prezydent Roosevelt zaakceptował stanowisko Darlana 27 listopada, określając jednak współpracę z algierskim reżymem jako "czasową konieczność". Londyn, czując się zobowiązanym w stosunku do de Gaulle'a zareagował bardzo wstrzemięźliwie, w przeciwieństwie do brytyjskich mediów, które mocno krytykowały flirt z byłymi ludźmi Vichy.

Złościło to Darlana, który nie chciał być "czasowym sojuszem z konieczności". Nadciągający konflikt nie był jawny, ponieważ reżymowa cenzura zablokowała publikację wszelkich informacji w tej sprawie.

Wielkie plany Darlana pokrzyżował w końcu czynnik zewnętrzny. Po tym jak francuscy generałowie nie mogli się pogodzić co do przesunięcia wojsk do Tunezji, Niemcy nie pozostali bezczynni. Krótko po wkroczeniu Amerykanów do Algieru na lądowiskach tunezyjskich pojawiły się pierwsze niemieckie samoloty. Miejscowi francuscy komendanci nie mieli jednoznacznych instrukcji. O wiele za późno otrzymali rozkaz stawienia oporu. W tym czasie niemieckie transportowce przybiły już do portu w Bizercie i słaba obrona francuska miała do wyboru poddanie się lub, co też część uczyniła, przebijanie się do Algieru. Gdy Amerykanie i

Brytyjczycy z o wiele za słabymi siłami wymaszerowali pośpiesznie na Tunezję, zostali błyskawicznie odrzuceni. W ten sposób przyrzeczenie Darlana podania aliantom całej Afryki Północnej jak na tacy zostało zdezawuowane.

Również na politycznym froncie ciężkie chmury zbierały się nad admirałem. Brytyjczycy nigdy oficjalnie nie opowiedzieli się za regulacją ustanowioną przez Einsenhowera. W Londynie prawie codziennie gniewny wysłannik de Gaulle'a antyszambrował u Churchilla i ministra spraw zagranicznych Edena, by protestować przeciwko "algierskiej zdradzie". Na co Brytyjczycy wzmacniali naciski na prezydenta Roosevelta, znajdując sprzymierzeńców wśród pracowników Departamentu Stanu, którzy czuli się wywiedzeni w pole przez Eisenhowera.

W połowie grudnia 1942 roku Amerykanie jęli się zastanawiać, czy nie byłoby wskazane pozwolić na upadek Darlana. Admirał miał w ręku ostatni atut: w całej Afryce Północnej, jak uważał, nie było człowieka, który byłby w stanie go zastąpić. Giraud, o czym wiedzieli pokrótce również jego zwolennicy, nie posiadał żadnych politycznych zdolności. Pozostawał jedynie de Gaulle'a. Darlan próbował zagrać z nim tak, jak to wcześniej uczynił z Giraudem - zaproponował mu stanowisko wicepremiera, jednak jego propozycja nigdy nie dotarła do celu.

Najzagorzalsi przeciwnicy Darlana siedzieli wówczas w jego własnym "rządzie". By zapobiec rozwiązaniu ich reżymu przez Amerykanów, musieli w jakiś sposób pozbyć się swojego szefa.

W końcu Henri d'Astier, jeden z współzałożycieli "grupy pięciu", zgłosił rewolucyjną kandydaturę: francuskiego pretendenta do tronu Henryka hrabiego Paryża, przebywającego w Maroku. Hrabia Paryża mimo swego młodego wieku - miał dopiero 34 lata - był czymś w rodzaju szarej eminencji stojącej ponad wszystkimi podziałami partyjnymi. Ponieważ Trzecia Republika wygnała całą jego rodzinę z ojczyzny, żył w willi w okolicy Rabatu. Po wybuchu wojny próbował bezskutecznie wstąpić do armii brytyjskiej lub belgijskiej. W końcu przyjęła go Legia Cudzoziemska, z której wydalony został po podpisaniu zawieszenia broni z Niemcami.

Hitler przez pewien czas zastanawiał się nad osadzeniem go na francuskim tronie, lecz pretendent z oburzeniem odrzucił propozycję, podobnie jak sugestię Vichy objęcia jakiegoś ministerium.

Henri d'Astier znał słabość Eisenhowera do pretendenta do tronu, poza tym był zdania, że jemu najszybciej Darlan oddałby swoje stanowisko bez walki. D'Astier przekonał trzy demokratycznie wybrane Rady Generałów do wystosowania w tej sprawie pism skierowanych zarówno do Darlana jak i do Roosevelta. Oba pisma pozostały jednak bez odpowiedzi. Przeciwnicy admirała doszli do wniosku, że muszą sięgnąć do ostrzejszych środków. Pierwszym koniecznym krokiem było uzyskanie zgody pretendenta. Apel nie zaskoczył hrabiego - wszędzie miał swoje "uszy" - zgodził się pod dwoma warunkami: nawet kropla francuskiej krwi nie może zostać przelana, a jego nominację muszą zaaprobować alianci.

Grupa d'Astiera sądziła, że z łatwością spełni warunki postawione przez pretendenta. W porywie optymizmu zestawili nawet listę ministerialną nowego rządu. Hrabia Paryża miał być głową całej wolnej Europy z de Gaulle'm jako premierem i Giraudem w charakterze ministra wojny. Hrabia został poproszony o przybycie do Algieru na rozmowy z Robertem Murphym. Ten, jak się wydawało, nie był zasadniczo przeciwny propozycji, lecz Eisenhower się nie zgodził. Początkowo narajono mu Girauda, potem Darlana, a teraz "będąc w środku rzeki" znów ma zmieniać konie? "Ike" w swej negacji poszedł jeszcze dalej - zgłosił gotowość wyposażenia wojsk Darlana w amerykańską broń.

W międzyczasie Brytyjczycy próbowali wszelkich sposobów, by pogodzić rywalizujących Francuzów. Pod ich naciskiem de Gaulle wysłał do Algieru emisariusza - generała Franłoisa d'Astier, brata człowieka, który próbował obalić Darlana. Darlan wraz z Giraudem przyjęli posłańca dobrze, lecz spotkanie zakończyło się w bardzo wrogiej atmosferze. Misja generała d'Astiera w Algierze miała jednak dalszy ciąg. Potajemnie

spotkał się z przywódcami gaullistów. Admirał Jules Docteur, zaufany Darlana twierdzi, że na tym spotkaniu postanowiona została fizyczna eliminacja wysokiego komisarza.

Na zewnątrz admirał nadal próbował promieniować pewnością siebie. 23 grudnia wydał na cześć Eisenhowera kolację "przedwigilijną", na której obecna była cała amerykańska i brytyjska elita stacjonująca w Algierze. Przy stole żartobliwie stwierdził, że następnego dnia niemiecka prasa doniesie, iż przyjęcie zorganizował pod wpływem rewolweru przystawionego mu do skroni. Na co generał Clark oświadczył, że częściej będzie wyciągał broń, jeśli jedzenie będzie tak dobre.

Po kolacji, w mniejszym kręgu Darlan przeszedł do spraw poważniejszych. Wie, że przeciw niemu są nie mniej niż cztery spiski w toku - oświadczył Murphy'emu. Ludzie ci nie cofną się przed morderstwem - komunikował dalej - i jest już zestawiona lista jego ewentualnych następców. Amerykanie bagatelizowali jego enuncjacje twierdząc, iż przesadza.

Nazajutrz, w podniosłej atmosferze rozpoczęły się pierwsze po uwolnieniu Algieru obchody Świąt Bożego Narodzenia. Darlanowska prasa zaapelowała do europejskiej jak i algierskiej ludności, by zapraszać alianckich żołnierzy na wieczerzę wigilijną.

Dla stworzenia pozorów normalności wysoki komisarz ograniczył zwyczajowe środki bezpieczeństwa do minimum. Większość alianckich żołnierzy była już poza służbą, a generał Eisenhower opuścił Algier, by święta spędzić ze swoimi wojskami na froncie tunezyjskim.

Około godziny 15 czarny peugeot zatrzymał się przed Palais d'Ęt,, byłym pałacem gubernatora, stanowiącym aktualnie rezydencję elity Wysokiego Komisariatu. Wysiadł z niego młody człowiek, podszedł do wejścia i został wprowadzony przez wartownika do poczekalni, gdzie oświadczył, że chciałby widzieć się z Louisem Joxe - rzecznikiem prasowym reżymu. Wartownik powrócił do bramy, zaś portier z formularzem odwiedzin udał się do biura rzecznika, by wypisać przepustkę.

Młody człowiek został sam. Przypadek czy zmowa?

Po chwili podjechał służbowy samochód Darlana, by odebrać go po pracy. Admirał usłyszał samochód i wraz ze swoim adiutantem, kapitanem Hourcade, opuścił biuro. Adiutant szedł kilka kroków przed swoim szefem i ze zdziwieniem zauważył, że poczekalnia jest zupełnie pusta. W tym momencie usłyszał dwa strzały i spostrzegł admirała osuwającego się na podłogę przed swoim biurem oraz nachylającego się nad nim młodego człowieka. Hourcade rzucił się na nieznajomego, któremu udało się jednak wyrwać i postrzelić oficera w policzek. Po kolejnym - chybionym - wystrzale zamachowiec wyskoczył przez okno do ogrodu, gdzie został ujęty przez mameluka - mauretańskiego jeźdźca, który rozwiniętym turbanem złapał go jak na lasso. Drugi żołnierz uderzeniem krzesła ogrodowego wytrącił broń z ręki zamachowca.

Kilku oficerów, którzy na odgłos strzałów opuścili swe biura, wyniosło Darlana do ogrodu. Tam został ułożony w samochodzie i przewieziony do szpitala wojskowego. Na sali operacyjnej lekarze mogli już tylko stwierdzić zgon.

W tym czasie w Palais d'Ęt, trwało piekło. Jako pierwszy wkroczył najbliższy współpracownik Darlana, generał Bergeret i stwierdził, że w gmachu brakuje tylko tych "ministrów", którzy figurowali na liście spiskowców sporządzonej przez admirała. Mimo że 24 grudnia pracę miano zakończyć normalnie - o godzinie 16.00.

Wkrótce na miejscu zjawili się generał Clark i Robert Murphy. Amerykanie poprosili Bergereta, by nikt nie ujawniał śmierci Darlana do czasu ściągnięcia generała Eisenhowera z powrotem do Algieru. Również czołówka cywilnej policji znalazła się w pałacu. Dowódca brygady komisarz Garidacci otrzymał rozkaz przesłuchania mordercy. Przy sprawdzaniu zamachowca rozpoznał go nagle jeden z czekających kierowców: "Ależ to jest młody Bonnier de la Chapelle!"

Morderca tymczasem, trzęsąc się na całym ciele, twierdził, że nazywa

się Mornard, na dowód czego przedłożył kartę tożsamości oraz paszport. Na marginesie - obydwa dokumenty były prawdziwe. Młody człowiek oświadczył, że działał bez żadnych wspólników, po czym dodał: "Niczego nie żałuję".

Późno w nocy został jednoznacznie zidentyfikowany jako Fernand Bonnier de la Chapelle. Od kogo otrzymał autentyczne dokumenty, nie chciał wyznać. Po przewiezieniu do komisariatu i zamknięciu w pojedynczej celi zasnął natychmiast na pryczy.

Nazajutrz rozpoczęła się walka o sukcesję. Jedna grupa proponowała ponownie hrabiego Paryża, byli zwolennicy Darlana "w imieniu praworządności" generała Noguesa, zaś Amerykanie faworyzowali Girauda. W końcu doszło do kompromisu. Generał Nogues został mianowany "tymczasowym wysokim komisarzem ".

W tym czasie morderca stał już przed pospiesznie zwołanym trybunałem wojskowym. Przyznał się, że jest Fernandem Bonnier de la Chapelle, synem dziennikarza z "D,peche Algerienne". Przydomek "de la Chapelle" był nazwiskiem panieńskim jego matki, która była z domu la Capella. Nadal twierdził, że działał sam, by "zdrajcy stojącemu na drodze do zjednoczenia Francji" wymierzyć sprawiedliwość.

Przewodniczący, oficer gwardii, był zdania, że fakty są jednoznaczne i że w związku z tym dalsze postępowanie dowodowe mija się z celem. Obrońca z urzędu daremnie apelował o więcej czasu. Po krótkiej naradzie trybunał skazał Bonniera na śmierć przez rozstrzelanie. Stracenie miało nastąpić następnego poranka w wojskowym obozie w Husajn Dey.

Oskarżony przyjął wyrok bardzo spokojnie. Najwidoczniej był przekonany, że wyratuje go "deux ex machina". W ciągu nocy wielokrotnie dowiadywał się, czy nie przyszły jakieś nowe wieści.

Rzeczywiście przeciąganie liny o jego życie było w toku. Niektóre osobistości, którym zależało albo na pełnym wyjaśnieniu zbrodni albo na osobie mordercy, żądały odroczenia egzekucji, jednak większość była za natychmiastowym wykonaniem wyroku.

Co jeszcze zdarzyło się tej nocy w więzieniu, wyszło dopiero dużo później na jaw. W każdym razie powagę sytuacji Bonnier odczuwa dopiero w trakcie odprowadzania go pod mur. Poprosił kapelana więziennego, jako jedynego stojącego przy nim, o przekazanie wiadomości abb, Cordierowi, jednemu z pierwotnych spiskowców przeciwko władcy z łaski Vichy. Na wizytówce swego wuja, którą przypadkowo nosił przy sobie, napisał: "Proszę interweniować natychmiast. Jest to absolutna konieczność. Mam do Pana pełne zaufanie, ale musi Pan działać szybko, bardzo szybko".

Gdy abb, otrzymał wiadomość, Bonnier był już martwy. Bezpośrednio po egzekucji jego zwłoki zostają pogrzebane w bezimiennym grobie. Niektórzy ludzie w Algierze odetchnęli głęboko. Bonnier już nic nie powie.

Kto jednak miał interes w śmierci Darlana? Było ich zbyt wielu, by ustalić pojedynczą grupę.

W międzyczasie pod naciskiem Amerykanów zakończyła się walka o sukcesję. Mimo iż Giraud uznał prymat hrabiego Paryża, Amerykanie przesądzają spór na rzecz starego wiarusa. Umowa z nim ma zastąpić pakt z Darlanem.

Przeciwnie do tych, którzy starają się interludium z admirałem zapomnieć tak szybko jak to jest możliwe, adiutanci decydują się na wdrożenie śledztwa. Szybko natrafili na zeznania tych policjantów, którzy pilnowali Bonniera w noc przed egzekucją. Ich zeznania były zgodne - Bonnier zapewniał ich, że ważne osobistości wyciągną go z więzienia i nie dopuszczą do wykonania wyroku.

Pierwszy raport generał Bergert skierował do Girauda ze wskazówką, że istnieje prawdopodobieństwo następnych zamachów - możliwe, że przeciwko nowemu szefowi. Giraud, nie wnikając zbytnio w sprawę decyduje: "Proszę czynić to co konieczne". To co następuje po tym, jest bardziej jednoznaczne niż konieczne. Na podstawie ustawy o stanie wyjątkowym - pochodzącej jeszcze z czasów reżymu Vichy, wszyscy gaulliści,

niezależnie od tego, czy mieli jakiś związek z zamachem czy też nie - zostali zaaresztowani jako agenci państw osi. Biograf Darlana, Tomkins, jest pewien, że tylko obecność Amerykanów uchroniła zatrzymanych przed losem Bonniera.

Dziś wiemy, że wśród zatrzymanych nie było dwu osób, które bezpośrednio podjudziły Bonniera do morderstwa. Mianowicie abbe Cordiera i Henri d'Astiera pełniącego wówczas funkcję wicesekretarza do spraw politycznych w sztabie Darlana, człowieka który chciał na miejscu Darlana osadzić hrabiego Paryża.

To, że prawda ujrzała światło dzienne, wynika głównie z faktu, że komisarza Garidacciego - człowieka, który jako pierwszy przesłuchiwał sprawcę - po masowych aresztowaniach gaullistów zaczęły męczyć wyrzuty sumienia. Zdecydował się wyznać, że owej nocy powtórnie przesłuchiwał zamachowca, który wyjawił mu swych dwu mocodawców.

W następstwie tego wyznania aresztowani gaulliści zostali zwolnieni, zaś za kratki powędrowali abb, Cordier i d'Astier, a potem również komisarz Garidacci.

14 stycznia 1943 roku Roosevelt i Churchill spotkali się w Casablance celem omówienia dalszego przebiegu wojny oraz oczyszczenia sprawy francuskiej. Ostatni temat był bardzo drażliwy. Początkowo zastosowano "duumwirat" de Gaulle-Giraud, jednak przywódca Wolnych Francuzów przeważył w końcu. W związku z próbą zamachu na niego Giraud wycofał się z czynnego życia.

W swych pierwszych działaniach de Gaulle polecił zwolnić abb, Cordiera, d'Astiera i Garidacciego. Pierwsi otrzymali "Krzyż Zasługi", a komisarz list pochwalny.

Po wojnie francuski sąd unieważnił wyrok na Bonniera de la Chapelle, pisząc w uzasadnieniu, iż działał on pod wpływem "patriotycznych pobudek w interesie Francji".

Ale również "damnatio memoriae" Darlana nie sprostało próbie czasu. Z pewnością bezstronna Encyklopedia Britannica pisze o nim, że "na przekór wszystkim pomówieniom był prawdziwym patriotą".

GRIGORIJ JEFIMOWICZ RASPUTIN (1872 - 1916)

Jego imię już za życia stało się legendą: awanturnicze i burzliwe. Legenda przeżyła go stając się jeszcze bardziej awanturniczą i burzliwą, tak że zmyślenie z trudem można oddzielić od prawdy.

Grigorij Jefimowicz Rasputin, tak się nazwał i pod takim mianem wszedł do historii. W rzeczywistości nazywał się Nowik. Przybył znikąd i pogrążył się w nicości. Żaden dokument nie poświadcza jego narodzin i żaden nagrobek nie upamiętnia miejsca jego ostatniego spoczynku.

Gdyby jego życie, działanie i śmierć nie były po stokroć potwierdzone, można by sądzić, że był postacią powieściową - negatywnym bohaterem powieści grozy. Najszybciej można porównać go do tych postaci, które pojawiają się i znikają z kart rosyjskiej historii częściej niż w innych krajach - do fałszywego Demetriusa, Steńki Riazina czy Emiliana Pugaczowa.

Nie tylko legenda - również poważna historiografia naznaczyła Rasputina piętnem zła. Sowiecka historia przewróciła wprawdzie wartościowania minionej epoki do góry nogami, wybielając wszelkich poprzednio negatywnych bohaterów, jedynie Rasputin nie doczekał się nawet częściowej rehabilitacji. Wiele z tego, co zarzucano mu za życia, jest prawdą - może nawet większość. To nie tłumaczy jednak wpływu, jaki wywierał poprzez - dekadenckie co prawda - kręgi. To musiało już leżeć w jego osobowości. A uproszczona kronika skandali nie uwzględnia zupełnie znaczącej politycznej roli "szatańskiego mnicha", choć właśnie tam można by szukać powodów do częściowej rehabilitacji.

We wszystkim, co dotyczy młodości Rasputina, potomność skazana jest na jego własne wypowiedzi i fantazje niezbyt sumiennych kronikarzy. Data jego urodzin nie jest ustalona - prawdopodobnie około roku 1872. Znamy

natomiast miejsce urodzin - wieś Pokrowskoje koło Tjumenu w Zachodniej Syberii - w XIX wieku odległa prowincja.

Nigdy nie doświadczył dobrodziejstwa normalnego wychowania, mimo to jego zachowane wypowiedzi, przemowy i nieortodoksyjne kazania wskazują na niepospolitą bystrość i wysoką inteligencję.

Według jego własnych wypowiedzi był czwartym synem młynarza, który w rodzinnej wiosce uchodził za relatywnie zamożnego. Na temat jego młodości powstało wiele legend. Między innymi miał próbować ratować swego starszego brata przed utonięciem w lodowatej wodzie rzeki, po czym leżąc śmiertelnie chory w kącie rodzicielskiej chałupy, dzięki swym zdolnościom jasnowidzenia zdemaskować miał najbogatszego chłopa we wsi jako złodzieja koni.

W późniejszym czasie Rasputin sam manipuluje swą historią próbując wykreować sagę rodzinną. Zarówno swego ojca jak i siebie porównuje chętnie z biblijnym Hiobem: stracili wszystkich najbliższych, ale zostali na koniec hojnie wynagrodzeni przez Boga.

Historycy dopatrują się w tych historiach ziarenka prawdy, ale wykrywają również mniej piękne obrazki: młody Rasputin cieszył się złą sławą jako pijanica i podrywacz.

Jeśli nastąpiła przemiana Szawła w Pawła, to musiało się to odbyć mniej więcej w 30. roku jego życia. I na ten temat rozprzestrzeniła się pasująca legenda: młody mnich Mileti Saborowski miał poprosić młodego Rasputina o przewiezienie go do klasztoru Wierchoturje. Z wysokości kozła chłop wypytywał mnicha bez przerwy o sprawy religii. Dotarłszy do klasztoru młody Rasputin wjechał na podwórzec, zsiadł z kozła i oświadczył: "Przybyłem i tu zostanę".

Klasztor był bardzo specyficzny. Była to nie tylko duża gospodarka ziemska, ale jednocześnie miejsce zesłania dla większości mnichów - członków rozwiązanej sekty religijnej, którzy tu na mocy decyzji głowy kościoła mieli odnaleźć drogę od kacerstwa do ortodoksji. Było to pobożne życzenie, gdyż heretycy uprawiali ożywioną działalność misjonarską, rozciągając ją również na swój nowicjat.

Rasputin pozostał w Wierchoturje kilka lat. Potem oświeciło go, że musi wyjechać, by głosić światu - na razie małemu - dobrą nowinę jako reinkarnacja Chrystusa. Podobne oświecenia nie były w XIX-wiecznej Rosji czymś niezwykłym. Kilka dziesiątków lat wcześniej niejaki Radajew ogłosił się wcieleniem Chrystusa, lecz swoją nowinę głosił w dość specyficzny sposób - nim został ujęty przez władze, zdążył pojąć trzynaście kobiet.

Jako następca Radajewa Rasputin wędrował po kraju. Na początku dotarł do samotni słynnego starca - ojca Makarego, świętego, który w akcie pokuty sam siebie zakuł w kajdany. Makary przyjął podobno młodego wędrownego kaznodzieję przyjaźnie utwierdzając go w jego posłannictwie. Powołując się na błogosłowieństwo świętego męża Rasputin obraca się w środowisku tajemnej sekty "Pokutników". Na temat kultu praktykowanego przez tę sektę prawie nie ma obiektywnych studiów - pewne jest jedynie, że zawierał elementy orgiastyczne, co pozwalało potem sekciarzom uprawiać srogą pokutę.

Mniej więcej od roku kaznodzieja, w ubraniu w strzępach, jak przystało na prawdziwego ascetę, pojawił się z powrotem w Pokrowskoje wprowadzając się do piwnicy własnego domu rodzinnego. Tylko wiejski pop nie dowierza prorokowi, napotykając jednak na głuchotę parafian. Wkrótce piwnica Rasputina staje się miejscem pielgrzymek, a jego "konfesjonał" zdobywa olbrzymią popularność - szczególnie wśród kobiet.

Po dwudziestu dniach prorok oznajmia, że opuszcza swą samotnię, by ponownie wyruszyć w świat. Cała wieś - za wyjątkiem popa - odprowadza go do brzegu osady.

Z upływem czasu władze zaczynają zwracać baczniejszą uwagę na dziwnego świętego. Jest rok 1905, Rosja przegrała właśnie wojnę z Japonią i cały kraj zaczyna ogarniać wrzenie. Nawet Zachodnią Syberię. Instancje kościelne oceniają Rasputina z dystansem. Jest dziwakiem ale nie

politycznym agitatorem, informują stosowne władze. Na wszelki wypadek zaciągnięto go przed teologiczny trybunał pod przewodnictwem biskupa Hermogena von Sarowa. Rasputin wykazuje się retorycznymi zdolnościami, wprawiając kościelne znakomitości w zakłopotanie twierdzeniem, że grzech jest konieczny, gdyż inaczej nie byłoby nawrócenia.

Biskup postanawia wysłać żarliwca do jeszcze większego fanatyka - do słynnego kaznodziei Ilidora z Carycyna - późniejszego Stalingradu, dzisiejszego Wołgogradu. Ten również nie czuje się na siłach ocenić prawomyślności poglądów Rasputina i odsyła go do następnej instancji, do słynnego klasztoru Pieczorskaja Ławra znajdującego się w grotach w okolicy Kijowa.

Klasztor ten, ze swym kościołem pod wezwaniem Trójcy Świętej, jest najznaczniejszym miejscem pielgrzymek całego państwa rosyjskiego. I tam Rasputin wkracza w historię. Klasztor gości bowiem w tym czasie dwie dostojne panie, wielkie księżne Milicę i Anastazję - szwagierki cara, przybyłe do Kijowa z pielgrzymką, by błagać niebiosa o łaskę dla carewicza Aleksjeja cierpiącego od dawna na chorobę krwi. Krótko przed tym carewicz przeżył ciężki nawrót choroby, wobec którego dworscy lekarze stanęli bezradnie.

Obie wielkie księżne są najbliższymi - i prawie jedynymi - powierniczkami carycy Aleksandry Fiodorownej, przed zamążpójściem heskiej księżniczki Alix Victoria.

Caryca pogrążyła się cała w mistyce. A to nie bez powodu: od przybycia na carski dwór czuje się prześladowana jako "Niemka". Jej teściowa czyni ją odpowiedzialną za wszystkie nieszczęścia trapiące Rosję, szczególnie za panikę, która wybuchła na festynie zorganizowanym z okazji jej zaręczyn z ówczesnym następcą tronu Mikołajem, pociągając za sobą liczne ofiary.

Urodzenie dziedzica tronu wzmocniłoby pozycję carycy na dworze - jak dotąd car doczekał się czterech córek pod rząd. Po tym wszystko wskazywało na to, że caryca stała się bezpłodna. Nic dziwnego więc, że zaczęła szukać ratunku wśród szarlatanów różnej maści.

Pierwszym był Francuz, każący mówić do siebie doktor Filip, przedstawiony carycy podczas jej wizyty w Paryżu. W rzeczywistości nazywał się Nizier-Vachod i terminował kiedyś u rzeźnika.

"Doktor" ów obiecał carycy uzdrowienie, sprawiając na niej tak duże wrażenie, że zabrała go ze sobą do Rosji, po czym ministrowi wojny Kuropatkinowi poleciła mianować go lekarzem wojskowym i tajnym radcą dworu.

Doktorowi Filipowi udało się jedynie wywołać u carycy objawy ciąży urojonej. Gdy prawda wychodzi na jaw, jest już po nim.

Po tym incydencie caryca rzuca się w objęcia rosyjskiej mistyki. Jej spowiednik, ojciec Teofan ma gotowe rozwiązanie: tylko Święty Serafin może uratować dynastię Romanowych. To znaczy - Serafin nie jest w tym czasie jeszcze oficjalnym świętym, gdyż poprzedni carowie uparcie odmawiali jego kanonizacji, co teraz musi zostać nadrobione jak najszybciej.

Caryca jest gotowa na wszystko, a jej małżonek nie potrafi oprzeć się życzeniom żony. W dodatku kanonizacja Serafina nie stanowi dla niego zbyt dużego wyrzeczenia.

Z wielką pompą w obecności carskiej rodziny odbywa się uroczystość w macierzystym klasztorze Serafina, po której następuje bankiet. O północy caryca opuszcza uroczystość, by modlić się u grobu świeżo upieczonego świętego. Potem, w asyście trzech dam dworu oświetlona pełnią księżyca bierze kąpiel w lodowatej wodzie pobliskiego źródełka.

Spodziewany cud pozwala wprawdzie nieco na siebie czekać, jednak po kilku miesiącach Aleksandra rzeczywiście zachodzi w ciążę, a dokładnie w rok po kanonizacji, 30 lipca 1904 roku, przychodzi na świat długo oczekiwany carewicz, ochrzczony imieniem Aleksjej.

Szczęście domu Romanowych jest bezgraniczne, dopóki po pół roku lekarze nie stwierdzają u Aleksjeja hemofilii.

Hiobowa wieść doświadcza carycę ciężko. Wiedząc, że ta choroba jest dziedziczna w męskiej linii jej rodziny a nie małżonka, czuje się osobiście odpowiedzialna za nieszczęście.

Początkowo chodzi jedynie o utrzymanie małego Aleksjeja przy życiu. Gdy dochodzi do nowych krwotoków, obie wielkie księżne Milica i Anastazja ofiarowują się z pielgrzymką do Kijowa, by wymodlić zdrowie dla carewicza.

W Pieczorskiej Ławrze dwaj mnisi zwracają uwagę swych dostojnych gości na Rasputina, którego już otacza aura cudotwórcy. A ten natychmiast wciąga obie wielkie księżne - podobnie jak wiele innych kobiet, w krąg swego wpływu. Obie są zgodne: tylko Rasputin może uratować następcę tronu. Gdy wracają do Petersburga, Aleksjej właśnie przezwyciężył kryzys. Jednak następny przyjdzie z pewnością.

Caryca natychmiast gotowa jest ściągnąć świętego męża do Petersburga - dokładniej do pałacu w Carskim Siole, chce jednak działać ostrożnie. Jej reputacja nadszarpnięta aferą z "doktorem Filipem" sprawia, że nie może pozwolić sobie na kolejny blamaż. Omawia swój zamiar tylko z damami dworu, które dopatrują się w przedsięwzięciu braku stosownej dyskrecji. W jakiś sposób jej projekt poznaje Komitet Prawdziwych Rosjan - bardziej znany jako Czarna Sotnia. Jest to sprzysiężenie arystokracji i ultrakonserwatywnych ludzi interesu, których celem jest zapobieżenie niewielkiej ilości reform, ku którym skłonił się car Mikołaj po niepokojach społecznych 1905 roku.

Ci "zawodowcy" rozpoznają natychmiast, że Rasputin znakomicie nadałby się do ich celów - wiedzą nawet, w jaki sposób bez wzbudzenia sensacji przywieźć cudownego mnicha do Petersburga. Na ich zlecenie Rasputin zostaje wezwany do gminy słynnego kaznodziei Jana z Królewca, którego płomienne przemowy w kościele garnizonowym floty od dawna już urosły do rangi towarzyskiego wydarzenia. Jan utrzymujący ścisłe związki z ultrasami ma doskonały pomysł. Przy następnym niedzielnym nabożeństwie dochodzi do znakomicie wyreżyserowanej sensacji. Kaznodzieja, szykując się do spełnienia świętej ofiary, przerywa nagle sakralne czynności, by oświadczyć: "Jest dziś czcigodny wśród nas, który jako pierwszy winien dostąpić tego zaszczytu. Ten skromny człowiek jest wśród nas"; wskazuje przy tym na brodatego olbrzyma, który - uprzednio starannie wymyty - siedział na jednej z tylnych ławek, ignorowany przez szlachetnie urodzonych.

Tego hasła oczekiwał Rasputin. Z naturalnym talentem urodzonego aktora wolno kroczy do ołtarza, akcentując każdy krok stuknięciem kostura. Przed ikonostasem oddzielającym właściwy ołtarz od wiernych przyklęka i przyjmuje ofiarę mszalną z ręki Jana. Po czym następuje właściwa sensacja. Nie kapłan lecz "czcigodny" udziela błogosławieństwa wiernym.

Wysoko urodzona publiczność jest jak skamieniała. Dopiero gdy panowie w kapiących złotem mundurach z paniami w paryskich toaletach opuszczają kościół, rozpoczynają się zgadywanki na temat osoby czcigodnego.

Ciekawość łatwo mogą zaspokoić kapłani, przy czym niekoniecznie przedstawiają prawdziwą wersję, przedkładając raczej tę uszlachetnioną przez ludzi z Czarnej Sotni. Wyrok towarzystwa nie jest jednoznaczny. Niektórzy panowie zaszokowani są występem syberyjskiego mużyka. Większość jednak i prawie wszystkie damy są już Rasputinem oczarowane.

Od tej październikowej niedzieli Rasputin staje się tematem dnia w Petersburgu. Teraz chodzi już tylko o wprowadzenie go na carski dwór. Rzeczywiście nie ma czasu do stracenia. Kilka dni po wspomnianej mszy Aleksjej kaleczy się w nogę i ranka nie chce się zamknąć. Wielka księżna Anastazja natychmiast spieszy do miasta, by sprowadzić cudotwórcę do łoża chorego.

Rasputin jedzie z nią do Carskiego Sioła. Przy tylnym wejściu przyjmuje go carska niańka Maria Wisniakowa, prowadząc mnicha mało używanymi korytarzami do gabinetu cara. Następne wydarzenia znane są tylko z opisów z drugiej ręki, choć sprawiają wrażenie dosyć wiarygodnych: Carska para niecierpliwie czeka cudotwórcy. Nareszcie

słychać pukanie do drzwi i niania zapowiada: "Przybył Grigorij Jefimowicz".

Godnie - nie jak poddany - olbrzym wkracza i obejmując raczej wątłego cara całuje go w oba policzki. Po czym wita w ten sposób drżącą carycę. Jeszcze nikt z ludu nie odważył się w taki sposób pozdrowić pana Wszechrusi. Nawet książęcy brat. Carskiej parze odebrało głos. Aleksandra pierwsza dochodzi do siebie pytając: "Potrafisz pomóc carewiczowi?" Bezzwłoczna odpowiedź brzmi: "Bóg mnie do tego zesłał!"

We troje idą do pokoju dziecięcego, gdzie niańka już czeka. Rasputin jakby w ogóle nie zauważył małego. Podchodzi do ołtarzyka i klęka przed ikoną. Dopiero potem obraca się ku dziecku i kreśli nad nim znak krzyża. Ruch budzi Aleksjeja. Przerażony patrzy na brodacza - jeszcze nigdy nie widział takiego "leśnego człowieka". Rasputin potrafi jednak uspokoić księcia: "Nie obawiaj się. Przybyłem, by ci pomóc". Prawicą, urywanymi ruchami, jakby coś przepędzał, przeciąga wzdłuż ciała następcy tronu. I przez cały czas łagodnie przemawia do dziecka. Aleksjej pomału się rozluźnia, wygląda na to, że jego bóle się zmniejszają.

Nagle siada na łóżku, co przestrasza carycę, lecz dziecko całkiem spokojnie prosi Rasputina: "Opowiadaj dalej ojczulku".

Ponad pół godziny czcigodny przemawia do dziecka, opowiadając mu historie ze swego życia na Syberii. Obecni jak oczarowani oglądają niecodzienny spektakl. Niania jest pierwszą, która zauważa coś niezwykłego. Przed przybyciem Rasputina ranę dziecka owinięto bandażem i do tej pory nawet kropla krwi nie przesączyła się przez opatrunek.

"Stał się cud!" - krzyczy Maria i opada na kolana. Mały Aleksjej zasnął tymczasem. Na jego policzki pomału zaczynają wypełzać rumieńce. Czcigodny wstaje, kreśli jeszcze krzyż i odchodzi.

Aleksandra spieszy za nim i - jakby nie była carycą - rzuca się przed nim na kolana: "Dziękuję wam Grigori Jefimowiczu!". Na co cudotwórca z godnością - a potrafi być bardzo godny, gdy chwila tego wymaga - odpowiada: "Wierz w siłę moich modłów, a twój syn będzie żył".

Rodzina carska jest w pełni przekonana o cudownych możliwościach Rasputina, co wszelką dyskuję na temat pochodzenia tych możliwości czyni zbędną. Wieść o cudzie rozchodzi się po pałacu, potem po mieście, a w końcu rozprzestrzenia się po całym kraju.

Zdania na jego temat są podzielone. Prosty lud i część wyższych sfer stoi po stronie Rasputina. Natomiast reformiści, a przede wszystkim pierwsi zazdrośnicy, naśmiewają się z łatwowierności carycy. Stawia się pierwsze polityczne spekulacje, gdyż kontakty Rasputina z Czarną Sotnią przedostały się do wiadomości publicznej. Dla liberałów staje się narzędziem politycznej reakcji.

Mimo krytycznych głosów były mnich zostaje bohaterem dnia. I nie wzdraga się przed wykorzystaniem przychylnej sytuacji, przy czym nie chodzi mu ani o pieniądze, ani o polityczne pryncypia. Rozkoszuje się władzą, zawdzięczaną przychylności carskiej rodziny, wykorzystując ją, również wobec dam. Nawet podchodząc sceptycznie do liczby jego "zdobyczy" trzeba stwierdzić, że żadnej nie rozczarował. Co naturalną koleją rzeczy spowodowało narastanie wrogości wśród mężczyzn. Nawiasem mówiąc wiadomo, że dorobił się córki, informacji na temat innego potomstwa nie posiadamy.

Teraz i "urzędowy" kościół pragnie zaprząc Rasputina do swojego wózka. Również wyorderowani generałowie zabiegają o jego łaski pragnąc, by był promilitarystycznym rzecznikiem u dworu. W swych zabiegach nie odnoszą jednak sukcesu, gdyż Rasputin mimo całej zarozumiałości pozostał człowiekiem z ludu, zdającym sobie sprawę z tego, że wojna największym ciężarem kładzie się właśnie na jego warstwie społecznej.

Z czasem postać Rasputina urasta do prawdziwej potęgi stojącej za chwiejnym carskim tronem. Przed jego domem petenci stoją w kolejce, oczekując na wyjednanie przez niego korzyści z dworu. W europejskich kancelariach zakładane są dossiers o cudownym mnichu. Zagraniczni posłowie rezydujący w Petersburgu próbują go wysondować. Z ulgą lub

rozczarowaniem stwierdzają, że jego horyzont myślowy nie przekracza granic Rosji. Polityką zagraniczną w ogóle nie jest zainteresowany.

Bardziej zajmuje go mieszanie się w sprawy rosyjskiego kościoła. Nie zapomniał wyniosłości, z jaką został potraktowany przez metropolitów i archimandrytów w czasach, gdy ubiegał się o ich względy. Teraz przekonuje cara, by ten mianował kilku przychylnych mu kapłanów biskupami z pominięciem akceptacji ich przez Święty Synod. Urzędowy kościół jest wstrząśnięty, ale zarazem bezradny, gdyż car jest jednocześnie głową kościoła.

W swym gniewie zwierzchnicy kościoła zwracają się do panów z Czarnej Sotni - byłych protektorów Rasputina. Teraz zlecają szpiegowanie mnicha Ochranie - osławionej carskiej tajnej policji. Wkrótce do grona śmiertelnych wrogów Rasputina dołącza obok biskupów również generalicja. Gdy w 1912 roku wybucha wojna bałkańska, zwracają się mianowicie do niego, by przekonał cara o konieczności włączenia się Rosji do walki przeciw Turcji. Mnich kategorycznie odmawia - nie chce wojny. W odwecie generałowie przekazują carowi obciążające materiały wygrzebane z życiorysu cudotwórcy. Car i caryca są wstrząśnięci, obawiają się jednak o życie następcy tronu. Sugerują Rasputinowi jedynie, by na pewien czas opuścił Petersburg.

Wtedy właśnie u Aleksjeja następuje nawrót krwotoków. Mnich natychmiast zostaje wezwany z powrotem i książę istotnie dobrzeje.

Wrogowie Rasputina dochodzą w końcu do wniosku, że nie mogąc liczyć na cara, muszą wziąć sprawę w swoje ręce. Jednak nawet cień podejrzenia nie może na nich paść, gdyby Rasputinowi "coś się przytrafiło". Wkrótce znajdują odpowiednie narzędzie w osobie półobłąkanej eks-prostytutki, imieniem Konja Gussewa, która za swe życie wyznaczyła sobie ekstatyczną pokutę. "W imieniu Ducha Świętego" polecają jej udać się do Pokrowskoje, gdzie w tym czasie przebywa mnich, celem zgładzenia go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

A ta nadarza się szybko. Gdy Rasputin wychodzi przed dom, by z rąk listonosza odebrać telegram z Petersburga, zupełnie nieznajoma kobieta podchodzi do niego i z okrzykiem "zabiłam antychrysta" wbija mu w brzuch długi kuchenny nóż.

Sprawczyni zostaje rychło pojmana, lecz w związku z jej wyraźnym obłąkaniem nie dochodzi do śledztwa. Podczas gdy Rasputin walczy ze śmiercią, inspiratorzy pozostają bezkarni.

Wiadomość o zamachu na cudotwórcę dociera na carski dwór 28 czerwca 1914 roku, prawie jednocześnie z meldunkiem o zamordowaniu austriackiego następcy tronu Franciszka Ferdynanda w Sarajewie. Ta czasowa zbieżność ma dalekosiężne skutki. Niektórzy historycy stawiają nawet hipotezę o powiązaniach między obu zamachami. W następnych dniach histeria wojenna ogarnia europejskie stolice.

W czasie tych decydujących dni Rasputin jest nieprzytomny. Dopiero pod koniec lipca dowiaduje się, co się wydarzyło. Natychmiast zwraca się do pary władców Rosji w piśmie zaklinając ich, by uniknęli wojny.

Ostrzeżenia cudotwórcy nie pozostają bez wpływu na cara i carycę. Mimo że już została zarządzona mobilizacja, Mikołaj zaczyna się wahać. Bez osobistej obecności Rasputina daje się jednak przekonać żądnym wojny generałom, że nie ma już odwrotu. Kości zostały rzucone.

We wrześniu mnich jest na tyle wykurowany, że może powrócić do stolicy, która wkrótce przemianowana zostanie na Piotrogród. Jego wrogowie nie byli w tym czasie bezczynni i próbują udaremnić jego powrót na dwór - co im się jednak nie udaje.

W Carskim Siole cudotwórca znajduje rozdartego wątpliwościami cara. Rasputin rezygnując z przypominania Mikołajowi swych ostrzeżeń przepowiada parze władców "morze krwi", po którym cud ma uratować Rosję. Jednocześnie chce zakosztować trochę smaku zemsty. Przekonuje cara, by zdymisjonował wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza ze stanowiska głównodowodzącego i sam przejął naczelne dowództwo. Nie jest to dobra rada, gdyż od tego czasu car sam odpowiedzialny jest za kolejne porażki.

Na dworze tymczasem rozsiewana jest nienawiść do "niemieckiej carycy" i jej "złego ducha". Wojskowi twierdzą nawet, że Rasputin został przekupiony przez Niemców, by skłonić cara do separatystycznego pokoju.

Rasputin nie był naturalnie niemieckim agentem, lecz było tajemnicą poliszynela, że propagował zawarcie pokoju. Jego wrogowie znów widzą tylko jedną możliwość - mnich musi zostać zamordowany. I tym razem nie zamierzają powierzyć zadania jakiemuś dyletantowi, lecz sami wykonać "robotę".

Grupa spiskowców składa się z polityków, wojskowych i członków arystokracji - złączonych przynależnością do Czarnej Sotni. Przywództwo obejmuje młody książę Feliks Jussupow, członek jednego z najbogatszych rosyjskich rodów. Czyni to po pierwsze dlatego, że nie przywykł, by komuś podlegać, a po drugie spiskowcy słusznie zakładają, że człowiekowi z jego pozycją niewiele może się stać, nawet gdyby spisek został ujawniony.

Jussupow poznał Rasputina w 1909 roku w salonie pani Gołowiny - wdowy po radcy stanu i od razu poczuł do niego dogłębną antypatię. Teraz jednak, gdy zapadło postanowienie zgładzenia Rasputina, pięknoduch Jussupow - zwolniony z powodów zdrowotnych od udziału w wojnie, mimo to chętnie dający się portretować w mundurze - musi się przemóc i odnowić dawną znajomość. Jako pośredniczka znów występuje wdowa Gołowina, mile połechtana wizytą księcia. A Rasputin nie żywi żadnych podejrzeń - rozsądek opuszcza go, gdy o jego łaski zaczyna zabiegać osoba tak wysokiego rodu - w dodatku ignorująca go latami.

Na pewien czas Jussupow staje się kompanem cudownego mnicha, odwiedzając z nim najsłynniejsze i najszlachetniejsze domy Piotrogrodu.

W ten sposób nawiązana została zażyła znajomość. Spiskowcy muszą jedynie ustalić, kiedy i gdzie zbrodnia zostanie dokonana. Zastrzelenie Rasputina byłoby zbyt ryzykowne. Przy tak jawnej zbrodni nawet Jussupow musiałby się liczyć z poniesieniem sroższej kary. Wewnętrzny krąg spiskowców: Jussupow, wielki książę Dymitr Pawłowicz, ultrareakcyjny deputowany Puriszkiewicz i porucznik Suchotkin decydują się w związku z tym na truciznę. Morderstwo ma nastąpić w nocy z 30 na 31 grudnia (16 i 17 grudnia według starego kalendarza) 1916 roku, w piwnicy pałacu Jussupowych. Książęcych komnat nie może bowiem zbrukać zbrodnia.

Truciznę do dyspozycji zamachowców stawia lekarz wojskowy doktor Lasowert. Cyjankiem nafaszerowane mają być ulubione przez Rasputina cukrowe placuszki oraz na wszelki wypadek również herbata. Doktor ma odczekać w pałacu na śmierć Rasputina, by wystawić od razu "uczciwe" świadectwo zgonu. Potem zwłoki mają zostać wrzucone pod lód zamarzniętej rzeki, położonej opodal książęcego pałacu. Dwóch robotników wielkiego księcia otrzymuje polecenie wybicia w rzece dużego przeręblа.

Rasputin przyjmuje książęce zaproszenie na 30 grudnia na kolację z radością. Nie żywi żadnych podejrzeń, nawet wtedy gdy książę zaklina go o dochowanie spotkania w tajemnicy. Jego małżonka pragnie bowiem przy tej okazji wyspowiadać się czcigodnemu mnichowi.

Tego rodzaju spowiedzi pięknych dam Rasputin wysłuchuje zawsze chętnie. Bierze nawet kąpiel - czego nie czyni często - każe ufryzować sobie włosy i brodę i zakłada najlepsze odzienie.

Wczesnym wieczorem odwiedza go jeszcze minister Protopopow - jeden z jego protegowanych. Potem polityk będzie twierdził, że ostrzegał cudotwórcę przed zamachem, ten jednak nie chciał słyszeć o tym.

Około północy Jussupow puka do tylnych drzwi domu Rasputina. Pan domu wychodzi natychmiast i wsiada do samochodu, który załatwił Puriszkiewicz. Kierowcą jest nie kto inny jak doktor Lasowert - przebrany w mundur zwykłego żołnierza. Agenci Ochrany, którzy szpiclują Rasputina, a przez to w pewien sposób chronią go, nie zauważają niczego, gdyż stoją na posterunku przed głównym wejściem.

Jussupow jest bardzo zdenerwowany i denerwuje się jeszcze bardziej, gdy jego gość nachalnie nalega, by przed kolacją pojechać jeszcze do "Villa Rosa" - elitarnego burdelu. W końcu przekonuje Rasputina

argumentem, że jego małżonka niecierpliwie czeka na świętego męża.

Samochód wjeżdża do pałacu przez tylne podwórko. Jussupow chce zaprowadzić swego gościa od razu do piwnicy, ten jednak zwleka słysząc muzykę dobiegającą z piętra. Książę twierdzi, że to przyjaciółki żony hałasują. W rzeczywistości to trzej pozostali spiskowcy umilają sobie czas słuchając muzyki z płyt.

Książęca piwnica zapobiegliwie została przekształcona w wygodną jadalnię z dywanami i gobelinami. Rasputin wyraźnie jest pod wrażeniem, konsekwentnie odmawia jednak poczęstunku składającego się z placuszków i herbaty. W końcu wypija jednak filiżankę. Po niej powinien paść po kilku minutach trupem, jednak nic takiego się nie dzieje. Mnich wesoło spaceruje po pomieszczeniu, aż wypatrzył gitarę księcia. Jussupow ma mu zagrać piosenkę - żąda - a ten rad nie rad musi być powolnym. Z jednej piosenki zrobiło się kilka, a Rasputin pije beztrosko "zatrutą" herbatę, a potem jeszcze wino i szampana.

W końcu Jussupow traci nerwy. Przeprasza go i pod pretekstem sprowadzenia żony śpieszy na górę do kompanów. Wielki książę proponuje by Jussupow udusił swego gościa, nikt z obecnych nie wierzy jednak, by książę był w stanie pokonać olbrzyma. W końcu wielki książę daje mu swój nabity rewolwer.

Gdy Jussupow powraca do piwnicy, Rasputin jest w trakcie studiowania ikony. Chciałby ją mieć. Teraz książę ostatecznie traci nerwy. "Powinieneś lepiej się modlić!"- krzyczy. Nim mnich - nieco już pijany - rozumie sens wypowiedzianych słów, książę wyciąga rewolwer i z minimalnej odległości strzela. Rasputin, trafiony w pierś, wydaje z siebie okropny ryk i osuwa się na podłogę.

Strzał zwabił do piwnicy pozostałych spiskowców. Lasowert bada leżącego i konstatuje: strzał w serce. "Diabeł" nie żyje.

Z zadowoleniem pięciu mężczyzn opuszcza miejsce zbrodni, by ustalić dalsze kroki. Lasowert i wielki książę mają wrzucić zwłoki do przeręblа, zaś wyrośnięty Suchotin w płaszczu Rasputina pojechać ma do domu ofiary, by zmylić czatujących tam szpicli. Najpierw jednak można pozwolić sobie na dobrze zasłużoną wódkę.

Pół godziny trwa, aż Jussupow czuje się na tyle wypoczęty, by zajrzeć do zwłok. W piwnicy czeka go ciężki szok. Rasputin unosi się i zaczyna ryczeć. Próbuje nawet udusić księcia, któremu jedynie z trudem udaje się uwolnić z ramion olbrzyma. Rasputin zatacza się za nim jak ranny Polifem. Książę dociera na parter, chce sięgnąć do zbawczych drzwi domu, gdy pojawia się Puriszkiewicz. Ze swego pistoletu oddaje kilka strzałów w kierunku mnicha. Rasputin ponownie pada i tym razem wygląda na ostatecznie martwego.

Mordercy zawijają swą ofiarę w dywan - tobołek ma zostać przetransportowany samochodem wielkiego księcia do rzeki i zatopiony w przygotowanym uprzednio przeręblu.

Ostatnie strzały zaalarmowały otoczenie. Gdy samochód zawierający "corpus delicti" tylko zdążył opuścić pałac, zjawia się pierwszy policjant. Jussupow zbywa go tłumaczeniem: przyjaciel strzelał do psa. Stróżowi porządku wydaje się to cokolwiek dziwne, lecz nie śmie zaprzeczyć dostojnemu panu. Sporządza jednak raport, który wkrótce trafia do przyjaciela i protegowanego Rasputina, ministra Protopopowa.

Następnego ranka nieobecność cudotwórcy zostaje zauważona, nie wzbudza jednak na razie niepokoju, gdyż często zdarzało mu się spędzać noc poza domem. Jego córka przypomina sobie jego uwagę, że zamierzał odwiedzić Jussupowa. Dzwoni do niego, ten jednak przez telefon wszystkiemu zaprzecza.

Caryca jest zupełnie skonsternowana, słysząc o zniknięciu swego świętego. Słusznie przewiduje najgorsze.

W międzyczasie policja natrafia na pierwszy ślad. W okolicy mostu Piotrowskiego znaleziono but zaginionego, niedaleko od niego ślady krwi przy zamarzniętym przeręblu. Mimo to zwłoki zostają odnalezione dopiero po dwu dniach. W wyniku obdukcji stwierdzono śmierć przez utopienie.

Rasputin był więc jeszcze przy życiu, gdy mordercy wrzucali jego ciało do lodowatej wody.

Po cichu zwłoki przewiezione zostały do Carskiego Sioła i tam w zamkowym ogrodzie pochowane. Na pogrzebie obecni byli jedynie: carska rodzina, minister Protopopow, dwóch adiutantów, córka Rasputina, jedna dama dworu oraz zakonnica.

Na podstawie policyjnego raportu o strzałach w pałacu Jussupowych policja szybko znalazła drogę do morderców. Jednak ich przewidywania z okresu zawiązywania spisku sprawdzają się. W trzecim roku wojny car nie może sobie pozwolić na skandal, w który zamieszani byliby: jego zausznik jako ofiara i książę oraz wielki książę jako sprawcy. Jussupow zostaje zesłany do swoich dóbr pod Kijowem, a wielki książę na Kaukaz.

Główni sprawcy Jussupow i Puriszkiewicz wyemigrowali po wybuchu rewolucji do Francji. Mordercza wojna, którą być może udałoby się powstrzymać Rasputinowi, trwała nadal. 15 marca 1917 roku car abdykuje. 16 lipca następnego roku razem z całą rodziną zostaje zamordowany w okolicy Jekaterynoburga.

SIERGIEJ MIRONOWICZ KIROW (1886 - 1934)

Był wzorem nowoczesnego bolszewika, przynajmniej przykładając miarę lat trzydziestych. Prawdziwy chłopski syn i proletariusz, rewolucjonista od pierwszej godziny, nigdy za granicą w związku z tym niepodatny na szkodliwe wpływy i herezje emigracyjnych socjaldemokratów. Bohater wojny domowej przeciw białym oraz zagranicznym interwentom.

W czasie pokoju sprawdził się jako zdyscyplinowany członek partii i zdolny organizator. Prawdopodobnie dziś nazwano by go technokratą. W krótkim czasie uzdrowił zrujnowaną moskiewskim centralizmem zdekonsolidowaną leningradzką organizację partyjną. Jego dar wymowy - rzeczowy, a jednocześnie porywający, stworzył mu popularność tej miary, jaką żaden ze starych bolszewików nie cieszył się u progu drugiego dziesięciolecia Kraju Rad.

Ale co było jeszcze ważniejsze: nie był ani Gruzinem, ani Ukraińcem, nie był Żydem ani intelektualistą, był prawdziwym synem Matuszki Rosii. Innymi słowy - Siergiej Mironowicz Kirow był dokładnie tym człowiekiem, którego potrzebował Kraj Rad w ciężkim okresie konsolidacji, gdy jego egzystencja jako państwa nie była już zagrożona.

Może nawet Matuszka Rosija potrzebowała go za bardzo. Przynajmniej w oczach tego czerwonego cara, który po śmierci Włodzimierza Ilicza Lenina jako jedyny rządził z wysokości Kremla: Józefa Wissarionowicza Dżugaszwili zwanego Stalinem. Możliwość, by kiedykolwiek wyrosnąć temu człowiekowi, mocno dzierżącemu dźwignie władzy, ponad głowę, mogła być niebezpieczna dla życia. I nawet była - w konkretnym przypadku.

Rodzice Kirowa byli zwykłymi chłopami z wioski Urżum położonej w okolicy miasta Wiatka i nazywali się Kostrikow. Tak jak wielu innych rewolucjonistów młody Siergiej przybrał na czas walki wojenne miano Kirow, przy którym również później pozostał.

Wiatka była jednym z najstarszych miast Rusi Środkowej. W XII wieku została założona przez handlarzy futer z Nowogrodu, będąc etapem na drodze na Ural. Dopiero pod koniec XV wieku te prarosyjskie ziemie dostały się pod władanie wielkomoskiewskich książąt, którzy po zdobyciu Bizancjum przez Turków (1453) przybrali miano carów (cesarzy). I od tego czasu region ten niewiele się zmienił - przynajmniej do XIX wieku. Nowoczesność w formie kolei żelaznej, szkół czy wczesnoprzemysłowych manufaktur docierała na te obszary z dużym opóźnieniem. Siergiej Kostrikow czy też Kirow w żadnym wypadku nie chciał zostać mużykiem. By spełnić swe marzenie dotyczące technicznego wykształcenia, musiał udać się - w 1900 roku - do dalekiego Kazania nad Wołgą - byłej stolicy potężnych uzbeckich Tatarów. I tak jak wielu późniejszych rewolucjonistów, nie pochodzących z rewolucyjnego środowiska, dopiero w szkole zetknął się z wywrotowymi ideami.

Po ukończeniu szkoły w 1904 roku pozostał na wschodzie pracując przez pewien czas jako technik w syberyjskim Tomsku. Jego świadomość społeczna była już wtedy na tyle rozbudowana, że przyłączył się do miejscowej sekcji Partii Socjaldemokratycznej decydując się na frakcję bolszewików.

Podczas rewolucji 1905 roku młodzieniec został czterokrotnie zatrzymany i jako "recydywista" zesłany w głąb Syberii. Wiedział, jak wykorzystać przymusowe przesiedlenie - w środowisku zesłanych do Irkucka założył pierwszą bojową organizację bolszewicką.

W czasie wybuchu rewolucji październikowej Kirow znajdował się akurat na Północnym Kaukazie. Był to dla młodego państwa radzieckiego rejon kluczowy. W pierwszych latach po zwycięstwie rewolucji bolszewicy stracili kontrolę nad nierosyjskimi, europejskimi prowincjami byłego państwa carów - jak się wtedy wydawało - na zawsze. Na Kaukazie podobny los groził sowietom. Azerbejdżan, Armenia i Gruzja wcale nie zachęcone silną reprezentacją kaukazczyków w bolszewickim kierownictwie ogłosiły niepodległość. A to, że Moskwa panowała jeszcze nad północnymi peryferiami, było między innymi zasługą organizacji partyjnej stworzonej w tym regionie przez Kirowa.

W 1920 roku Lenin zmuszony został do upokarzającego kroku - uznał niepodległość zdominowanej przez znienawidzonych mienszewników Republiki Gruzji. Naturalnie nie miał zamiaru tolerować tego stanu rzeczy dłużej, niż to było konieczne. Czekał tylko na stosowną chwilę, by ponownie przywrócić starą rosyjską granicę na Kaukazie.

Droga wojennego podboju nie wchodziła w tym czasie w rachubę. Na to Rosja Radziecka była jeszcze za słaba militarnie. Poza tym w pierwszym rzędzie należało rozprawiać się z białymi stojącymi wówczas jeszcze na południu kraju. Pozostawała więc tylko konspiracyjna możliwość podporządkowania sobie republik kaukaskich.

W tym celu Lenin wysłał swego najbardziej doświadczonego człowieka jako posła do Tyflisu - Siergieja Kirowa. Ten musiał działać przynajmniej na początku "na paluszkach". Kierownictwo Republiki Gruzińskiej od początku wiedziało, w jak krytycznym położeniu się znajduje. Z tego powodu oddali się w opiekę - początkowo Rzeszy Niemieckiej, a po zakończeniu pierwszej wojny światowej - Wielkiej Brytanii. Dopóki mały korpus ekspedycyjny Brytyjczyków stacjonował na Kaukazie, małe państewka były jako tako bezpieczne. Jednak w lipcu 1920 roku ostatni Tommies ewakuowani zostali z Batumi nad Morzem Czarnym, pozostawiając Kaukazczyków swojemu losowi. Uznanie Republiki Gruzińskiej de iure w styczniu 1921 roku nie na wiele się zdało. Próba przystąpienia Gruzji do Ligi Narodów została storpedowana. Pozbawieni obcej ochrony politycy gruzińscy rychło jęli spiskować przeciw sobie - za to z Sowietami. Na ten moment czekał Lenin.

"Dyplomacie" Kirowowi z łatwością udało się zainscenizować próby puczu i ruchawki. Na co wkroczyła Armia Czerwona "celem ochrony ludności cywilnej" opanowując kaukaskie republiki. 25 lutego komuniści dotarli do Tyflisu kończąc niezbyt chwalebną działalność tych państw.

Kirow otrzymał swą zapłatę. Mimo że nie był tubylcem i nawet nie znał tutejszego języka, został mianowany pierwszym sekretarzem komunistycznej partii Azerbejdżanu z zadaniem powołania do życia transkaukaskiej sowieckiej republiki.

Jak już wiadomo, Kirow był znakomitym administratorem i wywiązał się ze swego zadania ku pełnemu zadowoleniu moskiewskich władz partyjnych i państwowych. Na Kaukazie - później podzielonym znów na trzy republiki - Związek Radziecki aż do drugiej wojny światowej nie miał żadnych poważniejszych trudności.

Gdy w 1924 roku umarł Lenin, dla kaukaskiego szefa partii karuzela kariery zaczęła się szybciej kręcić. W 1926 roku nowe, już zdominowane przez Stalina kierownictwo partii powołało Kirowa na stanowisko bardzo poważnej leningradzkiej organizacji partyjnej.

Stalin osiągnął przez to podwójny cel. Dotychczasowy szef leningradzkiej partii - Grigorij Zinowjew - jednocześnie pierwszy

sekratarz Kominternu - pomógł mu wprawdzie odsunąć głównego rywala - Lwa Trockiego - od władzy, ale po tym Stalin nie potrzebował już sprzymierzeńców na Kremlu. A zwłaszcza takiego starego komunisty, który mógłby go przerosnąć swymi wpływami. Należało odciąć potencjalnego rywala od jego bazy. Na podstawie niejasnych oskarżeń leningradzki szef partii został odwołany i na wszelki wypadek wykluczony z partii.

Drugim celem nominacji Kirowa w miejsce Zinowjewa było umocnienie miejscowej organizacji partyjnej. Szef Kominternu był wprawdzie zasłużonym i międzynarodowo zapoznanym rewolucjonistą, jednak jednocześnie był bardzo złym administratorem. Pod jego rządami leningradzka organizacja rzeczywiście mocno podupadła.

Naprawie i zreformowaniu tej organizacji mógł teraz Kirow poświęcić całą swoją energię, dodatkowo stosownie do swej nowej rangi został awansowany na zastępcę członka Biura Politycznego. Nadal większość czasu spędzał jednak w starej carskiej stolicy, nie mając w związku z tym żadnego udziału w walkach o władzę, które w owym czasie rozgrywały się w Moskwie.

Stalin wiedział jak uhonorować tę "lojalność". W 1930 roku wciągnął leningradczyka do Politbiura jako pełnego członka.

Krótko przedtem Zinowjew został częściowo rehabilitowany i przyjęty z powrotem do partii. "Eksperci od wschodu" w zachodnich stolicach wtedy jeszcze gorzej poinformowani niż obecnie, twierdzili, że rozpoznają w tym nadchodzącą "erę konsolidacji". Mylili się jednak.

Co do Kirowa to Stalin na razie mógł być zadowolony ze swego podopiecznego. W swych pierwszych latach w Politbiurze głosował stale za wiernymi dyktatora i nadal głównie poświęcał się pracy partyjnej w Leningradzie.

Trudno powiedzieć, kiedy Kirow stracił iluzję co do stalinowskiego reżymu. Jako technokratę z pewnością złościły go błędy i słabości systemu. Co do polityki personalnej Stalina to Kirow jako partyjny nie był dużo delikatniejszy. Jednak sposób, w jaki Gruzin postępował ze starymi towarzyszami walki, musiał nieźle zaleźć mu za skórę. Może nawet dojrzewało w nim przekonanie, że prędzej czy później sam padnie ofiarą jakiejś czystki.

Do ciężkich napięć - mówienie o otwartej konfrontacji byłoby mocno przesadzone - między Stalinem a Kirowem dochodzi dopiero w 1934 roku w czasie XVII zjazdu KPZR. Autentycznego zapisu przebiegu tego spotkania nie ma. A referat, który Kirow wygłosił na zjeździe, miał zostać tajemnicą, podobnie jak referat - zapowiadający wielką destalinizację - wygłoszony przez Nikitę Chruszczowa na XX zjeździe w 1956 roku. To, że referat Chruszczowa nie pozostał tajemnicą, jest już zupełnie inną historią.

Później Stalin próbował bagatelizować bądź nawet zaprzeczać plotkom na temat napięć powstałych na XVII zjeździe. Kirow mianowicie krytykował "pewne zjawiska", a krytyka nie dotyczyła pierwszego sekretarza ani systemu.

Twierdzenie, jakoby doszło do bardzo poważnych napięć, pochodziło od przebywającego na wygnaniu Trockiego, którego zwolennicy, dysponujący jeszcze tajnymi kanałami do najwyższych instancji zjazdu, byli zainteresowani w rozdmuchiwaniu każdego nawet drobnego konfliktu.

To, że ich wersja była bliska prawdy, udowodniły następne wydarzenia. Trocki twierdził w każdym razie, że bezpośrednio przed zjazdem Kirow objął po długich namysłach rolę przywódcy antystalinowskiej grupy, planującej jako pierwszy krok do ograniczenia władzy Stalina przeforsowanie kandydatury leningradzkiego szefa partii na nowego sekretarza komitetu centralnego.

Jakkolwiek przedstawiały się wypadki, do nominacji Kirowa nie doszło. Do dziś nie wiadomo, czy pomysł ten został przez samych inicjatorów zamrożony na pewien czas, czy też Stalinowi udało się zablokować nominację. A Kirowowi niewiele czasu zostało do przekształcenia swych planów i ambicji w czyn.

Stalin znajdował się w trudnym położeniu. Bezpośrednie odwołanie Kirowa ze stanowiska nie wchodziło w tym czasie w rachubę. Nie był to bowiem stary komunista, którego czasy już się skończyły - z którym władca Kremla mógł postąpić według swoich zachcianek. Z potęgą zbudowaną przez Kirowa w Leningradzie nawet Moskwa musiała obchodzić się ostrożnie.

Dlatego nie było bezpośrednich konsekwencji dla Kirowa, który też wydawał się być całkiem beztroski. Po zjeździe powrócił do swej centrali poświęcając się rutynowej pracy, zupełnie jakby w Moskwie nic nie zaszło.

W swoim komitecie siedzi również 1 grudnia 1934 roku. Jest to dla niego dzień pracy - jak każdy inny. Pozostaje w swoim biurze na trzecim piętrze budynku aż do późnego popołudnia. Budynek ten jest miejscem historycznym. Kiedyś znajdował się tu pensjonat dla panienek wysokiego rodu, który pod nazwą Smolny wszedł do historii Związku Radzieckiego. Opuszczony przez uczennice i nauczycieli gmach okupowany był przez bolszewików; stąd w październiku - 7 listopada według naszej rachuby czasu - Lenin ogłosił początek rewolucji.

Ze swego okna Kirow miał widok na Newę, gdzie zakotwiczony przy brzegu spoczywał krążownik "Aurora" - okręt, od którego jednej salwy oddanej w dodatku ślepymi nabojami skapitulował ostatni niekomunistyczny rząd premiera Aleksandra Kiereńskiego rezydujący w carskim Pałacu Zimowym.

Pierwszego grudniowego popołudnia Kirowowi pozostała jeszcze jedna sprawa do opracowania - potem wybiera się do domu. Chodzi o sprawozdanie z ostatniego posiedzenia plenarnego komitetu centralnego - spotkania, na którym nie został nominowany na stanowisko sekretarza. W czasie gdy Kirow nanosi poprawki na dokumencie - jest około czwartej po południu, w Leningradzie pomału zapada zmrok - młody człowiek przemierza park otaczający Smolnego. Akurat gdy wkracza do budynku, zapalają się wszystkie światła. Właściwie trochę za późno, lecz zgodnie z zarządzeniem Kirowa komitet partii oszczędza prąd. Wartownik przy bramie - zwykły milicjant - sprawdza dokumenty przybysza. Opiewają na nazwisko Leonid Nikołajew. Mężczyzna twierdzi, że jeden z mniejszych funkcjonariuszy partii wezwał go do urzędu. Wartownik wpuszcza go bez sprawdzenia.

Nikołajew nie pozostaje jednak na parterze, gdzie sytuowane są biura niższych funkcjonariuszy, notabene w byłych pomieszczeniach klasowych, lecz wchodzi schodami na zarezerwowane dla kierownictwa partii trzecie piętro. Tam właściwie powinien stać kolejny wartownik, lecz dziwnym zrządzeniem losu tego popołudnia nikogo nie ma na posterunku. Dziś wiemy naturalnie, że nie był to przypadek, lecz wyjaśnienie tego faktu mogłoby wprawić niektóre osoby z "samej góry" w zakłopotanie. Dano więc sobie spokój.

Nikołajew może więc bez przeszkód ukryć się w jednej ze źle oświetlonych wnęk drzwiowych. Długo nie musi czekać. O wpół do piątej Kirow opuszcza swoje biuro - w którym do 1917 roku urzędował dyrektor internatu - by opracowane przez siebie materiały oddać swemu sekretarzowi Czudowowi do przepisania. Kirow musiał przejść tuż koło Nikołajewa nie zauważając go jednak. Ten odczekuje kilka sekund wychodzi ze swej wnęki i z małego dystansu strzela szefowi partii w plecy. Śmiertelnie ranny Kirow osuwa się na podłogę.

Odgłos wystrzałów wywabił urzędników z biur. Sekretarz Czudow i kilku innych aparatczyków zajmują się swym szefem spoczywającym na zimnej, kamiennej podłodze. Jednemu z ich kolegów udaje się złapać Nikołajewa, gdy ten próbuje zbiec schodami.

Wszyscy przybyli są zwykłymi urzędnikami. Nie ma ani jednego pracownika aparatu bezpieczeństwa. Funkcjonariusze próbują odnaleźć osobistego strażnika Kirowa - Boryssowa. Nie ma go jednak w budynku, mimo iż otrzymał surowy rozkaz nie opuszczania Smolnego, w czasie gdy jego szef tu pracuje.

Tego samego wieczoru o zamachu poinformowani zostali przebywający na

Kremlu członkowie Politbiura. Specjalnym samolotem, stojącym cały czas w gotowości do dyspozycji kierownictwa Kremla, lecą do Leningradu: Stalin, ówczesny nominalny szef rządu Wiaczesław Mołotow i minister obrony Kliment Woroszyłow. Stalin osobiście przejmuje kierowanie śledztwem. Wie dlaczego. I czyni jeszcze coś. Tego samego wieczoru wydaje dekret, umożliwiający władzom skazywanie "terrorystów" z pominięciem wówczas jeszcze obowiązujących norm prawnych i przekazywanie ich bez prawa łaski czy apelacji organom Narodowego Komitetu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, osławionego NKWD, celem wykonania wyroku - czyli likwidacji.

Skąd Stalin miał taki dekret - nie opracowany i nie konsultowany z żadnym konstytucyjnym ciałem ustawodawczym - gotowy do podpisania w swojej szufladzie? Może przewidywał śmierć Kirowa?

Pytania te pozostały bez odpowiedzi. Samo ich zadanie było niebezpieczne dla życia. A wynikające z nich wnioski są logiczną kontynuacją wydarzeń.

Pierwsze przesłuchanie, które Stalin chce przeprowadzić jeszcze tego wieczoru - 1 grudnia - dotyczyć ma nie osoby mordercy, lecz "nieodpowiedzialnego" osobistego strażnika Kirowa - Boryssowa. Nadal jednak nie udaje się go odnaleźć. Dopiero później wychodzi na jaw przyczyna jego "zniknięcia". Boryssow - wierny Kirowowi jak nikt inny - nie opuścił swego posterunku samowolnie. Został wezwany do leningradzkiej centrali NKWD. Tam najpierw kazano mu długo czekać, po czym nic od niego nie chciano. W końcu po kilku godzinach został odesłany do domu. W tym czasie jego zwierzchnik już nie żył, lecz tego strażnik nie wiedział. Po powrocie do domu Boryssow spostrzegł, że jego telefon nie działa, lecz nie było to czymś wyjątkowym w Leningradzie. Więc położył się spać.

Następnego dnia skoro świt Boryssow został wyciągnięty z mieszkania przez czterech funkcjonariuszy NKWD celem dostarczenia na przesłuchanie do Smolnego, nigdy jednak tam nie dociera. W drodze samochód ma wypadek. Jest tylko jedna ofiara śmiertelna - Boryssow. Żaden z konwojentów nie odniósł nawet zadrapania. Nawet jak na stalinowskie czasy jest to dość prymitywne.

Nie wiadomo, czy Stalin zadał sobie trud osobistego przesłuchania mordercy. Opublikowane później przez władze wyniki śledztwa roją się od sprzeczności. Nikołajew, jak głosi raport, walczył jako młody chłopak po stronie "czerwonych" w wojnie domowej i w 1920 roku wstąpił do partii. Między tą datą a czasem popełnienia zbrodni w życiorysie Nikołajewa jest biała plama. W raporcie przypisano mu niejasne kontakty z "grupami kontrrewolucjonistów". Wiele wskazuje jednak na to, że w rzeczywistości pracował dla NKWD.

Oficjalnie zarzucono mu, że w 1928 roku "dogłębnie rozczarowany partią zdradzającą ideały rewolucji" przeszedł na stronę wrogów państwa radzieckiego.

Podany czas przemiany Nikołajewa jest bardzo znaczący, zbiega się bowiem z datą wygnania Lwa Trockiego. I mimo że imię Trockiego nie pada w powiązaniu z morderstwem, zarysowują się już dalsze intencje Stalina.

Na pytanie, dlaczego zamordował takiego wybitnego towarzysza jak Siergiej Kirow, Nikołajew miał odpowiedzieć: "Nie strzelałem do niego. Strzelałem do partii".

W tak naświetlonych okolicznościach, biorąc pod uwagę przyznanie się oskarżonego, nie było właściwie obiektywnego powodu, by Nikołajewa nie postawić przed normalnym sądem. Ale właśnie tego Stalin nie chciał ryzykować. Morderca i kilku pośpiesznie schwytanych "wspólników" zostali skazani na mocy dekretu antyterrorystycznego - o ile w ogóle doszło do rozprawy - przez tajny trybunał. Wyrok wykonano w jednej z piwnic leningradzkiego NKWD.

Gdyby Stalin zamknął sprawę na straceniu Nikołajewa i jego bezpośrednich "współspiskowców", światowa opinia publiczna prawdopodobnie zadowoliłaby się tym, a teoria samotnego zabójcy z niewiele znaczącymi wspólnikami pozostałaby niepodważalna. Teraz jednak

natrętnie nasuwa się koncepcja, że morderca działał na bezpośrednie polecenie Stalina i NKWD, po czym został zlikwidowany jako niewygodny świadek.

Plany Stalina sięgały znacznie dalej poza eliminację leningradzkiego szefa partii jako potencjalnego rywala. Wszyscy możliwi konkurenci mieli być wysłani na tamten świat w drodze na wielką skalę zaplanowanej operacji "morderstw sądowych".

By osiągnąć swój cel, Stalin nie wahał się przed postawieniem na szali swej wiarygodności.

Podstawą dla największej politycznej czystki XX wieku, której ofiarami byli prawie wszyscy żyjący jeszcze w 1934 roku bohaterowie rewolucji październikowej, było rzekome zeznanie Nikołajewa. Przy czym otwarte zostaje pytanie, czy morderca Kirowa torturami zmuszony został do takiego wyznania, czy też było to fałszerstwem NKWD.

Pierwszy cios skierowany był przeciwko najbliższym towarzyszom broni Stalina - Zinowjewowi i byłemu zastępcy Lenina- Kamieniewowi. Władcy Kremla nie obchodziło, że obaj w tym czasie już byli zupełnie odsunięci od władzy. Nienawidził ich, gdyż po śmierci Lenina musiał zabiegać o ich wsparcie w celu odsunięcia Lwa Trockiego od władzy. Poza tym mimo niesławy obaj byli postaciami historycznymi, których autorytet przyćmiewał kiedyś blask Stalina.

Patrząc z naszej perspektywy wydaje się dziwnym, że obaj towarzysze broni Lenina nie próbowali nawet zbiec spod pazurów Stalina - na przykład za granicę. Sposób, w jaki Gruzin ich traktował między 1924 a 1934 rokiem - przez dziesięć lat, powinien stanowić wystarczające ostrzeżenie.

Po śmierci Lenina, Zinowjew - pierwszy sekretarz Kominternu od 1919 roku wraz ze szwagrem Trockiego Kamieniewem stanęli po stronie Stalina. Niewdzięczność nowego władcy Kremla dosięgła ich już w dwa lata później. Obaj zostali wydaleni z Politbiura pod zarzutem "oportunizmu" i podczas gdy Kamieniewa "zesłano " na stanowisko ambasadora we Włoszech, jego towarzysz wylądował całkiem na bruku. W 1927 roku obaj zostali wydaleni z KPZR. W 1929 po złożeniu przez obu samokrytyk zostali przyjęci ponownie - jednak bez żadnej funkcji. W styczniu 1935 roku - krótko po zamordowaniu Kirowa - Stalin zesłał obu starych komunistów na Syberię pod zarzutem kontrrewolucyjnych knowań, nie łącząc ich na razie bezpośrednio z zamachem.

Był to dopiero wstęp. Dyktator nie spieszył się. Dopiero na początku 1936 roku, gdy o zamordowaniu Kirowa już prawie zapomniano, Kamieniew i Zinowjew zostali aresztowani i przewiezieni do Moskwy. Dopiero teraz skonfrontowano ich z wątpliwym świadectwem dawno zlikwidowanego Nikołajewa:

Po pół roku na podstawie tego absurdalnego dokumentu sporządzono akt oskarżenia przeciwko Zinowjewowi, Kamieniewowi i wielu innym starym bojowcom - o podżeganie do zamordowania Kirowa.

Nie mamy prawa osądzać ofiar najcięższych fizycznych i psychicznych katuszy, jednak po obu weteranach rewolucji październikowej ich miłośnicy spoza Związku Radzieckiego oczekiwali nieco więcej kręgosłupa moralnego. Obaj publicznie przyznali się nie tylko do morderstwa na Kirowie, zeznali również, że na zlecenie Trockiego przygotowywali zamordowanie Stalina i obalenie władzy radzieckiej. Obaj żydowscy komuniści przyznali się również do konspirowania z Niemcami Hitlera. Do zamordowania Napoleona prawdopodobnie też by się przyznali.

Gdyby ratowali w ten sposób swe życie - poniżające wyznania i skrucha byłyby bardziej zrozumiałe. Obaj zostali straceni natychmiast po ogłoszeniu wyroku - 25 sierpnia.

"Zeznania" Zinowjewa i Kamieniewa posłużyły za podstawę do drugiej tury wielkich pokazowych procesów. Znów wybitni starzy komuniści zasiedli na ławie oskarżonych - Karol Radek i znakomity teoretyk gospodarczy Grigorij Piatakow. Oni również zostali oskarżeni o spiskowanie przeciwko Stalinowi i państwu - oczywiście na zlecenie Lwa

Trockiego.

Sprawę Kirowa poruszano jedynie na marginesie, oskarżający skupiali się raczej na domniemanych kontaktach spiskowców z Trzecią Rzeszą. I znów po pełnych skruchy wyznaniach zapadły wyroki śmierci. Radek wyratował się długoletnią karą więzienia, lecz łagodność sędziów na niewiele się zdała - został zlikwidowany w więzieniu.

Niesamowita seria pokazowych procesów nie skończyła się na tym. Następni byli przywódcy tak zwanego "prawego skrzydła" KPZR, którzy do tej pory wiernie popierali Stalina. Na przykład Bucharin, mianowany przez Stalina przywódcą Trzeciej Międzynarodówki po upadku Zinowjewa. I - jako ukoronowanie bezwstydności - szef NKWD Henryk Jagoda zbierający Stalinowi do tej pory "materiały obciążające" do pokazowych procesów. Obaj zostali straceni.

Dla porządku należy jeszcze wspomnieć, że "czerwony car" w tym samym czasie likwidował tysiącami najzdolniejszych oficerów radzieckich sił zbrojnych, między innymi sławnych marszałków: Tuchaczewskiego i Bl□chera.

Powracając do Kirowa: podobnie jak wielu innym ofiarom krwiożerczych dyktatorów również jemu sprawiono pompatyczny pogrzeb. Ponad milion ludzi oddało zmarłemu ostatni hołd.

Dziś Kirow spoczywa pomiędzy Wielkimi Związku Radzieckiego w kremlowskim murze. Niedaleko wmurowano urnę rehabilitowanego przez Chruszczowa Kamieniewa. A przed tym grobem stoi "wyższe rangą" popiersie Józefa Stalina. Morderca i jego ofiara połączeni po śmierci.

Zaiste, świat ludzi radzieckich jest dziwną menażerią. Zamordowany Kirow został obsypany również innymi zaszczytami. Historyczne miasto Wiatka wraz z leżącą wokół niego obłastią otrzymały jego imię. Gandża - drugie co do wielkości miasto sowieckiej republiki Azerbejdżanu - gdzie Kirow zdobywał swe pierwsze ostrogi przy likwidacji niezależnych republik kaukaskich, przemianowano na Kirowabad. W 1939 roku nowo założony powiat na Ukrainie - razem z jego stolicą - nazwano Kirowgrodem. Stolica ta - historyczny Jelisavetgrad - nosiła w latach 1924 - 1926 miano Zinowjewska. W końcu ochrzczono imieniem Kirowa miejski teatr w Leningradzie wraz z jego znakomitym baletem.

Wszystko na cześć człowieka, którego słusznie można uważać za pierwszą ofiarę wielkich stalinowskich czystek.

LEW TROCKI (1879 - 1940)

Obaj tworzyli historię - rewolucjonista i jego kat: Lew Trocki i Ramon Mercader.

Trocki był z pewnością najwszechstronniejszym i najmniej ortodoksyjnym z założycieli Związku Radzieckiego. Z nim samym na czele bolszewicy prawdopodobnie nie osiągnęliby swego historycznego zwycięstwa. Bez niego jednak rewolucja październikowa prawdopodobnie zduszona zostałaby w zarodku, a następująca po niej wojna domowa przegrana. Mimo że został przegnany z oficjalnej historii rewolucji, a nawet wyretuszowany z pamiątkowych fotografii, jego wkład był niezaprzeczalny.

Ale również Ramon Mercader, morderca, należał do ścisłej czołówki wśród politycznych zamachowców. "Śpioch", którego lepiej nie naszkicowałby autor bestsellerów John la Carre. Człowiek nieograniczonej cierpliwości, zimny i beznamiętny, stoik i milczek jednocześnie.

Każdy dyktator życzyłby sobie takiego narzędzia zbrodni. Józef Wissarionowicz Stalin znalazł je. Jak - do dziś pozostało tajemnicą. Nawet Nikita Chruszczow dementując potęgę Stalina nie odważył się ujawnić prawdy. Pewnym jest jedynie, że nie tylko sowieckie służby bezpieczeństwa ale i Stalin osobiście poznał się na zdolnościach Mercadera. Dla takiego człowieka tylko jedno zadanie wchodziło w rachubę. Najważniejsze, jakie gruziński dyktator miał do zlecenia: zamordowanie tego, kogo najbardziej nienawidził i kogo jednocześnie

najbardziej się obawiał - Lwa Trockiego.

Skąd jednak obawa jednego z największych władców świata przed człowiekiem przekreślonym już przez wielkoświatową politykę, którego grono prawdziwych czy urojonych zwolenników zostało już bez reszty zlikwidowane?

Odpowiedź tkwiła prawdopodobnie w podświadomości Stalina. Struktura państwowa, którą stworzył, odległa od koncepcji leninowskiej, miała charakter hierarchiczny. A w "starszeństwie" Trocki potężny czy też pozbawiony władzy był przed Stalinem. Samo jego istnienie stwarzało niebezpieczeństwo. Musiał więc umrzeć.

Stalin już raz pozwolił ujść swemu oponentowi, lub musiał się na to zgodzić, ponieważ wtedy jeszcze nie mógł sobie pozwolić ot tak po prostu na skrócenie o głowę żywej legendy rewolucji. Legendy, którą znał cały świat jeszcze przed przyjęciem do wiadomości istnienia niejakiego Józefa Stalina.

Lew Trocki, właściwie Lew Dawidowicz Bronstein, był synem żydowskich rolników, urodzonym w 1879 roku w Janówce na południu Ukrainy. Była to rzadkość, gdyż w carskiej Rosji Żydzi zwykle nie uprawiali ziemi. Miał zostać prawomyślnym nauczycielem, lecz ledwo ukończył szkołę realną, już dostał się pod wpływ samozwańczych rewolucjonistów. Jako 18-latek po raz pierwszy aresztowany i osadzony w więzieniu w Nikołajewie - pierwszym z około 20 zakładów karnych, przez które miał przejść w swym życiu. Nastąpiło zesłanie na Syberię, które dzieliła z nim jego towarzyszka walki i pierwsza żona - Aleksandra Sokołowskaja.

W Irkucku znalazł zajęcie jako reporter w prawomyślnej prowincjonalnej gazecie, gdzie pisywał pod pseudonimem "Antid Oto" - będącym zniekształceniem włoskiego antidoto - odtrutka.

Nazwisko "Trocki" przybrał dopiero później - w czasie ucieczki z zesłania i zupełnie przypadkowo, gdyż fałszywe dokumenty miał wystawione właśnie na to nazwisko. Jego żona i dwie córki pozostały w tym czasie jeszcze na Syberii.

Więzienie i zesłanie zmieniły niezależnego rewolucjonistę w nieortodoksyjnego marksistę. Nic więc dziwnego, że przebywając na emigracji w Londynie przyłączył się do grupy otaczającej Włodzimierza Ilicza Uljanowa - zwanego Leninem. Lenin rozpoznał agitatorski talent młodego Bronsteina. Nazwał go "sprężyną" i wysyłał z różnymi misjami za granicę. Podczas jednej z nich - w Paryżu - Trocki poznał skruszoną rosyjską arystokratkę - Natalię Sedową, która do końca życia pozostała u jego boku.

Rewolucja 1905 roku umożliwiła mu powrót do Rosji, jej upadek zaprowadził go z powrotem za kratki. Ponownie został zesłany, ponownie udało mu się uciec. Najpierw do Berlina, następnie do Wiednia, gdzie zamieszkał z Natalią i z urodzonymi w międzyczasie dwoma synami na pełnym winnic przedmieściu Sievering.

Pracował tam w dosłowym tego słowa znaczeniu rękoma w małym warsztacie chemicznym, zaś jego właściwym domem była legendarna kawiarnia Caf, Central. Tych właśnie czasów dotyczył bon mot oberkelnera Jeana Czernego powstały w listopadzie 1917 roku: "Co, w Rosji rewolucja? A któż by ją wywołał? Może Herr Bronstein z pokoju szachowego?"

Jednak wiedeńska kawiarnia - miejsce spotkań literatów - nie jest w stanie na dłużej zatrzymać tego wiecznego tułacza między światami. W 1912 roku Trocki wziął udział w kongresie emigracyjnej rosyjskiej socjaldemokracji - jako rzecznik małego odłamu usytuowanego gdzieś pomiędzy bolszewikami a mieńszewikami. W następnym roku pojawił się w Konstantynopolu jako reporter relacjonujący wojnę bałkańską.

Wybuch pierwszej wojny światowej zastał go we Francji - występującego przeciwko wojennej polityce rządu francuskiego. Rząd zareagował wydalając uciążliwego cudzoziemca - tym razem do USA. Ponieważ inne kraje były dla niego zamknięte, Trocki pozostał w USA aż do rewolucji lutowej . Na podstawie jego powrotu do Rosji można by nakręcić film przygodowy. Podczas gdy Niemcy wywożą Lenina ze Szwajcarii w słynnym

zapieczętowanym pociągu - prosto do Szwecji, Trocki zostaje ze swego statku - mającego go dowieźć do Rosji - wyciągnięty na kanadyjski ląd przez Brytyjczyków. Dopiero gniewne protesty rządu Kiereńskiego nadchodzące z Piotrogrodu umożliwiają jego dalszą podróż. Rząd Kiereńskiego oczywiście nie miał pojęcia, kogo ściągnął sobie na głowę.

Po przybyciu do Piotrogrodu nadal uchodził za przywódcę malutkiej frakcji, która akcesu do bolszewików dokonała dopiero w czerwcu. Po tym razem z Leninem wywalczają sobie drogę do władzy.

Wkład Trockiego w zwycięstwo rewolucji październikowej jest olbrzymi i starannie przemilczany przez sowiecką historiografię. Z pewnością nie był typem trybuna ludowego jak Lenin, potrafiącego porwać za sobą tłumy do walki. Jednak to on swoją argumentacją skłonił do przejścia na stronę rewolucji obsadę twierdzy Piotra i Pawła, uzyskując strategiczne panowanie nad starą stolicą.

Pierwsze zadanie, przekazane mu przez Lenina po zwycięstwie rewolucji, było niemal akcją samobójczą. Miał wypełnić przyrzeczenie bolszewików odnośnie zakończenia wojny. Jako ludowy komisarz spraw zagranicznych przewodził radzieckiej delegacji negocjującej z państwami środka w Brześciu Litewskim. Trzeba przyznać, że Trocki prowadził rokowania we własnym spektakularnym stylu. Jeszcze przed rozpoczęciem rozmów ogłosił koniec wrogości i wezwał żołnierzy wszystkich krajów do zbratania się.

Mimo sprytu Trockiego warunki pokojowe z Brześcia są twarde. Do tego stopnia, że Rada Komisarzy Ludowych przyjmuje je przewagą jednego głosu. Ale Trocki osiągnął swój cel: zaraził żołnierzy wroga duchem - czy też wirusem - rewolucji.

Po nominalnym zawarciu pokoju Bronstein przeniósł się do ministerstwa wojny, czyniąc tam istne cuda. Wnet bowiem wybuchła wojna domowa i ten cywil nigdy nie mający w ręku karabinu tworzy z niczego Armię Czerwoną. Armię, która w końcu zwycięża zawodowych "białych" żołnierzy i wojska interwencyjne ententy. Mimo tych przewag większości nierosyjskich obszarów europejskich nie udało się utrzymać. Jednak państwo zwane początkowo Rosją Sowiecką - obok którego egzystuje jeszcze Ukraina Sowiecka - utrzymało się. Ostatni akt Trockiego jako komisarza wojny jest chyba najbardziej okrutny: zdławienie rewolty marynarskiej w Kronstadzie. Z sowieckiego punktu widzenia była to prawdopodobnie konieczność spełniona dla większej konsolidacji państwa.

Międzynarodowa sława Trockiego pomału przestała się pokrywać z jego rzeczywistą władzą. Lenin ceniący go mimo wszystkich sprzeczności ideologicznych pomiędzy nimi, nie jest już ten sam. Po zamachu dokonanym na niego przez eserkę Fanny Kaplan w 1918 roku udary ograniczają jego siły - walka o sukcesję rozpoczęła się.

Właśnie w tym momencie Trocki popełnia fatalny w skutkach błąd - opowiada się za "zmianą warty", za zastąpieniem starej gwardii młodszymi siłami. "Starzy" w odpowiedzi na to stworzyli jednolity front przeciw niemu. Po śmierci Lenina Trocki zostaje praktycznie odsunięty przez Stalina, Kamieniewa i Zinowjewa. Trójka ta degraduje Lwa Trockiego i zsyła go na daleki wschód Związku Radzieckiego - do Ałma-Aty.

Ponieważ Stalinowi nie byli potrzebni poplecznicy, obaj starzy komuniści również zostali odłączeni. Jednak Trocki nie poddał się: w pierwszych miesiącach swego zesłania zredagował i wysłał ponad 800 politycznych listów i 550 telegrafów. Analogicznych rozmiarów poczta napływała doń ze wszystkich stron.

Nastąpiła typowa reakcja Stalina - zemścił się najpierw na rodzinie oponenta. Mężowie jego córek Niny i Zinajdy zostają deportowani, po czym umiera Nina w wieku jedynie 26 lat.

W styczniu 1929 roku kolej na Trockiego. Jego dom w Ałma-Acie zostaje otoczony, a jemu samemu doręczono rozkaz wydalający go. Najpierw wraz z Natalią i synem Leonem wsadzony został do pociągu do Rosji Wewnętrznej. Dopiero tam poinformowano go, że na miejsce zesłania wybrano Istambuł. Trocki protestując wzbraniał się opuścić dworzec. Stalin jest gotowy jedynie do jednego ustępstwa: drugiemu synowi Siergiejowi i żonie Leona

wolno będzie odprowadzić wygnanych do Odessy. Tam ich drogi rozdzielają się na zawsze. Jedni powrócą do Moskwy, drudzy zaś wsiądą na pokład statku płynącego do Istambułu. Statek nosił dumne miano "Ilicz".

Wydalenie Trockiego utrzymywane było w ścisłej tajemnicy.

Dlatego nowo przybyły powitany został przez sowieckiego konsula jako gość honorowy - łącznie z zaproszeniem do mieszkania w domu konsula.

Trocki tymczasem nie myślał zestarzeć się jako milczący emigrant. W Istambule poinformował prasę światową o okolicznościach swego wypędzenia. Zmusiło to Stalina do odtajnienia całej sprawy. W Związku Radzieckim ale również w mediach zagranicznych partii komunistycznych rozpoczęła się bezprzykładna nagonka na byłego bohatera rewolucji.

Pierwszą konsekwencją dla Trockiego jest utrata schronienia w konsulacie. Nie było to jednak takie tragiczne. Po pewnym czasie znajduje podupadły pałacyk na Wyspie Książęcej na Morzu Maramara, dokąd sułtan zsyłał niemiłe mu osoby - ironia losu, którą Trocki potrafi docenić.

Jeszcze był pełen optymizmu. W wieku 49 lat zamierzał rozpocząć nowe życie jako niezależny uczony - dziś powiedzielibyśmy politolog. W czterech wkrótce napisanych książkach odsłonił mechanizmy dyktatury Stalina. W odpowiedzi na to Sowieci wzmocnili naciski na Turków, którzy zaczęli sugerować swemu niedobrowolnemu gościowi, by jął rozglądać się za nowym miejscem azylu. Trocki bardzo chętnie opuściłby Turcję, lecz wszędzie trafiał na zamknięte drzwi. Jedni odrzucali go jako rewolucjonistę a inni jako kontrrewolucjonistę.

W lutym Leon Trocki otrzymał niemiecką wizę studencką i jako pierwszy mógł wyjechać z wyspy. Również córka Trockiego Zinajda wraz z synem Sewą otrzymuje wizę - dla niej już za późno - ciężko chora psychicznie i fizycznie popełniła samobójstwo.

Nareszcie w czerwcu 1933 roku stary Trocki mógł opuścić Turcję. Francuski rząd udzielił mu wizy ograniczonej wieloma "jeżeli" i "kiedy" na pobyt na południu Francji. Trocki został zmuszony do zaakceptowania stałego policyjnego nadzoru.

Mimo wszelkich środków ostrożności Francuzom nie jest zbyt przyjemnie. Przed zawinięciem statku do Marsylii, małżeństwo Trockich przejęte zostało przez małą barkę i przewiezione do portu w Cassis. Sympatycy wynajęli tymczasem małą willę w wiosce St. Palais, gdzie prześladowany mógł się czuć jak w domu. Jego incognito przez pewien czas pozostaje nienaruszone, co jest o tyle dziwne, że Trockiego przez cały czas odwiedzają wybitni goście, np. późniejszy belgijski minister spraw zagranicznych Paul Henri Spaak czy słynny Andre Malraux.

Wydalony nie zamierza jednak prowadzić spokojnego życia. Wkrótce rozpoczął pracę nad założeniem Czwartej Międzynarodówki, co zamierzał urzeczywistnić w sierpniu 1933 roku. Jednak już wstępne rozmowy kończą się całkowitym fiaskiem, gdyż obecne grupy nie mogą się zgodzić na jeden wspólny program działania.

W październiku francuskie władze poczuły się na tyle bezpiecznie, by "gościowi" zezwolić na przeprowadzkę do Barbizon - miejscowości położonej nieco na południe od Paryża. Tam jego incognito zostaje odsłonięte prawdopodobnie niezamierzenie przez nadgorliwego urzędnika. Komuniści i prawicowi ekstremiści przelicytowują się w procesach. Rząd czuje się zmuszony do ogłoszenia przynajmniej proforma wydalenia uciekiniera. Pozostaje to jednak gestem, gdyż żadne państwo nie zgodziło się przyjąć Trockiego.

Przez trzy miesiące błądzili z Natalią od miasta do miasta, aż Trocki znalazł zatrudnienie jako wiejski nauczyciel w okolicy Grenoble. Przez jedenaście miesięcy żyli w kompletnej izolacji. Jednak przeniknęły do nich alarmujące wiadomości. Pierwszego września 1934 roku Trocki dowiedział się o zamordowaniu pierwszego sekretarza leningradzkiej organizacji partyjnej Siergieja Kirowa. Morderca, niejaki Nikołajew, został po krótkim pobycie w więzieniu stracony wraz z 14 rzekomymi współspiskowcami. Nie koniec na tym. Zinowjew i Kamieniew, dotychczas po

złożeniu samokrytyki pozostawiani w spokoju, zostali aresztowani i skazani na więzienie.

Trocki od razu zrozumiał, że zamordowanie Kirowa jest czymś więcej niż tylko śmiercią wpływowego aparatczyka. Nie przeczuł jednak skali czystek, które miały nastąpić.

Dopiero po kilku tygodniach Trockiemu świta, że Stalin postanowił jego - emigranta obarczyć odpowiedzialnością za mord i że do tego celu potrzebne mu są zeznania Kamieniewa i Zinowjewa. A że Stalin nie mógł sięgnąć Trockiego osobiście, zlecił aresztowanie jego syna Siergieja - człowieka, który nigdy nie miał styczności z polityką. Jego dalsze losy są nieznane. Trocki otrzymał od niego ostatnią wiadomość w 1938 roku - po tym prawdopodobnie został zlikwidowany. Również pierwsza żona Trockiego Aleksandra wraz ze szwagrami i trzema wnukami została wygnana z europejskiej części ZSRR.

W środku 1935 roku Trocki otrzymał informację, że socjaldemokratyczny rząd Norwegii zgodził się przyznać mu wizę pobytową. Jednak gdy udał się do Paryża, by osobiście odebrać decyzję, został aresztowany za naruszenie warunków swego pobytu i otrzymał 48 godzin do opuszczenia kraju. Norweski konsul uznał się za niekompetentnego w tej sprawie i dopiero osobisty apel Trockiego do norweskiego premiera zabezpiecza mu sześciomiesięczny pobyt w Skandynawii.

Po przybyciu do Oslo powtórzyła się niegodna sztuka, którą wygnaniec poznał już w Turcji i we Francji. Do protestów konserwatystów dołączyli miejscowi narodowi socjaliści i komuniści. W pierwszych dniach pobytu Trocki nawet mieszkania nie mógł znaleźć. Schronienia udzielił mu dopiero po kilku tygodniach socjalistyczny dziennikarz Konrad Knudsen w swym domu w Hnefess, mniej więcej 50 km od Oslo.

Rząd norweski, podobnie jak wcześniej francuski, zakazał Trockiemu jakiejkolwiek działalności politycznej. Przypominali mu o tym norwescy politycy odwiedzający go w jego azylu, między innymi późniejszy sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych Trygve Lie.

Stosunki w owym czasie były w zasadzie bezproblemowe - do tego stopnia, że Trocki mógł - po raz pierwszy od lat - poruszać się bez eskorty.

Prawdopodobnie z uwagi na zmianę klimatu Trocki cierpiał na powtarzające się napady osłabienia i gorączki, które w końcu doprowadziły do hospitalizacji. Wygnaniec musiał przerwać działalność pisarską, co z kolei odbiło się ciężko na jego finansowym położeniu.

Do tego wszystkiego Kreml - przy pomocy miejscowych narodowych socjalistów - znów "wstrzelił się" w Trockiego. Gdy Moskwa ze znaczącą serdecznością przyjęła norweskiego ministra spraw zagranicznych, wygnaniec mógł już podejrzewać, że handluje się jego głową.

Był to jednak tylko przedsmak przyszłości. W sierpniu 1936 roku w Moskwie rozpoczął się wielki proces pokazowy przeciwko starym komunistom - Kamieniewowi, Zinowjewowi i czterem dalszym towarzyszom. Właściwymi oskarżonymi mieli być jednak Trocki i jego syn Leon. Przestępstwa zarzucane mu przez oskarżyciela a następnie potwierdzone zeznaniami "oskarżonych" były tak absurdalne, że nie wymagają szczegółowej analizy. Ich spektrum sięgało od terroryzmu aż do kolaboracji z niemieckimi narodowymi socjalistami. Z okazji XX zjazdu KPZR Nikita Chruszczow wyraźnie zdystansował się od prowadzenia procesów pokazowych, jednak do rehabilitacji Trockiego nie doszło.

Wobec monstrualnych oskarżeń - z rozkoszą kolportowanych zarówno przez media nazistowskie jak i komunistyczne - Trocki poczuł się zobligowany do publicznej repliki, co z kolei zmusiło go do wykroczenia przeciw warunkom udzielonego azylu.

Na to Moskwa tylko czekała. Nie zażądano wprawdzie ekstradycji, tylko wydalenia "wroga państwa", lecz przez to rząd Norwegii znalazł się w podobnie nieprzyjemnej sytuacji jak poprzednio francuski - żadne państwo nie zgadzało się przyjąć Trockiego. Gospodarze zastosowali wobec niego areszt domowy wydalając jednocześnie jego sekretarzy. Trockiemu

pozostał w tym czasie tylko jeden zdecydowany obrońca - jego osiadły w Paryżu syn Leon. Jesienią 1936 roku opublikował on "czerwoną książkę" o procesach moskiewskich odpierając punkt po punkcie wszystkie oskarżenia. Również Leon Trocki - nie będąc tego świadomy - znajdował się w tym czasie w poważnym niebezpieczeństwie. Stalin wysłał bowiem agenta - Marka Zborowskiego zwanego "Etienne", któremu wkrótce udało się zdobyć zaufanie zarówno syna jak i ojca. Agent ów kopiował wszelkie dokumenty z archiwów obu dysydentów na użytek Kremla, oczekując jednocześnie na dalsze instrukcje.

Nielicznych sympatyków miał Trocki również w Ameryce. Nie udało im się wprawdzie załatwić zgody na przyjazd wygnańca do USA, nawiązali jednak kontakt z prezydentem Meksyku - generałem Lazaro Cardenasem. Cardenas jest dziś uważany - słusznie zresztą - za ojca współczesnego Meksyku. Przeprowadził on pierwszą prawdziwą reformę rolną oraz upaństwowił amerykańskie pola naftowe znajdujące się w Meksyku.

Cardenas nie ociągał się przed przyznaniem Trockiemu azylu. Temu jednak propozycja kraju, którym nigdy poważnie się nie zajmował, wydała się zaskakująca. Podejrzewał nawet pułapkę czyhającą szczególnie podczas długiej morskiej podróży, odpowiednio do swych odczuć wysłał swój testament do Paryża, do swego syna Leona. Nie przeczuwał jednak, że śmierć jest bliżej Leona niż jego samego.

19 grudnia Trocki wraz z Natalią i eskortą policyjną zaokrętował się jako pasażer na pokładzie tankowca. Narwegia i Meksyk traktowały zagrożenie bardzo poważnie. Statek płynął daleko od zwyczajowych szlaków, przez co podróż była odpowiednio długa, trwała ponad trzy tygodnie. Gdy tankowiec osiągnął wody południowe, pozostawiając za sobą zimowe sztormy, wieczny wędrowiec wykorzystywał czas, by studiować wiadomości o kraju, który go oczekiwał.

9 stycznia 1937 roku tankowiec zawinął do naftowego portu Tampico, lecz pasażer nie chciał opuścić pokładu nie otrzymawszy odpowiednich gwarancji. Eskorta zamierzała wysadzić go na ląd siłą, lecz w tym momencie przy burcie zacumował barkas. Na pokładzie znajdował się ni mniej ni więcej tylko generał Cardenas, który nie mógł odmówić sobie osobistego powitania gościa.

W swoim nowym, pulsującym jeszcze duchem rewolucji otoczeniu nowo przybyły poczuł się lekko jak nigdzie. Najsłynniejszy meksykański malarz Diego Rivera przyjął go gościnnie do swego wiejskiego domu. Malarz należał do meksykańskiej partii komunistycznej, lecz po pierwszych czystkach w Moskwie odrzucił ideologię Stalina. Przeciwnie do jedynego lokalnego rywala w sztuce malarskiej Davida Siqueirosa nadal uparcie trzymającego się linii Kremla.

Również w Meksyku Trocki- nie uzyskał spokoju. Krótko po jego przybyciu w Moskwie rozpoczął się drugi pokazowy proces skierowany przeciw starym komunistom: Radkowi, Piatakowi i tuzinowi innych. I znów zasadnicze oskarżenie skierowane jest pod adresem Trockiego. Tym razem wygnaniec nie zamierzał się zadowolić opublikowaniem swych sprzeciwów, lecz zaaranżował "kontrproces", co okazało się bardzo trudnym przedsięwzięciem. Wiele liberalnych postaci, które zamierzał skaptować do "trybunału", lękliwie pokazało mu plecy. Na rolę przewodniczącego trybunału zgodził się w końcu najznamienitszy pedagog amerykański - John Dewey. Trybunał opublikował obfitą, demaskatorską dokumentację, która jednak nie odbiła się międzynarodowym echem.

Trockiego w życiu prywatnym również gnębią trudności. Jego zbyt bliska przyjaźń z żoną Rivery mąci nie tylko stosunki z gościnnym gospodarzem ale i z Natalią. W tym czasie nastąpił kolejny cios. W lutym 1938 roku - mniej więcej w tym czasie rozpoczęła się w Moskwie trzecia pokazówka przeciwko Bucharinowi i jego towarzyszom - przebywający nadal w Paryżu Leon zachorował na zapalenie ślepej kiszki. Jego "przyjaciel" Zborowski nie zawiózł go do publicznego szpitala, lecz do jakiejś obskurnej kliniki. Cztery dni później Leon zmarł. Z pewnością Stalin maczał w tym palce.

Moskiewska pokazówka zakończyła się likwidacją ostatnich towarzyszy broni Lenina. Również armia oczyszczona została z wszelkich "bonapartystów". Teraz Stalin mógł wytoczyć armaty przeciwko swemu arcywrogowi.

W tym czasie spisek był już w toku. Stalin wprowadził do akcji swego "śpiocha" Mercadera po raz pierwszy na kongresie założycielskim Czwartej Międzynarodówki we wrześniu 1938 roku. Mercader podawał się wtedy za Belga nazwiskiem Jacques Mornard. Trocki znajdował się wtedy poza zasięgiem - w odległym Meksyku, ale to nie o to chodziło. Szarmancki Mornard postawiony zostaje na drodze sekretarki Trockiego Sylvii Agelof.

Sylvia jest tym, co zwykło się określać mianem "szara myszka". Urodzona w Nowym Jorku jako dziecko wschodnioeuropejskich imigrantów przyłączyła się w 1937 roku wraz z siostrą do trockistowskiego ruchu.

Dla komunistycznych dysydentów obie siostry są cennym nabytkiem. Jako Amerykanki nie mają w czasie podróży żadnych kłopotów z wizami, ponadto są finansowo niezależne. Dodatkowo Sylvia ma bardzo duży talent do nauki języków obcych, co w krótkim czasie czyni ją jedną z najważniejszych współpracowniczek Czwartej Międzynarodówki.

Ramon Mercader zagina więc parol na Sylvię, która bez oporów połyka przynętę. Początkowo stosunek między nimi pozostaje czysto osobisty - nie ma żadnego politycznego czy konspiracyjnego wymiaru. "Śpioch" wie, że nie wolno przeszarżować. Ogranicza się do oprowadzania z przyjaciółką oraz w przerwach w kongresie - do obwożenia jej po Francji swym sportowym samochodem.

Sylvia i jej przyjaciele powinni już wtedy nabrać podejrzeń - czemu Mornard określający się jako "całkowicie apolityczny człowiek", sprawiający wrażenie bogatego lowelasa miałby się interesować osobą "szarej myszki".

Wkrótce po kongresie Sylvia powraca do Nowego Jorku. Jej przyjaciel pozwala jej po prostu odjechać. Nie wiadomo czy pozostawała z nim w kontakcie w tym czasie. Mornard pojawia się u Agelofów w sześć miesięcy później - w czasie gdy wybucha wojna. Tyle, że w Nowym Jorku nie nazywa się już Mornard lecz Frank Jacson.

Ta nagła zmiana nazwiska powinna obudzić czujność Sylvii, jednak kochanek przekonuje ją, że zmienił tożsamość, by ujść służbie wojskowej w reakcyjnej belgijskiej armii.

W światku trockistów zmiany tożsamości i fałszywe papiery nie były rzadkością, ale u tak apolitycznego człowieka, jakim był Mornard?

Jakkolwiek było, Sylvia ponownie nabiera się na przyjaźń Mornarda. Na marginesie "Jacson" znakomicie zna Nowy Jork, mimo że twierdzi, iż nigdy nie był w tym mieście. Ale dziewczyna wierzy mu we wszystko, gdyż pragnie wierzyć.

Do swej nowej tożsamości Jacson dołożył sobie również nowy zawód - twierdzi, że jest przedstawicielem firmy eksportowo-importowej z Meksyku, co uwiarygodniają jego przenosiny do Meksyku w październiku 1939 roku. Wie oczywiście, że Sylvia w najbliższym czasie ponownie podjąć ma pracę sekretarki Trockiego.

Temu zaś nie powodzi się zbyt dobrze. W międzyczasie skłócił się z Diego Riverą, który z kolei porzucił stronnictwo generała Cardenasa. Trocki znów musi wyszukać sobie nowy przytułek. W końcu wynajmuje mocno podupadłą posiadłość na przedmieściu Coyoacan. Ma to kilka zalet. Feudał budujący swój dom otoczył całą posiadłość wysokim kamiennym murem, przełamanym jedynie w jednym miejscu żelazną bramą. Przy tej bramie Trocki zleca wybudowanie wieżyczki - punktu obserwacyjnego dla jednego ze swoich strażników. Strażników ma Trocki ośmiu - są to wszystko amerykańscy trockiści pracujący jednocześnie jako sekretarze. Przed murem policja ustawia posterunek.

Hacjenda ma tylko jedną słabość. Do biura Trockiego znajdującego się na pierwszym piętrze z daleka można zajrzeć przez duże balkonowe drzwi. Szczególnie w nocy, gdy siedzi przy swoim biurku plecami do balkonu.

W październiku 1939 roku spotyka Trockiego wielka radość. Do Meksyku

przybywają starzy przyjaciele Alfred i Marguerite Rosmer przywożąc ze sobą jego wnuka Sewę - syna Zinajdy, który ostatnie lata spędził w Paryżu u swego wuja Leona, a po jego śmierci u jego żony Jeanne.

Radość nie trwa długo, gdyż stan zdrowia Trockiego znacznie się pogarsza. W marcu 1940 roku pisze nowy testament poświęcony w większości Natalii. "Do szczęścia bycia wojownikiem o socjalizm" - pisze - "los dał mi szczęście bycia jej mężem".

Trocki zmuszony został do ograniczenia swej pracy, a i świat pomału zaczął go zapominać. Nie zapomina tylko jeden: Józef Stalin. Władca Kremla doprowadził nawet do uznania Trockiego winnym za niepowodzenie komunistów w czasie wojny domowej w Hiszpanii.

W tym czasie Sylvia Agelof zawitała już do Meksyku, a za nią jak na sznurku wkroczył na scenę Frank Jacson.

Jak zawsze "śpioch" działa bardzo ostrożnie. Nikomu nie narzucając się zaprzyjaźnia się najpierw ze strażnikami, potem z małżeństwem Rosmerów, należącym już do "wewnętrznego kręgu". Na zewnątrz pozostaje jedynie przyjacielem Sylvii oczekującym jej wieczór w wieczór przed bramą hacjendy.

W końcu Sylvia sama żąda, by Jacson zaangażował się nareszcie politycznie. A ten łaskawie się zgadza. Przy czym mało brakowało, by się zdemaskował. Podał mianowicie Sylvii swój "adres biurowy", gdy zaś dziewczyna przypadkowo znajduje się w tej okolicy, a nie widzi śladu swego chłopca. Wzbudza to w niej podejrzenia, lecz tym razem Marguerita Rosmer uspokaja ją.

Przy czym as wśród agentów Stalina istotnie ma konspiracyjne biuro w Mexico City, gdzie na bieżąco spotyka się ze wspólnikami - przeważnie meksykańskimi komunistami. Ale to wychodzi na jaw dopiero w czasie śledztwa po śmierci Trockiego.

Przez przypadek Jacson zapoznaje się osobiście ze swą ofiarą. Rosmer zachorował i ponieważ agent jak zwykle oczekuje Sylvii przed bramą w samochodzie, jest proszony o przewiezienie chorego do kliniki na badanie i odwiezienie go z powrotem. Po powrocie Trocki osobiście dziękuje za samarytański uczynek.

Mimo że spisek rozwija się zadowalająco, Stalin zdaje się nie dowierzać swemu "śpiochowi" do końca. Niezależnie bowiem od jego działań Moskwa planuje inny zamach na życie Trockiego - na zupełnie innej płaszczyźnie. Malarz Siqueiros otrzymuje zadanie zorganizowania zakrojonego na dużą skalę ataku na hacjendę w Coyoacan.

Wieczorem 22 maja 1940 roku wartę przy bramie trzyma młody amerykański student Sheldon Harte. Nie ma jednak żadnego doświadczenia i otwiera wrota widząc przed sobą mężczyznę w mundurze oficera meksykańskiej policji. Przez bramę wpada całe komando i rozbraja strażników, po czym otwierają ogień z pistoletów maszynowych strzelając przez ściany sypialni Trockiego i jego wnuka Sewy. Na wszelki wypadek wrzucają jeszcze kilka bomb zapalających, po czym uciekają.

Dosłownie cudem Trocki, Natalia i Sewa uchodzą z życiem. Przy pierwszym bowiem odgłosie rzucili się na podłogę i pod łóżka. Tylko dwu osób brakuje po zamachu - policyjnego strażnika sprzed bramy i niefrasobliwego studenta, który wpuścił zamachowców. Zwłoki Amerykanina zostają potem odnalezione na pobliskiej farmie.

Krótko po tym zamachu Trocki po raz drugi spotyka się ze swoim katem. "Jacson" uczynnie zaoferował się przewieźć Rosmerów do Veracruz i gdy oczekiwał swoich pasażerów na dziedzińcu hacjendy, natknął się na Trockiego karmiącego króliki.

Stary rewolucjonista ściska mu tylko krótko dłoń, lecz Natalia nalega, by "przyjaciela domu" zaprosić na śniadanie. W ten sposób jego wejście do fortecy jest perfekcyjne. Staje się częstym gościem.

Najwyraźniej brakuje nadal konkretnych instrukcji z Moskwy - po nieudanym zamachu Kreml stał się ostrożniejszy, gdyż wkrótce "śpioch" oświadcza swym przyjaciołom, że musi wyjechać w interesach do Nowego Jorku i istotnie nie pokazuje się przez dwa tygodnie.

Powraca dopiero w lipcu, nie pojawiając się jednak w hacjendzie. Troccy dowiadują się od Sylvii o jego powrocie i zapraszają oboje na herbatę. Następuje krótkie spotkanie towarzyskie nie dające jednak mordercy okazji do urzeczywistnienia planów. Później Sylvia przypomniała sobie, że jej przyjaciel od powrotu z Nowego Jorku wydawał się być "jak odmieniony". Po raz pierwszy ofiarował jej trzy tysiące dolarów "na rzecz ruchu" zaznaczając, że jest bliski przyłączenia się do "dobrej sprawy". Właśnie te wyjaśnienia wzbudzają nieufność Trockiego wobec Jacsona. Nabija się z "bogatego Bossa" pozostawiając jednak sprawy swojemu biegowi.

Tymczasem plany Jacsona przybrały konkretną postać. Stara się o spotkanie z ofiarą w cztery oczy, gdyż najwyraźniej nie ma ochoty zostać męczennikiem. 17 sierpnia pojawia się w twierdzy prosząc Lwa Trockiego o rozmowę na osobności. Pragnie przedstawić mu swą publicystyczną pierwocinę - artykuł o podziałach wśród amerykańskich socjalistów. Przy czym mimo upału nosi kapelusz i płaszcz zachowując się "dosyć dziwnie".

Trocki zaprasza go do swego gabinetu i czyta elaborat mając Jacsona za plecami. Czemu morderca nie uderza? Nigdy się tego nie dowiemy. Może był aktorem potrzebującym próby generalnej?

Próba grozi przekreśleniem planów zabójcy. Trocki uważa elaborat za śmieszny, a zachowanie przyjaciela Sylvii wydaje mu się dziwne. Po opuszczeniu domu przez Jacsona wyznaje Natalii, że nie chce już nic słyszeć o nim. Jednak najbliższy mu człowiek potrafi rozwiać jego podejrzenia. Natalia uważa, że zna się na ludziach o wiele lepiej od swego męża, który "coś sobie uroił". Trzy dni później stalinowski kat jest znów na miejscu. I znów spotyka Trockiego przy karmieniu królików. Natalia proponuje mu herbatę, lecz morderca odmawia. Znów mimo upału nosi płaszcz, gdyż "może będzie padał deszcz". Z grzeczności Natalia pyta o elaborat. Jacson nerwowo wskazuje na kilka kartek maszynopisu oświadczając, że zrewidował swe tezy i pragnie je zaprezentować swemu mistrzowi.

Trockiemu wcale się to nie podoba, zgadza się jednak. Natalia odprowadza obu do gabinetu i zamyka za nimi drzwi. Ledwo oddaliła się o kilka metrów, zawraca ją potworny krzyk. Po sekundzie przerażenia wpada do gabinetu, strażnicy tuż za nią. Trocki zalany krwią opiera się o drzwi balkonowe, przed nim z łomem do kruszenia lodu stoi zbrodniarz.

Morderca przeliczył się. Nie udało mu się pierwszym uderzeniem zabić czy przynajmniej ogłuszyć ofiary. Trocki pozostał przytomny, przez kilka sekund bronił się obrzucając kata wszystkim, co wpadło mu w ręce.

Trocki, już u boku Natalii, osunął się na podłogę. "Teraz się stało" - szepnął i: "Natalio, kocham ciebie". Strażnicy w tym czasie jęli masakrować zamachowca. Trocki, nadal przytomny, powstrzymuje ich: "Nie zabijać. Musi mówić!"

W międzyczasie krzyczy Jacson: "Musiałem to zrobić. Wsadzili moją matkę!", co okazuje się kłamstwem podobnie jak wszystkie wcześniejsze oświadczenia mordercy.

Z upływem czasu pojawiają się sanitariusze i układają ciężko rannego na noszach. Jeszcze raz uświadamia sobie swą historyczną misję, wymagającą ostatniego słowa. "Wierzę w Czwartą Międzynarodówkę" - dyktuje swemu sekretarzowi Josephowi Hansenowi - "Walczcie dalej!"

Dopiero po kilku godzinach w szpitalu Trocki traci przytomność. Umiera w 20 godzin po zamachu w trakcie operacji. Przy autopsji lekarze stwierdzają ponadnormatywną wielkość mózgu i serca.

Sprawca, zidentyfikowany jako Ramon Mercader, syn katalońskich komunistów, trafia pod sąd w Mexico City. Uznaje się winnym odmawiając jednocześnie wszelkich dalszych zeznań. A Meksykanie, którym nie zależy zbytnio na komplikacjach, nie naciskają.

Osądzony zostaje na długoletnią karę więzienia. I również za kratami milczy uporczywie. Wypuszczony na wolność w latach siedemdziesiątych natychmiast wsiada w samolot do Europy Wschodniej, gdzie ślad po nim ginie.

Później mówiło się, że został zlikwidowany. Inne doniesienia plasowały go w Hiszpanii po śmierci generała Franco. Żadna z tych informacji nie uzyskała potwierdzenia. Morderca opuścił scenę równie cicho, jak na nią wszedł.

KARL LIEBKNECHT (1871 - 1919) i RÓŻA LUKSEMBURG (1870 - 1919)

Światowa historia zespoliła ich w tandem, nierozłączny w życiu i w śmierci: Karl Liebknecht i Róża Luksemburg. Fakt, że mężczyzna i kobieta stali razem na czele ruchu, odbierany był przez wrogie otoczenie nawet jako niemoralny. Jednak fakt pozostał faktem. Jeszcze dziś nie jest możliwe wspomnieć jedno nie wspominając jednocześnie drugiego.

Przy czym chodzi o dwie z gruntu różne osobowości. Nawet ze względu na ich pochodzenie mimo wspólnego żydowskiego pnia. Karl Liebknecht - niemiecki Żyd czy też żydowski Niemiec. Tak typowo niemiecki, jak mimo całego swego oddania sprawie socjalizmu potrafił być niemiecki Żyd, syn niemieckiego Żyda - obaj będący "produktem" rewolucji 1848 roku.

A Róża Luksemburg? Urodzona w Zamościu w Polsce pod zaborem rosyjskim. Wychuchana córeczka zamożnej żydowskiej rodziny.

Karl Liebknecht z uwagi na rodowód - jego ojciec Wilhelm był jednym z założycieli niemieckiej socjaldemokracji - miał zapewniony start w szeregach lewicy. Róża Luksemburg musiała dopiero ten start sobie wywalczyć.

Różnym był też stosunek do socjalizmu, o czym dziś się zapomina. Prawdopodobnie w innych, bardziej sprzyjających okolicznościach ich polityczne drogi prędko rozeszłyby się. Tylko trzy rzeczy łączyły ich: żydowskie pochodzenie, akces do rewolucyjnej klasy robotniczej i tragiczna śmierć.

Dzisiejsi młodzi rewolucjoniści, tak chętnie powołujący się na Karla Liebknechta i jeszcze chętniej na bardziej "ludzką" Różę Luksemburg czynią to w kompletnej nieznajomości prawdy. W odróżnieniu od swego zarośniętego nieco abnegackiego "kolegi po fachu" Kurta Eisnera, Liebknecht kładł nacisk na przyzwoity wygląd zewnętrzny. A dopiero "czerwona Róża"! Nikt nie widział jej nigdy zaniedbanej. Nawet w więzieniu obstawała przy codziennych wizytach u fryzjera. Nie z próżności - nie była bowiem pięknością - lecz z dumy. Ani Liebknecht, ani Luksemburg nie zamierzali nigdy żyć w miejskiej komunie ani nie sugerowali tego swoim wyznawcom. Ich mieszkania były kwintesencją mieszczańskości - służący byli oczywistością, co prawda dobrze traktowaną.

Karl Liebknecht urodził się, jak już wspomniano, razem z niemieckim ruchem socjalistycznym - 18 stycznia 1871 roku w Lipsku - w ówczesnej twierdzy niemieckiej lewicy. Jego ojciec wraz z Augustem Beblem założył w Eisenach pierwszą partię marksistowską w Niemczech - pod nazwą Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza - mającą niejako zrównoważyć bardziej pragmatyczną partię - Powszechny Niemiecki Związek Robotniczy - założoną przez Ferdynanda Lassalla.

Młody Liebknecht - najstarszy z pięciu synów - miał akurat trzy lata, gdy jego ojciec został po raz pierwszy wybrany do Reichstagu, gdzie jako deputowany urzędował aż do śmierci w 1900 roku.

Przy takim dziedzicznym "obciążeniu" było naturalnym, że Karl Liebknecht już jako młody student dołączył do ruchu. Przy czym nie sprawiał radości swemu ojcu, obracającemu się raczej w kręgach establishmentu. Momentalnie zaczął polemizować z biurokratycznym kierownictwem i po śmierci ojca zadeklarował się jako lewicowy dysydent.

Na ten czas przypada jego pierwsze spotkanie z Różą Luksemburg. Jej rodzice nie byli marksistami - nie mieli żadnych politycznych zainteresowań - lecz nie byli również takimi "Żydami z getta", jakimi ich później okrzyknięto. W rodzinie mówiono po polsku, a pięcioro dzieci uczyło się dodatkowo niemieckiego.

Wykształcenie było kluczem mającym rodzinie Luksemburg otworzyć bramę

umiarkowanego zamojskiego getta. W 1873 roku między innymi z uwagi na lepsze szkoły przenieśli się do Warszawy.

Zła kuracja stawu biodrowego spowodowała, że Róża była dziewczynką chorowitą, tak że niemieckiego musiała uczyć się samodzielnie. Mając dziewięć lat potrafiła już tłumaczyć niemieckie wierszyki na polski. Na niemiecką szkołę średnią po drugiej stronie granicy Luksemburgom nie wystarczyło pieniędzy - starczyło jedynie na Drugie Gimnazjum dla Dziewcząt w Warszawie, co nie było oczywistością dla żydowskiej dziewczynki w czasach naznaczonych segregacją narodową i religijną. W gimnazjum dziewczyna zetknęła się po raz pierwszy z lewicowymi prądami. W szkole istniała komórka rewolucyjnej partii Proletariat, do której Róża przystąpiła. Istnienie konspiracji w szkole było doskonale znane władzom, nie była jednak brana poważnie ze względu na młodociany wiek "spiskowców". "Lewicowa opinia", jaką Róża się cieszyła, spowodowała nieprzyznanie jej złotego medalu należnego z uwagi na najlepsze w klasie wyniki.

Po maturze konspiracja przybiera poważniejsze formy. Wkrótce młoda Luksemburg otrzymuje sygnał alarmowy - musi zniknąć z terenu zaboru rosyjskiego. Po kilku przystankach dociera do Szwajcarii, gdzie wtapia się w krąg polskiej emigracji. Przy okazji zapisuje się na uniwersytet w Zurychu - otrzymując finansowe wsparcie odległego domu rodzinnego.

Szwajcarskie studia były dla młodej emigrantki jednocześnie wyższą szkołą socjalizmu. Studiowała razem z licznymi rosyjskimi i polskimi uciekinierami. Decydującym było jednak jej spotkanie z rodakiem i człowiekiem pokrewnych zapatrywań - Lwem Jogichesem. Wprawdzie ich związek rozpadł się wkrótce przez nieustalone "skoki w bok" Jogichesa, jednak na zawsze pozostali towarzyszami walki. Jogiches już wtedy był żywą legendą. Dwukrotnie aresztowanemu przez władze carskie udało się przemycić do Zurychu znaczną sumę pieniędzy, przez co ruch uzyskał materialną podstawę istnienia. Emigranci nie byli jednomyślni. Ich energia rozdrabniała się w wewnątrzpartyjnych dyskusjach doktrynalnych, w których Róża zawsze odgrywała znaczącą rolę, za co nieraz była krytykowana przez starszych, bardziej doświadczonych towarzyszy np. przez przywódcę austriackich socjalistów Victora Aldera czy Wilhelma Liebknechta.

Jednak najważniejszym, obok zawarcia wielu znajomości, zyskiem szwajcarskich studiów było perfekcyjne opanowanie języka niemieckiego, co umożliwiło jej wypłynięcie na wody szersze niż kręgi emigracyjnych politykierów. W owym czasie doszła do przekonania, że jej przyszłość związana jest z Niemcami. By osiągnąć swój cel, była gotowa do pozornego małżeństwa z Niemcem, co automatycznie zapewniło jej niemieckie obywatelstwo.

Gdy w 1898 roku Róża Luksemburg jak trąba powietrzna wkroczyła do niemieckiej socjaldemokracji, ta była jeszcze mocno zdominowana przez starą gwardię. Po uchyleniu w 1890 roku Bismarckowskiej ustawy o socjalistach partia wyszła z podziemia i posiadając swych przedstawicieli w Reichstagu i w Landach utraciła dużo ze swego rewolucyjnego ducha.

Berlin nie przyjął "czerwonej osy z Zurychu", jak nazwał ją jej biograf Peter Nettl, z otwartymi ramionami. "Mam mnóstwo siniaków na duszy" - pisała do Lwa Jogichesa. Dopiero gdy Róża L□beck - jak głosiły jej nowe personalia - ujawniła swym towarzyszom, że posiada niemieckie obywatelstwo, przydzielono jej partyjne zadanie. Takie, którego nikt nie chciał się podjąć: propaganda przed nadchodzącymi wyborami do Reichstagu pomiędzy przeważnie polskiego pochodzenia górnikami Górnego Śląska.

Dla SPD Śląsk był wówczas "terra incognita". Nikt nia łamał sobie głowy nad statusem polskiej mniejszości narodowej, dlatego centrala partii nie opowiadała się pryncypialnie przeciwko germanizacyjnym dążeniom.

Misja Róży Luksemburg była kamieniem węgielnym późniejszego wzrostu znaczenia SPD na tym terenie - przy następnych wyborach partia odniosła

tam swoje największe zwycięstwo.

Decydującym dla późniejszej kariery Róży nie była jednak jej działalność na Śląsku, lecz przypadkowe zawarcie znajomości z Brunonem Sch"nlandem, redaktorem naczelnym najważniejszej pozaberlińskiej socjaldemokratycznej "Lipskiej Gazety Ludowej". Gazeta ta stanowiła dla niej platformę do wygłaszania tez w walce przeciw burżuazyjnemu otoczeniu, ale również przeciw "rewizjonistom" w obrębie własnej partii.

Z tego czasu datuje się zacieśnienie luźnej dotychczas znajomości z Karlem Liebknechtem, po tym jak dołączył on do grona krytyków stosunków wewnątrzpartyjnych - utworzonych między innymi przez swego ojca.

Zasadniczym wrogiem pozostał jednak ustrój wilhelmiński i konflikt ten doprowadził wkrótce Różę Luksemburg przed sąd. W czasie kampanii wyborczej 1903 roku starła się z samym cesarzem, który stwierdził, że rozumie problemy robotników lepiej od każdego socjaldemokraty. Odpowiedź Róży brzmiała: "Ten facet nie ma pojęcia o rzeczywistości".

W lipcu 1904 roku za obrazę majestatu zostaje skazana na trzy miesiące więzienia - po miesiącu musi przystąpić do odbywania kary w więzieniu w Zwickau. Wyrok nie wywołuje większej polemiki, gdyż jej towarzyszy partyjnych pochłania o wiele ważniejszy proces odbywający się w tym samym czasie w Królewcu. Czołowi tamtejsi socjaldemokraci oskarżeni zostali o spiskowanie i zdradę stanu za przemycanie rewolucyjnych pism z Niemiec do Rosji. Wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni, co między innymi było zasługą wspaniałej obrony w wykonaniu Karla Liebknechta. Wyrok uniewinniający był jednoznaczny z potępieniem carskiego reżymu.

Również Róża nie traktuje swojego wyroku zbyt poważnie - jest nawet zdumiona, gdy po sześciu tygodniach zostaje amnestionowana.

Karl Liebknecht ma dużo trudniejsze przejście z niemieckim sądownictwem. Od czasu królewieckiego procesu jest cierniem w oku władzy. Po opublikowaniu antymilitarystycznego artykułu w 1907 roku zostaje skazany na półtora roku więzienia w twierdzy i w związku z tym nie może objąć swego nowego urzędu - przewodniczącego młodzieżowej socjalistycznej międzynarodówki. Pomimo więzienia jego kariera toczy się dalej. Otoczony aurą politycznie prześladowanego zostaje w 1908 roku wybrany do pruskiego Landtagu, skąd po czterech latach awansuje do Reichstagu.

Polityczna aktywność Róży Luksemburg otrzymuje wkrótce nowy wymiar. Rosyjska rewolucja 1905 roku wzbudza w niej stare uczucia solidarności z Polakami. Natychmiast chce powrócić do kraju, gdzie się wychowała, by stanąć na czele walczącego polskiego proletriatu, lecz ciężka choroba krzyżuje jej plany. Gdy pod koniec roku pojawia się w Warszawie, los rewolucji jest już przypieczętowany. Mimo wszystko rozpoczyna agitację, za co na początku 1906 roku zostaje przez władze rosyjskie uwięziona. Ale reżym carski nie chce z niej uczynić męczennicy za sprawę i dysponuje zwolnienie za kaucją, co w praktyce jest równoznaczne z wydaleniem.

Po powrocie do Berlina niezmordowana rewolucjonistka poświęca się całkiem nowej działalności - wykłada w szkole partyjnej. Z tego okresu pochodzą jej najważniejsze książki - "Akumulacja kapitału" i opublikowane pośmiertnie "Wprowadzenie do narodowej gospodarki".

Kontrakt nauczycielski pozostawia jej wystarczająco dużo czasu, by mogła się nadal udzielać na forum międzynarodowym - głównie w kręgach polskiej i rosyjskiej partii. Doprowadza to do jej historycznego konfliktu z najwybitniejszą figurą rosyjskiej socjaldemokracji Włodzimierzem Iliczem Leninem. Gdy ten w 1913 roku dzieli parlamentarną frakcję socjaldemokratów rosyjskich na bolszewików (większość) i mieńszewików (mniejszość), dochodzi do wielkiego skandalu na londyńskiej konferencji Międzynarodówki. Róża Luksemburg proponuje formę ponownego zjednoczenia, którą obie strony odrzucają.

W kwietniu 1913 roku wybija wielka godzina Karla Liebknechta. Na forum Reichstagu odsłania, na podstawie niepodważalnych dowodów, nielegalne praktyki wielkich koncernów zbrojeniowych - przede wszystkim fabryki

Kruppa z Essen. Odziera "baronów armat" z mitu patriotyzmu, udowadniając im współpracę z fabrykami zbrojeniowymi innych - niekoniecznie z Niemcami zaprzyjaźnionych państw.

Wspólna walka przeciwko militaryzmowi jest tym czynnikiem, który spaja Liebknechta i Luksemburg w jeden zaprzęg. Na imprezie zorganizowanej we wrześniu we Frankfurcie, Luksemburg woła wojowniczo: "Gdy zakłada się, że podniesiemy morderczą broń przeciwko naszym francuskim czy innym braciom, odpowiadamy: Nie uczynimy tego".

Prokuratura dopatruje się w tym wezwania do nieposłuszeństwa w szeregach armii i wnosi oskarżenie. Proces odbywa się w lutym 1914 roku - Luksemburg traktuje ławę oskarżonych jako trybunę polityczną, co znacznie podnosi jej poważanie wśród towarzyszy i doprowadza jednocześnie do skazania jej na rok pozbawienia wolności. Obrona wnosi odwołanie, które z uwagi na wybuch wojny odrzucone zostaje dopiero 20 października. Róża nadal pozostaje na wolnej stopie, choć w każdej chwili może zostać osadzona w więzieniu.

W natłoku wydarzeń osobiste losy "czerwonej Róży" usunięte zostały w cień. Dla niemieckich socjalistów i ich towarzyszy z innych krajów wojna stanowiła ciężki konflikt sumień. Rozdarci między patriotyczne uniesienia a pacyfizm musieli jednak już w pierwszych tygodniach jasno się zadeklarować, gdy Reichstag zaaprobować miał przyznanie kredytów wojennych. 78 głosami przeciwko 14 socjaliści decydują się głosować za rządowym projektem przyznania kredytów, mimo że wśród oponentów znajdują się wybitne postaci życia partyjnego, między innymi Karl Liebknecht. Plenum uchwala dyscyplinę partyjną i SPD w całości głosuje za kredytami.

Karl Liebknecht nie porzucił jednak swej prywatnej walki przeciw wojnie. Gdy 2 grudnia sprawa kredytów wojennych ponownie jest przedmiotem głosowania, jako jedyny głosuje przeciw. Nawet najbliżsi przyjaciele partyjni oburzeni są demonstracyjnym krokiem, nie zdobywają się jednak na wykluczenie go z partii ograniczając sankcje do nagany.

Rząd reaguje ostrzej. 7 lutego 1915 roku deputowany otrzymuje powołanie do oddziałów roboczych armii - co w praktyce oznacza pracę łopatą pod zwierzchnictwem feldfebla. Wprawdzie jako ludowy przedstawiciel otrzymuje urlopy, by móc brać udział w posiedzeniach Reichstagu i pruskiego Landtagu, nie wolno mu jednak opuszczać Berlina, a jako żołnierzowi nie wolno mu zajmować się działalnością polityczną.

W kilka dni później również Róża Luksemburg zostaje "wycofana z obiegu". Otrzymuje wezwanie do przystąpienia odbywania swej kary w królewsko-pruskim więzieniu kobiecym w Berlinie przy Barnimstrasse, gdzie też niezwłocznie zostaje osadzona. Tam przebywa aż do lutego 1916 roku.

Liebknechta jednak nie jest łatwo zmusić do milczenia. Wewnątrz frakcji rośnie jego autorytet, a przy głosowaniu na temat trzeciego kredytu jeden deputowany głosuje przeciw, podczas gdy 30 wstrzymuje się od głosu. Pod przywództwem Liebknechta łączą się w "grupę Międzynarodówka". W ten sposób wytyczony zostaje kierunek podziału partii.

W marcu 1916 roku SPD wyklucza ze swych szeregów dysydentów. Dodatkowo Reichstag większością głosów odbiera Liebknechtowi prawo składania interpelacji w związku z jego ciągłymi zapytaniami na temat prowadzenia wojny.

Na 1 maja 1916 roku dysydenci wbrew uchwałom związków zawodowych i SPD wywołali masową demonstrację. Gdy w Berlinie zebrało się wiele tysięcy ludzi na Potsdamer Platz, Liebknecht otworzył wiec słowami: "Precz z wojną, precz z rządem!". Został natychmiast aresztowany i skazany na 49 miesięcy więzienia.

W tym czasie tworzy się określenie "spartakusowcy" bądź "grupa Spartakusa" zamiast dotychczasowego "grupa Międzynarodówka". Jest to nawiązanie do ulotek podpisanych "Spartakus", które ruch rozdawał od stycznia 1916 roku. Nie koniec na tym: w kwietniu 1917 roku spartakusowcy zakładają Niezależną Socjaldemokratyczną Partię Niemiec

dokonując formalnego już podziału SPD.

O epokowym wydarzeniu - rosyjskiej rewolucji październikowej - zarówno Luksemburg jak i Liebknecht dowiadują się w więzieniu, mogąc następstwa zdarzeń oceniać z dystansu. Dochodzą do różnych wniosków. Liebknecht zachowuje wyraźną rezerwę, podczas gdy Róża krytykuje terror bolszewików już po objęciu władzy w swej napisanej w więzieniu książce "Rewolucja rosyjska". Głosi w niej, przeciwnie do poglądów Lenina, że dyktatura proletariatu nie powinna oznaczać zlikwidowania demokracji.

Próżne są spekulacje co do tego, jak potoczyłyby się losy Róży Luksemburg, gdyby w porę uciekła do Rosji Radzieckiej. Na pewno zagrażałoby jej wykluczenie z szeregów partii, potem prawdopodobnie wydalenie lub nawet likwidacja.

Wobec załamania się Niemiec w październiku 1918 roku przywódcy lewicy zostają wypuszczeni na wolność. W kilka tygodni później cesarz Wilhelm abdykuje, a prawicowy socjaldemokrata Friedrich Ebert przejmuje przewodzenie państwu. Gdy prawa ręka Eberta Philipp Scheidemann wychodzi 8 października na balkon Reichstagu, pod nim faluje morze czerwonych flag, prowokując go do spontanicznego okrzyku: "Lud zwyciężył na całej linii. Niech żyje niemiecka republika!"

Lecz to wszystko nie wystarcza lewicy. Mniej więcej pięć godzin później Karl Liebknecht z balkonu królewskiego pałacu obwołuje powstanie "socjalistycznej republiki".

Mimowolny przywódca państwa Friedrich Ebert chce zapobiec totalnemu chaosowi. Frakcja mieszczańska jest bez przywództwa. Więc w jakiś sposób trzeba włączyć niezależnych w odpowiedzialność za losy państwa. Ale nie tylko ich. Obłaskawić należy również ruch pozaparlamentarny, a zwłaszcza ich rewolucyjnych przywódców.

Następnego dnia w Berlinie wybrane zostają rady robotniczo-żołnierskie. Jeszcze tego samego wieczoru spotykają się w cyrku Buscha, gdzie Ebert komunikuje im o porozumieniu z niezależnymi. W kilka godzin później do aktualnego szefa państwa dociera telefon od urzędującego w belgijskim Spa Naczelnego Dowództwa Armii. Rozmówcą jest uchodzący za umiarkowanego demokratę generał Wilhelm Groener. Gwarantuje on lojalną współpracę z nowym rządem w celu przywrócenia normalnego stanu państwa.

11 listopada polityk z centrum Matthias Erzberger składa swój podpis pod układem o zawieszeniu broni z Ententą w lasku Compi,gne - za co później zapłaci życiem. Tak następuje koniec wojny, a zaczyna się "mała wojna domowa".

Pomiędzy 10 a 15 grudnia z zachodniego frontu zwolnionych zostaje 10 dywizji, które Ebert wita niemal jak zwycięzców. Mają wzmocnić autorytet rządu wobec rad robotniczo-żołnierskich - tak jak przybycie kirasjerów Dampiera uratowało w 1616 roku cesarza Ferdynanda przed protestanckimi arystokratami w czasie zamieszek w Wiedniu. Tych dziesięć dywizji rozbiegło się jednak bardzo szybko - jedynie około 800 żołnierzy pozostało jako ochrona rządu.

Jednocześnie Ebert chce rozwiązać dywizjon marynarki wojennej stanowiący militarny kręgosłup ruchu rewolucyjnego. Marynarze wzbraniają się jednak przed oddaniem broni, a nawet 23 grudnia obsadzają Kancelarię Rzeszy. Następnego dnia są już pierwsi zabici, ale marynarze pozostają górą.

Niepokoje wzmagają się z dnia na dzień. 29 grudnia "niezależni" składają swą dymisję z gabinetu, co wcale nie przeszkadza Ebertowi, ale spartakusowcom. Konstytuują się oficjalnie jako Komunistyczna Partia Niemiec ale również jako kierownictwo KPD nie są zgodni co do dalszego postępowania. Baza żąda "rewolucyjnej akcji". Róża Luksemburg nawołuje do jedności nie znajdując jednak posłuchu.

Po złożeniu dymisji przez ministrów wywodzących się z Niezależnej Socjaldemokracji rząd może działać twardziej. Jego pierwszym ruchem jest zdymisjonowanie "niezależnego" berlińskiego prefekta policji Emila Eichhorna. Ten jednak wzdraga się opuścić swe miejsce wspomagany

dodatkowo przez świeżo upieczonych przywódców KPD - Liebknechta i Wilhelma Piecka.

Ponieważ lewica nie ma żadnego lepszego pomysłu, radykalni zwołują masową demonstrację na 5 stycznia. Jej przywódcy nie doceniają działania swych demagogicznych haseł. Demonstracja wyrywa się spod kontroli. W większości uzbrojeni marynarze obsadzają dworce i inne strategicznie istotne budynki. Miast rozpoznać niebezpieczeństwo tej prowokacji przeciwko legalnemu rządowi, radykalni przywódcy dają się porwać masom. Na następny dzień - znów z zakłopotania sytuacją - wyznaczona zostaje następna demonstracja, przebiegająca jednak spokojnie. Rząd akceptuje propozycję pośredniczenia przez Niezależną Socjaldemokrację, a wybory zostają wyznaczone na 19 stycznia. Ultralewicy wydaje się, że pomału zaczyna osiągać swój cel.

Jest to jednak iluzja. W czasie pierwszych tygodni stycznia rząd, a przede wszystkim nowy "minister wojny" Gustav Noske, ściągają wszystkie lojalne wojska. Noske należy do skrajnie prawicowego skrzydła SPD. Przypisuje się mu wypowiedzenie w tych dniach słów: "Ktoś musi być psem gończym". Jest on jednym z bardziej znanych socjalistów, który czasy narodowego socjalizmu przeżył jako poważny emeryt.

Teraz rząd przechodzi do przeciwnatarcia. Apel skierowany do wojska głosi: "Spartakus walczy o pełnię władzy... rząd chwyta się wszystkich środków, by zniszczyć to przeraźliwe widmo władztwa... gwałt może być pokonany tylko gwałtem..."

Do dziś historycy różnią się w poglądach, czy w 1919 roku doszło do spotkania spartakusowców, czy też była to tylko kontrrewolucja. Obrońcy Eberta wskazują na fakt, że spartakusowcy bezprawnie obsadzili ważne pozycje. Przeciwnie pisarz Sebastian Haffner: "KPD nie przewidziała ani nie chciała powstania w styczniu. Nie planowała ani nie kierowała. Powstanie było spontanicznym dziełem berlińskich mas robotniczych".

Tak czy inaczej kontrofensywa rządowa rozpoczyna się 10 stycznia szturmem na budynek wydawnictwa "Vorwaerts", przy czym dochodzi do pierwszych rozstrzelań i maltretowania wziętych do niewoli "czerwonych". Następnego dnia rozpoczyna się szturm około 3000 żołnierzy na pozostałe pozycje radykałów.

15 stycznia już jest po "niemieckiej rewolucji", rebelianci albo nie żyją, albo są pojmani bądź pouciekali. Również Liebknecht i Luksemburg ukrywają się, a socjaldemokratyczne pismo "Vorwaerts" natrząsa się z tego, że nie ma ich wśród zabitych.

Pomimo niepokojów wybory odbywają się 19 stycznia z zaskakująco dużym udziałem społeczeństwa - prawie 90% wyborców idzie tego dnia do urn. Zgodnie z oczekiwaniami SPD uzyskuje względną większość, "niezależni" otrzymują poniżej 10%, 40% głosów pada na partie centrum. Również udział prawicy z 10% pozostaje na razie nieznaczny.

W międzyczasie Liebknecht i Luksemburg ukryli się u swych zwolenników w robotniczej dzielnicy Neukoeln, upierając się przy dalszym wydawaniu organu partyjnego "Czerwony Sztandar" z podziemia. Ponieważ działalność redakcyjna musi wzbudzać podejrzenia, przenoszą się 14 stycznia do drobnomieszczańskiej dzielnicy Wilmersdorf. Tam ich twarze wprawdzie nie są znane, lecz nie mogą już liczyć na solidarność swego otoczenia.

Z tej kryjówki pochodzą ich ostatnie arykuły dla "Czerwonego Sztandaru". Komentarz Liebknechta ukazuje się pod tytułem "Wbrew wszystkiemu", podczas gdy jego towarzyszka wybiera sarkastyczne "Porządek panuje w Berlinie". Artykuł ten przepojony niezrozumiałym w tych okolicznościach optymizmem kończy się przytoczeniem wiersza rewolucyjnego niemieckiego poety Ferdinanda Freiligratha: "Wy tępi siepacze, wasz porządek jest jak zamek z piasku, już jutro znów powstanie rewolucja i ku waszemu przerażeniu obwieści: Byłam, jestem i zawsze będę!"

Wieczorem 14 stycznia niespodziewanie pojawia się oddziałek żołnierzy w konspiracyjnej kryjówce obojga rewolucjonistów i dokonuje ich aresztowania łącznie z ich towarzyszem partyjnym, późniejszym

prezydentem NRD Wilhelmem Pieckiem, który właśnie przyniósł ukrywającym się fałszywe papiery. Nigdy się nie dowiedziano, kto ich zdradził. A może był to rzeczywiście tylko przypadek?

Gdy żołnierze wkraczają do konspiracyjnego mieszkania, Róża Luksemburg leży na sofie, by wypocząć trochę od gnębiących ją ciągle bólów głowy. Zupełnie spokojnie, jak zeznawała później właścicielka mieszkania pani Mendelssohn, pakuje swoje rzeczy do małej walizeczki, nie zapominając nawet o kilku książkach.

Liebknecht wepchnięty zostaje do pierwszego samochodu, Luksemburg i Pieck do drugiego. Droga wiedzie do Hotelu Eden, gdzie za zezwoleniem rządu ochotniczy korpus strzelców konnych założył swą kwaterę główną. Przybycie więźniów zostało uprzednio zaawizowane telefonicznie, toteż trójkę aresztantów powitał tłum wrzeszczących żołnierzy, ale również cywilów - hotel mimo zakwaterowania żołnierzy utrzymał częściowo normalną pracę.

Więźniowie wprowadzeni zostają na pierwsze piętro, gdzie przesłuchanie rozpoczyna kapitan Waldemar Pabst - który wsławi się w czasie późniejszych prawicowo-ekstremistycznych intryg. Szczegóły przesłuchania naturalnie do nas nie dotarły, wiadomo jedynie, że zatrzymani ostro protestowali przeciwko ich zdaniem bezprawnemu aresztowaniu przez samozwańczych stróżów porządku. To doprowadziło oficerów do jeszcze większej wsciekłości.

Kto i kiedy podjął decyzję likwidacji obojga przywódców komunistycznych - nie wiadomo. Nie wiadomo również, w jaki sposób Wilhelmowi Pieckowi udało się wydostać bez szwanku.

Z całą pewnością rząd nie wydał rozkazu o doraźnej egzekucji. Równie pewne jest, że nie uczynił nic, by Liebknechta i Luksemburg wziąć w opiekę. Jasne jest też, że oficerowie korpusu ochotniczego byli przekonani, że są chronieni - przynajmniej przez Noskego.

Jednak Liebknecht i Luksemburg nie byli tuzinkowymi spartakusowcami, takimi których w poprzednich dniach po prostu rozstrzeliwano doraźnie. Z tego powodu "kaci" musieli coś wymyśleć - na przykład kozła ofiarnego - na wszelki wypadek. Po chwili już mieli kandydata - strzelca Runge odgrywającego w epilogu główną rolę.

W każdym razie egzekucja była już postanowiona, gdy oboje aresztantów poinformowano o przeniesieniu ich z osobna do cywilnego więzienia Moabit. Wydaje się wątpliwym, czy w to uwierzyli.

Znowu Liebknecht jako pierwszy zostaje wyprowadzony na dół do foyer, gdzie oczekuje go już szpaler żołnierzy - ale i cywilów - ze szpicrutami, pomiędzy którymi musi przebiec. Nie zostaje jednak wyprowadzony wejściem głównym, lecz przejściem dla dostawców, wychodzącym na boczną uliczkę oczyszczoną zapobiegliwie przez wojsko z wszelkich przechodniów. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami przed drzwiami wkracza do akcji strzelec Runge. Ciosem kolby karabinu w głowę ogłusza przywódcę Spartakusa. Nieprzytomny wepchnięty zostaje do oczekującego samochodu i wywieziony nie w kierunku Moabitu lecz do Zoo. Opodal Zoo oprzytomniałego więźnia wyrzuca się z samochodu na ulicę każąc mu wynosić się. Zwleka, gdyż wie, co to oznacza, w końcu jednak odwraca się. Po kilku krokach pada podcięty strzałem oddanym przez kapitana Horsta von Pflugk-Harttung. Zwłoki mordercy pozostawiają po prostu na poboczu. Tam też zostają odnalezione przez przechodnia, który nie rozpoznaje zmarłego z powodu wielu ran. "Niezidentyfikowane zwłoki" wywiezione zostają do kostnicy.

W tym czasie sprawcy powrócili już do Hotelu Eden i odmeldowali się słowami "Rozkaz wykonany!"

Teraz kolej na Różę Luksemburg. Potraktowano ją jeszcze gorzej niż Liebknechta. Już w hallu hotelowym zostaje brutalnie sponiewierana przez ochotników. Pokojówka będąca przypadkowym świadkiem wydarzeń zeznała później: "Nigdy nie pozbędę się tego obrazu sprzed oczu, w jaki sposób tę kobietę bito i poniewierano".

Drugi "pluton egzekucyjny" dowodzony jest przez porucznika Kurta

Vogela. I znów najbrudniejsza robota przypadła w udziale głupiemu Runge. Ciosem kolby rozciąga rewolucjonistkę na ziemi, po czym pół żywą wpycha do oczekującego samochodu. Tym razem sprawcy nie wysilają się na aranżowanie wersji "zastrzelona przy próbie ucieczki". Róża Luksemburg zostaje zastrzelona jeszcze w samochodzie, potem samochód jedzie w kierunku kanału Landwehry, gdzie zwłoki wrzucone zostają do brudnej wody.

W okresie międzywojennym za właściwego mordercę uchodził porucznik Vogel. Po drugiej wojnie światowej zespół reporterów południowoniemieckiej rozgłośni radiowej postawił hipotezę, że prawdziwym mordercą był porucznik marynarki Hermann Souchon. Doszło do kilku procesów, ale sprawa ta nigdy nie została wyjaśniona w sposób zadowalający.

Powróćmy jednak do hotelu Eden. Mordercy twierdzą, że Róża Luksemburg została uprowadzona przez rozwścieczony tłum. I nikt nie ma pojęcia, co potem się z nią stało.

Ta nieprawdopodobna wersja podchwycona zostaje przez mieszczańską prasę piszącą o zlinczowaniu do czasu znalezienia zwłok w kanale Landwehry. Typowym dla tego okresu jest komentarz zamieszczony w "Taegliche Rundschau": "Krwawa łaźnia urządzona przez Liebknechta i Luksemburg wymagała zadośćuczynienia. Nastąpiło ono szybko i w wypadku Luksemburg było okrutne, ale sprawiedliwe. Galicyjka została zabita".

Komuniści zepchnięci w podziemie musieli przyjmować wydarzenia ze zgrzytaniem zębów. Jedyne co mogli, to przyrzec wieczną zemstę rządzącym socjaldemokratom, co w następnym dziesięcioleciu wydatnie przyczyniło się do upadku Republiki Weimarskiej.

Jedynie Leo Jogiches żądał wyjaśnienia morderstw, został jednak szybko uprowadzony i zamordowany.

W końcu Niezależni Socjaldemokraci są tymi, którzy publicznie nie zgodzili się z oficjalną wersją i zażądali śledztwa, które następnie zostało - z musu - przeprowadzone.

Większość socjaldemokratów jest przerażonych - głównie rozpoznaniem współwiny własnego przywództwa.

Oficjalne śledztwo przeprowadzone jest przez komisję, do której początkowo należą przedstawiciele rad robotniczo-żołnierskich. Sędzia śledczy - były radca sądu wojennego Paul Jorns - troszczy się o to, by zbyt kompromitujące bądź nieprzyjemne fakty nie ujrzały światła dziennego. Tym niemniej - do procesu dojść musi. Rząd nie zgadza się na żądanie komunistów, by proces toczył się przed sądem cywilnym. To oznacza, że bezpośrednio odpowiedzialni sądzeni będą przez sąd wojskowy składający się z ich towarzyszy broni. Nie są oskarżeni o morderstwo, lecz o "zaniedbania w służbie". Najmocniej dostaje się kozłowi ofiarnemu - strzelcowi Runge. Za "usiłowanie zabójstwa w powiązaniu z zadaniem niebezpiecznych obrażeń" zostaje skazany na dwa lata i dwa tygodnie więzienia. Wyrok przeciw porucznikowi Voglowi wynosi 28 miesięcy więzienia za "usunięcie zwłok i świadome złożenie fałszywego raportu". Natychmiast po ogłoszeniu tego wyroku Vogel zaopatrzony w fałszywe dokumenty, eskortowany przez swych kolegów wyjeżdża za granicę, by tam w spokoju oczekiwać następnej amnestii. Pozostali oskarżeni zostają uniewinnieni.

Doczesne szczątki Karla Liebknechta wraz z 31 innych komunistów zabitych w czasie powstania spartakusowców zostają pochowane 25 stycznia 1919 roku na cmentarzu Berlin - Friedrichsfelde. Razem z nimi opuszczono do grobu pustą trumnę. Miała upamiętnić Różę Luksemburg, której zwłoki odnaleziono dopiero 31 maja przy jednej ze śluz kanału Landwehry. Noske zlecił przetransportowanie ich do bazy wojskowej celem przeprowadzenia obdukcji, w końcu musiał je jednak oddać celem pogrzebania. Pogrzeb odbył się 13 czerwca i mimo bardzo dużego zgromadzenia był spokojny.

W 1926 roku na cmentarzu wzniesiono pomnik Liebknechtowi, Luksemburg i ich towarzyszom. Zburzony przez nazistów został pompatycznie

odrestaurowany przez władze NRD.

Nastawienie w Republice Federalnej Niemiec pozostało - przynajmniej do końca zimnej wojny - dwuznaczne. W 1954 roku uznany historyk Erich Eyck określił Różę Luksemburg jako "ofiarę linczu popełnionego przez do ostateczności rozgorączkowany tłum", a jeszcze do 1962 roku w biuletynie Biura Informacyjno-Prasowego mowa była o "doraźnych egzekucjach".

Dopiero później w Republice Federalnej Niemiec przyjęło się naukowo uzasadnione uhonorowanie osoby Luksemburg a nawet Liebknechta.

KURT EISNER (1867 - 1919)

Monachium, 7 listopada 1918 roku - niezwykle piękny jesienny dzień jeszcze raz gromadnie wypędził obywateli na świeże powietrze. Po obiedzie jak zwykle bawarski król Ludwig III udał się na przechadzkę do Ogrodu Angielskiego. Poddani spotykając go dwornie zdejmowali kapelusze, a monarcha dziękował łaskawym kiwnięciem głowy.

Mimo wszystko pewnego rodzaju napięcie wisiało w jesiennym powietrzu Monachium. Przywódcy obu lewicowych partii, Erhard Auer, szef bawarskich socjalistów większościowych i Kurt Eisner, siła napędowa oddzielonej w 1917 roku z SPD partii Niezależnych Socjaldemokratów, po raz pierwszy pominęli wzajemną wrogość i zwołali razem manifestację na Łąkach Terezjańskich, głównym placu Święta Października. Większe sklepy zapobiegliwie już w południe zamknęły swe podwoje, nikt jednak nie myślał o rewolucji. A najmniej bawarski rząd. Stary konserwatywny gabinet podał się do dymisji, a nowy "reformistyczny rząd" miał objąć urząd dopiero następnego dnia.

Połączenie się obu skrzydeł bawarskiej lewicy zaskoczyło monachijczyków. Przed kilku dniami przywódcy byli bowiem konkurentami do parlamentarnego fotela po starym człowieku bawarskiej socjaldemokracji - Georgu von Vollmarze. Była to nierówna walka dwu nierównych polityków prowadzona nierówną bronią. Erhard Auer - olbrzymiej postury Bawarczyk i socjaldemokrata starej szkoły, przy całej swej ludowości zawsze poprawnie ubrany, z wypielęgnowaną białą szpicbródką.

Jego oponent Kurt Eisner, mały i zgarbiony, łysy z nastroszoną pełną brodą, w której rudość wmieszane były siwe stręki. W dodatku "cwaniaczek" z Berlina, no i na końcu - Żyd. "Eisner był Cyganem z sercem artysty" - wspomina Emil M"nner, ostatni żyjący współpracownik Eisnera. - "Bardziej pasowałby do berlińskiej kawiarni literackiej niż do bawarskiej piwiarni".

Eisner miał tylko jedną przewagę, która w obliczu powszechnego zmęczenia wojną ważyła podwójnie - był prawdziwym, powszechnie uznanym pacyfistą, dopiero niedawno wypuszczonym z więzienia. Tej chwały chciał mu uszczknąć trochę Auer - dlatego tylko zgodził się na wspólną manifestację na "Łąkach". Monachijczycy mają sobie sami wyrobić pogląd. "Niech pan nie gada w kółko o Eisnerze" - wyrzucał Auer bawarskiemu ministrowi wojny von Hellingrathowi - "Eisner jest załatwiony". Po czym dodał: "Trzymamy naszych ludzi mocno w garści. Ja sam idę w pochodzie. Nic się nie stanie".

Z początku wyglądało na to, że Auer ma rację. Już we wczesnych godzinach popołudniowych morze robotników zaludniło Terezjańskie Łąki. Jak żołnierze niemal przemaszerowali ze swych fabryk. W porównaniu z nimi zwolennicy Eisnera wyglądali bardzo nieznacznie. Rozczarowani radykałowie próbowali zwrócić na siebie uwagę wymachiwaniem czerwonych flag. Auer upozował się na postumencie olbrzymiego pomnika - Bavarii. Jego mowa nie była zbyt podniecająca. Żądał zakończenia wojny, liberalnego prawa wyborczego i demokratyzacji rządów - były to powszechnie znane postulaty socjaldemokratów. W końcu wezwał swoich słuchaczy, by poprzez aklamację wyrazili swe poparcie i podążyli za nim na demonstrację przez centrum miasta. Oczywiście za orkiestrą dętą. Eisner umknął bezpośredniej konfrontacji ze swym rywalem. Ustawił się na zaimprowizowanym podium w części północnej łąk - niedaleko od pobliskich

koszar. Do swego występu Eisner zdobył ważnego sprzymierzeńca - Ludwiga Gangporfera - przywódcę bawarskiego związku rolników. Jednoznaczniej nie można było zademonstrować sojuszu robotniczo-chłopskiego. W końcu spory tłum zebrał się wokół nieortodoksyjnego mówcy - wśród niego wielu żołnierzy, którzy czując się źle w zwartych robotniczych szeregach otaczających Auera wybrali konkurencyjne zebranie. Szczególnie widoczna była grupka około 20 marynarzy. Stanowili oni potem straż pretoriańską Eisnera - jedyni ludzie, którym mógł naprawdę zaufać.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Tuż po zakończeniu mów wygłoszonych przez Eisnera i Gangporfera człowiek w mundurze bez dystynkcji wskoczył na podium powiewając czerwoną flagą. Był to sekretarz Eisnera Feliks Fechenbach. Natarczywie żądał od tłumu "bezpośredniej akcji". I podczas gdy Auer ze swoimi towarzyszami niczego nie przeczuwając prowadził pochód w kierunku centrum miasta, radykałowie z Eisnerem, Gangporferem i marynarzami na czele, pomaszerowali w przeciwną stronę. Najpierw do Szkoły Guldeina, służącej za koszary i zbrojownię. Straże nie próbowały nawet stawiać tłuszczy oporu, a jedyny samotny oficer został błyskawicznie rozbrojony. Dla triumfującego tłumu nie było już żadnych hamulców. W osobnych grupach pomaszerowano na inne koszary. Prawie wszędzie obrazek wyglądał podobnie. Delegacja żądała wpuszczenia - co jej z reguły umożliwiano - by przekazać wieść o rewolucji, która właściwie w tym czasie jeszcze się nie odbyła. Potem wywieszono czerwoną flagę z nadającego się do tego okna. Tylko w jednym przypadku kilku starszych żołnierzy stawiało krótkotrwały opór.

Bawarski gabinet rządowy nawet nie próbował przeciwdziałać nieoczekiwanej burzy. A najmniej zdolny do stawienia czoła sytuacji był poczciwy król Ludwig. Gdy wieczorem zastraszony premier von Dandl zasugerował królowi, by choć na kilka dni opuścił bawarską stolicę, ten natychmiast się zgodził. Trwająca od setek lat władza rodu Wittelsbachów skapitulowała przed niezbyt znanym outsiderem.

Przy tym Eisner wcale jeszcze nie wiedział, że wygrał. Po demonstracji wycofał się do malutkiej piwiarni franciszkańskiej, by doczekać dalszego rozwoju sytuacji. Nie musiał długo czekać. Upojeni zwycięstwem poplecznicy zaciągnęli go do największej piwiarni w mieście, gdzie zgromadziły się już tysiące sympatyków. W atmosferze oparów piwa i dymu tytoniowego w ciągu kilku minut ukonstytuowała się Rada Robotnicza i Eisner wybrany został jej przewodniczącym. Jednocześnie na pierwszym piętrze piwiarni utworzona została Rada Żołnierska i obie Rady zaprezentowały się jako nowy rząd. Potrzebowały jednak formalnych atrybutów władzy. W tym celu obecni wymaszerowali w kierunku Landtagu znajdującego się przy Prannerstrasse, wyciągnęli zaspanego portiera i rozpoczęli okupację sali plenarnej. Eisner chwyciwszy dzwonek przewodniczącego zabrzęczał kilka razy, by uzyskać posłuch. Potem ogłosił obalenie króla oraz utworzenie Republiki Bawarskiej. Ułożył jeszcze krótkie oświadczenie dla prasy i kompletnie wyczerpany zasnął na otomanie.

Wzlot Eisnera w ciągu jednego jedynego popołudnia był niezwykle spektakularny. Przy czym nie był on zupełnie osobowością przywódczą. M. in. z tego powodu jego miejsce w niemieckiej historii jest nadal dyskusyjne, zasłonięte stereotypami ukutymi w mrocznej erze narodowego socjalizmu.

Jak Karol Marks i Ferdinand Lassalle pochodził z zamożnej żydowskiej burżuazji. Jego ojciec był dostawcą dworu królewskiego, posiadaczem doskonale prosperującego sklepu w wytwornej dzielnicy Unter den Linden. Eisner junior studiował najpierw filozofię, potem przerzucił się na dziennikarstwo, któremu pozostał wierny przez prawie trzydzieści lat. Jego kariera dziennikarska rozpoczęła się prawdziwym hitem: jako jedyny przedstawiciel prasy otrzymał zgodę na towarzyszenie Bismarckowi w jego podróży do Berlina tuż po jego dymisji ze stanowiska kanclerza Rzeszy.

Jednak sławy przez to nie uzyskał. Socjaldemokraci zwrócili na niego uwagę dopiero, gdy otrzymał dziewięć miesięcy więzienia za ironiczny

artykuł o niemieckiej rodzinie panującej. Po odbyciu kary Eisner został zaprotegowany przez Wilhelma Liebknechta na stanowisko redaktora naczelnego berlińskiego organu partii "Vorwaerts". Liebknecht zmarł w 1900 roku i blask jego protegowanego mocno przyblakł. Z innymi przywódcami partii - Karlem Kautskym czy Augustem Beblem Eisner nie umie znaleźć wspólnego języka.

Zagniewany czterdziestolatek udał się na emigrację - do Bawarii, gdzie wylądował w lokalnym organie partii "M□ncher Post". Bawarscy socjaliści nie byli wcale zbudowani jego przybyciem, mimo że w żadnym wypadku Eisner nie widział siebie w roli opozycjonisty. W 1914 roku zgodnie z programem partii zachwycony był wojną, po czym nastąpiła utrata złudzeń i zdystansowanie się od kierownictwa własnej partii. Na Wielkanoc 1917 roku jako jedyny Bawarczyk znalazł się między tymi dysydentami, którzy na znak protestu w Gotha założyli Niezależną Socjaldemokratyczną Partię Niemiec - USPD.

Eisner podjął się zbudować w Monachium organizację partyjną - póki co jednak był generałem bez żołnierzy. Wielkie strajki w styczniu 1918 roku na rzecz pokoju bez aneksji i przeciw narzuconemu Rosji dyktatowi z Brześcia Litewskiego dopełniają rozdziału Eisnera z socjaldemokracją. Podczas gdy ortodoksyjne kierownictwo partii zwleka, Eisner przekonuje do przyłączenia się do strajku 8000 monachijskich robotników. Właśnie za to po raz drugi w swym życiu ląduje za kratkami. Tym razem na osiem miesięcy - bez sądu i bez wyroku, gdyż nawet nie został oskarżony przez władzę. Początek załamania państw osi na jesieni 1918 roku przynosi mu wolność. Niecałe dwa miesiące później zupełnie nieznany przywódca prawie nieznanej partii zostaje szefem bawarskiego rządu.

Pierwszy gabinet Eisnera nie był zbieraniną ekstremistów, lecz koalicją obu lewicowych partii. Obok czterech socjalistów większościowych, było w nim trzech socjalistów z USPD i jeden niezależny. Eisner obok funkcji premiera przejął również resort spraw zagranicznych. Auer, zupełnie zaskoczony rozwojem wydarzeń, przyjął ważne stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

Świeżo upieczony premier już po kilku dniach musiał dojść do gorzkiego wniosku, że łatwiej było zostać szefem rządu niż rządzić krajem opanowanym przez głód i chaos.

W międzyczasie skapitulowała Rzesza Niemiecka i Eisner próbuje przez jawne dystansowanie się od Berlina uzyskać jak najlepsze warunki państw Ententy dla rewolucyjnej Bawarii, przy czym, jak wielu innych polityków państw osi, wiele nadziei pokłada w amerykańskim prezydencie Woodrowie Wilsonie. By dodatkowo zaakcentować swe odcięcie od przeszłości, polecił opublikować bawarskie dokumenty państwowe z 1914 roku, które udowodnić miały winę za rozpętanie wojny światowej ówczesnemu rządowi niemieckiemu. W Berlinie - ale również w Monachium - uznano to za cios w plecy.

W niecałe dwa tygodnie po objęciu stanowiska Eisner jedzie do Berlina, by wziąć udział w pierwszej konferencji krajów federacji. Przyjęto go tu bardzo chłodno - choćby za ostatnią aferę dokumentową, która, według nowego rządu pod przywództwem Friedricha Eberta, mocno ograniczyła możliwości negocjowania z państwami Ententy.

Eisner poczuł się obrażony i zaprotestował przeciwko obecności polityków "starego reżymu" np. przywódcy umiarkowanej partii środka - Matthiasowi Erzbergerowi - człowiekowi, który podpisał zawieszenie broni w lesie Compiegne.

Jego nastrój jeszcze się pogorszył, gdyż żadna z jego propozycji zgłoszonych podczas obrad nie została przyjęta przez pozostałych uczestników. A głównym wnioskiem Eisnera było utworzenie Zgromadzenia Narodowego składającego się z przedstawicieli regionalnych rad robotniczo-żołnierskich.

Rozwścieczony powraca do Monachium i bez skonsultowania się z pozostałymi kolegami-ministrami poleca resortowi spraw zagranicznych przerwać wszelkie kontakty z Berlinem.

Później udowadniano, że niedwuznacznie prowokacyjna uchwała Eisnera świadczyła o jego tendencjach separatystycznych. Nie odpowiadało to faktom: Eisnerowi nie chodziło o wystąpienie ze związku państw niemieckich tylko o zerwanie stosunków z rządem Rzeszy.

Zerwanie z Berlinem nie miało również nic wspólnego z lewicową polityką Eisnera. Jednocześnie zdystansował się on jednoznacznie od komunistów czy "bolszewików", jak ich wtedy na Zachodzie zwano. "Rosyjskiego bolszewizmu nie ma w Niemczech" - uspokajał po swym powrocie z Berlina - "może z wyjątkiem niektórych fantastów". To że monachijskie rady robotniczo-żołnierskie mocno przypominały rosyjskie sowiety, było fenomenem nie ograniczającym się do terenu Bawarii. Eisner traktował rady jako mur obronny zarówno przeciw reakcji jak i przeciw komunizmowi.

Konflikt powstały w Berlinie wywołał silny kryzys wewnątrz bawarskiego rządu, gdyż siłą rzeczy socjaldemokraci solidaryzowali się ze swymi partyjnymi towarzyszami z północy kraju. Gdy w dodatku Eisner zaproponował odroczenie przyrzeczonych wyborów do Landtagu, ministrowie z SPD zagrozili wycofaniem się z koalicji rządowej. Szef rządu poddał się i wybory zostały naznaczone na 12 stycznia 1919 roku. W tydzień później miały się odbyć wybory do Zgromadzenia Narodowego w Weimarze.

Równie duży ból głowy sprawiali Eisnerowi radykalni lewacy. Grupa anarchistów obsadziła redakcje ważniejszych monachijskich gazet, podczas gdy druga wtargnęła do mieszkania Erharda Auera i wymusiła od polityka złożenie na piśmie rezygnacji z urzędu. Eisnerowi, zawiadomionemu przez nieudolną policję, udało się najpierw skłonić anarchistów do opuszczenia redakcji. Potem pośpieszył do mieszkania Auera i przekonał anarchistów do uwolnienia polityka. Z Auerem doszedł do porozumienia, by wymuszoną rezygnację traktować jako niebyłą. Do tego wszystkiego prześladował jeszcze Eisnera osobisty pech - w mieszkaniu zaprzyjaźnionego lekarza został pokąsany przez małą małpkę.

Mimo poszczególnych sukcesów nie udało mu się powstrzymać ogólnej radykalizacji położenia. A to odbijało się nagatywnie na wyborczych szansach USPD. Kampania wyborcza rozpoczęła się na początku grudnia i Eisner mógł występować nie tylko jako premier, ale i jako przewodniczący niezbyt znanej partii.

Nie posiadając silnej władzy wewnętrznej musiał walczyć przeciw znowu mocnej prawicy, która bardzo szybko oprzytomniała z porewolucyjnego szoku, jak również przeciw zorganizowanej socjaldemokracji i na końcu przeciw radykalnej lewicy.

Zanik wiary w polityczne umiejętności Eisnera oraz mieszczański strach przed dalszymi ekscesami były głównymi czynnikami miażdżącej porażki wyborczej, jakiej doznała USPD 12 stycznia.

Socjaldemokraci otrzymali 11 milionów głosów - prawie dwanaście razy tyle co USPD. Na prawym skrzydle liczącą się siłę utworzyła Bawarska Partia Ludowa - następczyni obozu katolicko-konserwatywnego. Przy następnych wyborach do ogólnoniemieckiego zgromadzenia narodowego udało się Eisnerowi nieznacznie poprawić pozycję swojej partii, jednak stary stosunek Dawid - Goliat utrzymał się. Partia USPD musiała zadowolić się chudymi trzema miejscami w monachijskim Landtagu przeciw 66 deputowanym Bawarskiej Partii Ludowej i 61 mandatariuszom socjaldemokratów.

Bezpośrednio po wyborach Eisner zaproponował socjaldemokratom utworzenie socjalistyczngo frontu jedności odrzucając jednocześnie rewolucyjny związek z radykalnymi spartakusowcami. Erhard Auer wzmocniony wewnętrznie i zewnętrznie nie był już skłonny do współpracy z rywalem, a już na pewno nie w ramach wspólnego frontu, który mógłby zostać zdominowany przez Eisnera. A ekstremistyczna lewica, ze swej strony uważająca teraz premiera za zdrajcę, przeniosła swe działania w kierunku rad robotniczo-żołnierskich i - na ulice.

Upadek zupełnie izolowanego Eisnera był już tylko kwestią czasu.

W tej trudnej sytuacji brodaty trybun ludowy jął się środka do dziś popularnego wśród polityków będących w kłopotliwym położeniu, rozpoczął

podróżować.

Najpierw ponownie udał się do Berlina, by wyrazić swój sprzeciw wobec opracowanej przez wielkiego prawnika Hugo Preussa konstytucji weimarskiej. Mógł się przy tym oprzeć na milczącym poparciu bawarskich patriotów lokalnych z prawicy, również dążących do luźniejszego związku z Berlinem.

Powróciwszy do Monachium niemal natychmiast wyjechał do Szwajcarii, by wziąć udział w kongresie II Międzynarodówki w Bernie. Druga podróż okazała się ciężkim błędem, gdyż pod nieobecność Eisnera socjaldemokratom udało się przejąć faktyczne prowadzenie spraw państwowych.

Eisner jeszcze raz próbował zyskać na czasie. Między 12 a 18 lutego 1919 roku bawarski rząd pod jego przewodnictwem obradował praktycznie bez przerw, podczas gdy na ulicach stale wzrastała agitacja ekstremistyczna. 18 lutego socjaldemokratom skończyła się cierpliwość - ultymatywnie zażądali ustąpienia szefa rządu. Jako najdalej posunięte ustępstwo zgodzili się odczekać na pierwsze zebranie nowego Landtagu.

20 lutego po raz ostatni zebrał się stary rząd i Eisner rozpoznał beznadziejność swej sytuacji. Nie zamierzał jej jednak zwalczać środkami sprzecznymi z konstytucją.

Następnego dnia Eisner przeszedł do swojego biura w Ministerstwie Spraw Zagranicznych już o godzinie ósmej rano. Najpierw uporządkował papiery ze starannością, która zwykle nie zaliczała się do jego sposobu pracy. Potem zajął miejsce za swoim biurkiem, założył staromodny cwikier i rozpoczął pisanie podania do Landtagu o zwolnienie go z urzędu.

"Rewolucyjny rząd" - pisał - "postanowił jednogłośnie postawić do dyspozycji wybranego na drodze rewolucyjnego prawa wyborczego Landtagu swoje urzędy. Jest jednocześnie gotów do prowadzenia spraw państwowych do czasu uformowania się nowego gabinetu". Ostatnie zdanie było rutynowym frazesem, a nie próbą zyskania na czasie.

Zrobiła się już prawie dziesiąta. Eisner włożył swój wniosek o dymisję wraz z innymi dokumentami do aktówki, którą następnie starannie zamknął. Założył swój ciężki zimowy płaszcz i zawołał obu sekretarzy - Feliksa Fechenbacha, który grał niepoślednią rolę w jego triumfalnym wzlocie i Benno Merkle'a, by jak zwykle w ich towarzystwie przemierzyć piechotą te kilkaset metrów dzielących gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych od Landtagu. Przy portierni przyłączyli się jeszcze dwaj osobiści strażnicy.

Na rogu Promenadenplatzu owinięty w płaszcz przeciwdeszczowy młody mężczyzna czatował ciasno przytulony do ściany. Gdy Eisner wraz ze współtowarzyszami zamierzał go wyminąć, wskoczył w środek orszaku i z małej odległości oddał do premiera Bawarii dwa strzały. Eisner trafiony w głowę momentalnie osunął się na chodnik, a wokół niego utworzyła się kałuża krwi. Przy pierwszym strzale również jeden z ochroniarzy wyciągnął swoją broń i kilkoma strzałami powalił zamachowca. Był to 22-letni graf Anton Arco-Valley, potomek bawarskich arystokratów i były porucznik regimentu ciężkiej jazdy.

Zabójca ciężko ranny przewieziony został do szpitala, gdzie lekarze uratowali mu życie. Dla Kurta Eisnera wszelka pomoc przyszła za późno. Zamach wyzwolił cały łańcuch dramatycznych wydarzeń, które jeszcze dziś - zupełnie niesłusznie - łączone są ze sprawowaniem przez Eisnera funkcji premiera. Nie mógł w końcu zrobić więcej niż ustąpić z urzędu.

W mniej niż godzinę po udanym zamachu na Promenadenplatzu Alois Linder - członek Rewolucyjnej Rady Robotniczej - wtargnął na salę obrad Landtagu i strzelił do ministra spraw wewnętrznych Auera, uważając go za odpowiedzialnego za zamach na Eisnera. Auer nie mający z zamachem na swego nielubianego kolegę nic wspólnego został ciężko, ale nie śmiertelnie ranny.

Martwemu Eisnerowi przyznano teraz zaszczyty i honory, których odmawiano mu za życia. Dla lewicy stał się męczennikiem rewolucji, dla umiarkowanych człowiekiem, który trzymał ekstremistów w szachu, a

poprzez swoją dymisję pragnącym doprowadzić do powrotu władz parlamentarnych. Pogrzeb wyprawiony 26 lutego przypominał orszaki żałobne zmarłych Wittelsbachów - tyle że tym razem brakowało zbytkownych mundurów. Nawet dzwony kościelne biły na pogrzebie zdeklarowanego ateisty, jakkolwiek niektórzy kapłani i kościelni działali pod przymusem.

Po śmierci Eisnera i czasowej eliminacji Auera tymczasową władzę przejęła rada wykonawcza rad robotniczo-żołnierskich - do czasu gdy w kilka dni później utworzyła się nowa koalicja rządowa złożona z socjaldemokratów i USPD. Jednak tym razem pod przywództwem większościowego socjalisty Johannesa Hoffmanna.

Z palącymi problemami natury ekonomicznej i politycznej Hoffmann radził sobie równie kiepsko jak jego poprzednik. Obwołanie węgierskiej republiki rad pod przywództwem komunisty Beli Kuna dodało radykałom nowego zapału. 7 kwietnia grupa dysydentów z wszystkich lewicowych partii działając wbrew woli przywódców partyjnych obwołuje Bawarską Republikę Rad. Podobnie jak to poprzednio uczynił Ludwig Wittelsbach, Hoffmann bez walki opuszcza Monachium udając się do Bambergu, gdzie założył "rząd na wychodźstwie".

Dziwny nowy reżym, ochrzczony przez komunistów mianem "pozornej republiki rad" kontrolował z Monachium obszar o powierzchni około 5000 kilometrów kwadratowych położony pomiędzy Augsburgiem, Rosenheim i Garmisch. Utrzymał się tylko przez tydzień, co nikogo nie zdziwiło. Jego przywódcami byli wyłącznie dyletanci jak na przykład pisarz Ernst Toller czy anarchista Erich M□hsam. "Minister spraw zagranicznych" Franz Lipp przeszedł do historii przez wysłanie telegramu do Lenina, w którym uskarżał się, że ekspremier Hoffmann uciekając do Bambergu zabrał ze sobą klucze od toalety w ministerstwie.

13 kwietnia bamberski rząd Hoffmanna próbował jednym ciosem obalić reżym monachijski. Wierny rządowi oddział Schutztruppe liczący w całym Monachium jedynie 100 czynnych żołnierzy, wkroczył do pałacu Wittelsbachów i zatrzymał koczujących tam "ministrów". Ponieważ jednak przyobiecane posiłki z Ingolstadt nie dotarły, uzbrojonym radykałom udało się pokonać "kontrrewolucjonistów" w ciągu kilku godzin.

Tymczasem rady robotniczo-żołnierskie zebrały się w "Dworskiej Piwiarni" - wydaje się, że wszystkie ważne wydarzenia w Monachium rozgrywają się w piwiarniach - może z uwagi na posiadanie największych sal - i wybrały pochodzącego z Rosji Eugena Levine'a przewodniczącym rady wykonawczej. Przywódca komunistyczny Levine przyjął nominację mimo sprzeciwu centralnego ośrodka kierownictwa KPD.

Utworzenie "drugiej" republiki rad było zwiastunem otwartej wojny domowej. Premier Hoffmann, zarzekający się, że poradzi sobie z "upiorem z Monachium" bez zewnętrznej pomocy, musiał zwrócić się o nią do Berlina.

Komunistyczna republika rad utrzymała się ledwo trzy tygodnie. W tym czasie poprzez rozstrzeliwanie zakładników wzięła na siebie ogrom win usprawiedliwiających późniejsze zapanowanie krwawego "białego terroru". 1 i 2 maja przy pomocy wojsk rządowych wzmocnionych korpusem ochotniczym udało się zająć Monachium. Większość przywódców republiki rad została rozstrzelana na miejscu. Po dyskusyjnym procesie, na którym się mężnie bronił, Eugen Levine został skazany na śmierć i stracony 5 czerwca 1920 roku.

Proces przeciwko grafowi Arco-Valley odbył się dopiero w 1920 roku. Bardziej czy mniej pro forma skazany został na śmierć. Wyrok zamieniono potem na dożywotnie więzienie, z którego wyszedł na wolność już w 1925 roku.

Pytanie czy morderca Eisnera miał wspólników, do dziś nie znajduje ostatecznej odpowiedzi. Na kilka dni przed zamachem członkowie rady robotniczej zaaresztowali w elitarnym hotelu "Cztery pory roku" grupę byłych oficerów w większości arystokratów knujących plany obalenia - a nie zamordowania - Eisnera. Nie daje się już ustalić, czy Arco-Valley

był członkiem tej grupy. Spiskowcy zostali rychło uwolnieni, sprzysiężenie to było jednak symptomatyczne dla nastrojów wśród kręgów prawicowych.

Sąd zaakceptował wyjaśnienia oskarżonego, że działał on jedynie "w celu uratowania autorytetu państwa". Większość historyków - niezależnie od pytania o potencjalnych mocodawców - motyw osobisty. Matka grafa Arco-Valley urodzona jako hrabina von Oppenheim, była częściowo żydowskiego pochodzenia. Młody graf znany wśród kręgów prawicowo-arystokratycznych jako "niezwykle popędliwy" prawdopodobnie czuł się z tego powodu nieco dyskryminowany. Może tym czynem chciał udowodnić swój patriotyzm.

W okresie rządów narodowych socjalistów graf Arco-Valley był przez pewien czas internowany. Krótko po zakończeniu wojny zginął w wypadku samochodowym.

MATTHIAS ERZBERGER (1875 - 1921)

Krępemu panu o zatroskanym obliczu łzy stanęły w oczach, gdy czarno odziana dziewczyna jeszcze raz objęła go przed przekroczeniem bramy luksemburskiego klasztoru karmelitanek.

Przy czym Matthias Erzberger - w tym czasie - był kwiecień 1921 roku - były minister, opluwany przez kręgi ludowców jako zdrajca z Compi,gne - w zasadzie nie był zmartwiony, że jego córka Maria wybrała drogę kompletnej izolacji wśród karmelitanek. Tam była przynajmniej bezpieczna.

Co dotyczyło jego własnego bezpieczeństwa, Erzberger nie robił sobie złudzeń. "Kula przeznaczona dla mnie jest już odlana" - powiedział swej córce po drodze do Luksemburga.

Kontrowersyjny polityk znosił swój własny los z opanowaniem graniczącym z fatalizmem. Gdy brama klasztorna zamknęła się za Marią, jego starannie pielęgnowana równowaga prysła. Przeczuwał, że nie zobaczy już nigdy swego dziecka.

Przy czym wiosną 1921 roku wydawało się, że Erzberger stoi u progu nowej drogi w polityce. Złośliwe pomówienia jego przeciwników, jakoby jako polityk osobiście i bezprawnie się wzbogacił, okazały się bezpodstawne. Nic nie przeciwstawiało się już jego ponownemu kandydowaniu do Reichstagu. Jego przyjaciele z przeważnie katolickiej partii centrum poczynili już kroki celem przygotowania jego powrotu na scenę polityczną.

Oczekująca go rehabilitacja przyprawiła jego wrogów o coś w rodzaju paniki. Nie mogąc już szermować argumentem korupcji, odgrzano stare obwinianie Erzbergera o "politykę rezygnacji".

W ciągu swoich 46 lat życia były minister dobrze poznał wzloty, ale jeszcze lepiej upadki kariery politycznej. Przy czym nie robił nic innego jak wygrzebywał gorące kasztany z popiołu - z czym bardziej wpływowi politycy nie chcieli mieć nic wspólnego.

Tak jakby mu sprawiło przyjemność owego szarego listopadowego poranka przed prawie trzema laty przekraczać francuskie linie, by w wagonie kolejowym w lasku Compi,gne podpisać poniżające warunki kapitulacji postawione przez Ententę. Bezpośrednim apelem do jego patriotyzmu ówczesny ostatni kanclerz Rzeszy książę Max von Baden zwrócił się do niego z prośbą, by podjął drogę do Canossy, do marszałka Focha - gdyż również alianci respektowali autorytet "polityka pokoju" Erzbergera i być może jedynie on byłby w stanie uzyskać pewne ułatwienia dla swego kraju.

Max von Baden stał pod równie dużym naciskiem jak jego niedobrowolny emisariusz. Gdy przejął w październiku 1918 roku urząd szefa rządu, mógł jeszcze liczyć na to, że Niemiecka Rzesza mimo załamania się wszystkich sprzymierzeńców przetrwa zimę i że wiosną będzie można wynegocjować korzystniejsze warunki pokojowe. A tu nagle główni ludzie Naczelnego Dowództwa Armii - Hindenburg i Ludendorff - zaczęli tracić nerwy i

zasugerowali kanclerzowi, by niezależnie od okoliczności dążył do natychmiastowego zawieszenia broni. Max von Baden przekazał "czarnego Piotrusia" dalej - Erzbergerowi.

Trudne, a nawet beznadziejne posłannictwa nie były niczym nowym dla tego Wirtemberczyka. Odwagi cywilnej również nigdy mu nie brakowało. Udowodnił to jeszcze przed pierwszą wojną światową, gdy na forum Reichstagu wytoczył armaty przeciw niemieckiej polityce kolonialnej.

Mimo to w 1914 roku tak jak wielu innych pacyfistycznych polityków uległ ogólnej fascynacji wojną. Dopiero po pewnym czasie pomału odsuwał się od ekstremalnej polityki aneksji głoszonej przez Rzeszę Niemiecką. Swoją pierwszą "samobójczą misję" otrzymał w 1915 roku. Trzykrotnie jeździł do Rzymu, by powstrzymać Włochy przed przystąpieniem do wojny po stronie Ententy.

Daremnie! Sprawa rozbiła się z jednej strony o "licytacyjną" politykę Włochów, z drugiej strony o brak gotowości do kompromisów rządu wiedeńskiego. Mimo niepowodzenia jeszcze w tym samym oraz na początku 1916 roku przedsiębrał kolejne podróże - tym razem, by powstrzymać od przystąpienia do wojny Rumunię.

Również tu nie odniósł sukcesu, jednak jego rola pośrednika stworzyła w obozie Ententy wrażenie, że Erzberger jest czymś w rodzaju przywódcy "frakcji pokojowej". Wrażenie umocnione jeszcze jego sprzeciwem wobec totalnej wojny łodzi podwodnych oraz aneksyjnej polityki Berlina względem pobitych Rosjan.

Jego krytyka niemieckich racji wojennych spowodowała, że jeszcze przed zakończeniem wojny znalazł się pod obstrzałem kręgów nacjonalistycznych. Natomiast ciężką drogę do Compi,gne podżegacze bardzo chętnie mu odstąpili. Sam Hindenburg żegnał go w kwaterze głównej w Spa słowami: "Niech pan jedzie z Bogiem i próbuje wyciągnąć najlepsze dla naszej ojczyzny".

Wiele wyciągnąć Erzberger nie mógł. Mimo to Hindenburg powitał go po powrocie do kwatery głównej bardzo przyjaźnie. Dopiero gdy cały ciężar alianckich warunków przeniknął do publicznej wiadomości, marszałek odsunął się od swojego emisariusza. Wkrótce rozwinęła się teoria "pchnięcia sztyletem w plecy", pomówienie o tyle przewrotne, że jego twórcy doskonale znali prawdziwy stan rzeczy, we wszystkich szczegółach.

Ale czas "samobójczych misji" jeszcze nie skończył się dla Erzbergera. 11 lutego 1918 roku socjaldemokrata Friedrich Ebert został wybrany prezydentem Rzeszy, zaś jego partyjny przyjaciel Philipp Scheidemann - szefem rządu. Do pierwszego republikańskiego rządu Matthias Erzberger wszedł jako minister bez teki. Jednocześnie pełnił obowiązki przewodniczącego tej komisji, która była odpowiedzialna za wykonanie postanowień traktatu o zawieszeniu broni. Zadanie to wypełniał zgodnie z najlepszą swą wolą i sumieniem. Przez to ściągnął na siebie siłą rzeczy nienawiść prawicy, dystansującej się od traktatu z Compi,gne.

Wiosną 1919 roku polityczne stanowisko Erzbergera z uwagi na bezprzykładne ataki było do tego stopnia zachwiane, że wzbraniał się on przed przyłączeniem do niemieckiej delegacji na konferencję pokojową jadącej do Wersalu. Natomiast od odpowiedzialności za przyjęcie bądź odrzucenie warunków traktatu wypracowanych w pałacu Ludwika XIV nikt nie mógł go uwolnić. Gdy wszystkie niemieckie partie wstępnie odrzuciły traktat, Ententa złożyła Niemcom 16 czerwca 1919 roku ultymatywne żądanie ratyfikowania traktatu w ciągu jednego tygodnia.

Rząd Scheidemanna ustąpił, gdyż nie był gotów podjąć się pełnej odpowiedzialności. Nowy gabinet, na czele którego stanął socjaldemokrata Gustaw Bauer, próbował na początku zadowolić władze Ententy "warunkowym przyjęciem", jednak alianci odrzucili tę propozycję. Wkroczenie Niemiec zapowiedziane zostało na wieczór 23 czerwca.

Siedem godzin wcześniej przedstawiciele niemieckich partii spotkali się w Berlinie. Erzberger, który od początku energicznie opowiadał się za ratyfikacją - gdyż wiedział, że jego krajowi nie pozostała żadna inna alternatywa - zażądał od swoich przeciwników, by otwarcie się

zadeklarowali, czy będą głosować za wznowieniem działań wojennych. Do tego podżegaczom zabrakło odwagi - Traktat Wersalski został ratyfikowany.

W ten sposób Erzberger podpisał na siebie wyrok śmierci. Inni politycy, nawet nie należący do obozu narodowo-niemieckiego, nie dali mu ani chwili w to wątpić. Friedrich Naumann, jeden z bardziej doświadczonych polityków umiarkowanej Partii Demokratycznej oświadczył mu nie owijając w bawełnę: "Dziś potrzebujemy Pana koniecznie, ale za kilka tygodni, gdy sytuacja się zmieni, odrzucimy pana". Erzberger odpowiedział: "Wystarczy mi, że dzisiaj w najcięższej godzinie ojczyzny mogę ofiarować jej moją osobę".

Zwolennicy Naumanna podali w wątpliwość kolportowaną przez Erzbergera wypowiedź. Klaus Epstein, jeden z czołowych historyków specjalizujących się w tym okresie, nie widzi powodów, dla których Erzberger mógłby kłamać. Po kilku miesiącach rzeczywiście inaczej to odczytywano. Erzberger objął w międzyczasie niewdzięczne ministerstwo finansów i zmuszony do poczynienia bolesnych kroków znowu dostał się pod obstrzał opozycyjnej krytyki.

Człowiek, który podjął się rzucić jako pierwszy kamieniem - Karl Helfferich, były wicekanclerz cesarskiego rządu - był głównym rzecznikiem obozu wrogiego republice. Naturalnie Helfferich - którego umiejętności w dziedzinie polityki finansowej były bezdyskusyjne - nie mógł zaproponować programu będącego prawdziwą alternatywą do tego, który forsował minister finansów. Swój własny program opublikowany w serii polemicznych artykułów na łamach reakcyjnej "Kreuzzeitung" - ulubionego organu wschodnich junkrów - zredukował do hasła: "Precz z Erzbergerem!"

Zaatakowany próbował początkowo ignorować podjazdy Helffericha, bądź zlecał swoim nielicznym zwolennikom odpowiedzi na poziomie dziennikarskiej polemiki. Helfferich jednak nie popuszczał. Gdy ataki zaostrzały się, Helfferich zarzucał swemu przeciwnikowi wszystkie przestępstwa od biernego przekupstwa aż do zdrady stanu. Erzberger został zmuszony zwrócić się do sądu.

Przed trybunałem, który w bezwstydny sposób brał stronę Helffericha, skarżący Erzberger został zepchnięty do roli oskarżonego. Już w tydzień po rozpoczęciu procesu doszło do dramatycznego wydarzenia. Młody eks-oficer Oltwig von Hirschfeld przy wejściu na salę sądową oddał do ministra dwa strzały z pistoletu. Pierwszy spowodował bolesną ranę bez większych jednak obrażeń, drugi, który mógłby przestrzelić płuco, odbił się od staromodnej dewizki od zewnętrznego zegarka na łańcuszku.

Sprawca jeszcze w czasie trwania procesu Erzberger-Helfferich stanął przed sądem, przy czym rozprawa zamieniła się ponownie w nagonkę przeciw Erzbergerowi. Wyrok - 18 miesięcy więzienia, więc mniej niż za zwykłą kradzież - był jednoznaczny z moralnym potępieniem ofiary.

Do tego wrogowie Erzbergera używali również nielegalnych metod. Mimo że postępowanie procesowe wypadało jak na razie na ich korzyść, ukradli z berlińskiej izby skarbowej zeznanie podatkowe Erzbergera i opublikowali je w skrajnie prawicowych "Wiadomościach Hamburskich" w takiej formie, że w czytelniku musiało zrodzić się podejrzenie, iż zeznający czyni machlojki w celu uniknięcia podatków. Jednak najgorsze miało dopiero nastąpić. Sąd uznał nikłe dowody prawdy złożone przez Helffericha, odnoszące się do większości zakwestionowanych przez Erzbergera artykułów prasowch oddalając tym samym pretensje Erzbergera, zaś z uwagi na pozostałe punkty procesu oskarżony został skazany na symboliczną karę w wysokości 300 marek. Było to jednoznaczne z uznaniem winy Erzbergera, który niemal natychmiast złożył dymisję ze stanowiska ministra.

W dzień po ogłoszeniu wyroku w Berlinie ujawnił się tak zwany pucz Kappa. Rząd uciekł przed skrajnie prawicowymi członkami korpusu ochotniczego do Stuttgartu. Erzberger, którego puczyści z pewnością by zlikwidowali, znalazł schronienie w berlińskim klasztorze "Pod dobrym pasterzem" w dzielnicy Tempelhof.

Pucz załamał się już po kilku dniach pod naciskiem strajku generalnego obwołanego przez socjaldemokratów. Tym niemniej berlińskie wydarzenia były świadectwem słabości republikańskich instytucji.

Erzberger, uwolniony od rządowej funkcji, usiłował uparcie przy pomocy dokumentów udowodnić swoją niewinność. A im bliższy był celu, tym bardziej zajadłe stawały się ataki jego wrogów.

W kilka miesięcy po wstąpieniu jego córki Marii do zakonu karmelitanek wyjechał z żoną Paulą i młodszą córką Gabriele na letnie wakacje do szwabskiego kurortu Jordanbad. Policja ostrzegła go przed morderczymi planami reakcyjnych elementów - rzeczywiście w tym czasie znajdował się już pod obserwacją swoich przyszłych morderców - jednak były minister wzbraniał się przed nabyciem pistoletu, jak również przed innymi środkami bezpieczeństwa. 8 sierpnia cała rodzina przeniosła się z Jordanbad do Beuron w okolice słynnego naddunajskiego klasztoru benedyktynów.

Po kilku dniach Erzberger na krótko przerwał swój urlop, by udać się do Berlina. Pod jego nieobecność jakiś nieznajomy zatelefonował do hotelu wypytując, czy minister jest jeszcze obecny. Spytany o nazwisko rozłączył się.

Był to prosty znak, bezbłędnie odczytany przez Erzbergera: prześladowcy są na jego tropie. Ponownie zmienił miejsce wypoczynku udając się tym razem do Bad Griesbach położonego w górach Schwarzwaldu. Rodzina wynajęła kwaterę w gościńcu prowadzonym przez katolickie zakonnice. W tym samym domu mieszkało jeszcze dwóch polityków centrum - późniejszy minister finansów Heinrich K"hler i deputowany do Reichstagu Karl Diez. Im zawdzięczamy relację z pierwszej ręki na temat ostatnich dni Erzbergera.

Również w Bad Griesbach prześladowany nie podjął skutecznych kroków dla swego bezpieczeństwa. Dzień w dzień z rodziną bądź z przyjaciółmi odbywał spacer tą samą trasą - pełną zakrętów górską drogą do podnóża Kniebisu. Mordercom było bardzo łatwo wyśledzić jego przyzwyczajenia i wybrać dogodne do zamachu miejsce.

Rankiem 26 sierpnia jak zwykle po mszy Erzberger wyruszył na swój spacer w kierunku Kniebisu. Tym razem towarzyszył mu jego partyjny kolega Diez. Kilka kilometrów za pensjonatem obaj spacerowicze wyprzedzeni zostali przez dwu młodych mężczyzn i - co Diez sobie później przypomniał - badawczo zlustrowani. Obaj politycy byli jednak do tego stopnia zagłębieni w dyskusji na tematy socjalne, że nie przywiązali do spotkania żadnej wagi.

Ciężki deszcz padający poprzedniej nocy powrócił znów przed południem i zepsuł spacerowiczom przyjemność wycieczki. Poza tym droga zrobiła się bardzo śliska. Około godziny jedenastej Erzberger i jego towarzysz zdecydowali się na powrót do Bad Griesbach.

Po kilku minutach na przegięciu drogi stanęli naprzeciw tych dwu mężczyzn, którzy mijali ich poprzednio. Widocznie użyli skrótu przez las by swoim ofiarom odciąć drogę.

Bez słowa nieznajomi wyciągnęli pistolety i z odległości niecałego metra zaczęli strzelać do Erzbergera. Polityk trafiony kilkoma pociskami rzucił się w dziesięciometrową rozpadlinę koło drogi i potoczył się aż do skraju lasu. Zgubił przy tym pierścień ofiarowany mu przed sześciu laty przez papieża Benedykta z okazji jego uwieńczonej sukcesem misji pokojowej we Włoszech.

Mordercy dalej strzelali do swej ofiary jak do ruchomej tarczy. Erzberger trafiony następnymi trzema pociskami miał jeszcze tyle sił, by poszukać osłony za sosną stojącą na skraju lasu. Obaj zamachowcy pośpieszyli za nim i oddali jeszcze trzy strzały do już bezwładnie leżącego polityka.

Diez tymczasem bronił się rozłożonym parasolem, został jednak trafiony w pierś i stracił przytomność. Gdy ją po kilku minutach odzyskał, ujrzał Erzbergera leżącego w bezruchu w rozpadlinie, podczas gdy zamachowcy - już w pewnej odległości - oddalali się spokojnie.

Mimo ciężkiej rany Diezowi udało się dowlec do hotelu, przy czym w ostatnim odcinku drogi asystowała mu turystka z północnych Niemiec. Jego opowieść zdawała się w niczym nie zaskakiwać tej kobiety. "Jak pan mógł iść z Erzbergerem na spacer?"- było jej jedynym komentarzem.

Diez wtoczył się do hallu hotelowego i znalazł się nagle w sercu improwizowanej dziecięcej zabawy. Akurat mała dziewczynka po odegraniu na fortepianie piosenki "O słodkiej wróżce" rozkoszowała się aplauzem dorosłych. Diez zrelacjonował, na ile umiał, przebieg wydarzeń i poprosił znajomego
o delikatne powiadomienie Pauli Erzberger.

Ta znajdowała się w swoim pokoju. Z okna dostrzegła napływające tłumy i po tym rozpoznała sytuację. Początkowo usiłowano uspokoić ją półprawdą. Mówiono że Erzbergera postrzelono. "Wiem, że on nie żyje" - odpowiedziała Paula złamanym głosem.

W międzyczasie kilku policjantów w asyście wielu ciekawskich udało się na miejsce zbrodni. Zastali wszystko tak, jak Diez opisywał. Erzbergerowi już nikt nie mógł pomóc.

Śmierć polityka oczyściła jego image - przynajmniej w oczach zwolenników republiki. Nawet tak często go krytykujący socjaldemokraci obwołali go teraz "Męczennikiem za demokrację".

Zupełnie inaczej zareagowała reakcyjna prasa. Z niewyobrażalnym w dzisiejszych warunkach cynizmem "Kreuzzeitung" triumfowała: "Nic błędniejszego od potępienia sprawców, których motywy dziś jeszcze nie są znane, nie można uczynić. Potomność myśli bowiem czasami zupełnie inaczej niż współcześni. Charlotte Corday, która zamordowała Marata, została wprawdzie w Paryżu zgilotynowana, lecz wszyscy, nawet niemieccy poeci, opiewają teraz jej czyn. Nie ma również uzasadnienia, że tylko dwu rewolucyjnych skrytobójców - Brutus i Wilhelm Tell - znalazło powszchne zrozumienie. Dzisiejsi chwalcy Erzbergera i przeciwnicy jego wrogów winni pamiętać, że cała walka prowadzona przeciw Erzbergerowi była walką obronną.

Jeszcze bezwstydniej pisała, stojąca blisko narodowo-niemieckiej partii ludowej, "Oletzkoer Zeitung": "Po wielokroć potępionego Erzbergera sięgnął w końcu los, którego życzyła mu większość narodowo myślących Niemców. Erzberger - winny upokorzającemu zawieszeniu broni, Erzberger, który naraił Niemcom poniżający traktat pokojowy. Erzberger, którego duch niestety panuje jeszcze w tak wielu urzędach, zarządach i prawach; otrzymał nareszcie zapłatę należną mu jako zdrajcy ojczyzny. O morderstwach politycznych różnie się myśli - a najprawdopodobniej właśnie o takie w tym wypadku chodzi - w każdym bądź razie w tej chwili większość niemieckiego ludu odetchnęła głęboko z poczuciem wielkiej ulgi. Taki człowiek jak Erzberger - ponoszący główną winę za nieszczęście ojczyzny - stanowił, póki był przy życiu, permanentne niebezpieczeństwo dla Niemiec. Rzucanie takich słów w ślad za zmarłym brzmi nieco surowo i jest pozbawione serca, lecz przez czułostkowość daleko nie zajdziemy. Musimy siać nienawiść. I jak uczymy się nienawidzieć naszych wrogów zewnętrznych, tak samo musimy poprzez nienawiść i pogardę karać naszych wrogów wewnątrz Niemiec. Liberalizm jest nie do przyjęcia - tylko dzięki radykalizmowi Niemcy mogą znów zostać Niemcami". Wszelki komentarz do tego tekstu jest chyba zbędny.

Na podstawie opisu przekazanego policji przez rannego Dieza, po kilku dniach udało się zidentyfikować obu zamachowców. Byli to: 26-letni Heinrich Tillessen i o rok starszy Heinrich Schulz, obaj eks-oficerowie przynależący do prawicowo-ekstremistycznych grup. Nieprzypadkowo Tillessen był dowódcą torpedowca we flotylli dowódcy puczu Kappa - kapitana Hermanna Ehrharda. Bezpośrednio przed końcem wojny osiągnął nawet krótkotrwałą sławę, gdyż brał udział w samozatopieniu niemieckiej floty w brytyjskim porcie wojennym Scapa Flow. Schulz miał podobną przeszłość. Również służył we flotylli Ehrharda.

Dokładne przyczyny i związki zostały jednak wyświetlone dopiero w trzydzieści lat później, gdy w 1946 i 1947 roku Tillessen, a w trzy lata

później Schulz, odpowiadali przed sądem.

Po upadku puczu Kappa i po rozwiązaniu korpusu ochotników obaj przybyli do Monachium. Tam przyłączyli się do prawicowo-ekstermistycznej tajnej organizacji "Organisation Consul", którą dowodził eks--kapitan-porucznik Manfred von Killinger, a która zamaskowana była jako koncern produkujący przetwory drzewne.

Wewnątrz organizacji "Consul" funkcjonowała jeszcze jedna tajna struktura, zwana zakonem niemieckim, specjalizująca się w skrytobójstwach. Dziś niektóre z jej rytuałów wydają się mocno niedojrzałe - na przykład skrytobójcy byli wybierani z członków sprzysiężenia przy pomocy losowania.

Zlecenie zamordowania Erzbergera Tillessen i Schulz otrzymali na początku 1921 roku w biurze kapitana porucznika Killingera. Sposób wypełnienia zlecenia pozostawiono wykonawcom. "Zakon" przyrzekł im jedynie wszelką pomoc i poparcie w przypadku ingerencji policyjnej.

Schulz zeznający w 1950 roku przed sędzią śledczym przyznał, że ani on, ani jego kompan nie byli zleceniem zachwyceni. Ze strachu przed następstwem zignorowania polecenia oraz z uwagi na ślubowanie, jakie obaj złożyli przy wstąpieniu do organizacji, zdecydowali się wykonać zadanie.

Ustalenie miejsca pobytu Erzbergera nie stanowiło dla organizacji żadnej trudności. Obaj spiskowcy pojechali najpierw do Jordanbadu, śledzili swą ofiarę dalej do Beuren, gdzie nadal nie nasunęła się żadna możliwość dokonania zamachu, w końcu dotarli za byłym ministrem do Bad Griesbach. Również tam zwlekali kilka dni. Dopiero gdy dowiedzieli się, że Erzbergerowi kończą się niedługo wakacje, postanowili ruszyć do działania.

Po dokonaniu morderstwa Tillessen i Schulz pomaszerowali do Oppenau - następnej małej miejscowości, gdzie wynajęli pokoje w hotelu, jednak tego samego popołudnia zdecydowali się wyjechać do Monachium. Zameldowali się u Killingera, a ten wręczył im dwa fałszywe paszporty które otrzymał uprzednio ni mniej ni więcej tylko od monachijskiego prezydenta policji - P"hnera.

Badelskie władze, starające się energicznym śledztwem wyjaśnić sprawę, dotarły śladem przestępców do Monachium. U P"hnera natrafili na mur biernego oporu. Po 1945 roku socjaldemokratyczny bawarski premier odsłonił, że monachijska policja po prostu odmówiła zaaresztowania morderców Erzbergera. Zamiast aresztowania mordercy otrzymali pisemne zaproszenia do prezydium policji. Był to dla nich sygnał, że mają zniknąć z Monachium. Przez Wiedeń obaj uciekli do Budapesztu, gdzie mieli możnych przyjaciół. Węgierski "mocny człowiek" Julius G"mb"s nie odmówił sobie osobistego przyjęcia skrytobójców w swej wiejskiej posiadłości.

Przez trzy lata badelskie władze sądownicze daremnie starały się uzyskać wydanie zamachowców. Węgrzy zasłaniali się brakiem umowy ekstradycyjnej między obu państwami. W końcu obaj "goście" stali się Węgrom mocno niewygodni i Julius G"mb"s zaaranżował ich dalszą podróż do Hiszpanii.

Tymczasem mimo wszelkich starań prezydenta monachijskiej policji zleceniodawca Killinger został aresztowany. W czerwcu 1942 roku stanął przed sądem w Offenburgu pod zarzutem współudziału w morderstwie i po skandalicznym procesie uwolniony.

Z uwagi na amnestię z 21 marca 1933 roku obaj mordercy mogli na krótko przed przejęciem władzy przez narodowych socjalistów powrócić do Niemiec.

Mimo że jako "sędziowie Erzbergera" powitani zostali jak bohaterowie, nie zrobili jednak kariery pod rządami nazi.

Wiele wskazuje na to, że już w tym okresie gnębiły ich wyrzuty sumienia. Tillessen jako pierwszy postanowił się przyznać, został aresztowany przez Military Police, dokąd sam się zgłosił przedstawiając się jako morderca Erzbergera. Wkrótce i Schulz znalazł się za kratkami.

W listopadzie 1946 roku we Freiburgu odbył się proces przeciwko Tillessenowi zakończony niespodziewanym uwolnieniem. Sędzia ogłosił zamknięcie postępowania karnego na podstawie amnestii z 1933 roku.

Francuskie władze wojskowe - proces odbywał się w strefie francuskiej - zaprotestowały, zwalniając jednocześnie sędziego i zleciły ponowne aresztowanie Tillessena. Francuski rząd z Rastatt unieważnił orzeczenie poprzedniego składu sędziowskiego i przekazał postępowanie do Konstancji. Tam w lutym 1947 roku Tillessen został skazany - na podstawie alianckiej ustawy o zbrodniach wojennych - na 15 lat więzienia.

W trzy lata później jego kompan, Schulz, stanął przed sądem w Offenbergu - tam gdzie w 1922 roku odbył się proces przeciwko Killingerowi - i został skazany na 12 lat więzienia.

W kilka lat później obu mordercom darowano odbywanie reszty kary.

Karl Helfferich, którego nagonka tak bardzo podgrzała atmosferę wokół Erzbergera, przeżył swego przeciwnika tylko o kilka lat. W 1924 roku zginął w Szwajcarii podczas katastrofy kolejowej w wieku 52 lat.

WALTHER RATHENAU (1867 - 1922)

Zapis w dzienniku Walthera Rathenau był króciutki i nic nie mówiący: "San Remo, 16 kwietnia 1922. Podpisałem coś tam" .

Był to układ z Rapallo pomiędzy Republiką Weimarską a Rosją Sowiecką - nazwa Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich jest już dużo późniejsza. I nic o tym nie wiedząc, minister spraw zagranicznych rządu Rzeszy Niemieckiej wtedy pod przywództwem polityka centrum Karla Josepha Wirtha podpisał się pod własnym wyrokiem śmierci.

Dziś jeszcze krążą legendy o tym układzie i o jego rzekomych tajnych klauzulach mających regulować współpracę militarną pomiędzy obu państwami, które po zakończeniu pierwszej wojny światowej stały się pariasami w społeczności europejskiej. W rzeczywistości traktat nie zawierał nic poza wzajemnym dyplomatycznym uznaniem, ułatwieniami w handlu i rezygnacji z roszczeń wywodzących się z okresu sprzed wojny. Jeśli mimo to europejska opinia publiczna potraktowała go jako bombę, nie było to związane z treścią układu, lecz z faktem, że dwa państwa, które przegrały wojnę, po raz pierwszy poza plecami aliantów doszły do daleko idącego porozumienia.

Właśnie to miał na myśli eks-kanclerz federalny Willy Brandt wygłaszając przed laty w związku z jakąś uroczystością: "Gdyby układ z Rapallo nie doszedł do skutku w tak dramatycznych okolicznościach, prawdopodobnie nie wywołałby tak wielkiego poruszenia. Rosyjsko-niemieckie porozumienie było całkiem naturalną rzeczą i nie oznaczało wcale jednostronnego sensacyjnego ukierunkowania niemieckiej polityki zagranicznej dokonanego przez Rathenaua".

Dzięki tym właśnie "dramatycznym okolicznościom" traktat z Rapallo nierozłączny jest z jego nazwiskiem. Rathenau napiętnowany został jako zdrajca przez jedne kręgi, inne zaś wyznaczyły mu rolę kozła ofiarnego. Zupełnie niesłusznie: Rathenau miał wielkie obiekcje zarówno do samego paktu jak i sposobu jego zawarcia. Początkowo wzbraniał się przed podpisaniem końcowego dokumentu, zmiękł dopiero, gdy Wirth oświadczył mu: "Wtedy sam będę musiał podpisać". A dziarscy generałowie Reichswehry, zyskujący dzięki militarnej współpracy ze Związkiem Radzieckim - którą pakt z Rapallo pośrednio umożliwił - byli zbyt tchórzliwi, by bronić cywila Rathenaua. Woleli go rzucić na pożarcie prawicowej ekstremie i skupić się na odbudowaniu armii.

Nie tylko niemiecka prawica pasowała Rathenaua "zdrajcą z Rapallo". Również państwa Ententy gwałtownie protestowały przeciw "tak własnowolnemu postępowaniu ministra".

Dziś wiemy, że brytyjski premier David Lloyd George - po cofnięciu się Amerykanów do izolacji i odejścia Georgesa Clemenceau - ostatni "przeżytek Wersalu", kuł podobne plany. Niemcy i Rosja miały zostać na

powrót przyjęte do Ligi Narodów, jednak nie wskutek własnych działań, lecz na podstawie "aktu łaski" zwycięzców.

Oczywiście Rathenau mógł bez problemu odeprzeć ataki krytyków z kraju i zza granicy, lecz w ten sposób obnażyłby ataki na kanclerza Rzeszy. Rathenau był zbyt dobrym patriotą, by ratować swą karierę polityczną, a i życie, jak się potem okazało, by uzyskać tego rodzaju zadośćuczynienie. Może w obliczu bezpośredniego zagrożenia śmiercią wyłożyłby wszystkie karty na stół, lecz wtedy czas nie był mu już dany.

Przedkładaniem patriotyzmu ponad wszystko Rathenau został zaszczepiony w domu rodzinnym - rzecz dość typowa dla niemiecko-żydowskich domów w tym okresie. Emil Rathenau - ojciec - w dosłowym tego słowa znaczeniu sprowadził prąd elektryczny do Niemiec. W 1881 roku Thomas Alva Edison po raz pierwszy w Paryżu zademonstrował elektryczną żarówkę. Rathenau senior już wtedy - w wieku 43 lat zamożny rentier zainteresowany nowinkami - był tak pod wrażeniem wynalazku, że z miejsca zakupił patent dla Niemiec. Po dwu latach powołał do życia Niemieckie Towarzystwo Edisona - praprzodka gigantycznego koncernu AEG.

Błyskawiczny rozwój firmy AEG przyniósł staremu Rathenauowi bogactwo i sławę. Ku ubolewaniu żony pochodzącej z frankfurckiej rodziny bankierskiej Neumann, ojciec Walthera nie miał żadnych zainteresowań politycznych czy kulturalnych. W związku z tym próbowała odpowiednio wpłynąć na starszego, urodzonego w 1867 roku Walthera.

Jednak o dalszych losach "dziedzica" nadal decydował ojciec. Oznaczało to gruntowne wyszkolenie akademickie i techniczne, co miało mu w przyszłości służyć wypełnianiu roli głowy rodziny i firmy.

Młody pięknoduch cierpiał. Jego młodość pełna była nieudanych prób ucieczki. Marzył nawet o wywędrowaniu do Ameryki, lecz w końcu zwyciężyła pruska dyscyplina. Studiował nauki przyrodnicze, następnie chemię oraz budowę maszyn. Służbę wojskową odbył w kirasjerach gwardyjskich w Berlinie, szlifów oficerskich się jednak nie dorobił, o co obwiniał antysemickie uprzedzenia swych przełożonych. Zwolniony do rezerwy nareszcie może rozpocząć życie zawodowe. Nie jako rozpieszczony synek w firmie swojego ojca, lecz jako praktykant w wielu różnych przedsiębiorstwach. To że w tych okolicznościach nadal utrzymuje ścisłą więź nie tylko z matką ale i z ojcem, jego biograf Ernst Schulin uważa za psychologiczny cud.

Walther Rathenau znalazł sposób na rozładowanie swych frustracji - literaturę. W "zukunft" zbuntowanego Maximiliana Hardera opublikował swe pierwsze prace, między innymi pozycję pod znaczącym tytułem "Słuchaj Izraelu".

Gdy skończył 32 lata, był wystarczająco dojrzały, by zająć dyrektorski fotel w firmie AEG - kierował nią z przerwami przez 16 lat. Krótko groziła mu detronizacja przez jego młodszego i mniej skomplikowanego brata Ernsta, jednak Walther popisał się dalekowzrocznością - jeszcze przed seniorem rozpoczął ścisłą współzależność między gospodarką a polityką. Na przełomie wieków udało mu się rozbudzić zainteresowanie cesarza Wilhelma Koncernem AEG - tym samym dalszy wzrost znaczenia firmy był zapewniony.

Rathenau senior i ostrożni panowie z zarządu wcale nie byli zachwyceni szybkim "nieostrożnym" działaniem juniora. Ten zaś w związku z tym demonstracyjnie podał się do dymisji, pozostając jednak nadal z koncernem związany.

Nagromadzone stresy musiał znów odreagować literacko: "Interesy muszą być prowadzone po królewsku" - szydził w swej książce "Impresje" - "koledzy pracują źle - w najlepszym wypadku przeciętnie".

Nieszczęśliwy wypadek skierował jego karierę na nowe tory. W 1903 roku umiera jego brat Eryk, a senior załamuje się pod tym ciosem. W tym kryzysie pięknoduch Walther ratuje ciągłość zarządzania przedsiębiorstwem, za co w następnym roku wprowadza się do rady nadzorczej koncernu.

Jak zwykle impulsywny, w 1907 roku składa wszystkie funkcje i chce być

uważany za prywatnego człowieka, jednak nadal z dala pociąga za sznurki.

Ponadto wciąga go polityka - wydaje mu się, że tam ma większe szanse działania jako niezależny fachowiec niż w powiązaniach z przemysłem. Wydaje mu się, że w kanclerzu Rzeszy księciu Bulowie znalazł zwolennika, lecz czas jeszcze nie dojrzał po temu. Na razie musiał się zadowolić stanowiskiem doradcy przy nowo mianowanym sekretarzu stanu do spraw polityki kolonialnej - Bernhardzie Dernburgu. Sekretarzowi - również żydowskiego pochodzenia - Rathenau towarzyszy w wielu podróżach po Afryce, które doprowadziły w końcu do zreformowania zdyskredytowanego przez powstanie Harroe w Afryce Południowo-Zachodniej systemu kolonialnego. Jedyną zapłatą jest order. A i ten otrzymuje tylko pod warunkiem utrzymania w tajemnicy swego krytycznego raportu.

Na tle kontrowersji z cesarzem Wilhelmem B□low złożył w 1910 roku dymisję i to na razie oznacza koniec kariery jego protegowanego. "Cesarskiemu Żydowi" nie udało się nawet przeforsować swej kandydatury do Reichstagu z ramienia umiarkowanych liberałów.

Mimo to Walther Rathenau jest w tym czasie już znaną postacią - na tyle znaną, by być pierwowzorem dr Paula Arnheima w powieści Roberta Musila "Człowiek bez właściwości".

Jego żydostwo jest problemem, z którym nie potrafi poradzić sobie aż do śmierci. Występuje z gminy żydowskiej nie decydując się jednocześnie na dalszy krok - ochrzczenie. Jego krytyczne wypowiedzi o Żydach stanowią potem doskonałą pożywkę dla narodowych socjalistów.

W 1914 roku wybucha pierwsza wojna światowa. Niemiecka generalicja rzuca się w konflikt, jakby chodziło tylko o osiągnięcie drugiego Sedanu. Już po kilku miesiącach muszą jednak skonstatować, że nie będzie błyskawicznego zwycięstwa i że wojna - poza wojskowym - ma także oblicze gospodarcze.

Do walki na froncie ekonomicznym generałowie są nie tylko nieprzygotowani - nie nadają się do tego zupełnie. Nawet uznani kapitanowie przemysłu zbrojeniowego nie są w stanie im pomóc. Wiedzą wprawdzie, jak budować armaty, jednak o ekonomicznej wojnie prowadzonej na poziomie międzynarodowym nie mają żadnego pojęcia.

Takimi umiejętnościami w Niemczech 1914 roku dysponuje tylko jeden człowiek - tak długo odsuwany na bok Walther Rathenau. Jak nikt inny, podczas swych długich i częstych podróży rozpoznał, jak bardzo niemiecka machina wojenna zależna jest od zaopatrzenia w surowce. Już w sierpniu 1914 roku przedstawia rządowi projekt planu zaopatrzenia surowcowego, który zostanie wprawdzie zaakceptowany natychmiast, jednak dopiero po pewnym czasie - pod nadzorem Rathenaua - wprowadzony w życie. Bez wkładu "Cesarskiego Żyda" niemiecka machina wojenna załamałaby się o wiele wcześniej.

W każdym razie Rathenau po raz pierwszy znalazł zadanie odpowiadające jego zdolnościom organizacyjnym oraz patriotyzmowi. Przy wcielaniu planu w życie nie jest specjalnie delikatny - surowce wprawdzie nie są sekwestrowane, lecz ich użycie jest pod kontrolą. A potencjał gospodarczy okupowanych krajów - na przykład Belgii - zostaje bez skrupułów wykorzystany.

U szczytu swej działalności w marcu 1915 roku ustępuje ze stanowiska. Po pierwsze z uwagi na wrogą atmosferę wokół niego tworzoną w Ministerstwie Wojny przez antysemitów, po drugie nie chce odpowiadać za coraz ostrzejsze środki żądane przez wojskowych.

Wojna i bez niego idzie dalej, on sam wzdraga się przed dalszymi oficjalnymi zleceniami. Wcześniej niż większość innych rozpoznaje zagrożenie przegranej rysujące się mimo wszelkich spektakularnych zwycięstw. Właśnie ta świadomość zamienia go w "jastrzębia". Może również dlatego, że lepiej od innych potrafi ocenić katastrofalne skutki przegranej wojny.

W październiku 1918 roku obaj "Dioskurzy" niemieckiego dowództwa wojny - Hindenburg i Ludendorff - tracą nerwy. Żądają od ostatniego cesarskiego premiera - księcia Maxa von Baden zawarcia zawieszenia broni

z państwami Ententy - natychmiast i za wszelką cenę. Książę Max próbuje oddalić od siebie odpowiedzialność, lecz obaj generałowie nie dają mu wyboru. Później wyprą się wszelkiej współodpowiedzialności zwalając winę na "polityków rezygnacji".

W tych krytycznych dniach to właśnie cywil Rathenau zwraca się do wojskowych z wyrazistymi apelami o przetrzymanie. 2 października publikuje artykuł prasowy pod tytułem "Przetrzymać", w którym zaręcza, że wojna jeszcze nie jest przegrana. W kilka dni później idzie jeszcze dalej - w swym wystąpieniu żąda powstania całego narodu, poruszenia mas w duchu rewolucji francuskiej. Książę Max stwierdził potem: "Mógłby tego dnia przyjść do mnie. Mógłbym potrzebować takiego poplecznika".

9 listopada jest już po wszystkim. W Berlinie hula rewolucja, bądź to, co uważa się w Niemczech za rewolucję. Tego samego dnia "Niemiecka Republika" obwołana zostaje dwukrotnie - przez socjaldemokratę Philippa Scheidemanna z balkonu Reichstagu oraz przez skrajnie lewicowego Karla Liebknechta spod Zamku Berlińskiego. Cesarz abdykuje i udaje się na emigrację do Holandii.

A co czyni Rathenau? Szuka pociechy w filozofii, debatuje z przyjaciółmi, przyrównuje niemiecką rewolucję do nawrócenia się Saula na drodze do Damaszku. Walther Rathenau nie zabiera głosu, gdy w Berlinie się walczy i demonstruje, gdy prawicowa ekstrema morduje Karla Liebknechta i Różę Luksemburg. Nawet w jego listach z tego okresu mowa jest jedynie o "smutnych czasach" i "mętnych stosunkach". Tylko raz wypowiada się w liście do swej serdecznej przyjaciółki Lili Deutsch: "Właściwie powinniśmy stać na barykadach. Ale ja nie mogę. Nie znoszę woni maluczkich".

Nie pozostaje jednak całkowicie bezczynny. Pomaga przy przeprowadzeniu demobilizacji i pośredniczy pomiędzy przedsiębiorcami a wolnymi związkami zawodowymi, by utrzymać chociaż fundamenty niemieckiej gospodarki. Wkrótce jego polityczne ambicje rozbudzają się do nowego życia. Włączenie się do polityki nie stało się jednak łatwiejsze. Poza tym nie ma na razie żadnej partii, z którą mógłby się identyfikować. Liberałowie starej daty zniknęli z politycznej sceny. Od socjaldemokratów - również od ich prawego skrzydła - dzieli Rathenaua jego antymarksistowski światopogląd. A jako dojrzały mężczyzna nie chce dać się ochrzcić celem robienia kariery wśród polityków centrum.

Wraz z innymi intelektualistami zakłada więc Niemiecki Związek Ludowy - członkami-założycielami obok niego są między innymi Gerhart Hauptmann, Friedrich Neumann i młody Albert Einstein. Związek po niespełna półrocznym działaniu rozpada się i Rathanau bez zbytniego zachwytu wstępuje do niedawno powstałej Niemieckiej Partii Demokratycznej, która jeszcze najbardziej odpowiada jego liberalnym poglądom.

Początkowo również tam nie znajduje pola do działania. Dopóki lewica i prawica będą uważały go za winnego wojny i powojennej nędzy, dopóty demokraci będą wzbraniać się przed umieszczeniem go na liście swych kandydatów. Przez pewien czas Rathenau obawia się nawet, że Ententa wciągnie go na listę przestępców wojennych za udział w kierowaniu dostawami surowców.

Dopiero upadek skrajnie prawicowego puczu Kappa umożliwia mu w marcu 1920 roku powrót na scenę polityczną. Prawicowa ekstrema jest równie zdyskredytowana jak lewicowa. Wołanie o "prawdziwego eksperta" staje się coraz głośniejsze.

Pierwszym krokiem jest powołanie Rathenaua do Komisji Społecznej, gdzie wkrótce dosięga go niepowodzenie. Program opracowany przez niego we współpracy z socjaldemokratą Rudolfem Hilferrdingiem nie zostaje wprawdzie odrzucony przez Ministerstwo Gospodarki, znika jednak w jakiejś przepastnej szufladzie.

Właściwym problemem niemieckiej gospodarki są jednak reparacje wojenne. Rathenau powołany na eksperta uważa spór za bezcelowy i dąży do zawarcia kompromisu, pozyskując jako zwolennika ówczesnego ministra finansów Wirtha.

W ten sposób człowiek nawołujący w 1918 roku do narodowego powstania zakwalifikował się - przynajmniej w oczach swoich wrogów - do grona "polityków spełnienia" stając się odpowiednio do tego celem ataków odrestaurowanej prawicy. Tubą głosową przeciwników Rathenaua zostaje przemysłowiec Hugo Stinnes - późniejszy szczebel na drodze Adolfa Hitlera do władzy.

27 kwietnia 1920 roku alianci przedstawiają swoje roszczenia reparacyjne, po czym ustępuje berliński gabinet premiera Fechenbacha, a Francuzi rozpoczynają stosowanie sankcji militarnych.

Niewdzięczne ale nieuniknione zadanie spełnienia roszczeń reparacyjnych Ententy przypada w udziale następnemu rządowi sformowanemu przez premiera Wirtha - byłego ministra finansów. Wirth przekonuje Rathenaua do objęcia pierwszego w jego życiu stanowiska ministerialnego - teki ministra do spraw odbudowy.

Wirth i Rathenau wiedzą dokładnie, że spełnienie wszystkich roszczeń aliantów daleko wykracza poza możliwości zniszczonej wojną niemieckiej gospodarki. Obaj natychmiast opowiadają się za polityką "środków tworzących zaufanie", której celem jest stworzenie korzystnego klimatu dla negocjowania redukcji żądań zwycięzców.

Perspektywy wydają się być korzystne, gdyż umiarkowany rząd Aristida Brianda zastąpił "jastrzębie z Wersalu". Również w Anglii premier David Lloyd George opowiada się za bardziej ustępliwą linią wobec pokonanego wroga.

Jako minister Rathenau szczególnie mocno akcentuje swą pozycję niezależnego fachowca. W Reichstagu oświadcza, że zamierza kierować swoim resortem nie przy pomocy politycznych lecz wyłącznie naukowych i przemysłowych kryteriów.

Zostaje to dobrze przyjęte, również przez przeciwników Rathenaua, lecz jedynie wtedy, gdy jest on czynny w sferze przemysłowej. Alianci w międzyczasie pozbyli się swych zastrzeżeń względem niego, widząc w nim człowieka, z którym można rozsądnie negocjować każdą kwestię. Następuje pierwsze osiągnięcie: umowa z Francją, że reparacje mogą być spłacane nie tylko pieniędzmi ale również niemieckimi towarami.

Plany Rathenaua sięgały jednak znacznie dalej. Udaje mu się pozyskać Lloyda George'a dla swej tezy, że zagadnienie reparacji wojennych należy rozpatrywać w kontekście ogólnoeuropejskiej powojennej odbudowy i że ta odbudowa siłą rzeczy musi obejmować również Związek Radziecki.

W październiku 1921 roku w Genewie Liga Narodów decyduje o podziale Górnego Śląska pomiędzy Polskę i Niemcy. To zbyt wiele nawet dla "gabinetu spełnienia" - rząd ustępuje, skłoniony do tego między innymi przez Rathenaua.

Nie ma jednak żadnej alternatywy. Wirth tworzy nowy gabinet bez Rathenaua, którego stanowisko pozostaje początkowo nieobsadzone. Mimo zejścia ze świecznika Rathenauowi nie udaje się uniknąć krytycznego obstrzału. Bez cienia dowodu uznaje się go winnym klęsce w sprawie Górnego Śląska. Nieprzypadkowo jednym z haseł górnośląskiego korpusu ochotniczego jest: Zabić Walthera Rathenau, przeklętą żydowską świnię.

Że nie jest to tylko pusta groźba, udowodniło w sierpniu 1921 roku zamordowanie byłego ministra Matthiasa Erzbergera, którego jedyną winą było, że działając na zlecenie rządu i generałów podpisał w 1918 roku porozumienie o zawieszeniu broni w Compi,gne.

Nieobecność Rathenaua w rządzie jest tylko krótkim interludium. Wkrótce Wirth obdarza go różnymi oficjalnymi misjami zagranicznymi.

W styczniu 1922 roku w Cannes wznowione zostają obrady na temat reparacji oraz gospodarczego rozwoju. Niemcy po raz pierwszy od zakończenia wojny reprezentowani są przez oficjalną delegację - pod przewodnictwem Rathenaua.

Lloyd George przedkłada zgromadzeniu plan odpowiadający zasadniczo koncepcjom Rathenaua. Jest to obiecujący początek, lecz dobry nastrój utrzymuje się krótko. Podczas gdy Niemcy protestują przeciw zbyt daleko posuniętym żądaniom reparacyjnym, Francuzi uważają te reparacje za

niedostateczne. W kilka dni po rozpoczęciu konferencji w Cannes Briand ustępuje, zaś na jego miejsce wkracza zgorzkniały germanofob, były prezydent Raymond Poincar,.

Kanclerz Wirth rozpoznaje powagę sytuacji i decyduje się na nadzwyczajny krok: mianuje Rathenaua - mimo oporu prezydenta Friedricha Eberta - ministrem spraw zagranicznych.

Nominacja Rathenaua ma również powód protokolarny. Obrady w Cannes zostały odroczone i mają zostać wznowione w Genui. Tym razem Niemcy reprezentować ma nie prywatny człowiek, lecz pełnej rangi minister stojący na czele delegacji. A fatum chce, że na marginesie konferencji następują wydarzenia, które przypieczętowują los Rathenaua.

Ale czy konferencja jest w ogóle do uratowania? Brytyjska linia ustępliwości zrównoważona została usztywnieniem stanowiska Francji. Outsiderzy - Niemcy i Rosja - muszą się obawiać ponownego politycznego wyizolowania z europejskiej społeczności w drodze uchwał, na które nie mają żadnego wpływu, albo tego, że państwa Ententy faworyzować będą Berlin czy Moskwę - każdorazowo kosztem drugiego.

Tym samym logiczną koleją rzeczy dochodzi do kontaktów pomiędzy Niemcami a Rosjanami, które w początkowej fazie rzeczywiście są bardzo poufne. Rathenau jako liberał nie obdarza takiego rozwoju sytuacji sympatią. Jeszcze mniej podobają mu się tajne rozmowy pomiędzy generałami Reichswehry a generałami Armii Czerwonej.

Dopiero podczas słynnej "konferencji w piżamach", zwanej tak z uwagi na nocną porę i nieformalne stroje, w jakich się odbyła, kanclerz Wirth przekonuje swego ministra spraw zagranicznych do pojechania do pobliskiego Rapallo celem podpisania wynegocjowanego już przez ekspertów porozumienia z Rosjanami. Przed trzema laty podobny nacisk stosowali konserwatywni generałowie na Mathiasa Erzbergera, nim ten zdecydował się na swoją "drogę do Canossy" do Compi,gne.

W Wielkanocną Niedzielę, 16 kwietnia 1922 roku przed zajęciem miejsca w samochodzie do Rapallo Rathenau próbuje jeszcze telefonicznie osiągnąć życzliwego sobie personalnie Lloyda George'a. Nie było go jednak w hotelu. Dla Rathenaua kości zostały rzucone. "Le vin est tir,, il faut le boire" - mówi do swego asystenta von Maltzana (wino zostało odkorkowane, trzeba je wypić).

Gdy wiadomość o układzie z Rapallo wychodzi na jaw, wygląda na to, że konferencja genueńska zostanie zerwana. Poincar, grozi wyjazdem. Lloyd George żąda od Wirtha i Rathenaua odwołania układu celem otwarcia drogi do powszechnej zgody. Rathenau, który przyjął na zewnątrz odpowiedzialność, odmawia.

Mimo wszystko konferencja w Genui toczy sie dalej, gdyż Lloyd George za wszelką cenę nie chce dopuścić do jej storpedowania - w 1923 roku oczekuje wyborów i nie może sobie pozwolić na blamaż. Dochodzi do formalnego podpisania umowy, lecz rezultaty faktyczne pozostają skąpe.

Jeśli chodzi o Rathenaua, to po Rapallo jest człowiekiem naznaczonym. Żaden z wojskowych, którym ten układ bardzo pasował, nie odważa się stanąć w obronie ministra spraw zagranicznych. Mnożą się spiski przeciwko niemu. Pewien bawarski ksiądz informuje kanclerza Wirtha - również katolika - że w konfesjonale dowiedział się o planie zamordowania Rathenaua, nie zdradził jednak nic mogącego wskazać na tożsamość mordercy ze względu na tajemnicę spowiedzi.

Tymczasem minister odmawia wzmocnienia swej policyjnej eskorty. Od początku zdawał sobie sprawę z konsekwencji - z zagrożeń, które będą na niego czyhały. Na gruncie prywatnym okazuje jednak, że jest wstrząśnięty: Niech pan mi powie, dlaczego właściwie ludzie tak bardzo mnie nienawidzą?" - pyta swego przyjaciela Hellmuta von Gerlach. "Wyłącznie dlatego, że jest pan Żydem" - odpowiada rozmówca - "i że z powodzeniem realizuje pan niemiecką politykę zagraniczną. Stanowi pan żywe zaprzeczenie antysemickiej teorii o szkodliwości Żydów wobec państwa niemieckiego. Dlatego ma pan zostać zabity".

Animatorem spisku była, jak to dziś wiemy, tak zwana "Organizacja

Consul", niesławnie zaangażowana również w morderstwo Matthiasa Erzbergera.

W 1922 roku OC nosiła nazwę "organizacja" zupełnie nieprzypadkowo. Nie była to już banda spiskowców, lecz dobrze zorganizowany aparat. Jej jądrem była po wojskowemu zarządzana centrala dowodzenia posiadająca cztery oddziały. Pierwszy zbierał informacje, drugi odpowiadał za akcje wojskowe i kontakty z zaufanymi, trzeci zajmował się propagandą, a czwarty administracją. OC utrzymywała bliskie stosunki z zaufanymi poplecznikami, którzy będąc z reguły ludźmi wpływowymi, nie chcieli być zamieszani w jakąkolwiek brudną robotę.

Na marginesie - Rathenau nie był jedynym na ówczesnej czarnej liście OC. Socjaldemokrata Scheidemann - człowiek, który ogłosił światu powstanie republiki w Niemczech - ledwo uszedł cało, gdy 4 czerwca w Kassel próbowano oblać go kwasem.

Ostatnie przemówienie Rathenaua w Reichstagu odbyło się 21 czerwca, przy czym prawicowcy mocno go atakowali. Przyjął to spokojnie, nie wiedząc, że mordercy już mu się przyglądają. W pierwszym rzędzie ław dla publiczności siedzi dwu młodych mężczyzn: 22-letni eks-porucznik marynarki Ernst Kern i jego towarzysz - Hermann Fischer. Kern brał udział w rewolcie marynarzy w Kilonii, gdy zbuntowani zrywali oficerom kokardy i epolety. Było to prawdopodobnie kluczowe wydarzenie dla jego dalszych losów. Jego apologeci twierdzą nawet, że wydarzenia te zmieniły jego osobowość. Wraz z Fischerem - podporucznikiem marynarki - przyłączają się do ochotniczego korpusu Erharda i biorą udział w zdławieniu bawarskiej republiki rad. Podczas puczu Kappa są również obecni, biorą w końcu udział w walkach na Górnym Śląsku.

Do wewnętrznego kręgu spiskowców należą jeszcze: student Ernst Techow i jego 17-letni brat Gerd oraz 21-letni były podporucznik marynarki Ernst von Salomon. W późniejszym czasie prawica będzie przedstawiała zamach jako czyn zbłąkanych samotników argumentując, że zasadniczy pomysł uknuty został przez niezaangażowanych studentów. Wersji tej jednoznacznie przeczy członkostwo zamachowców w Organizacji Consul oraz udowodniony fakt, że samochód do dyspozycji morderców został postawiony przez saksońskiego przemysłowca, któremu naturalnie nic nie można było udowodnić.

Od posiedzenia Reichstagu odbytego 21 czerwca Rathenau jest dokładnie obserwowany przez spiskowców. Trzeba przyznać, że nie utrudnia im pracy. Jego przyzwyczajenia nie zmieniają się i nadal nie przyjmuje ochrony policyjnej.

24 czerwca nadszedł czas. Jak zawsze, o tej samej porze, Rathenau opuszcza swą gr□newaldzką willę, by udać się do biura. Siedzi na tylnym siedzeniu swego samochodu, którego dach z uwagi na piękną pogodę jest złożony.

Trasa przejazdu od dawna już rozpracowana jest przez Kerna i jego wspólników. Prowadzi przez K"nigsallee w kierunku miasta. Na rogu jednej z przecznic - Gustav-Freytag-Strasse - czeka już samochód morderców. Kierowca, którym jest Techow, udaje, że samochód się zepsuł, by wyprowadzić w pole wszystkich przypadkowych przechodniów. Kern i Fischer ubrali się odpowiednio do okazji. Noszą takie połyskliwe skórzane płaszcze, które potem zostały znakiem firmowym gestapo. Głowy nakryte mają skórzanymi kaszkietami - modnymi wówczas wśród automobilistów. Również Salomon miał wziąć udział w akcji - Kern odesłał go w ostatniej chwili, gdyż wydało mu się, że ten traci nerwy.

Kern i Fischer zajęli miejsca na tylnym siedzeniu samochodu. Techow zapala silnik i czekają, aż - punktualnie jak zwykle - przejedzie koło nich Rathenau. Jadą za samochodem ministra w bezpiecznej odległości. Kierowca Rathenaua zwalnia, gdyż nie dość, że ulica przechodzi w podwójny zakręt w kształcie litery "s", to w dodatku na tym odcinku prowadzone są roboty drogowe. Na ten moment czekali zamachowcy. Jadą tylko troszkę szybciej od samochodu ministra. Gdy ich samochód przy wyprzedzaniu znajduje się na tej samej wysokości, Kern wstaje z

siedzenia i z pistoletu maszynowego - leżącego dotąd na podłodze - otwiera ogień w kierunku ministra. Jednocześnie Fischer rzuca granatem zaczepnym. Zamachowcy nie mogą chybić - od celu nie dzielą ich nawet dwa metry - poza tym często ćwiczyli ten układ. Po strzałach Rathenau opada, eksplozja granatu podrzuca go - wreszcie opada z powrotem na siedzenie. Techow daje gazu i ciężka limuzyna gwałtownie odjeżdża, tak że Kern i Fischer odrzuceni zostają na oparcie tylnego siedzenia.

Przypadkowo obok kierowcy Rathenaua jest jeszcze jeden świadek. Jest to robotnik Kirschbin zatrudniony przy robotach drogowych. Jako pierwszy jest przy ministerialnym samochodzie, któremu w międzyczasie zgasł silnik. Dopiero dzięki jego namowom kierowca przytomnieje i udaje mu się zapalić. Przypadkowy przechodzień - jest nim pielęgniarka Helene Kaiser - dosiada się do samochodu układając krwawiącego Rathenauana siedzeniu. Kierowca chce jechać do najbliższego posterunku policji, lecz samarytanka dysponuje powrót do willi - od ich wyjazdu do pracy nie minęło jeszcze dziesięć minut.

Pielęgniarka wraz ze służącym wnoszą ministra do jego gabinetu. Według jednej wersji Rathenau jeszcze w tym momencie żyje - według innej przed przybyciem do willi jest już martwy. Przy późniejszym badaniu w zwłokach obok licznych obrażeń odłamkami granatu stwierdzono pięć ran postrzałowych.

Zamordowanie Rathenaua wywołuje o wiele więcej oburzenia niemieckiej i międzynarodowej opinii publicznej niż poprzednie skrytobójcze zamachy. Chodzi przecież o urzędującego ministra, nie o jakichś rewolucjonistów jak Liebknecht i Luksemburg czy o już spisanego na straty outsidera politycznego jakim był Erzberger.

Mordercy jednoznacznie udowodnili, jak podatną na ciosy jest Republika Weimarska oraz jej czołowe osobistości. Na tej nauce skorzystał między innymi Adolf Hitler knujący w tym czasie w Monachium plany przewrotu.

W dzień po morderstwie wystawiono na widok publiczny zwłoki Rathenaua w jego własnej willi. Tysiące ludzi przeciągają obok mar składając zmarłemu ostatni hołd. Za życia nigdy nie spotkał się z tak masowymi dowodami sympatii. Nawet nie ceniące go nigdy związki zawodowe zorganizowały z tej okazji masówkę w berlińskim Lustgarten.

A potem zbiera się Reichstag na specjalnej sesji i kanclerz Wirth zabiera głos. Początkowo w umiarkowanym tonie zarzuca państwom Ententy winę za niezwykle napiętą sytuację polityczną w Niemczech. Potem jednak zwraca się do deputowanych siedzących po prawej stronie: "Oto stoi wróg sączący truciznę w żyły narodu. Oto stoi wróg i nie ma wątpliwości - wróg stoi po prawej stronie". Tumult wygasa dopiero, gdy arcywróg Rathenaua niemiecko-narodowy deputowany Karl Helfferich opuszcza salę posiedzeń.

Po dwu dniach odbywa się oficjalne żałobne posiedzenie w Reichstagu. Nieoczekiwanie przeklinany Żyd stał się bohaterem, którego pamięć czcili również jego wrogowie.

A po sprawcach jak na razie ślad zaginął. Po przejechaniu kilkuset metrów porzucili samochód zostawiając w nim skórzane płaszcze i kaszkiety i zniknęli. Dopiero po trzech dniach ustalono ich tożsamość i wywieszono pierwsze listy gończe. Gdy robotnicy zorganizowani przez związki zawodowe dziesiątkami tysięcy demonstrują za Rathenauem, mordercy przebywają jeszcze w stolicy Niemiec. Kern i Fischer oburzeni są "niewdzięcznością" rodaków oraz tchórzostwem swych partyjnych kolegów. Dopiero teraz postanawiają zbiec do Szwajcarii pokazując plecy nikczemnej ojczyźnie.

To że ucieczka nie udaje się, jest dość dziwne. Po raz pierwszy tak dobrze zgrana organizacja zawiodła - lub jej wodzowie wystraszyli się publicznej reakcji. Nagle Kern i Fischer zdani są tylko na samych siebie. Mimo to mijają tygodnie, zanim władzom udaje się ich zlokalizować. W ruinach romańskiego zamku Saalek przy K"sen dochodzi 17 lipca do strzelaniny, w wyniku której ginie Kern. Fischer ucieka na najwyższą kondygnację zamkowej wieży, gdzie strzałem z pistoletu

pozbawia się życia.

Pod lipski sąd w dniu 15 października 1922 roku trafiają tylko płotki. Ernst Techow - kierowca - zostaje skazany na 15 lat więzienia - wychodzi jednak już po trzech, jego brat Gerd otrzymuje trzy lata więzienia, zaś Ernst Salomon pięć. Siedmiu innych w ten czy inny sposób zamieszanych płotek otrzymuje mniejsze wyroki.

I nikt spoza "lewej" prasy nie bierze poważnie pomysłu, by ścigać animatorów "zabłąkanych młodych ludzi z dobrych domów", czy nawet prowadzić przeciw nim śledztwo. Walther Rathenau służy przez kilka lat za dyżurnego męczennika za demokrację, a w czasie krótkotrwałej ery odprężenia Briand - Stresemann część tez jego polityki zagranicznej została zrealizowana.

Nie na długo jednak. Wszystko, o co Rathenau walczył od zakończenia wojny, kończy kryzys gospodarczy i objęcie władzy przez narodowych socjalistów. Po drugiej wojnie światowej wschodnioniemieccy liberalni demokraci odsłaniają w miejscu morderstwa tablicę pamiątkową. Niewiele więcej przypomina o Żydzie, który w pierwszym rzędzie pragnął być Niemcem.

GIACOMO MATTEOTTI (1885 - 1924)

Marszałek parlamentu Enrico de Nicola energicznie wymachiwał dzwonkiem, by zapewnić sobie posłuch: "Głos ma deputowany Giacomo Matteotti!"

Deputowani prawicy reagowali sykaniem i okrzykami. De Nicola jeszcze raz musiał wstrząsnąć dzwonkiem, nim deputowany Matteotti mógł wstąpić na mównicę.

W dwa lata po przejęciu władzy z rąk słabego króla przez faszystów Benito Mussoliniego - staroświecki kalendarz parlamentarnej sali wskazywał 30 maja 1924 roku - rzymski parlament stracił wiele, jeśli nie całe swoje znaczenie. Rzeczywiście szczególnego wydarzenia potrzeba było, by wywabić przedstawicieli narodu - wielu spośród nich w czarnych koszulach - z parlamentarnych kuluarów na salę obrad. Przed kilku tygodniami faszyści przy pomocy odpowiednio spreparowanego prawa wyborczego i potężnej kampanii zastraszania przygniatającą większością wygrali pierwsze od czasu "marszu na Rzym" w 1922 roku wybory. Według oficjalnych wyników ostatecznych otrzymali 4,5 miliona głosów w stosunku do 3 milionów głosów przypadających całej opozycji. Było to więcej niż potrzebowali. Zgodnie z nowym prawem wyborczym już z 25 procentami głosów uzyskaliby większość dwu trzecich w parlamencie. Teraz przy pierwszym posiedzeniu nowego parlamentu 374 faszystów siedziało naprzeciw zdziesiątkowanej opozycji. Któż w tych okolicznościach uważnie przysłuchiwałby się debacie parlamentarnej?

Wstąpienie na mównicę socjalistycznego szefa partii Matteottiego było tym wydarzeniem, które kazało porzucić deputowanym wygodne skórzane fotele stojące w kuluarach na rzecz ław poselskich.

Rzeczywiście oczekiwał ich godny uwagi spektakl. Matteotti nie tylko był arcywrogiem faszyzmu i doskonałym mówcą - był również odważnym człowiekiem. Przed powołaniem nowego parlamentu po całych dniach w bibliotece parlamentarnej w Palazzo Montecitorio sprawdzał pojedyncze wyniki wyborów. Teraz był gotów do wielkiego rozliczenia.

Na początek wiotki 39-letni polityk wyliczył najjaskrawsze przypadki oszustw wyborczych i zastraszeń. Ze stu zgłoszonych przez socjalistów kandydatów tylko czterdziestu mogło wziąć udział w kampanii wyborczej. Pozostałych przegnały bojówki. Jeden z kandydatów został postrzelony we własnym mieszkaniu za chęć zrobienia użytku ze swego biernego prawa wyborczego. W większości lokali wyborczych panował nagi terror. Wyborcy, którzy nie chcieli jawnie głosować na faszystów, byli bici. A w całym kraju ani jeden lokal partyjny socjalistów nie pozostał bez uszkodzeń.

"Żaden z wyborców nie mógł decydować zgodnie ze swoją wolą" - grzmiał Matteotti, podczas gdy salę zaczął ogarniać niepokój, "ponieważ premier

zlecił kontrolowanie lokali wyborczych swojej milicji".

A najzjadliwszą strzałę socjalistyczny przywódca zostawił na koniec swej przemowy: Liczba 4,5 miliona faszystowskich wyborców jest czysto statystycznie nieprawdziwa - w poszczególnych okręgach wyborczych partia Mussoliniego otrzymała więcej głosów, niż było zarejestrowanych wyborców.

Następnie Matteotti zgłosił formalny protest przeciwko wynikom wyborów: "Twierdzimy, że w ogóle nie było wolnych wyborów!"

Tego rodzaju przemowy od czasu marszu na Rzym jeszcze nie słyszano w parlamencie. Odpowiednio do tego głośne protesty podnieśli faszystowscy przedstawiciele narodu."Obraza parlamentu" - było najłagodniejszym okrzykiem skierowanym przeciwko socjalistycznemu mówcy. "No to rozwiążcie parlament" - odpowiadał na to sprawca zamieszania. Potem usłyszano głos, który często miał rozbrzmiewać w parlamencie, ale i na ulicy - Roberto Farinacci, najnowszy agitator i zarazem najwierniejszy bojówkarz krzyknął: "Zamknij pysk, bo zrobimy coś, czego do tej pory jeszcze nie robiliśmy!" Ale Matteotti nie dał się tym zastraszyć: "Jest to wasze zwykłe rzemiosło". Po tej odpowiedzi Farinacci stracił panowanie nad sobą: "Nauczymy cię innego tonu!"

Jednak ostatnie słowo należy do Matteottiego. Składa manuskrypt swojej przemowy i opuszcza mównicę rzucając do swych frakcyjnych kolegów: "Zacznijcie pisać mój nekrolog".

Podczas gdy marszałek de Nicola - który za dwadzieścia lat obejmie funkcję tymczasowego prezydenta Włoch - bezskutecznie usiłuje doprowadzić do spokoju na sali, człowiek, którego Matteotti postawił pod pręgierzem - Benito Mussolini - milczy.

Jak stwierdza jego biograf Richard Collier, atak socjalistycznego przywódcy uderzył w niego mocniej, niż jego partyjni koledzy mogli to przypuszczać. Zamierzał mianowicie upokorzonych wyborami socjalistów przyjąć a nawet - w bardzo ograniczonym stopniu - dzielić z nimi odpowiedzialność rządzenia.

Te plany załamały się jak domek z kart. Jednak na razie milcząc z twarzą wykrzywioną z wściekłości Mussolini opuszcza salę obrad. Do dziś nie jest jasne, do jakiego stopnia ponosi on osobistą odpowiedzialność za następujące wydarzenia.

To że faszyści tak nienawidzą Matteottiego, spowodowane jest przyczynami zarówno politycznymi jak i osobistymi. Według zmajstrowanej przez nich, spaczonej logiki winien on stać bowiem po ich stronie - gdyż nie jest proletariuszem, lecz synem wielkiego posiadacza ziemskiego. Pochodzi więc z klasy, która we Włoszech tradycyjnie związana jest z reakcją, a od zakończenia pierwszej wojny światowej również z faszyzmem.

Młody Matteotti jest jednak wyjątkiem. Po swych prawniczych studiach w Bolonii przyłącza się do partii socjalistycznej. A redaktorem naczelnym ich organu "Avanti"jest nie kto inny jak rewolucjonista Benito Mussolini.

Tuż po wybuchu pierwszej wojny światowej ich drogi rozdzielają się. Podczas gdy większość socjalistów - między innymi Matteotti - sprzeciwia się przyłączeniu do wojny jeszcze wtedy neutralnych Włoch, Mussolini - za sprawą francuskich pieniędzy - bierze stronę zwolenników wojny.

By uprzedzić spodziewany kopniak, Mussolini składa rezygnację z redagowania "Avanti" i zakłada - tym razem jednoznacznie za francuskie pieniądze - własną gazetę "Giornale d'Italia" nawołującą bez przerwy do wojny przeciw Austrii. Gdy te starania za sprawą lukratywnych obietnic składanych rządowi włoskiemu przez Ententę wieńczy sukces - Włochy w 1915 roku włączają się do wojny - jutrzejszy Duce melduje się pod chorągwiami.

Na temat jego wojskowej kariery stworzył się bohaterski epos. Udokumentowane jest jedynie, że odniósłszy ranę powraca do uprawiania polityki.

Gdy wojna się kończy, Włochy należące do obozu zwycięzców powiększają swoje terytorium daleko poza etniczne granice. Mimo to rzymski

establishment jest niezadowolony, uważając że włoski wysiłek wojenny nie został dostatecznie uhonorowany, szczególnie że Włosi liczyli na ekspansję terytorialną w kierunku południowowschodniej Europy. Symptomem nadchodzących czasów była próba zagarnięcia jednym zamachem miasta Fime na rzecz Włoch wykonana przez poetę i "protofaszystę" Gabrielle d'Annunzio. Epoka następująca bezpośrednio po wojnie jest we Włoszech okresem politycznych i społecznych napięć. W listopadzie 1919 roku odbywają się pierwsze "pokojowe" wybory, w których socjaliści pochwalić się mogą pokaźnymi sukcesami. Również Matteotti wybrany zostaje do parlamentu, co decyduje o jego dalszych losach.

Parlamentarne propozycje między prawicą a lewicą oraz chwiejność wzajemnych stosunków doprowadzają do ciągłych kryzysów rządowych.

W takiej właśnie sytuacji na krótko przed wyborami Mussolini założył "Fascio di Combattimento" - jeszcze nie partię z prawdziwego zdarzenia, lecz raczej ruch o charakterze narodowo-rewolucyjnym. Coś w rodzaju przeciwwagi dla komunistów. Dopiero w dwa lata później ruch ten przekształcił się w polityczną partię. W międzyczasie niepokoje społeczne uległy dalszemu zaostrzeniu. Strajki i okupowanie fabryk było na porządku dziennym. Niektóre reakcyjne kręgi, uważając że rząd interweniuje zbyt ślamazarnie, postanowiły wykorzystać sprawdzone już podczas starć ulicznych bojówki faszystów do własnych celów. Podobnie jak w Niemczech w dziesięć lat później prawicowa ekstrema nie może uskarżać się na brak pieniędzy.

W październiku 1922 roku dochodzi do osławionego "marszu na Rzym", o którym w następnych latach krążyć miały niesamowite legendy, zdezawuowane dopiero po upadku faszyzmu, w które jednak do dziś wierzą miliony Włochów.

W rzeczywistości marsz ten, który miał sprowadzić do Rzymu około 300000 faszystów z różnych regionów kraju, o mało nie zakończył się olbrzymim fiaskiem inicjatorów. Gdzie tylko faszyści obsadzić chcieli obiekty wojskowe, zostawali bez wysiłku rozpędzani przez żołnierzy. Premier Luigi Facta zwrócił się do króla z prośbą o ogłoszenie stanu wyjątkowego, by ostatecznie przerwać bezeceństwo. Jednak karzełkowaty Victor Emanuel III stojący dosłownie w cieniu swej wysoko wyrośniętej żony - odmawia.

Wydana już przez Factę instrukcja dla wojska musi zostać odwołana. Król idzie jeszcze dalej - Mussoliniemu, który w końcu odważył się przybyć do Rzymu, osobiście powierza misję stworzenia nowego rządu. W ten sposób rozpoczyna się droga Włoch do dyktatury.

Wiele spekulowano o motywach postępowania króla. Może jego zachowanie spowodowane zostało licznymi kompleksami, w jakie uwikłana była jego osobowość? Zdradzenie w 1915 roku sprzymierzeńców - państw osi - i przystąpienie do wojny po stronie Ententy, jeżeli nawet nie moralnie to politycznie można z całą pewnością usprawiedliwić. Nic jednak nie usprawiedliwia zdradzieckiego ciosu w plecy zadanego demokracji - w końcu Włochy chlubiły się demokratycznymi tradycjami. W dwadzieścia lat później król, również bez skrupułów, zdradzi Mussoliniego.

Na razie we Włoszech nie dochodzi do gwałtownego przejęcia władzy jak na przykład w Niemczech w jedenaście lat później. Wprawdzie faszyści chętnie stosują otwarty terror, nie są jednak wszędzie i nie są zawsze skuteczni. Szczególnie socjaliści bronią się jak tylko mogą. A przewodzi im w 1921 roku wybrany ponownie do parlamentu onoverole Matteotti.

Przez to Matteotti staje się głównym celem przybierających wciąż na sile aktów przemocy faszystowskiej. Początkowo są to tylko szykany. W odleglejszych stronach, na przykład na Sycylii, odwiedzanych przez niego w ramach prowadzonej pracy politycznej, oberżyści wzdragają się przed obsługiwaniem go. Wyłącznie ze strachu, że faszystowskie bojówki zdemolują ich lokale. Deputowany znosi to początkowo spokojnie. Potem przeciw niemu zostaje podjudzona policja. Protestuje gwałtownie, gdy carabinieri uniemożliwiają mu zabranie głosu podczas politycznego wiecu w Ferrarze. Jego protesty są daremne. Na oczach stróżów porządku

faszystowska hołota obrzuca go błotem i opluwa. Jego najbliżsi przyjaciele partyjni doradzają mu natychmiastowy wyjazd z miasta.

Najgorzej faszyści traktują Matteottiego w jego rodzinnym mieście Rovigo. Zostaje uprowadzony przez bandę "Czarnych koszul" i ciężko pobity. Na koniec faszyści wtykają mu płonącą świecę w odbyt: "Niech to będzie dla ciebie nauką" - mówi przywódca bandy.

Szczupły, szarooki polityk nie daje się pouczać - walczy dalej,jakby się nic nie stało. Jednak nie może zapobiec przyjęciu przez parlament nowego faszystowskiego prawa wyborczego. Deputowani są wierni reżymowi bądź zastraszeni. Matteotti ponownie kandyduje w swoim okręgu wyborczym ale jest zbyt znaną osobistością, by można go było po prostu przegnać.

Faszyści podejmują olbrzymie wysiłki, by go pokonać. Mimo to zostaje wybrany ponownie przygniatającą większością.

Po opisanym na wstępie płomiennym proteście Matteottiego na posiedzeniu inauguracyjnym obrady zostają odłożone. Dla reżymu ważniejszym problemem jest skompletowanie nowego - odpowiadającego parlamentarnej większości - rządu.

Ataki na Matteottiego nie wygasają z tego powodu - przejmują je faszystowskie media. Groźby zamieszczane w prasie stają się coraz bardziej jednoznaczne. Krytyka spotyka nawet faszystowskich deputowanych, którym zarzuca się "niewybaczalną tolerancję" wobec "oszczercy państwa".

Mussolini w tym czasie odzyskał już panowanie nad sobą. Krótko po posiedzeniu, w małym kręgu weteranów marszu na Rzym, rzuca: "Gdybyście nie byli bandą tchórzy, nikt by się nie odważył na taką mowę w parlamencie!"

Uwaga ta ma swój historyczny precedens. Mianowicie wypowiedź średniowiecznego króla Anglii Henryka II wobec swych paladynów o krnąbrnym arcybiskupie Tomaszu Beckecie: "Czy żaden z was, tchórzliwych pachołków napychających kałduny przy moim stole nie będzie w stanie pomścić mej zniewagi?" Na co pięciu z owych paladynów zabiło arcybiskupa. Otwartym pozostaje jedynie, czy uwaga Mussoliniego była wygłoszona z takim zamysłem, czy też została opacznie zrozumiana.

Przez dziesięć dni - abstrahując od nagonki prasowej - panuje całkowity spokój. Właśnie ten spokój bardzo niepokoi Matteottiego. Przeczuwa, że faszyści planują coś więcej niż zwykłe pobicie. Deputowany, który mimo tylu zniewag i napaści spokojnie kontynuował kampanię wyborczą, jest teraz naprawdę zaniepokojony.

Popołudnie 10 czerwca spędza w swym mieszczańskim dziesięciopokojowym mieszkaniu w pobliżu Tybru. Rzym rozkoszuje się zwyczajową sjestą - także dzieci Matteottiego, dwóch chłopców, z których jeden również zostanie politykiem oraz jedna córka zostają odesłani do sypialni. A on sam rozmyśla nad następnym ruchem faszystów. "Wiem, że coś planują" - zdradza swej żonie Velinie. Następnym zdaniem gasi jednak jej niepokój: "Może powinienem z dziećmi pójść na spacer do Villa Borghese?

Zarzuca jednak ten plan. Stanowiłby niepotrzebne zagrożenie dla dzieci. Obrady parlamentarne zostały odroczone, lecz biblioteka jest otwarta i Matteotti postanawia uzupełnić swą dokumentację przeciw faszystom. Ponadto wiele nie opracowanych jeszcze dokumentów znajduje się w jego biurze na Montecitorio - dane od ludzi dyskryminowanych przez faszystów z powodu ich wierności partii.

Ubiera się więc - starannie jak to ma we zwyczaju, by pójść do parlamentu. Przy drzwiach wyjściowych obiecuje żonie powrót najpóźniej o godzinie 20.00 - natychmiast po zakończeniu swych poszukiwań. Jakby pragnąc ją żartobliwie przekonać, że nie planuje żadnego "skoku w bok" pokazuje jej, że ma przy sobie tylko dziesięć lirów.

Około godziny 16 opuszcza mieszkanie i kroczy godnie ulicą Mancini w dół Tybru. Żona macha mu jeszcze przez okno. Przed bramą, w cieniu akacji stoi policjant - Gavino Lupino. Nie podąża za deputowanym, gdyż nie jest jego ochroną - ma jedynie za zadanie obserwować dom. Ale jeszcze jedna grupa mężczyzn obserwowała Matteottiego. Niedaleko domu

dzień w dzień parkowała wielka czarna limuzyna marki Lancia. Okaże się to później błędem taktycznym, gdyż na samochód zwrócili uwagę okoliczni mieszkańcy. Ponieważ w okolicy było kilka włamań, jeden z sąsiadów zanotował nawet numery rejestracyjne samochodu: 55-12169. Kierowcą automobilu był niejaki Amerigo Dumini. Z pochodzenia Italo-Amerykanin - urodził się w St. Louis - stanowi w sam raz karykaturę faszystowskiego zamachowca.

Według Richarda Colliera jego ulubioną formą przedstawiania się jest: "Dumini - jedenaście morderstw". Socjalista Lussu twierdzi, że w rzeczywistości było ich tylko dziewięć, są to jednak wszystko mało istotne szczegóły. Swoją przestępczą karierę rozpoczął we Florencji, gdzie osiedlił się po powrocie z USA. Egzamin mistrza zdał w mieście marmurów - Carrarze. Spoliczkował tam dziewczynę noszącą czerwony goździk. Gdy jej krewny próbował stanąć w obronie jej honoru, Dumini po prostu go zastrzelił. Immunitet zapewniła mu faszystowska legitymacja partyjna.

Mniej godnie zachował się w Rzymie. Socjalistyczny dziennikarz Giannini, którego wraz z kompanami napadł w foyer teatralnym, wyzwał go na pojedynek. Gdy Dumini rozpoznał w przeciwniku doskonałego szermierza - po prostu zbiegł.

W czerwcu 1924 roku Dumini był wysokim funkcjonariuszem w biurze prasowym Mussoliniego, wprawdzie ledwo pisał i czytał, nie przeszkadzało to nikomu - miał od tego współpracowników.

Pięciu kompanów ukrytych przez Duminiego w samochodzie było relatywnie młodymi płotkami, żaden z nich nie stanowił jednak niezapisanej karty. Marcio Malacria, który stawał przed sądem za defraudację, Amleto Poveromo, karany za napad z bronią w ręku, Giuseppe Viola, poszukiwany swego czasu za dezercję z armii, Albino Volpi, wielokrotnie karany, choć jednocześnie zasłużony w czasie wojny licznymi napadami na austriackie posterunki, oraz notoryczny zabójca Philippo Panzeri.

W zasadzie mieli tego dnia prowadzić tylko rozpoznanie terenu, jak codziennie. Mniej więcej o 16 Dumini zamierzał już zwijać się stamtąd, gdy Volpi znienacka zakrzyknął: "Idzie ta świnia". I nagle wszystkich opanowały zabójcze instynkty. "Łapcie go" - polecił swoim kompanom Dumini. Matteottiego dzieliło od lancii tylko kilka metrów, gdy wyskoczyli z niej Volpi i Malacria. A po nich pozostali trzej. Razem rzucili się na polityka i mimo jego zażartej obrony wlekli go do samochodu. Byli tak pewni siebie, że nie zwracali uwagi na ewentualnych świadków przestępstwa. Renato Bianchini - 14-letni gimnazjalista, zamierzający odwiedzić szkolnego kolegę mieszkającego w pobliżu, z przerażeniem obserwował, jak zbrodniarze uprowadzają swoją ofiarę. Dwu morderców trzymało Matteottiego za ramiona, podczas gdy dwu następnych ciągnęło go za nogi. Zeznania gimnazjalisty potwierdził człowiek pływający w Tybrze, który również wszystko obserwował.

Panzeri otworzył drzwiczki limuzyny, a czterech sprawców wrzuciło polityka na tylne siedzenie. Matteotti nadal się bronił. Mocnym kopnięciem roztrzaskał szybę w tylnych drzwiach samochodu, co zabójców rozwścieczyło bardziej niż wszystko dotychczasowe. Koniecznie musieli się zrewanżować za spowodowaną szkodę. Wściekle rzucili się na bezbronną ofiarę. Po chwili bezładnej młócki dowodzący akcją polecił: "Zmykamy stąd!".

Na złamanie karku limuzyna popędziła wzdłuż nadbrzeżnej promenady. Dumini cały czas trąbi klaksonem, po części by skłonić inne auta do zjechania na bok, a po części by zagłuszyć wrzaski uprowadzonego. Jeszcze zanim lancia przejechała Tyber mostem Milvy, Matteottiemu udało się wyrzucić na ulicę legitymację poselską celem zwrócenia uwagi przechodniów.

Polityk wciąż stawia rozpaczliwy opór. Podczas gdy gangsterzy biją go, przeszkadzając sobie wzajemnie, ofiara kopie dookoła - trafiając w końcu Volpiego w jądra. Ten porażony potwornym bólem wyciąga nóż, noszony przez siebie tak jak monter nosi kombinerki czy śrubokręt, i wbija go

Matteottiemu w gardło. W ciągu kilku sekund cały tył pojazdu - nie wyłączając pasażerów - obryzgany jest krwią.

Dopiero kilka kilometrów za miastem Dumini zatrzymuje samochód - gdy kompani pukają w szybę oddzielającą tylne siedzenie - i orientuje się, co się wydarzyło. Ofiara już nie żyje - wykrwawiła się na śmierć. Cios Volpiego przeciął tętnicę szyjną.

Mordercy nie są specjalnie zmartwieni. "No to znowu żeśmy zakłuli świniaka" - podsumował dziewięcio- czy jedenastokrotny morderca Dumini. To co dodaje, jest pełne szacunku: "Umarł jak bohater".

Przy całej swej często eksponowanej brutalności, gangsterzy są nieco bezradni. Nawet nie wiedzą dokładnie, gdzie się znajdują. Bezplanowo jeżdżą po okolicy, by znaleźć jakąś kryjówkę dla zwłok. Domini musiał nawet prosić o informację policjanta. A potem grozi im koniec paliwa. W końcu odkrywają odpowiedni gąszcz nad skrajem szosy. Przy pomocy narzędzi samochodowych wygrzebują w miękkiej ziemi dół, dzięki krzakom niewidoczny z drogi. Jest dostatecznie głęboki, ale tak krótki, że zwłoki przed zasypaniem ziemią muszą złożyć na pół - jak scyzoryk.

Od kogo Dumini mógł dostać zlecenie na to morderstwo?

Było jasnym, że po tak brutalnym uprowadzeniu nie mogli już swej ofiary wypuścić żywej. Tylko sposób wykonania zleconej roboty był spontaniczny - podyktowany bólem i emocją.

Wszystko wychodzi później na jaw. Właściwym zleceniodawcą był Giovanni Marinelli, generalny sekretarz do spraw zarządzania partii faszystowskiej. Wezwał Duminiego do spełnienia "patriotycznego uczynku", gdyż rzekomo partia socjalistyczna zaplanowała zamordowanie wybitnych faszystów. Czy Dumini "kupił" to wyjaśnienie, jest sprawą mocno niepewną, wiadomo jednak, że ów sekretarz miał również wielce osobisty motyw skłaniający go do usunięcia socjalistycznego przywódcy. Matteotti wypowiedział się mianowicie, że włosko-amerykańska Sinclair Oil Company of New Jersey zapłaciła jemu i innym czołowym faszystom 150 milionów lirów - w owych czasach była to olbrzymia suma - łapówki za przyznanie przywilejów górniczych na terenie Włoch. Do tych, którzy przyjęli łapówki, zaliczali się podobno również Filippo Filipelli - redaktor naczelny "Corriere degli Italiani" oraz najstarszy współpracownik i współbojownik Mussoliniego - generał Emilio de Bono, odpowiedzialny za bezpieczeństwo publiczne.

Od tych ludzi - prawdopodobnych popleczników - sprawcy oczekiwali czynnej ochrony. Jednak Dumini i jego kompani mieli przy tym dobre przeczucia. "Sprawa" nie odbyła się tak gładko i czysto, jak to sobie planowali. Dumini postanowił więc na początek poinformować sekretarza Mussoliniego - Arturo Fasciolo, którego dobrze zna i o którym wie, że prawie codziennie około północy można złapać go w Caf, Picarozzi - małym barze naprzeciw siedziby rządu w Palazzo Chigi. W szóstkę siadają przy tylnym stoliku, by czekać na pojawienie się sekretarza Mussoliniego.

Zgodnie z przewidywaniami, krótko po północy wkracza on do baru, nie pali się jednak do spotkania z bojówkarzami. Wręcz przeciwnie, w drzwiach robi w tył zwrot i zamierza opuścić lokal. Dopiero gdy Volpi podbiega do niego i szepce "załatwiliśmy Matteottiego", dosiada się do nich do stolika.

Na dowód, że rzeczywiście spełnili ten czyn, przekazują sekretarzowi jako trofeum dowód osobisty Matteottiego. Gdzie pogrzebali zwłoki, tego przy najlepszych chęciach nie są w stanie określić. Po prostu nie wiedzą. W każdym razie Fasciolo obiecuje poinformować niezwłocznie Mussoliniego.

Dumini nie chce się tym zadowolić. Jeszcze tej samej nocy udaje się do Marinellego, by zapewnić sobie jego poparcie - i ochronę.

Fasciolo nie spieszy się zbytnio. Nie budzi Duce, lecz pojawia się u niego w biurze następnego przedpołudnia. I dowiaduje się, że Marinelli już o wszystkim poinformował dyktatora. Duce przejmuje tylko od niego dowód osobisty Matteottiego i zaleca zachowanie całej afery w najgłębszej tajemnicy.

Wersje opisujące reakcję Mussoliniego różnią się znacznie między sobą. Sam dyktator wyznał później, że następne dni należały do najcięższych w jego życiu. W parlamencie maskuje starannie swe uczucia. Gdy opozycja stawia pytania dotyczące miejsca pobytu Matteottiego, szczerząc zęby oświadcza bezwstydnie: "Mam nadzieję, że deputowany Matteotti bardzo prędko zajmie swoje miejsce między nami".

A wdowie po zamordowanym przyrzeka uroczyście uczynić wszystko dla odnalezienia jej męża.

Na oświadczenie Mussoliniego opozycja odpowiada wyprowadzeniem się z Montecitorio (tak nazywał się gmach włoskiego parlamentu). Ich mandatariusze zbierali się potem w jednym z pałaców stojących na Aventynie, który urósł później do roli symbolu oporu wobec faszyzmu.

Nikt jeszcze nie wie, co właściwie stało się z Matteottim, przeważa jednak pogląd, że przywódca socjalistów jest już martwy, mimo że jego zwłoki nie zostały jeszcze odnalezione. Opozycja uważa, że Mussolini jest bezpośrednio za to odpowiedzialny. Szerokie kręgi społeczne, łącznie z członkami partii faszystowskiej, uważają jednak za winnych prawicowo-ekstremistyczne grupki, o których machinacjach Duce pierwotnie nic nie wiedział. I tylko jedna niewielka grupka uważa Mussoliniego za całkowicie niewinnego.

W następnych dniach dotychczasowy monolit - ruch faszystowski - zaczyna się zarysowywać. Niektórzy członkowie rezygnują z publicznego noszenia "chrabąszcza", który jest oznaką partii faszystów. Wielu deputowanych paradujących po parlamencie w czarnych koszulach pojawia się w eleganckich "cywilnych" ubraniach.

Mussolini wycofuje się do swej kwatery na Viminale strzeżonej już nie przez policję lecz regularne wojsko. Generalna mobilizacja "wojsk pomocniczych", ochotniczych formacji, ogłoszona w kilka dni po zamordowaniu Matteottiego, zakończyła się żałosnym fiaskiem. Większość "wojowników" pozostała w domach.

Współcześni historycy są na ogół zgodni, iż był to znakomity i niepowtarzalny moment na obalenie faszystowskiego reżymu. Ponieważ "Aventin" uparcie obstaje przy konstytucyjnej praworządności, Mussoliniemu udaje się przetrwać najcięższy kryzys w swej karierze.

Nie może jednak zablokować po cichu śledztwa, musi zostawić policji bardziej lub mniej wolną rękę. W następnych dniach Dumini i prawie wszyscy jego ludzie zostają zidentyfikowani i aresztowani. 16 czerwca generał de Bono czuje się zmuszony do złożenia rezygnacji z teki ministra spraw wewnętrznych, nad którą do tej pory sprawował osobistą pieczę, lecz o ostatecznej konsekwencji - ustąpieniu ze wszystkich piastowanych stanowisk - nawet nie chce słyszeć. Mimo to jego najbliżsi współpracownicy określają go w tych dniach jako człowieka kompletnie załamanego.

Nadal nie ma śladu zwłok Matteottiego. Ponieważ nawet Dumini nie jest w stanie określić ich położenia, zarówno poszukiwania ze strony policji jak i tajne próby zatuszowania sprawy spełzają na niczym.

Dopiero 13 sierpnia natrafiono na konkretny ślad. W okolicy via Vlamina znaleziono i zidentyfikowano jako własność zaginionego porwaną marynarkę. W trzy dni później jednemu z oficerów policji udaje się przy pomocy psa-tropiciela odnaleźć jamę z zagrzebanymi zwłokami. Są tak zniekształcone, że dopiero dentysta może dokonać jednoznacznej identyfikacji.

Teraz opozycjoniści oczekują, że król Wiktor Emanuel odsunie Mussoliniego. Po raz drugi monarcha wzdragający się przed jakimkolwiek działaniem ratuje swojego protegowanego. I w ten sposób Włochy przekroczyły punkt zwrotny na swej drodze od państwa autorytarnego do totalnej dyktatury.

Jeszcze tylko Mussolini stwarza pozory wahania się. W parlamencie zaznacza nawet swą gotowość do wprowadzenia poprawek i zmian do złowieszczego prawa wyborczego. Prywatnie rozważa możliwość dopuszczenia opozycji do udziału w rządach. Wkrótce przezwycięża się, znów stając się

starym znanym Duce. Nigdy nie dowiemy się, w jakim stopniu na tej zmianie zaważyły naciski ekstremistów z łona jego własnej partii.

Podczas posiedzenia parlamentu, 3 stycznia wielce pewny siebie Duce oświadcza: "Gwarantuję zgromadzeniu, że ja sam ponoszę moralną, polityczną i historyczną odpowiedzialność za wszystko, co się zdarzyło".

A co się naprawdę zdarzyło, ma wyjaśnić specjalna komisja powołana przez parlament - a więc i przez rząd. Przy czym Mussoliniemu głównie chodzi o zyskanie na czasie, by mógł umocnić swe pozycje.

Komisyjne dochodzenie przeciąga się na półtora roku. Wreszcie 24 marca 1924 roku zapadają wyroki. Dumini, Poveromo i Volpi zostają skazani na 5 lat 11 miesięcy i 20 dni więzienia za "spowodowanie obrażeń cielesnych ze skutkiem śmiertelnym". Pozostali zostają uniewinnieni.

Ale i trzej główni sprawcy nie muszą siedzieć w więzieniu zbyt długo. Rzymski sąd apelacyjny uwalnia ich już po dwóch miesiącach.

Sprawa ma jednak późniejszy epilog. Po zakończeniu drugiej wojny światowej republikański rząd decyduje o wznowieniu postępowania. W 1947 roku rzymski sąd skazuje Duminiego, Poveromo i Violę na 30 lat więzienia. Rozliczanie sprawców nie sięga jednak zbyt głęboko - pozostali przy życiu animatorzy, były sekretarz osobisty Mussoliniego Cesare Rossi i eks-sekretarz partii faszystowskiej Francesco Giunta zostają uniewinnieni z braku dowodów.

ENGELBERT DOLLFUSS (1892 - 1934)

Czterech niepozornie ubranych panów spotkało się 25 czerwca 1934 roku jednym z zuryskich hoteli. Portier, poczciwy Szwajcar bez żadnych zainteresowań politycznych, oświadczył później, że w ogóle nie zwrócił na nich uwagi. Nie mógł przecież przypuszczać, że tych czterech spokojnych gości dokładnie w miesiąc później wyzwoli łańcuch wydarzeń z nieuchronną logiką prowadzący do wybuchu drugiej wojny światowej.

W Austrii czy w Niemczech ci ludzie prawdopodobnie zostaliby rozpoznani. Właśnie dlatego wybrali neutralne miejsce na swe spotkanie. Zagajającym zebranie był Theo Habicht, głównodowodzący nielegalnej austriackiej NSDAP. Krótko wcześniej, jako Niemiec z urodzenia, został przez Austriaków wydalony do swej ojczyzny. Nawet w kręgach partyjnych przyjaciół uchodził za dwuznaczną postać. Przebąkiwano nawet, że był kiedyś komunistą. Rudolf Weydenhammer, również obecny na zebraniu w Zurychu, był prawą ręką Habichta, szefem sztabu i ekspertem gospodarczym krajowego dowództwa narodowych socjalistów. Znacznie ostrożniejszy od swego szefa, trzymał się raczej w cieniu.

Trzecią osobistością był Otto Wachter - polityczny mózg powstającego sprzysiężenia. Jako syn austriackiego ministra wojska czuł się stworzonym do wyższych celów. Kwartet uzupełniał untersturmf□hrer Fridolin Glass, komendant nielegalnego wiedeńskiego hufca SS-Standarte 89 - hufce przy powstawaniu otrzymywały numer bieżący, niezależnie od tego, jak długo egzystowały, stąd tak wysoki numer. Był to awanturnik i poszukiwacz szczęścia, który pod swymi przesadnie koszarowymi manierami skrywał wewnętrzną niepewność.

Na swym zuryskim spotkaniu czterej narodowi socjaliści postanowili definitywnie, że w przyszłym miesiącu - dokładna data miała zostać ustalona później - obalą rząd i przejmą władzę w Austrii. Jądrem przedsięwzięcia było "zatrzymanie" (jak to określały narodowosocjalistyczne dokumenty) prezydenta Austrii Wilhelma Miklasa, premiera Dollfussa i wszystkich ministrów.

Mimo prowadzenia intensywnych badań do dziś nie udało się jednoznacznie ustalić, czy zamordowanie kanclerza Dollfussa było od początku zaplanowane. Życie ludzkie nie znaczyło dla austriackich faszystów zbyt wiele. Już raz - 3 października 1933 roku próbowali zamordować Dollfussa, zamach spalił na panewce - Dollfuss wykpił się kilkoma lekkimi obrażeniami.

Po fakcie spiskowcy stanowczo zaprzeczali oskarżeniu o morderstwo z

premedytacją. Z drugiej strony jest udowodnione, że kanclerz był główną przeszkodą stojącą na drodze do objęcia władzy w Austrii przez narodowych socjalistów.

Pomiędzy wieloma europejskimi "kieszonkowymi dyktatorami" okresu międzywojennego Dollfuss był najciekawszą postacią. Najbardziej doświadczony pomiędzy w owym czasie akredytowanymi korespondentami w Wiedniu - Eric Geaye - nazwał go,czyniąc aluzję do jego niewielkiego wzrostu - "Milimetternich". Dla Johna Gunthera, amerykańskiego pisarza i obieżyświata ("Inside Europe", "Inside Africa"), Dollfuss był inteligentnym, ale również bezwzględnym dyktatorem". Przed tymi zarzutami bronił go wielki przyjaciel Austrii, poseł amerykański akredytowany w Wiedniu, George Messersmith: "Ma niektóre właściwości męża stanu i wiele polityka. Jest realistą i dobrym człowiekiem".

Człowiek, który nawet wśród cudzoziemców wywoływał tak różne reakcje, urodził się w 1892 roku w małej dolnoaustriackiej wiosce jako nieślubny syn chłopskiej córki - skaza prześladująca go do końca życia, szczególnie jako polityka.

Nauczyciel religii rozpoznawszy w nim żywą inteligencję skierował go do szkoły średniej. Przez wojsko został pierwotnie odrzucony jako "niezdatny". Dopiero po wybuchu pierwszej wojny światowej, kiedy poborowym nie przyglądano się już zbyt dokładnie, trafił jako ochotnik do strzelców piechoty.

Jeszcze przed zakończeniem wojny dzięki specjalnemu urlopowi Dollfuss mógł studiować na wiedeńskim uniwersytecie. Tam nastąpiła krótka, na szczęście, faza w jego rozwoju - został dzikim pangermanistą, antymonarchistą i żydożercą.

Wkrótce znalazł drogę do katolicko-konserwatywnego "Establishmentu". Potężny w owym czasie Związek Chłopski wywindował go jako swego człowieka do rangi ministra rolnictwa. W maju 1932 roku doszło do kryzysu wewnątrz mieszczańskiego rządu. Bardziej niż Dollfuss doświadczeni politycy wyłączali się nawzajem z walki i w ten sposób najmniejszy - mierzył tylko 1.54 - austriacki minister został premierem, co stanowiło dla wszystkich duże zaskoczenie.

Nowy kanclerz był mało znany - nawet swoim kolegom partyjnym. Przeciwnicy uważali go za komiczną figurę, co miało się rychło zmienić. Dollfuss prowadził samowładne rządy. Jego politykę na nieostatnim miejscu warunkowały osobiste sympatie i antypatie. Entuzjastycznemu podziwowi dla Benita Mussoliniego towarzyszyła głęboka awersja do austriackiego przywódcy socjalistów - Otto Bauera. Jego niechęć do porozumienia z socjalistami zmusiła go - po dojściu do władzy Hitlera w Niemczech - do prowadzenia wyczerpującej walki na dwu frontach. Ze zwycięzców wojny światowej jedynie Włochy były gotowe popierać malutką Austrię. Dlatego między innymi Dollfuss wzorował swój polityczny model na włoskim faszyzmie.

Już w maju 1933 roku zdecydował się na rozwiązanie parlamentu. Po tym konfrontacja z socjalistami stała się nieunikniona, doszło do niej w lutym 1934 roku z gwałtownością, która wstrząsnęła ówczesną Europą.

Po trzydniowych walkach, w których główną rolę nie grał Dollfuss lecz dowódcy Heimwehry i małych prywatnych oddziałów paramilitarnych, socjaliści jako siła polityczna zostali całkowicie zniszczeni.

Z narodowymi socjalistami Dollfussowi było znacznie ciężej. Mieli potężnego protektora, którego kanclerz nie mógł przeoczyć. Poza tym narodowi socjaliści wyciągnęli wnioski z błędów socjalistów. Theo Habicht, awansowany w międzyczasie do stanowiska F□hrera austriackiej NSDAP, przedkładał drogę spisku nad inne rozwiązania. Inni faszystowscy przywódcy już nieraz spiskowali przeciw Dollfussowi. Wyższość koncepcji Habichta polegała na politycznej podbudowie spisku. W pojedynkę narodowi socjaliści nie byli wystarczająco silni. Dlatego austriacki F□hrer szukał - i znalazł - kilku niezadowolonych mieszczańskich polityków, którzy byliby skłonni sprzymierzyć się z nim przeciw Dollfussowi.

Na politycznego "konia pociągowego" i zarazem kandydata na kanclerza

Habicht wybrał ambitnego byłego ministra i styryjskiego naczelnika prowincji dr. Antona Rintelena, którego Dollfuss wyłączył z polityki wewnętrznej przez zesłanie go jako posła do Rzymu.

Naturalnie tego rodzaju sprzysiężenie mogło być przeprowadzone jedynie za poparciem i przyzwoleniem "wielkiego brata" urzędującego w Rzeszy Niemieckiej. By je uzyskać, Habicht przemawia 6 czerwca 1934 roku przed Hitlerem oświadczając buńczucznie, że austriacka armia planuje pucz przeciwko Dollfussowi. Do ruchu tego zamierzają przyłączyć się narodowi socjaliści, by wejść potem do nowego rządu. Przy takich założeniach Hitler ochoczo się zgadza, dzięki czemu Habicht mógł się potem powołać na otrzymany od F□hrera rozkaz.

Cała sprawa nie wydawała się Hitlerowi jednak całkiem czysta. Zapytał austriackiego szefa SA Hermanna Reschny'ego - nominalnie podwładnego Habichta, oraz wiodących niemieckich wojskowych, czy bunt austriackiej armii uważają za możliwy. Wszyscy zdecydowanie zaprzeczyli. Tak więc Hitler najpóźniej w połowie czerwca wiedział, że jego austriacki odpowiednik kłamał. Nic jednak nie uczynił, by odwieść go od jego niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Następnie doszło do już wspomnianego spotkania Habichta z trzema współspiskowcami w Zurychu. Przy tej okazji przekazano Fridolinowi Glassowi militarne, a Otto Wachterowi polityczne dowodzenie spiskiem. Weydenhammer utrzymywać miał łączność z Rintelenem i austriackimi faszystami.

Na militarny kręgosłup całej operacji upatrzona została SS-Standarte 89 licząca podówczas około 400 ludzi, w większości byłych austriackich wojskowych, starych bojowników z Freikorpsów oraz czynnych zawodowo policjantów.

Ostateczna narada odbyła się 16 czerwca w Monachium, tym razem wziął w niej udział szef SA Reschny. Ustalono wtedy trzytorową akcję: przeciw Urzędowi Kanclerskiemu na Ballhausplatz, przeciw budynkowi Radia Wiedeń, które znajdowało się wówczas w centrum stolicy oraz przeciwko wiedeńskiej centrali telefonicznej. Jako miejsce zbiórki wyznaczono podwórzec koszar Gwardii Miejskiej mniej niż kilometr oddalony od Ballhausplatz. Widocznie w tym czasie puczyści rzeczywiście wierzyli w uzyskanie poparcia policji i armii.

Tak się jednak nie stało. Nie przeprowadzono nawet próby porozumienia się z Egzekutywą - austriackim odpowiednikiem naczelnego dowództwa armii - na temat ewentualnego udziału w spisku. Ostatnim problemem było pozyskanie broni. Część wyposażenia dostarczył wiedeński handlarz bronią. Dalsza część nadeszła z Polski, życzliwie wtedy usposobionej do austriackiego narodowego socjalizmu, natomiast resztę przetransportowano z tajnego składu z bronią utrzymywanego przez faszystów gdzieś na pograniczu z Niemcami.

Koniecznych środków transportu dostarczyć miał przedsiębiorca przyjaźnie usposobiony do narodowego socjalizmu.

Mniej więcej na tydzień przed planowanym puczem - gdy już chodziło o wyznaczenie daty i godziny - Habicht osobiście poinformował kierownika austriackiego referatu berlińskiego ministerstwa spraw zagranicznych - w randze radcy poselstwa - o swoich planach. Ówczesny minister spraw zagranicznych Konstantin von Neuwirth, poinformowany natychmiast przez radcę H□ffera, nie uważał, by przekazywanie wiadomości Hitlerowi było konieczne, gdyż słusznie domniemywał, że jest to sprawa partyjna, w której Hitler będzie miał większe rozeznanie od niego samego. Stojąc przed Głównym Trybunałem podczas norymberskiego procesu przeciw zbrodniarzom wojennym Neurath oświadczył w tej sprawie: "Gdybym miał być odpowiedzialnym za każdego niemieckiego mordercę osobiście, to naprawdę miałbym mnóstwo pracy".

Na "Dzień X" wybrano pierwotnie 24 czerwca, gdyż tego dnia naznaczone było rutynowe posiedzenie austriackiego gabinetu. Dzień wcześniej kanclerz in spe Anton Rintelen zawitał w Wiedniu i stosownie do swojego stanu zatrzymał się w feudalnym Hotelu Imperial przy Ringstrasse.

Natychmiast po przybyciu nawiązał kontakt z osobistościami, które w jego gabinecie piastować miały ministerialne stanowiska. Również Weydenhammer pojawił się w Wiedniu, by poinformować się o stanie przygotowań oraz by wtajemniczyć niemieckiego posła Rietha w plan przewrotu.

Komplikowała się jedynie sprawa prezydenta Wilhelma Miklasa, który udał się na zasłużony urlop do Velden nad jeziorem W"rther. Wysłano za nim komando terrorystyczne z zadaniem zatrzymania go i przymuszenia do nominacji Rintelena na kanclerza.

Tego rodzaju dalekosiężna i szeroko zakrojona działalność nie mogła zostać całkowicie ukryta przed austriackimi władzami. Dziś wiemy, że służba bezpieczeństwa była całkiem nieźle poinformowana o stanie rzeczy. Jednak zastosowane przez nich środki zapobiegawcze okazały się całkowicie niewystarczające. Ostrzeżenia przychodziły niemal pęczkami: od austriackiego dyrektora bezpieczeństwa Tyrolu, od węgierskiego premiera Juliusa G"mb"sa, od francuskiego dyplomaty z Berlina.

Dollfuss, do którego dotarła tylko część alarmujących raportów, w połowie czerwca ostrzegł niemieckiego posła Rietha, że wie o mającej nastąpić akcji narodowych socjalistów wymierzonej przeciw jego rządowi i ostrzega niemiecki rząd, by pozostawił te prowokacje. Mimo że Rieth wszystkiemu zaprzeczył i nie udzielił żadnych zapewnień ani gwarancji "przyjaznej neutralności", kanclerz nie postawił bardzo wówczas silnej Heimwehry ani Egzekutywy w stan gotowości alarmowej. Zalecono jedynie "podwyższoną " czujność.

Najdobitniejsze i najbardziej szczegółowe ostrzeżenie rząd austriacki otrzymał od szefa SA Reschny'ego, który widocznie pragnął pokrzyżować plany rywala Habichta. Reschny zlecił przekazanie władzom nazwisk wszystkich głównych spiskowców, przesłał nawet ich fotografie oraz nazwiska, na które mieli wystawione fałszywe paszporty. Również to ostrzeżenie utkwiło po drodze w gąszczu niedbalstwa i zdrady.

Zasadnicza akcja zaczęła się w K"rtnen - niepowodzeniem spiskowców. Samochód wynajęty przez terrorystów, którzy mieli uprowadzić w Velden prezydenta, podpadł w jakiś sposób patrolowi policyjnemu i został zatrzymany do kontroli. Jednemu spiskowcowi udało się uciec - pozostali zostali zatrzymani, jednak k"rtneńska policja nie zdawała sobie sprawy z tego, kogo ma w ręku.

W ten sposób istotna część operacji spaliła na panewce, zanim jeszcze właściwy pucz się rozpoczął. Dziwnym zrządzeniem losu wiedeńscy spiskowcy nie dowiedzieli się o k"rtneńskich wydarzeniach i kontynuowali swe przygotowania, jakby nic się nie wydarzyło. Dosłownie w ostatniej minucie szpieg uplasowany w Urzędzie Kanclerskim poinformował ich, że przewidziane na 24 czerwca posiedzenie przełożone zostało na następny dzień na 11.00. Z dużym trudem udało się zawiadomić wszystkich uczestników puczu - samochod odstawiono do garaży.

W tym samym czasie - również bez wiedzy puczystów - rozegrało się drugie niepomyślne wydarzenie. Bezpośrednio po przesunięciu terminu puczu należący do wewnętrznego kręgu spisku handlarz drewnem Paul Hudl "wyspowiadał się" swemu znajomemu - oficerowi Heimwehry. Do dziś nie jest jasne, czy było to spontaniczne wyznanie, czy też zamierzona niedyskrecja. Hudl był w zażyłych stosunkach nie tylko z kręgami Heimwehry, ale również z szefem berlińskiej służby bezpieczeństwa - osławionym Reinhardem Heydrichem, który z osobistych powodów mógł chcieć przekreślić plany puczystów.

Ale jakkolwiek nieprawdopodobnym się to wydaje, "zdrada" Hudla nie miała dla spiskowców żadnych konsekwencji - jego informacje pozostały nie wykorzystane. Widocznie potrzeba było jeszcze jednej, większej niedyskrecji ze strony zamachowców, by skłonić do działania ociężałą służbę bezpieczeństwa.

Jedynym informatorem, którego ostrzeżenie - o wiele za późno - zostało poważnie potraktowane, był inspektor policji Johan Dobler, którego jego własny kolega wtajemniczył i zwerbował do spisku. Dobler wiedział również o przesunięciu zamachu na 25 czerwca. Postanowił on ostrzec

władze, co okazało się trudniejsze, niż przypuszczał: Z samego rana w dniu puczu próbował telefonicznie poinformować federalne kierownictwo ówczesnej jednościowej austriackiej partii - "Front Ojczyźniany" - nie przedarł się jednak przez podrzędnego urzędnika wietrzącego jakiś kawał. Zarejestrowano jedynie, że Dobler jest osiągalny w "Cafe Weghuber" w okolicy Ringstrasse. Tam inspektor zupełnie przypadkowo spotkał wyższego oficera Heimwehry, któremu nareszcie mógł przedstawić swoją historię. Ten powiadomił swoich przełożonych i o 10.45 informacja o spisku trafiła do majora Wrabla, adiutanta stołecznego dowódcy Heimwehry i ministra bez teki w rządzie Dollfussa - majora Emila Feya. Fey jako minister bezpieczeństwa odegrał ważną rolę w rozbiciu austriackich socjalistów w lutym ubiegłego roku. Uchodził ogólnie za "twardego faceta", jednak na krótko przed puczem został przez Dollfussa praktycznie pozbawiony władzy. Jego niechęć żywiona z tego powodu do kanclerza była prawdopodobnie jedną z przyczyn odegrania przez niego tak dwuznacznej roli w dniu, kiedy ważyły się dalsze losy Austrii.

Major Wrabel poinformował swego przełożonego i zadysponował Doblera do innej kawiarni - do "Central" przy Herrengasse w pobliżu Ballhausplatzu. Po krótkiej rozmowie zalecił, by Dobler najpierw odebrał rozkaz kierujący go do udziału w akcji - przez co znów zmarnowano czas. Dobler posłusznie przyniósł dla siebie i towarzyszących mu policjantów pisemny rozkaz, który brzmiał: "89-1/4 I Siebensterngasse, Bundesturnhalle". Był to nowy punkt zborny wyznaczony przez puczystów w miejsce koszar Gwardii miejskiej, gdy zorientowali się, że nie mogą liczyć na współudział wojska.

Była godzina 11.39 - prawie trzy kwadranse pozostawały na pokrzyżowanie planów przewrotu. Jednak nikomu się nie spieszyło. Niewątpliwie głównym odpowiedzialnym za blamaż sił bezpieczeństwa był minister Fey - w tym czasie najlepiej zorientowany w sprawie spisku. Ale również sekretarz stanu bezpośrednio odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa - Carl Karwinsky i szef wiedeńskiej policji Eugen Seydel nie pokazali w decydującym momencie dosyć siły i energii działania. Na przykład policja początkowo ograniczała się tylko do obserwowania Bundesturnhalle. Gdy na miejscu zjawiły się posiłki, ostatnia ciężarówka z uczestnikami puczu właśnie odjechała.

Po stronie puczystów nastąpiła już tylko jedna drobna niezręczność. Dowódca SS-Standarte 89 Fridolin Glass, znajdujący się w ostatnim samochodzie, przypadkowo - lub też może umyślnie - oddzielił się od swych ludzi. Kierowanie przedsięwzięciem przeszło w ten sposób na jego zastępcę - byłego podoficera armii Franza Holzwebera. Siłę puczystów określają późniejsze raporty policyjne - bardzo niedokładnie - na 144 do 155 ludzi. Pomiędzy nimi znajdowało się około stu byłych żołnierzy oraz wielu czynnych policjantów.

W tym czasie bardziej lub mniej nieświadoma zagrożenia rada ministrów zebrała się w budynku przy Ballhausplatz. O 12.50 minister Fey pojawił się w sali obrad i szepnął coś do ucha premierowi Dollfussowi, po czym obaj opuścili salę. Po kilku minutach powrócili i kanclerz przełożył zebranie na godzinę 16.00 oznajmiając, że wpłynęły meldunki, w świetle których dalsze przebywanie wszystkich ministrów w Urzędzie Kanclerskim staje się niewskazane. Dodał, że nie są to jeszcze wiadomości w stu procentach sprawdzone, jednak budynek przy Ballhausplatz nie może stać się pułapką na myszy.

Tylko Fey i sekretarze stanu Karwinsky i Zehner (resort obronności) pozostali z Dollfussem. Podczas gdy Karwinsky raz jeszcze dowiadywał się o stan środków bezpieczeństwa, Zehner również opuścił budynek, by ze swego ministerstwa zaalarmować garnizon wiedeński.

Od różnych urzędników również strażnicy Urzędu Kanclerskiego dowiedzieli się o zagrożeniu zamachem. Jednak bez dokładnych wskazówek nic nie przedsięwzięto. Nawet nikt nie wpadł na prosty pomysł zamknięcia ciężkich wrót do budynku lub postawienia przed nimi warty.

W kilka minut później - było tuż po 12.15 - przybyli puczyści i ich

pięć samochodów bez przeszkód mogło wjechać na podwórko Urzędu Kanclerza. Pozostałe ciężarówki zatrzymały się na Ballhausplatzu, pasażerowie wyskoczyli z nich i przez otwarte wrota również podążyli do budynku.

Podwójna warta honorowa - łącznie 30 ludzi - zebrana była właśnie na podwórku celem dokonania uroczystej zmiany warty. Z niezaładowaną bronią! Ich jedyny karabin maszynowy znajdował się w magazynie. Zaskoczeni żołnierze i policjanci w ciągu kilku sekund zostali obezwładnieni.

Dopiero teraz zamknięto wrota - uczynili to zamachowcy, barykadując dodatkowo tylne wejście jedną ze swych ciężarówek, zaś przy głównym wjeździe ustawili wojskowy karabin maszynowy wyciągnięty z magazynu.

W tym czasie grupa składająca się z około 15 puczystów wtargnęła do budynku Radia Wiedeń i zmusiła obecnego w studio spikera do odczytania przygotowanego przez nich komunikatu: "Rząd Dollfussa ustąpił. Kierownictwo sprawami rządowymi przejął dr Rintelen". Liczba napastników była jednak zbyt mała, by obsadzić budynek. Z górnych pięter dyrektorowi generalnemu Oskarowi Czeii udało się powiadomić policję oraz przekazać instrukcję do stacji nadawczej na Bisambergu, by samodzielnie przejęli nadawanie programu. Po 13.00 siły policyjne rozpoczęły szturmowanie budynku. Zaplanowany zamach na centralę telefoniczną w ogóle się nie odbył, gdyż stawiło się tylko dwu zamachowców.

Powróćmy na Ballhausplatz. Podczas gdy intruzi zajęci byli spędzaniem urzędników i strażników na główny dziedziniec, wspomniany już adiutant Feya pośpieszył do gabinetu kanclerza "Już tu są" - zawołał. Karwinsky znajdujący się akurat przy kanclerzu wepchnął go do sąsiedniej sali kolumnowej, by ukryć go w jednej z wbudowanych tam garderób. Tam doścignął ich stary portier Eduard Hedvicek - jak nikt inny znający zakamarki Urzędu Kanclerza. Hedvicek wziął z drugiej strony Dollfussa pod ramię, biegiem przeprowadził go przez gabinet do leżącego po drugiej stronie pokoju narożnego. Tylko on znał żelazne kręte schody wiodące z tego miejsca do archiwum państwowego, znajdującego się na zapleczu budynku.

Akurat gdy Hedvicek zamierzał otworzyć drzwi wiodące na schody, grupa puczystów dowodzonych przez Otto Planettę uderzyła na uciekinierów. Doszło do krótkiej bijatyki. Dużo później, stojąc przed sądem Planetta twierdził, że mały dzielny kanclerz skoczył na niego, po czym z jego pistoletu przypadkowo padł jeden czy dwa strzały. Hedvicek twierdzi natomiast, że Dollfuss uczynił tylko ruch obronny, zasłaniając się na widok wymierzonej w siebie broni. W każdym razie Dollfuss został trafiony dwoma strzałami, z których już pierwszy był śmiertelny, choć kanclerz jeszcze przez pewien czas pozostawał przy pełnej przytomności. Po przyłączeniu Austrii narodowi socjaliści rozpowszechniali plotkę, że nie Planetta lecz minister Fey oddał śmiertelne strzały. Powołali nawet komisję mającą zbadać okoliczności i podbudować naukowo ich teorię, jednak przedsięwzięcie padło z braku jakichkolwiek dowodów.

Śmiertelnie ranny premier kilkakrotnie poprosił swych strażników o lekarza a potem o księdza. Obu prośbom odmówiono, zezwalając jedynie na prymitywną pomoc udzieloną przez dwu policjantów.

Do ostatnich rozmówców Dollfussa zalicza się Fey. Kanclerz wzdragał się przed zaakceptowaniem przekazanych przez niego żądań spiskowców dotyczących politycznych ustępstw. Ministrowi sprawiedliwości Kurtowi von Schuschnigg powierzył swoje zastępstwo dodając jednocześnie - według Feya - "Rintelen musi się z tym pogodzić".

W tym czasie o wiele za późno skierowane do akcji wojska Heimwehry i armii federalnej obstawiły budynek, nie odważyły się jednak zaatakować obawiając się o życie uwięzionych. Rozmowa z Feyem tak wyczerpała kanclerza, że stracił przytomność. Wkrótce potem około 15.45 już nie żył. W ten sposób kluczową figurą dramatu został Fey - najwyższy rangą oficer w ręku puczystów. Jego rola była raczej niesławna. Starał się - również po śmierci Dollfussa - przeforsować kandydaturę Rintelena na

kanclerza, wydawał odpowiednie do tego wezwania i udzielał się jako pośrednik pomiędzy puczystami a przedstawicielami rządu.

Zaręczył narodowym socjalistom wolny glejt do Niemiec i przekonał niemieckiego posła Rietha, który w końcu pokazał się na Ballhausplatzu, by osobiście i oficjalnie wstawił się za odtransportowaniem buntowników do Niemiec. Rząd niemiecki skompromitowany tą interwencją - odwołał Rietha za stanowiska.

Post factum Fey oświadczył, że wszystko to uczynił pod przymusem. Nie brzmi to jednak zbyt przekonywająco. Miał swoje słabości, lecz nawet jego wrogowie nigdy nie uważali go za tchórza. Czemu bohater pierwszej wojny światowej załamać miałby się przed bandą puczystów, stojących już na przegranej pozycji? Po Anschlussie Austrii Fey popełnił samobójstwo zabierając tajemnicę ze sobą do grobu.

Późnym popołudniem puczyści poddali się. Policja obsadziła budynek i wyprowadziła spiskowców. Nie było już mowy o wolnym glejcie. Nowy szef rządu - Schuschnigg - bronił tego "złamania słowa" argumentem, że wolny glejt został zapewniony, gdy jeszcze nie wiedziano o śmierci Dollfussa. W oficjalnych dokumentach nie znajduje się jednak żadna uwaga dotycząca takiego ograniczenia. A Hitler nie przedsięwziął nic, by ratować swych ludzi. Obaj prowodyrzy - Planetta i Holzweber wraz z sześciu innymi zostali skazani na śmierć i straceni.

Kandydat spiskowców na kanclerza Anton Rintelen skapitulował już wczesnym popołudniem. Początkowo twierdził, że nadużyto jego imienia. Wieczorem 25 czerwca próbował popełnić samobójstwo, został jednak odratowany. Skazany na dożywocie, ułaskawiony po trzech latach, zupełnie zapomniany umarł w Graz w 1946 roku.

Pozostaje zagadnienie odpowiedzialności niemieckiego rządu za mord na Dollfussie. Większość historyków nie od dziś zresztą w pełni ją potwierdza. 26 czerwca 1934 roku amerykański ambasador w Berlinie William Dodd wpisał do swego pamiętnika: "Dzisiaj otrzymałem dowody, że jeszcze wczoraj o godzinie 23.00 niemiecki rząd przekazał prasie komunikaty wyrażające radość z powodu upadku Dollfussa i proklamujące przyszłe powstanie Rzeszy Wielkoniemieckiej".

Cóż jednak się stało z czterema bezpośrednimi przywódcami spisku? Po nieudanym puczu Theo Habicht popadł na pewien czas w niełaskę swego F□hrera, został jednak rychło rehabilitowany. W 1937 roku awansował na burmistrza miasta Marcina Lutra - Wittembergi. W dwa lata później został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Podczas drugiej wojny światowej padł gdzieś na froncie wschodnim. Los ten podzielił również Fridolin Glass, który został zastrzelony w Rosji w 1943 roku, gdzie działał jako korespondent wojenny.

Otto W"chter - polityczny mózg spisku - w 1939 roku został mianowany gubernatorem okupowanego Krakowa. Przeniesiony w 1941 roku do Włoch, po zakończeniu wojny został ukryty w klasztorze przez sławnego biskupa Aloisa Hudala - człowieka, który pomógł w ucieczce do Ameryki Południowej samemu Rudolfowi Eichmannowi. Wachter zmarł w tym rzymskim klasztorze wskutek tajemniczego zatrucia.

Prawdziwym mistrzem sztuki przeżycia okazał się czwarty spiskowiec: Rudolf Weydenhammer. Początkowo zbiegł gdzieś na Daleki Wschód, skąd powrócił po Anschlussie, by w czasie wojny zajmować ważne stanowiska w gospodarczym kierownictwie Trzeciej Rzeszy. Po wojnie żył w Bawarii jako dobrze sytuowany, odznaczony papieskim orderem przemysłowiec.

JOHN FITZGERALD (1917 - 1963) i ROBERT KENNEDY (1925 - 1968)

Jest 28 października 1962 roku. Waszyngton. Jest to niedziela, lecz nie taka jak pozostałe. Tego dnia światowy pokój wisi na włosku. Już od 13 dni zagraża kontlikt nuklearny. Z okazji kryzysu kubańskiego oba supermocarstwa sterują w kierunku kolizji.

Odpowiedzią prezydenta Johna F. Kennedy'ego na instalację sowieckich rakiet średniego zasięgu na Kubie była całkowita morska blokada wyspy.

Waszyngton oświadczył, że wszelkie statki, niezależnie od bandery, próbujące przełamać blokadę, będą zatrzymywane - przy pomocy broni, jeżeli okaże się to konieczne.

Dzień wcześniej minister obrony Robert McNamara powołał 25 eskadr lotnictwa do służby czynnej. W niedzielę do godz. 9.00 rano prezydentowi miały być przedłożone plany lotniczego ataku na sowieckie placówki.

Tuż przed godziną 9 (waszyngtońskiego czasu) spiker Radia Moskwa zapowiedział, że o pełnej godzinie zostanie odczytane "bardzo ważne oświadczenie". Prezydent Kennedy zwołał w tym czasie już swoich najbliższych współpracowników do Białego Domu. Tworzyli oni zgrany sztab antykryzysowy. W powietrzu wisiało pytanie: Jak zareagują Sowieci? Wojna czy pokój?

Oświadczenie z Moskwy zostaje tłumaczone symultanicznie. Jest to treść listu wysłanego przez szefa partii komunistycznej ZSSR Nikitę Chruszczowa do prezydenta Kennedy'ego. Naturalnie jest rzeczą niespotykaną, żeby sowieckie media publikowały tekst, zanim posłanie zdążyło dotrzeć do adresata. Jednak wtedy w Waszyngtonie nikt nie zwracał uwagi na protokolarne niuanse. Pierwsze formuły były bez znaczenia. Decydującym był trzeci akapit: "By tak szybko jak to tylko możliwe rozbroić konflikt zagrażający światowemu pokojowi, by uspokoić wszystkich ludzi miłujących pokój na całym świecie, by przekonać naród amerykański, który - czego jestem pewien - równie mocno pragnie pokoju jak narody Związku Radzieckiego (...) rząd ZSRR (...) wydał rozkaz, by broń uważaną przez was za zaczepną zdemontować, zapakować i odesłać z powrotem do Związku Radzieckiego".

Pozostałych sześć akapitów służyło usprawiedliwieniom i tłumaczeniom, którymi Chruszczow chciał zamaskować swój odwrót przed towarzyszami z partii.

Wielkie westchnienie ulgi wydarło się wszystkim zgromadzonym w Owalnym Gabinecie Białego Domu, w którym rozpoczęła się gorączkowa praca. Projektowano noty, wydawano instrukcje, odwoływano inne, jeszcze inne "zamrażano" chwilowo. Tak przeszedł cały dzień. Wieczorem ministrowie i doradcy pożegnali się. W końcu jedynie minister sprawiedliwości Robert Kennedy pozostał przy swym bracie. Teraz gdy napięcie prysło, zaczęli filozofować. Prezydent przytaczał cytaty z czytanej ostatnio książki Barbary Tuchmann "Sierpniowe armaty" o wybuchu pierwszej wojny światowej. Stwierdził, że kiedyś sam napisze książkę i zatytułuje ją "Armaty października".

Potem również jego brat Bobby się pożegnał. Tylko prezydent nie był zdecydowany, jak zakończyć dzień. Na rozmowę ze swoją żoną Jackie w intymnym gronie rodziny widocznie nie miał nastroju. W momencie gdy Bobby podawał mu rękę, coś przyszło mu do głowy: "Może powinienem jeszcze dzisiaj pójść do teatru?" Bobby od razu wiedział, do czego czyni aluzję jego brat: do wizyty w Ford Theatre przed blisko stu laty. Gdy prezydent Lincoln został zamordowany w swej loży.

Czyżby John F. Kennedy miał przeczucie śmierci? Prawdopodobnie nie. Trudno również powiedzieć, czy jego śmierć pozostawała w jakimś związku z kryzysem kubańskim. Czy był to akt zemsty Fidela Castro czy wendetta emigrantów kubańskich rozwścieczonych obietnicą, jaką w czasie kryzysu Kennedy złożył Rosjanom - że nie zaatakuje Kuby?

Hipotezy tego typu często stawiano w ostatnich dziesięcioleciach, lecz nigdy żadnej z nich nie udowodniono. Całej prawdy zapewne świat nigdy się nie dowie. Pozostaje legenda o "przekleństwie Kennedych", którego ofiarą - nie pierwszą i nie ostatnią - padł prezydent.

Może leżało to w pochodzeniu rodziny? Joseph Kennedy był ostatnim wielkim korsarzem amerykańskiej gospodarki, jednym z tych ludzi, którzy stworzyli wielkość Ameryki i którzy razem z nią wywindowali się na szczyty.

W przeciwieństwie do wykwintnych protestanckich "bostońskich braminów" ród Kennedy tworzył jedną z podpór irlandzko-katolickiego establishmentu Nowej Anglii. Podobnie jak Fitzgeraldowie. Ślub Josepha Kennedy'ego z

Rosą Fitzgerald oznaczał nie tylko stworzenie finansowej potęgi - był to również sojusz polityczny całkiem w stylu starych europejskich przymierzy.

Jak większość nowoangielskich Irlandczyków zarówno Kennedy jak i Fitzgeraldowie byli demokratami. Z silnym parciem ku górze! Joe Kennedy został wysłany na feudalny Uniwersytet Harvard. W oczach jego szlachetnych komilitonów było to niemal świętokradztwo, jednak młody Irlandczyk wiedział, jak się przebić: mieszanką pochlebstwa i bezwzględności. Akademickich laurów żadnych nie zdobył, jednak przy swej promocji był członkiem najbardziej elitarnych korporacji studenckich.

Podstawę majątku rodzinnego Joe Kennedy zdobył w latach dwudziestych poprzez spekulacje na Wall Street, ale podobno również przez nielegalny handel alkoholem w czasie prohibicji. Potem przeniósł się do Hollywood, gdzie jako jeden z pierwszych zaczął produkować filmy na czysto naukowych podstawach.

Na zewnątrz stary Kennedy stanowił w każdym calu wzór kochającego ojca rodziny. Jego potomstwo z roku na rok stawało się coraz liczniejsze, a każdemu z jego dzieci do kołyski wkładano złotą łyżeczkę. Pierworodny - Joseph junior przyszedł na świat w 1915, John, zwany Jack w dwa lata później. W 1918 przybyła do nich najstarsza córka - Rosemary, druga Kathleen urodziła się w 1920, po niej Eunice w 1921 i Pat w 1924. Końcówkę stanowili obaj młodsi synowie - Robert - 1925 i Edward zwany Ted - 1932 wraz z jeszcze jedną córką Jean. Jednak "przekleństwo Kennedych" nie dało długo na siebie czekać - Rosemary była niedorozwinięta - do dziś żyje w zakładzie dla psychicznie chorych w Nowej Anglii.

Polityczna droga patriarchy Joego - demokracja - wyznaczona była już jego pochodzeniem. W 1932 roku wziął stronę Franklina D. Roosevelta, mimo że wcześniej ich poglądy często się znacznie rozbiegały. W każdym razie Kennedy twierdził, że nie kto inny tylko on napędził irlandzkich wyborców do obozu zwycięskiego kandydata na prezydenta.

Prezydenckie podziękowanie wypadło odpowiednio okazale - mianował Kennedy'ego ambasadorem przy dworze St. James w Londynie.

Podróż klanu Kennedych do Anglii równa była pochodowi triumfalnemu - w każdym razie w porównaniu z warunkami, jakie miał dziadek Joe w XIX wieku podróżujący jako pasażer międzypokładzia w przeciwnym kierunku.

W Londynie wszystkie drzwi stały przybyszom otworem - włącznie z domem królewskim. W związku ze wzrostem międzynarodowego napięcia Brytyjczycy starali się pozyskać wszelkimi sposobami sympatię Amerykanów. A to, że nowy ambasador był nie tylko bardzo wpływowy politycznie, ale i nieprzyzwoicie bogaty oraz dysponujący fotogeniczną rodziną - było dodatkową korzyścią dla obu stron.

Wkrótce ujrzano Josepha Kennedy'ego jako stałego członka tak zwanego Cliveden-Set, przeważnie arystokratycznego pochodzenia kamaryli skupionej wokół lorda Astora. W swych częstych spotkaniach w jego rezydencji "Cliveden" opowiadali się energicznie za ustępliwą polityką rządu wobec hitlerowskich Niemiec.

W późniejszym okresie zarzucano Kennedy'emu pronazistowskie sympatie, w rzeczywistości było to jedynie bezmyślne powtarzanie poglądów brytyjskich przyjaciół. Na zewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych ambasador nie miał prawie żadnego wpływu, gdyż minister spraw zagranicznych Cordell Hull dowierzał raczej zawodowemu personelowi ambasady niż amatorowi stojącemu na czele poselstwa. W dodatku stosunek Kennedy'ego do prezydenta pogarszał się w oczach.

Jak daleko "zrozumienie" Kennedy'ego dla Hitlera by nie sięgało, Kryształowa Noc w listopadzie 1938 roku - gdy w Niemczech zapłonęły synagogi - zmieniła wszystko. Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej uporządkowany świat Kennedych całkowicie się załamał. Natychmiast po wybuchu wojny ambasador wysłał całą rodzinę do Stanów, by uchronić ją przed grozą bombardowań, których najbardziej się obawiał. Jedynie córce Kathleen było to nie w smak, gdyż była już zaręczona z brytyjskim

szlachcicem - Earlem of Hartington.

W maju 1940 roku Winston Churchill zastąpił Nevilla Chamberlaina na stanowisku premiera - tym samym polityczny wpływ ambasadora USA zmalał do zera. "Jestem już tylko chłopcem na posyłki" - uskarżał się swojemu staremu przyjacielowi dziennikarzowi Arthurowi Krockowi.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych obaj starsi synowie - podczas studiów na Harvardzie - kroczą odmiennymi politycznie drogami. Joe junior przyłączył się do ruchu izolacjonistycznego, podczas gdy John napisał książkę będącą pieśnią pochwalną na cześć Winstona Churchilla, którą zatytułował: "Czemu Anglia spała". Co kąśliwszych współczesnych sprowokowało to do uwag, że dziełko swe powinien właściwie zatytułować "Czemu tatuś spał".

Stary Joe Kennedy napisał tymczasem do prezydenta o odwołanie go z placówki. Życzenie to niezbyt odpowiadało amerykańskiemu przywódcy, gdyż podejrzewał, że po powrocie w domowe pielesze były ambasador będzie agitował przeciwko przystąpieniu Ameryki do wojny. W październiku 1940 roku Kennedy faktycznie powraca do USA, lecz natychmiast rozczarowuje swych izolacjonistycznych wielbicieli. W radiowej audycji opowiada się za ponownym wyborem Roosevelta, jakkolwiek jednocześnie akcentuje swój sprzeciw wobec jego polityki zagranicznej.

Jako pierwszy zmienił swe poglądy młodszy Joe. Gdy Roosevelt w 1941 roku ogłosił narodowy stan zagrożenia, stawił się natychmiast na ochotnika do lotnictwa morskiego. Jego brat John nie musiał w tym celu zmieniać poglądów, jednak postawa starszego brata stanowiła dla niego coś w rodzaju wyzwania. Również on zgłosił się na ochotnika do Navy.

Japoński atak na Pearl Harbour i przystąpienie Ameryki do wojny był ciężkim ciosem dla eks-ambasadora - udał się na "emigrację wewnętrzną". Wszelkie swoje nadzieje pokładał teraz w synach. Oczyma duszy widział Joe juniora jako gubernatora stanu Massachusetts. W tym celu zajął się wyłączaniem potencjalnych rywali.

Los jednak chciał inaczej. Podczas gdy młody Joe na razie musiał się ograniczyć do nudnych i pozbawionych większego znaczenia lotów patrolowych, John w kwietniu 1943 roku jako porucznik marynarki otrzymał dowództwo kutra torpedowego - PT 109 stacjonującego na Pacyfiku. 1 sierpnia Dowództwo Floty wysłało dziesięć kutrów torpedowych - między innymi PT 109 - z zadaniem zaatakowania japońskiego konwoju. Już to pierwsze zadanie bojowe o mało nie skończyło się śmiercią Johna. Mały kuter został staranowany przez japońskiego niszczyciela i wprost przecięty na pół. Kennedy uratował jeszcze jednego kolegę i pokonując pięć kilometrów wpław dotarł do małej wysepki. Na atolu napotkali dwu przyjaźnie usposobionych tubylców, którym udało się naprowadzić na rozbitków ekipę ratunkową. Za jednym zamachem Kennedy został bohaterem. Po latach nakręcono nawet film, którego głównym tematem było zatopienie PT 109.

Paradoksalnie szczęśliwe zakończenie wojennej przygody doprowadziło do tragedii rodzinnej. Joe junior nie chcąc pozostać w tyle za swym bohaterskim bratem zgłaszał się na ochotnika do coraz niebezpieczniejszych akcji. W sierpniu 1944 roku zginął zestrzelony nad południową Anglią.

W ten sposób szeroko zakrojone plany ojca padły, jednak stary Kennedy nie poddał się. Mimo że nie było to dla niego łatwe, przetransferował wszystkie swoje ambicje na młodszego syna.

Wcześniej jeszcze zdarzyła się mniejsza tragedia rodzinna. Kathleen wzięła ślub z protestanckim lordem Hartingtonem, nie w kościele lecz w urzędzie stanu cywilnego w Chelsea. Para stała się następną ofiarą "klątwy Kennedych". W kilka tygodni przed zakończeniem wojny Peer Hartington został zabity podczas akcji swego plutonu piechoty w Belgii. "Jak na człowieka, który nigdy nie chciał wojny, dosyć dużo mi się oberwało" - wyznał Joe Kennedy swemu staremu przyjacielowi jeszcze z londyńskich czasów, lordowi Beaverbrookowi.

Z zakończeniem wojny patriarcha z powrotem odzyskuje dawną energię.

Przekonuje gubernatora Massachusetts, by włączył go do federalnej komisji gospodarczej - z jednym tylko zamysłem - przygotowania kariery politycznej Johnowi. Wkrótce mają nastąpić wybory roku 1946 i jedynym otwartym pytaniem jest, czy John ma się ubiegać o stanowisko wicegubernatora czy o fotel kongresmana. Joe w imieniu Johna decyduje się na kongres, gdyż przedwcześnie zwolnił się jeden fotel i muszą zostać rozpisane wybory uzupełniające. Polityczna maszyneria Kennedych jest tak dobrze zgrana, że wynik jest ustalony na długo przed dniem wyborów. John otrzymuje ponad 50% głosów i może rozbudowywać swą przewagę do czasu "prawdziwych" wyborów następnego listopada.

Izba Reprezentantów stanowi niejako najniższy szczebel kariery politycznej na poziomie federalnym. Deputowany Kennedy od początku pokazuje, że dąży do czegoś znacznie wyższego. Pracuje pilniej niż jakikolwiek inny mandatariusz, angażuje się w sprawy socjalne szczególnie dotyczące weteranów wojennych, pozwala się wybierać do licznych komisji. Ponadto próbuje wypłynąć na szersze wody przy pomocy opiniotwórczych podróży zagranicznych, przy czym pomaga mu jego ojciec intensywnie pociągający za sznurki w massmediach.

Na bazę kariery politycznej stary Joe kupił i urządził synowi dom w wytwornej dzielnicy Georgtown. Jedynie niedbały wygląd zewnętrzny młodego polityka sprawiał ojcu zmartwienie. Potrafił jednak zrobić z konieczności cnotę i wsterował syna w kręgi intelektualistów nie przykładających szczególnej uwagi do zadbanej odzieży. Ten koniec końców pozytywny image intelektualisty przylgnął do Johna aż do końca, mimo że kompletnie nie odpowiadał rzeczywistości.

Gdy John mocno już uczepił się pierwszego szczebla kariery, senior postanowił ostatecznie wycofać się z interesów i z polityki. Sprzedał wszystkie swoje firmy, a uzyskane pieniądze złożył w licznych fundacjach, służących nie tylko celom charytatywnym, ale przede wszystkim mającym wspomagać polityczny awans młodej generacji. Swego syna-polityka bombardował dobrymi radami, a na koniec wysłał mu siostrę Eunice jako przyzwoitkę, gdyż nazwisko Johna w połączeniu z epitetem Lady-Killer zbyt często zaczęło pojawiać się w brukowej prasie.

Polityczny stosunek ojca i syna pozostał nadal ambiwalentny. Podczas gdy ojciec do końca pozostał izolacjonistą, syn energicznie popierał politykę prezydenta Trumana, aktywnie angażującą USA w sprawy europejskie. Nawiasem mówiąc - młodszy Kennedy dorabia się pierwszych "ostróg" politycznych przy właśnie będącym na fali polowaniu na komunistów.

Ponownie daje znać o sobie "przekleństwo Kennedych". Kathleen, która po śmierci męża powróciła do Wielkiej Brytanii, poznała tam rozwiedzionego irlandzkiego milionera. Jej postanowienie poślubienia tego mężczyzny jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi patriarchę rodu niż jej pierwsze małżeństwo z protestantem. Zagroził, że wyrzeknie się córki, lecz zanim jeszcze zdążył powziąć jakiekolwiek postanowienie, Kathleen wraz z narzeczonym giną w katastrofie samolotowej we Francji.

Chwiejne zdrowie Johna jest znów zagrożone. Nagły atak malarii zmusza go do przerwania europejskiej podróży odbywanej z delegacją Kongresu. Nie byłoby to jeszcze tak tragiczne, gdyby nie następujące relacje prasowe zagrażające jego dalszej karierze politycznej. Któż bowiem będzie głosował na chorego człowieka? Nic dziwnego więc, że po powrocie do zdrowia musi ciężko fizycznie harować, by położyć tamę pogłoskom.

Rola w Izbie Reprezentantów zupełnie mu nie odpowiada. Jest tylko jednym z setek przedstawicieli narodu i bardzo ciężko mu się wybić. Ale fotel senatorski stanu Massachusetts nie jest chwilowo wolny - a żaden inny mu nie odpowiada. Klan Kennedych musi odczekać do następnych wyborów w 1952 roku.

Tym razem będzie to twarda walka. Na kontrkandydata republikanie wyznaczyli "bostońskiego bramina" Henry'ego Cabota Lodge'a - człowieka już sprawdzonego w dyplomacji. W związku z ogólnie korzystnym trendem dla republikanów na początku kampanii wyborczej Cabot Lodge wydaje się

być nie do pokonania. Jest jednak zbyt wytworny, by pozyskać sobie wyborców, tak jak czynią to Kennedy, dysponujący w dodatku przewagą liczebną. Cały klan zostaje rzucony do boju, przy czym samowola starego Joe początkowo przynosi więcej strat niż korzyści, jednak po kilku wystąpieniach młody Bobby zmienia ten stan rzeczy i klan szybko odrabia straty.

Klan nie waha się przed wyciskaniem wyborcom łez. Odwaga wojenna Johna jest wspominana równie często jak bohaterska śmierć jego brata. A na żydowskich wyborców - nieufnych Irlandczykom - zostaje nasłana mama Rose. Podczas przyjęć i plotek przy kawie potrafi oczarować i tę grupę wyborców.

Przy podliczaniu głosów okazuje się, że w całych Stanach republikanie - kandydat na prezydenta Dwigt Eisenhower - uzyskali miażdżącą przewagę. Jedynie w senackich wyborach w Massachusetts demokrata John Kennedy potrafił skupić 51 procent głosów.

Do dziś John Kennedy czczony jest przez miliony rodaków nie tylko jako prezydent ale i polityk o charakterze rycerza bez trwogi i zmazy, co jednak nie do końca odpowiada faktom. Patrząc bowiem wstecz przynajmniej jego rola w Kongresie nie wydaje się całkiem nieskazitelna. Nie odważył się na przykład wystąpić przeciwko rozpętanej przez republikańskiego senatora Joe McCarthy'ego nagonce na domniemanych komunistów. Był to jednak tylko detal. Jego dalsza kariera zaprogramowana została przeprowadzką do Izby Wyższej. Brakowało mu jeszcze tylko odpowiedniej małżonki potrafiącej, przy oficjalnych wystąpieniach i w następnej kampanii wyborczej, oddziaływać na publikę stojąc u jego boku. Brak ten niebawem został usunięty.

Wkrótce po wybraniu go senatorem John zetknął się z Jaqueline Bouvier, córką self- made milionera. Ambicje jej rozwiedzionych rodziców na polu gospodarczym w niczym nie ustępują politycznym ambicjom klanu Kennedych. Jej siostra Lee wyszła po raz drugi za mąż za polskiego emigracyjnego księcia - Stefana Radziwiłła - przez co awansowała do grona arystokracji. A Jackie mierzyła jeszcze wyżej.

Pracowała jako fotoreporterka dla "Washington Times-Herald", gdy pierwszy raz zetknęła się ze świeżo upieczonym senatorem - od którego natychmiast otrzymała zaproszenie na weekend do rodowej posiadłości Hyannis. To że była już zaręczona z maklerem giełdowym Johnem Hustedem, nie stanowiło żadnej przeszkody, jej matka i bez tego zamierzała przerwać ten związek.

Przy pierwszej wizycie Jaqueline w Hyannis najbardziej zraziła ją hermetyczność klanu, a szczególnie pozbawione poczucia humoru siostry Johna. Jednak szykowny John miał swoje sposoby i Jackie przyjęła następne zaproszenie tym razem na bal inaugurujący prezydenturę Eisenhowera odbywający się w Białym Domu.

Na tym balu brukowa prasa spontanicznie obwołała ich parą roku i nie mieli już odwrotu.

Parą jak z marzenia mieli pozostać - od dnia ślubu aż do strzałów w Dallas. Nawet plotki o licznych skokach w bok Johna nie mogły zarysować tego wyobrażenia. Szeroka opinia publiczna po prostu nie chciała uwierzyć w niewierność wspaniałego małżonka.

Tymczasem w Senacie ciężko było nowicjuszowi się wybić. Jego rola w aferze McCarthy'ego pozostawała dosyć dwuznaczna. W końcu, na szczęście, tuż przed upadkiem senatora z Wisconsin Kennedy pokłócił się z nim i zerwał wszelkie stosunki. Przy czym kłótnia miała raczej powody osobiste niż polityczne. McCarthy bowiem nie mianował Roberta Kennedy'ego lecz swego przybocznego Roya Cohna przewodniczącym oskarżycielem podległej mu senackiej komisji. A klan wziął mu to za złe. Gdy później głosowano w senacie projekt udzielenia McCarthy'emu nagany, Kennedy nie musiał zająć stanowiska, gdyż operacja kręgosłupa wyłączyła go na jakiś czas z czynnego życia politycznego. Mimo to wówczas właśnie podniesiono po raz pierwszy przeciw niemu zarzut tchórzostwa - uczyniła to wdowa po prezydencie Eleanor Roosevelt.

Tymczasem senator wykorzystuje swą rekonwalescencję, by właśnie ten temat atakować w swej drugiej książce "Profiles of Courage". Książka staje się bestsellerem.

Pomału rysują się zręby następnych wyborów prezydenckich. Kennedy energicznie stara się o nominację z ramienia swej partii na kandydata na wiceprezydenta, jednak wyprzedza go weteran Estes Kafauver. Okazało się to w sumie korzystne dla Johna, gdyż oszczędziło mu udziału w porażce wyborczej demokratów.

Potem już może jawnie przyznać się do swych prezydenckich ambicji. Na pytanie przyjaciela, czemu koniecznie chce dostać się do Białego Domu, odpowiada: "Myślę że jest to jedyna rzecz, którą potrafię naprawdę".

Ale droga jest jeszcze daleka. Jeszcze wiele rzeczy musi zostać załatwionych. Ponieważ do szczęśliwej i odnoszącej sukcesy rodziny polityków przynależą dzieci, również o to troszczy się dom Kennedych. Tuż przed następnymi wyborami do senatu w Massachusetts w 1957 roku przychodzi na świat córka Caroline. Ponowny wybór do Senatu jest czczą formalnością i stanowi jedynie przygrywkę do ataku na Biały Dom po odejściu Dwighta Eisenhowera.

Ta walka wyborcza miała stać się najcięższym bojem rodu Kennedych. Po stronie przeciwnej usadowił się bowiem przedwcześnie - na długo przed rozpoczęciem właściwej kampanii - czołowy przeciwnik dysponujący podobnym jeśli nie większym współczynnikiem popularności - Richard Milhous Nixon - od 1952 roku wiceprezydent.

Nixon swój wzlot musiał wywalczyć w dużo trudniejszych warunkach niż jego przeciwnik. Pochodził z niezbyt zamożnej rodziny średniej warstwy. Uprawianie polityki nie było dla niego tytułem do sławy lecz zawodem. Często podawano w wątpliwość jego osobistą prawość, ale zawsze potrafił wyciągnąć głowę z pętli.

Również jego wyniosła w górę antykomunistyczna fala pierwszych lat powojennych. W polowaniu na komunistów niewiele tylko ustępował Joemu McCarthy'emu. Był jednak dużo ostrożniejszy w doborze środków, dzięki czemu był mniej znienawidzony. I - co było jeszcze ważniejsze - w porę dostrzegł początek końca antykomunistycznej histerii przybierając pozę "umiarkowanego", a więc człowieka, któremu można powierzyć urząd - przynajmniej wiceprezydenta.

Wyścig do Białego Domu rozpoczął znacznie wcześniej niż Kennedy. W ostatnich latach ery Eisenhowera, gdy choroba utrzymywała starego generała z dala od spraw państwowych, praktycznie przejął wszystkie funkcje prezydenckie poza czysto reprezentacyjnymi. To w bardzo istotny sposób premiowało go w walce wyborczej. Każdego kandydata prócz Kennedy'ego prawdopodobnie potrafiłby pokonać.

W kampanii wyborczej był jeszcze jeden znamienny czynnik - katolickie wyznanie Kennedy'ego. Nigdy jeszcze katolik nie wygrał prezydenckich wyborów. W 1928 roku katolik Al Smith przegrał z Herbertem Hooverem - głównym czynnikiem przegranej był właśnie jego katolicyzm. Ale upłynęły dziesiątki lat, a druga wojna światowa w znacznym stopniu przyczyniła się do zniesienia religijnych uprzedzeń. Mimo to stratedzy Partii Demokratycznej chcieli iść na pewniaka. Gdy było już jasne, że nie są w stanie odebrać Kennedy'emu nominacji, postanowili jako równoważnik rzucić do walki swojego człowieka: długoletniego aktywistę partii, pochodzącego z Teksasu Lyndona B. Johnsona. Miało to na celu utrzymanie głosów bardziej ortodoksyjnych protestantów oraz wyborców z Południa, którzy przy dwu poprzednich turach wyborczych przeszli do obozu Eisenhowera.

Wten sposób pozycje wyjściowe zostały ustalone. Liberalny Północny-Wschód oraz konserwatywne Południe pewnie popierały tandem Kennedy-Johnson. Równie pewnie Środkowy Zachód popierał Nixona. Zadecydować więc miały głosy Zachodu.

Po stronie demokratów walkę wyborczą prowadzono jak przedsiębiorstwo rodzinne. Wszyscy z rodu Kennedych wraz z poplecznikami stanęli do akcji. Nawet Jackie, która w tym roku urodziła Johnowi syna. Nixon

przeciwnie - stawiał na bardziej prężną maszynę partyjną. Massmedia były podzielone, specjaliści od sondażu opinii społecznej bardzo ostrożnie obchodzili się ze swymi prognozami.

Odpowiednio do tego wypadły wyniki końcowe. Klan Kennedych oczekiwał na wyniki w rodzinnym Hyannis i było to bardzo długie oczekiwanie. Pierwsze wyniki wskazywały na Nixona jako zwycięzcę. Dokładnie w godzinę później statystycy musieli zrewidować swe obliczenia. Dopiero o 5.45 po uwzględnieniu ostatnich wyników ze stanu Michigan ustalono, że wygrał Kennedy. Jego przewaga ograniczała się tylko do 150000 głosów przy 70 milionach łącznie oddanych głosów.

Nixon nie był dobrym przegrywającym. Jeszcze długo nie potrafił przeboleć swej porażki i pogratulować zwycięzcy - takie zachowanie zepsuło na trzy lata stosunki między obu politykami. Każdy przeciwnik Nixona mógł liczyć na przychylność ze strony prezydenta.

Skład pierwszego gabinetu Kennedy'ego nie sprawił większych niespodzianek. Jak oczekiwano, ministerstwo sprawiedliwości przypadło w udziale bratu - Bobby'emu. Był to kluczowy resort w związku z zaostrzeniem się sytuacji w dziedzinie walki o prawa obywatelskie. "Solidni" politycy, jak Dean Rusk czy Robert McNamara weszli do Departamentu Stanu i do Pentagonu. Prezydent wzdragał się przed wprowadzeniem większych zmian. Zatwierdził na stanowiskach J. Edgara Hoovera jako szefa FBI oraz Allana Dullesa jako dyrektora CIA.

Przy dokonywaniu pierwszego remanentu Kennedy musiał stwierdzić, że przejął ciężki spadek. Eisenhower i Nixon nie zaniedbali w ostatnich miesiącach urzędowania niczego, by ukazać Stany Zjednoczone zarówno wewnętrznie jak i zewnętrznie jako monolityczne mocarstwo. Przy czym tuszowali społeczne problemy miast je rozwiązywać. Teraz ich następca musiał się za nie wziąć.

W polityce zagranicznej rysowały się już następne konflikty. Po pierwsze była Kuba - położona na tylnym podwórzu USA - gdzie Fidel Castro, o którym nikt nic nie wiedział, przejął władzę.

Burzliwiej, niż tego oczekiwano, kształtowały się w dodatku stosunki między obu supermocarstwami. Jeszcze za czasów Eisenhowera, w maju 1960 roku, Nikita Chruszczow storpedował ostatni paryski szczyt "wielkiej czwórki". Kennedy nie miał zbyt pochlebnego zdania na temat obrad pomiędzy czterema mocarstwami. Ledwo przejął urząd, skierował do Chruszczowa zaproszenie do spotkania sam na sam. Ten jednak nie spieszył się. Najpierw chciał "nowego człowieka" wyczuć.

Test nie dał na siebie długo czekać. Mniej więcej w miesiąc po wprowadzeniu się Kennedy'ego do Białego Domu około 700 emigrantów kubańskich wylądowało na karaibskiej wyspie celem obalenia Fidela Castro. Operacja w Zatoce Świń zakończyła się całkowitym fiaskiem napastników.

Amerykańskie tajne służby zaplanowały ją jeszcze za rządów Eisenhowera i informowały o tym Kennedy'ego. Prawdopodobnie nie zdawał on sobie jednak sprawy z wymiaru całego przedsięwzięcia - tak czy inaczej po jego upadku ponosił przynajmniej pośrednią odpowiedzialność.

Wszystko to wystarczyło, by przekonać Chruszczowa, że ma do czynienia z młodym, niedoświadczonym "papierowym tygrysem". Dopiero teraz przyjął zaproszenie do dwustronnego szczytu, który odbył się 3 i 4 czerwca 1961 roku w Wiedniu.

Szczegóły tego ważnego spotkania, które przez dłuższy czas uchodziło jedynie za spektakl na użytek środków masowego przekazu, dopiero znacznie później ujrzały światło dzienne. Sposób, w jaki Chruszczow potraktował swego partnera - jak małego chłopca (Kennedy rzeczywiście wyglądał na dużo młodszego, niż był w istocie) - zadziałał dokładnie przeciwnie do tego, co zamierzał szef sowieckiej partii. Wywołał mianowicie całkowitą zmianę chwiejnych do tej pory wyobrażeń trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych na temat polityki zagranicznej. Właśnie w Wiedniu z polityka stał się mężem stanu.

Lecz Chruszczow nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tej przemiany i

nadal czuł olbrzymią przewagę nad swym przeciwnikiem. Jego następny krok nie dał na siebie długo czekać. Już w dwa miesiące po wiedeńskim spotkaniu - 13 sierpnia 1961 roku - komuniści rozpoczęli budowę muru berlińskiego, zamykając tym samym ostatnie otwarte połączenie pomiędzy obu częściami Niemiec.

Kennedy'emu znów zarzucano słabość. Wielokrotnie podnoszono argument, że zdecydowane podejście zachodnich mocarstw mogłoby wstrzymać budowę - nawet już po rozpoczęciu pierwszych prac. Tezy tej jednak nigdy nie udało się udowodnić, a jeśli istniało słabe ogniwo, to były nim zachodnie tajne służby które nie zdołały zdobyć informacji na temat planowanej przez wschodnie mocarstwo blokady Berlina.

Natomiast Chruszczowowi wydawało się, że jego osobisty osąd Kennedy'ego ponownie znalazł potwierdzenie i sowiecki przywódca puścił się na najniebezpieczniejszą przygodę w okresie powojennym. Przy zachowaniu najściślejszej tajemnicy pierwsze rakiety średniego zasięgu przerzucono na Kubę, wkrótce rozpoczęto budowę ramp startowych.

Tajnie czy też nie - taka akcja na "tylnym podwórku" Stanów Zjednoczonych nie mogła długo pozostać tajemnicą dla amerykańskich tajnych służb. Reakcja Kennedy'ego była błyskawiczna. Czasy wahań już się skończyły. W ciągu tych 13 dni, gdy świat stał na krawędzi wojny atomowej, zmusił władze Kremla do opamiętania. Nigdy więcej żaden z sowieckich szefów partii nie odważył się na podobną grę - va banque. Z tej strony patrząc, kryzys kubański oznaczał początek odwilży w stosunkach Wschód-Zachód.

W polityce zewnętrznej gwiazda Kennedy'ego stała w zenicie. Jak żadnemu innemu prezydentowi od czasów Franklina Roosevelta masy - i zachodni politycy - urządzają mu owację. Jeszcze wydawało się, że nikt mu nie zagraża, choć na swej drodze do sławy niewątpliwie narobił sobie wrogów. Na przykład wśród emigracji kubańskiej, oskarżającej go o niepowodzenie w sprawie inwazji w Zatoce Świń. Czy wśród białych rasistów z Południa, widzących w jego, czy może bardziej w polityce Roberta Kennedy'ego, skłaniającej się ku ruchowi praw obywatelskich, zagrożenie dla ich historycznej hegemonii.

Czy wtedy już w tych kręgach knuto jakiś spisek - o ile w ogóle był jakiś spisek? Nigdy się tego nie dowiemy.

Jedno jest pewne - najsilniejszą opozycję przeciwko Kennedy'emu tworzyli demokraci-milionerzy z Teksasu. Mimo swej ekonomicznej potęgi konserwatywni ultrasi nie potrafili zapobiec ponownej nominacji demokratycznej supergwiazdy do wyborów prezydenckich w 1964 roku. Jednak potrafili rozwinąć się do znaczącego, szkodliwego dla planów prezydenta czynnika. Dlatego właśnie Kennedy jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej kampanii - wyznaczonej na koniec 1963 roku - postanowił udać się do Teksasu, by doprowadzić do porządku tamtejszą organizację partyjną.

21 listopada 1963 roku Kennedy wraz z małżonką i całą świtą zjawia się w "Lone Star State". Następnego dnia cała świta leci do Dallas, gdzie na lotnisku Love Field oczekuje go gubernator John Connaly - kolega partyjny nie należący raczej do politycznych zwolenników prezydenta.

Dallas ze swoimi wówczas 700000 mieszkańców uważało się za właściwą stolicę Teksasu - nominalną jest Austin. Dallas jest również teksaską centralą Ku-Klux-Klanu, organizacji mniej lub więcej jawnie popieranej przez miejscowych magnatów naftowych. Adlai Stevenson, dwukrotny ambasador USA przy ONZ, krótko przed prezydencką wizytą został w Dallas czynnie znieważony. W związku z tym FBI podjęło stosowne zabezpieczenia, by tego rodzaju atrakcje nie spotkały przypadkiem urzędującego prezydenta.

Formalny powód wizyty Kennedy'ego nie zahacza o politykę: prezydent ma uświetnić ceremonię otwarcia regionalnych targów, na terenie których siłą rzeczy koncentrują się środki bezpieczeństwa. Teren targów dokładnie przeszukano. Bez rezultatów. Wyznaczono nawet ludzi do kosztowania "menu".

Na lotnisku oczekiwał prezydenta Lincoln Cabriolet ze składanym

pancernym dachem. Kierując się piękną jesienną pogodą prezydent poleca zdjąć dach - mieszkańcy Dallas mają obejrzeć go nie tylko z za pancernego szkła.

John i Jackie zajmują miejsca z tyłu obszernej limuzyny. Tuż przed nimi siedzą gubernator Connally wraz z małżonką - Nelly. Funkcjonariusz FBI, Bill Greer, siada za kierownicą, obok niego drugi "goryl". Dwaj pozostali ludzie z osobistej eskorty stają na stopniach wpuszczonych w tylny zderzak samochodu.

Sześciu dodatkowych ludzi z FBI jedzie w drugim w kolumnie samochodzie, trzeci zajmuje wiceprezydent Lyndon B. Johnson z małżonką Ladybird. Łącznie z samochodami dziennikarzy i ekip telewizyjnych orszak liczy 20 pojazdów.

Powitanie prezydenta wypada - wbrew wszelkim obawom - nadzwyczaj przyjaźnie. Ponad ćwierć miliona mieszkańców Dallas i okolicy rozstawiło się wzdłuż trasy przejazdu od lotniska aż do miasta. Wielu z nich owacyjnie - wręcz fanatycznie wiwatuje na cześć prezydenta. Ten nie wahając się ani chwili wstaje, by odpowiadać na pozdrowienia. Również Jackie przyjaźnie macha witającym. Triumf nad czarnowidzami wydaje się kompletny.

Nelly Connally odwraca się ze swego miejsca ku prezydentowi i przekrzykując hałas rzuca: "Musi pan przyznać, że Dallas miło pana wita".

Jazda z lotniska na tereny targów - jest to dystans 16 kilometrów - trwa dłużej, niż tego oczekiwano. Między innymi dlatego, że prezydent z uwagi na nieustającą owację poleca jechać wolniej. Jest już po 12, gdy konwój wreszcie dociera do centrum miasta. W miejscu, gdzie Elm Street zjeżdża pod wiadukt, zegar wskazuje dokładnie 12.29. Szpaler zrobił się nieco cieńszy - nie jest to dzielnica mieszkaniowa i kierowca prezydenta przyśpiesza do mniej więcej 40 kilometrów na godzinę. Komitet powitalny oczekujący na terenie targowym jest już poinformowany przez radio.

Tuż przed wiaduktem do widzów dociera nagle ostry huk, potem drugi. Prawdopodobnie jeszcze trzeci, ale co do tego zdania są już podzielone. Po drugim huku gubernator Connally odwrócił się i spostrzegł prezydenta osuwającego się właśnie na siedzenie. W tym momencie również zostaje trafiony pociskiem i osuwa się w ramiona żony.

Funkcjonariusze bezpieczeństwa setki razy ćwiczyli taki wypadek. Mimo to wybucha chaos. Kierowca Greer ostro wciska pedał gazu i ciężki wóz jak strzała leci do przodu. Niektórzy gapie rzucają się na ziemię, lecz do większości nie dotarło, co się właściwie wydarzyło. A jeden amator z całym spokojem filmuje to wszystko, przechodząc tym samym do amerykańskiej historii kryminalistyki. Jego taśma stanowić będzie najważniejszy dowód rzeczowy w następujących licznych śledztwach.

Później pojawia się kilku naocznych świadków, przedstawiających zamach w krwawych barwach - każdy na swój sposób. Na przykład jeden z fotografów prasowych relacjonował, jakoby prezydentowi odstrzelono lewą połowę głowy, a Jackie, pochylona nad mężem, wciąż krzyczała: "Och, nie!" Dodatkowo osobisty strażnik Kellermann miał wyciągnąć pistolet i dziko tocząc wzrokiem wypatrywać zamachowców w tłumie.

Najbliższym szpitalem jest odległy około sześciu kilometrów Parkland Memorial Hospital. Właśnie tam Greer kierował samochód w iście piekielnym tempie, podczas gdy Kellermann przez radio informował lekarzy.

Sanitariusze już czekają, gdy prezydencka limuzyna wjeżdża na teren szpitala. Układają prezydenta na noszach i transportują go na izbę przyjęć nr 1. Jackie milcząc pozostaje. W zakrwawionym samochodzie odnaleziono potem róże, którymi powitano ją na lotnisku.

Tylko osiem minut upłynęło od zamachu, gdy lekarze rozpoczynają rozpaczliwą walkę o życie Kennedy'ego. Jednak ordynujący lekarz,dr Perry, już w pierwszej chwili stwierdził, że prezydent znajduje się w stanie śmierci klinicznej. Wszystkie starania są próżne. O 12.45 policyjny rzecznik oświadcza dziennikarzom: "Prezydent nie żyje".

Dwóch kapłanów spieszących z ostatnim namaszczeniem przychodzi za późno. Dzięki błyskawicznej operacji udaje się uratować jedynie gubernatora Connally'ego.

Podczas gdy dziennikarze próbują wcisnąć się na salę operacyjną, wiceprezydent Lyndon Johnson w całkowitej ciszy, tylnym wejściem opuszcza budynek szpitalny. Jeszcze tego samego dnia przed sędzią Sarah Hughes składa przysięgę jako trzydziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych.

O godzinie 14 zwłoki - w trumnie dostarczonej spontanicznie przez rzutkiego przedsiębiorcę pogrzebowego - zostają przewiezione na lotnisko, załadowane do Air Force 1, prezydenckiego samolotu i przetransportowane do Waszyngtonu. Następnego dnia zostają złożone na katafalku w Białym Domu.

Cóż jednak stało się ze sprawcą czy też sprawcami? Zgodnie z amerykańską konstytucją za śledztwo odpowiedzialne są wyłącznie władze lokalne - uosabiane przez prokuratora stanowego Henry'ego Wade'a oraz szefa policji Jessy'ego Curry'ego. I wydaje się, że obaj w żadnym aspekcie nie są w stanie sprostać sytuacji. Dopiero 24 listopada mogą podać do publicznej wiadomości pierwsze, wstępne wyniki śledztwa.

Według ich wersji lokalna policja natychmiast stwierdziła, że strzały zostały oddane z okna niedalekiego budynku wydawnictw szkolnych. Na czwartym piętrze budynku znaleziono morderczą broń - włoski karabin z celownikiem optycznym. Później kursowała jednak odmienna koncepcja, według której jeszcze jeden strzał padł z drugiej strony ulicy, co z kolei wskazywało na udział więcej niż jednego tylko zamachowca.

Pierwsze podejrzenia skupiły się na jednym z pracowników wydawnictwa, którego zarządca domu zidentyfikował jako niejakiego Lee Harvey Oswalda. Poszukiwanie - jak stwierdzał oficjalny raport prokuratury - podjęto natychmiast. W godzinę po zamachu policjant nazwiskiem J. T. Tippit rozpoznał podejrzanego na przedmieściu Oak Cliff. Gdy chciał go zatrzymać, został z miejsca, bez żadnego ostrzeżenia, zastrzelony. Potem sprawca zbiegł do pobliskiego kina, gdzie policji udało się go pochwycić. W ten spósób sprawa jest praktycznie rozwiązana.

Szef policji, Curry, twierdził nawet, że zna już motyw zbrodni - Oswald jest znanym w mieście komunistą. Broń zamówił w domu sprzedaży wysyłkowej - pod fałszywym nazwiskiem - jednak grafolodzy jednoznacznie rozpoznali podpis Oswalda na kuponie zamówienia. Również żona Oswalda - z pochodzenia Rosjanka, Marina, którą poślubił podczas swego pobytu w Rosji - przyznała, że podobną broń widziała w garażu ich domu.

Początkowo zarówno prokuratura jak i policja rozkoszują się swym szybkim sukcesem.

Wkrótce jednak zaczyna się kompletna gmatwanina. W dwa dui po aresztowaniu - jest to ten sam 24 listopada, w którym Wade i Curry występują przed publicznością z "rozwiązaną sprawą" - Oswald ma zostać przewieziony z policyjnego aresztu w ratuszu do więzienia okręgowego. Czas przekazania go pod okręgową jurysdykcję zostaje podany w prasie - a tym samym do publicznej wiadomości. Odpowiednio do tego w piwnicy ratusza, gdzie znajduje się przejście na parking, kłębi się tłum dziennikarzy, kamerzystów i innych gapiów. Policja odpuściła sprawdzanie tożsamości. Wprawdzie w pomieszczeniach rozstawionych jest dwunastu policjantów, jednak tylko w celu udaremnienia ewentualnej próby ucieczki.

To co się później staje, rozgrywa się dosłownie na oczach kamer telewizyjnych. O 11.20 otwierają się drzwi windy. Pojawia się Oswald w towarzystwie dwóch potężnych policjantów. Jest skuty kajdankami. Na krótkim odcinku między windą a drzwiami do podziemnego garażu reporterzy zarzucają go mnóstwem pytań - wszystkie pozostawia bez odpowiedzi. Nagle z tłumu oddziela się niski, łysy człowiek, podchodzi do Oswalda i z bardzo bliskiej odległości oddaje do niego dwa strzały. Ze słowami: "Ty skurwysynu!"

Znów panuje kompletne zamieszanie. Strzelec daje się ująć nie

stawiając oporu, podczas gdy Oswald zostaje przewieziony do tego samego szpitala w którym przed dwoma dniami umarł John F. Kennedy. Również w przypadku Oswalda sztuka lekarska jest bezsilna. Umiera po dwóch dniach - na tej samej sali operacyjnej, gdzie lekarze uratowali życie gubernatora Connally'ego.

Dla władz lokalnych sprawa wydaje się całkowicie zakończona. Jednak nie dla FBI, które włączyło się dosyć późno. Mordercą Oswalda okazuje się właściciel baru, Jack Ruby. Jak większość ludzi jego pokroju - dosyć dwuznaczna figura. Mimo intensywnego śledztwa nie udało się stwierdzić żadnego związku między nim a Oswaldem.

Tym razem opinia publiczna nie chce się zadowolić podanymi wynikami śledztwa. Podejrzenia, że za morderstwem w Dallas kryje się więcej niż to się oficjalnie podaje do wiadomości, sięgają aż do wewnętrznego kręgu klanu Kennedych. Brat zabitego prezydenta, Bobby, jako minister sprawiedliwości bezpośrednio odpowiedzialny za śledztwo na szczeblu federalnym, konfrontuje dyrektora generalnego CIA Johna McCone z prowokacyjnym pytaniem: "Czy mojego brata zamordowały tajne służby?"

McCone z przerażeniem odpowiada, że nie może być o tym nawet mowy.

Zwłoki Oswalda już niczego nie zdradzą prowadzącym śledztwo. Na jego policzku nie można nawet stwierdzić mikrośladów prochu - zwykłych po strzale z karabinu - co właściwie przemawia przeciw jego winie. Podobnie jak notatka wyciągnięta z jego kartoteki wojskowej, określająca go jako "nad wyraz złego strzelca" oraz liczne niedopałki znalezione w miejscu zbrodni - Oswald z całą pewnością był niepalący.

Z czasem w oficjalnych sprawozdaniach śledczych ujawnia się coraz więcej słabych punktów. Na przykład podawany w aktach upływ czasu nie odpowiada rzeczywistości, co mogło jednak wynikać z gorączki chwili. Słabiutko wypada też rozdmuchany przez Teksańczyków sensacyjny związek Oswalda z komunistami. 0 wiele więcej poszlak wskazuje, że "zamordowany morderca" mógł być zwerbowany przez ugrupowania prawicowo-ekstremistyczne. Jeżeli w ogóle był mordercą.

Proces przeciwko Jackowi Ruby'emu niczego nie wyjaśnia. Kręgi antysemickie podgrzewają atmosferę wokół "członka żydowskiego półświatka". Zostaje skazany na śmierć, ułaskawiono go jednak, zamieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie. Po kilku latach umiera w więzieniu na raka, nie złożywszy żadnego wyjaśnienia.

Tymczasem nowy prezydent, Lyndon B. Johnson, pod naciskiem opinii publicznej powołał komisję śledczą, złożoną z wysokich rangą urzędników. Przewodniczącym został sędzia Sądu Najwyższego, Earl Warren. Jednak i ta komisja nie może wyjaśnić wszystkiego do końca. Wprawdzie trzystustronicowy raport komisji Warrena "z minutową dokładnością" udowadniał, że Oswald i nikt inny był mordercą, nie przekonał on jednak opinii publicznej, zdecydowanie obstającej przy teorii spisku. W ponad tuzinie książek wnioski końcowe komisji Warrena obalane są punkt po punkcie. Rzeczywiście, do raportu Warrena przedostało się kilka niejasności i sprzeczności. Jednak żaden z autorów nie mógł przedstawić jednoznacznego dowodu, że Oswald mordercą nie był.

W późnych latach sześćdziesiątych zamordowanie Kennedy'ego ponownie trafiło na pierwsze strony gazet. Ambitny prokurator Nowego Orleanu twierdził, że odkrył jednoznaczne dowody istnienia spisku prawicowych fanatyków. Wniósł nawet oskarżenie przeciw kilku dwuznacznym postaciom, jednak postępowanie przeciw nim zakończyło się bez żadnego rezultatu. Tak więc morderstwo popełnione na Kennedym nadal figuruje w kategorii nierozwiązanych przestępstw. Jeszcze w 1978 roku Kongres zaleca wznowienie śledztwa - bez rezultatu.

John Kennedy nie jest ostatnim, którego dosięgło "przekleństwo Kennedych". Brat, Bobby, podążył jego śladami.

Stosunki Bobby'ego z Lyndonem Johnsonem są bardzo złe-składa dymisję z funkcji ministra sprawiedliwości. Jego zwolennicy naciskają, by w przyszłym roku stanął przeciwko Johnsonowi do wyborów prezydenckich, lecz Bobby woli ubiegać się o fotel senatora z ramienia stanu Nowy Jork.

W międzyczasie następuje kolejna tragedia - najmłodszy brat, Edward, zostaje ciężko ranny podczas wypadku samolotowego.

Wybory z 1964 roku wypadają całkowicie po myśli demokratów. Johnson ponownie zostaje wybrany prezydentem, Bobby zaś wchodzi do Senatu.

Nowy Jork jest tradycyjnie traktowany jako przedsionek prezydentury, choć nikomu od czasu Franklina Roosevelta nie udało się wykonać tego skoku. W każdym razie Bobby nie czyni niczego, by zamaskować swoje ambicje. Odpowiedni czas nastaje na początku 1968 roku: Lyndon Johnson, zmęczony wojną wietnamską, ale i dobrze do tej pory ukrywaną chorobą, dobrowolnie rezygnuje z kandydowania.

W ten sposób dla Bobby'ego kości zostały rzucone. Czy chce, czy nie zostaje zepchnięty do roli kandydata. Ma dwóch rywali, którzy nie stanowią jednak poważniejszego zagrożenia: senator Eugene McCarthy - ale nie krewny "złego" Joe - jest dla większości demokratów zbyt lewicowy, a osobisty protegowany Johnsona - Hubert Humphrey - niczym nie zabłysnął przez cztery bezbarwne lata swej wiceprezydentury.

Przy wyborach wstępnych Bobby spieszy od zwycięstwa do zwycięstwa. Rozstrzygnięcie - jak głoszą komentatorzy polityczni - nie zapadnie na konwencie, lecz już w czasie wstępnych wyborów w Kalifornii, wyznaczonych na 5 czerwca.

Dzień wyborów Bobby spędza z przyjaciółmi na plaży Malibu Beach. Na efekty chce oczekiwać w swej kwaterze głównej, w hotelu "Ambassador" w Los Angeles. Pierwsze wyniki wykazują jego zaskakująco małą przewagę, jednak zwiększa się ona z czasem i koło północy Bobby jest już pewnym zwycięzcą. Jednym z pierwszych gratulujących jest jego przyjaciel jeszcze ze studiów, Ken O'Donnel, który poleca przywołać go do telefonu. "Wiesz, Ken - zwierza mu się Bobby - nareszcie mam poczucie, że coś mi się udało zrobić samemu. Przez te wszystkie lata nie wierzyłem w siebie, lecz w Johna."

Po tej wypowiedzi odkłada słuchawkę, by jako zwycięzca odbyć pierwszą konferencję prasową. Droga prowadzi przez kuchnię, wszędzie kłębią się ludzie przybyli z gratulacjami. Przy wyjściu podchodzi do niego ciemnowłosy młody mężczyzna i bez słowa oddaje do niego trzy strzały z rewolweru. Robert Kennedy umiera - podobnie, jak wcześniej starszy brat - bezpośrednio po przybyciu do szpitala.

Tym razem na temat osoby sprawcy nie ma żadnych wątpliwości, choć później podjęto próby zamącenia jasnego obrazu sprawy. Zabójcą jest pochodzący z arabskiej części Palestyny stajenny nazwiskiem Sirhan. Był najwidoczniej mordercą-samotnikiem i nawet znakomity izraelski wywiad, Mossad, nie potrafi w tej sprawie nawiązać kontaktu z arabskimi organizacjami terrorystycznymi. Wielkie ilości arabskiej literatury propagandowej, znalezione w mieszkaniu Sirhana, pozwalają domyślać się politycznego charakteru zamachu. Morderca zostaje skazany na dożywocie.

Po śmierci Kennedy'ego Hubert Humphrey zdobywa nominację i przegrywa wybory prezydenckie z Richardem Nixonem, którego prezydentura jednak nie będzie zaliczana do najbardziej sławnych w historii Ameryki.

MARTIN LUTHER KING (1929 - 1968)

Rankiem 28 sierpnia 1963 roku centrum Waszyngtonu było rojne jak, nie przymierzając, kopiec mrówek. Dokładnie przed stu laty prezydent Abraham Lincoln podpisał w Białym Domu dekret o zniesieniu niewolnictwa. Od tego czasu 28 sierpnia jest narodowym świętem amerykańskich Murzynów - jakby przeciwwagą "białego" 4 lipca.

Tego dnia rokrocznie Murzyni demonstrowali w takiej czy innej formie w obronie swych praw obywatelskich. Przed kilku laty organizacje murzyńskie próbowały zorganizować masową demonstrację, lecz masy zawiodły. Prasa południowych stanów donosiła złośliwie o "słomianym ogniu". I przepowiadała, że również w 1963 roku będzie podobnie.

Philip Randolph, najwybitniejszy czarny związkowiec Ameryki i organizator obchodów setnej rocznicy, liczył tym razem na około 90 000

uczestników. Tymczasem na Presidential Mall pomiędzy Białym Domem a Monumentem Waszyngtona zebrało się około ćwierć miliona demonstrantów. Przybyli nie tylko czarni: wpływowi senatorzy, jak Hubert Humphrey, Jacob Javits i George Aiken; przywódca związkowy Walther Reuther oraz gwiazdy z Hollywood od Charltona Hestona do Marlona Brando również dopisali. Jest to największa demonstracja, którą Waszyngton oglądał od wielu lat, a w ogóle największa w historii walki o prawa obywatelskie.

O 13.30 czarna pieśniarka, Camila William, otwiera manifestację intonując "Star Spangled Banner" - amerykański hymn narodowy. Następują dłużące się w nieskończoność wystąpienia mówców i zaproszonych znakomitości. Znudzony tłum zaczyna się niepokoić. Z jego obrzeży można już zaobserwować pewien odpływ ludzi, aż najsławniejsza piosenkarka czarnych, Mahalia Jackson, swymi spiritualsami znów podkręca atmosferę aż do wrzenia.

Jednak te ćwierć miliona ludzi nie przybyło, by słuchać pieśni, lecz by wysłuchać jednego człowieka: pastora Martina Luthera Kinga juniora, zwanego po prostu "the King". Tym razem nie wpychał się na pierwszy plan. Manifestacja nie była jego "dzieckiem", lecz Philipa Randolpha. Jednak nie może tego dnia wymknąć się światłom rampy. Gdy pojawia się na mównicy - niezbyt wyrośnięta, ale masywna postać, ubrany jak zwykle bez zarzutu - z setek tysięcy gardeł wyrywa się ryk owacji.

Przez dwa dni piłował swą mowę, przepisywał ją i skracał, by zmieścić się w dziesięciominutowym limicie, który dostał do dyspozycji. Rozpoczyna parafrazą słynnej mowy Abrahama Lincolna wygłoszonej na historycznym polu bitwy pod Gettysburgiem: "Five score years ago (przed stu laty)...wielki Amerykanin podpisał deklarację o równouprawnieniu. Był to promyk światła dla milionów czarnych gnębionych nietolerancją. Ale w sto lat później nadal nie jesteśmy wolni".

"Czarny prezydent" twardo osądza swych białych współobywateli, wylicza grzechy przeszłości i teraźniejszości. Mimo to nie będzie rozliczenia się z białym człowiekiem. Na sam koniec King zachował posłanie nadziei.

"Miałem dzisiaj sen. Śniłem, że któregoś dnia w Alabamie (sercu rasistowskiego Południa) małe czarne dziewczynki i mali czarni chłopcy wezmą za ręce białe dziewczynki i chłopców i będą razem spacerować."

King zawiesza głos. "Śnij dalej" - krzyczy do niego tłum. I pastor kontynuuje. "Śniłem, że któregoś dnia niziny zrównają się z wyżynami. Szorstkie miejsca zostaną wygładzone, a krzywe drogi wyprostowane. Że objawi się chwała Boża. W tym cała nasza nadzieja. W tej wierze powrócę na Południe. W tej wierze z góry zwątpienia wydobędę kamyczek nadziei. W tej wierze możemy razem pracować, modlić się i walczyć. Ze świadomością, że któregoś dnia będziemy wolni."

Owacja nie ustaje, mimo że King już dawno skończył. Wyraźnie poruszony opuszcza mównicę, obejmując swoich współpracowników. Bierze pod rękę swą żonę, Corettę i oboje znikają z trybuny.

Aplauz trwa dalej. A popularne hasło "Miałem taki sen" będzie służyło za ewangelię ruchowi obrony praw obywatelskich.

Nikt z obecnych nie wątpi, że słowa Kinga płyną prosto z serca. Podczas gdy dla innych czarnych przywódców - przed i po Kingu - walka o prawa obywatelskie stanowi sprawę polityczną, dla niego jest to wyznanie wiary.

Jednym z powodów takiego stanu rzeczy było to, że King urodził się dla Kościoła i jednocześnie potrafił całe swoje otoczenie przemienić w kościół. Jego ojciec, Martin Luther King senior wżenił się w małą parafię w Atlancie, stolicy Georgii i w końcu odziedziczył urząd pastora po swym teściu. A Martin junior, którego w młodości zwano Michael lub M. L., miał kontynuować tę profesję.

Jednak junior ma inne zamiary. Staromodny tradycjonalizm ojca - w domu zadeklarowanego, choć kochającego syna, tyrana - odstręcza go. W wieku piętnastu lat ucząc się w "czarnym" Morehouse College jest bardziej zainteresowany filozofią i naukami przyrodniczymi niż religią. Jeden z profesorów ukazuje mu poglądy nowego, liberalnego chrześcijaństwa i King

odnajduje swe powołanie.

Jeszcze podczas studiów w college'u, niespełna osiemnastoletni chłopak zostaje mianowany przez swego ojca pastorem pomocniczym. Z okazji swego "nawrócenia" Martin King postanawia zdobyć wszelkie kwalifikacje, by godnie reprezentować duchowny stan. Po zakończeniu studiów w Morehouse College przenosi się natychmiast na Crozier Seminar w stanie Pensylwania - więc teoretycznie na asymilanckiej Północy.

Dla "Daddy Kinga" jest to zupełnie niepotrzebna fanaberia. Przecież Martin junior już otrzymał święcenia kapłańskie. Czegóż potrzebuje więcej, by wstąpić w jego ślady? O wiele ważniejszą sprawą jest znalezienie dla juniora odpowiedniej małżonki.

I choć stary King dysponuje dużym autorytetem, tym razem nie potrafi przeforsować swej woli. Po raz pierwszy młodszy ukazuje swą niezależność, która tak bardzo będzie go wyróżniała z tłumu innych duchownych i polityków.

W seminarium młody student uzupełnia nie tylko religijną, ale i filozoficzną wiedzę. Odkrywa amerykańskiego filozofa Thoreau, a poprzez niego Mahatmę Gandhiego i jego zasadę biernego oporu, która towarzyszyć mu będzie aż do końca życia.

Również bakalarat seminarium Crozier nie wystarcza mu. Jego celem jest teraz "prawdziwy" doktorat z teologii - przenosi się więc jeszcze dalej na północ, na Boston University, nie tak prestiżowego sąsiada Harvardu. Wielkim teologiem nie zostaje jednak nigdy.

W Bostonie dosięga go przeznaczenie - w osobie Coretty, jego późniejszej żony. Nie jest to szybki romans. Coretta wychowała się na Północy i początkowo nie ma ochoty powędrować na Południe w charakterze żony pastora. Nie podoba jej się tradycjonalizm Murzynów z Południa. Martin junior potrafi ją przekonać, że zdystansował się już od "starej" religii, a w końcu namawia ją, by podążyła za nim do jego ojczyzny. Coretta godzi się, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, jaki ciężar bierze na swe barki. Na razie oboje myślą o stosunkowo umiarkowanej Atlancie, nie wiedząc, dokąd ich jeszcze rzuci los. Latem 1953 roku "Daddy King" udziela im ślubu w swoim kościele.

We wrześniu 1954 roku młody żonkoś, kontynuujący tymczasem swe bostońskie studia, otrzymuje propozycję ustalającą tory jego przyszłego życia. Poważany Dexter Street Baptist Church w Montgomery, stolicy Alabamy, proponuje mu urząd pierwszego pastora.

Dla tak wykształconego pastora ojcowie kościoła są gotowi głęboko sięgnąć do kiesy. Ma otrzymywać roczne uposażenie w wysokości 4200 dolarów. Jest to więcej, niż otrzymuje jego ojciec i więcej, niż większość innych duchownych z Północy i Południa.

Z drugiej strony jasne są minusy tej posady. Wprawdzie nieco wcześniej Sąd Najwyższy uchylił zasadę segregacji rasowej w szkołach - pierwszy krok w kierunku integracji - jednak historyczna decyzja nie mogła się jeszcze przebić na głębokim Południu. W Alabamie od czasów "Rekonstrukcji" - a więc od czasów tuż po wojnie domowej - niedużo się w tym względzie zmieniło. Wszystkie kluczowe stanowiska obsadzone są przez rasistów. A za nimi stoi jeszcze terrorystyczna machina Ku-Klux-Klanu.

Mimo to King przyjmuje wyzwanie. A sytuacja w Montgomery okazuje się jeszcze gorsza, niż przewidywał. Miejscowym czarnym nie chodzi już o wyższe cele, przyświecające nowemu pastorowi, a jedynie o choć minimalne poprawienie warunków życia. Bo rzeczywiście w tej dziedzinie jest wiele do zrobienia. W tym czasie bezpośrednim wrogiem czarnych w Montgomery jest miejscowe towarzystwo autobusowe. Biali wsiadają do autobusów przodem i zarezerwowane są dla nich cztery pierwsze rzędy siedzeń. Czarni natomiast wsiadają od tyłu. Gdy pierwsze cztery rzędy są zajęte, czarni, których część zawsze jest pełna, muszą ustępować białym dalszych miejsc. Ponadto są ordynarnie szykanowani przez wyłącznie białych kierowców.

Skargi kierowane do miejscowych władz nie pomagają. W związku z tym nieliczni czarni bojownicy o prawa obywatelskie postanawiają wyszukać

jakiś wypadek precedensowy, by zwrócić się z nim do sądów federalnych. 2 grudnia 1955 roku nadszedł czas. Poważna Murzynka, Rosa - Parks, zostaje wezwana do ustąpienia swego miejsca w autobusie na rzecz jakiegoś białego. Jest zmęczona i wzbrania się. Zostaje aresztowana, postawiona przed sądem i skazana. Ten wypadek jawnej dyskryminacji czarni chcą przedstawić przed sądem federalnym - a nawet Sądem Najwyższym, jeśli zaistnieje taka potrzeba. A na czele tej społecznej inicjatywy stoi nowy pastor - Martin Luther King junior.

Samo procesowanie się nie wystarcza jednak Kingowi. Chce jak najboleśniej uderzyć towarzystwo autobusowe. I wie gdzie uderzyć, by najbardziej zabolało - w kasę. Wzywa więc do bojkotu autobusów. Mimo ogłoszenia bojkotu ze wszystkich ambon, inicjatorzy są nastawieni sceptycznie. W przeszłości podobne próby kończyły się fiaskiem. Tym razem nieoczekiwanie apel trafia do wszystkich. Autobusy pozostają puste - dniami, potem tygodniami. Ni stąd, ni zowąd biali chcą rokować. King przedstawia program minimum: kierowców należy pouczyć, by byli uprzejmi, trzeba zatrudnić również czarnych kierowców, biali i czarni mają mieć jednakowe prawa do miejsc siedzących, wsiadając przodem lub tyłem jak poprzednio - w zależności od koloru skóry.

Towarzystwo odrzuca ten program, poza jednym punktem - dotyczącym uprzejmości kierowców, gdyż to nic ich nie kosztuje. Bojkot trwa dalej. Zarząd miasta anuluje czarnym taksówkarzom - wożącym swych braci i siostry za cenę biletu autobusowego - licencje, na co czarni odpowiadają utworzeniem "puli" złożonej z prywatnych samochodów.

Większość zainteresowanych chodzi jednak piechotą. King chce zwolnić z bojkotu starych i chorych, jednak ich stanowisko jest twarde. "Nie jesteś zmęczona?" - pyta któregoś dnia starą Murzynkę wlokącą się skrajem ulicy. - "Moje nogi są zmęczone - odpowiada zapytana - ale me serce jest wolne!"

Biali zwalają odpowiedzialność za bojkot na komunistów i obcych rozrabiaków. Lecz pomału sytuacja zaczyna zwracać uwagę federalnych mediów, co negatywnie wpływa na image miasta.

King ogranicza jeszcze bardziej swój program minimum, lecz towarzystwo autobusowe uparcie nie chce się zgodzić. King - po raz pierwszy w życiu - zostaje aresztowany pod jakimś drobnym pretekstem, lecz bojkot trwa nadal. W związku z tym pastor ma odpowiadać za "spiskowanie", za co grożą mu już znacznie surowsze kary. Towarzystwo autobusowe stawia żądanie odszkodowania i jednocześnie "pula samochodowa" zostaje zabroniona. Tuż po tym Sąd Najwyższy podejmuje decyzję uznającą segregację rasową w autobusach za nielegalną. Bojkot trwał prawie rok, ale się opłacił.

Tę decyzję (z 13 listopada 1956 roku) biali kwitują gwałtem. Ku-Klux-Klan organizuje przejazd czterdziestu samochodów przez murzyńskie getto. Przedtem czarni się chowali, teraz podejmują zamaskowanych podniesionymi pięściami. Kingowi i jego współpracownikom z najwyższym trudem udaje się wyperswadować ludziom, by nie odpowiadali gwałtem na gwałt.

"Zwycięstwo z Montgomery" awansuje pastora do narodowej sławy. W lutym 1957 roku magazyn "Time" po raz pierwszy poświęca mu artykuł tytułowy. Otrzymuje liczne zaproszenia za granicę. Nowo powstała właśnie Ghana zaprasza go szczególnie serdecznie na obchody niepodległości. Czarny Kontynent sprawia duże wrażenie na Kingu, nie na tyle jednak, by skłonić go do przyłączenia się do ruchu "Powrót do Afryki". Ojczyzną amerykańskich Murzynów muszą bowiem pozostać Stany Zjednoczone.

Po powrocie do domu King po raz pierwszy styka się ze słabo tylko zamaskowaną niechęcią czarnych polityków. Zazdrość i osobista rywalizacja biorą swój haracz. Nic więc dziwnego, że organizowany w atmosferze wewnętrznych rozłamów i sporów pierwszy marsz Murzynów na Waszyngton w obronie praw obywatelskich kończy się wielkim fiaskiem. A King czuje się zmuszony do powołania do życia swej własnej organizacji: Southern Leadership Conference.

Mimo wszystko - duża popularność ma swoje plusy. Potężni nie mogą już sobie pozwolić na ryglowanie drzwi. Wprawdzie nie sam prezydent Dwight Eisenhower, lecz jedynie jego zastępca, Richard Nixon, przyjmuje Kinga w Białym Domu, lecz samo to stanowi dużą sensację.

Kingowi nie udaje się jednak przełamać braku zainteresowania Białego Domu sprawą obrony praw obywatelskich.

Brzmi to wprawdzie paradoksalnie, ale właśnie nieprzejednane stanowisko rasistów z Południa skłania w końcu władze do ingerencji po stronie czarnych. Gubernator Arkansas, Orval Faubus, zignorował po prostu wyrok sądowy i zaangażował Gwardię Narodową, by uniemożliwić Murzynowi wprowadzenie się na Uniwersytet w Little Rock. Poruszony tym przypadkiem Eisenhower po raz pierwszy od czasów wojny domowej wysłał na Południe wojska federalne, by wprowadziły prawo w życie.

Dla Kinga rok 1957 stanowi jedno pasmo szczęścia. Rodzi się jego pierwszy syn, Martin III. Pierwszy raz sprawdza się jako pisarz. Wycieczka na nowe tereny jest jednak trudniejsza, niż tego oczekiwał. Do tego stopnia, że wydawnictwo przysyła mu kogoś w rodzaju "ghostwritera", by mógł w terminie zakończyć swą literacką pierwocinę "Stride towards Freedom". Później pisanie przychodzi mu już lżej.

Następnego roku po raz pierwszy styka się osobiście z Eisenhowerem, lecz spotkanie staje się rozczarowaniem. King z prawdziwym przerażeniem stwierdza, że prezydent jest przekonany, iż Murzyni są właściwie całkiem zadowoleni ze swego losu.

We wrześniu 1958 roku radiowe i telewizyjne występy wzywają pastora do Nowego Jorku. 20 września, podczas "godziny autografów" zorganizowanej w Blumsteins Department Store podchodzi do niego elegancko ubrana Murzynka i upewnia się: "Pan jest pastorem Martinem Lutherem Kingiem?" King potakuje, nie unosząc wzroku. A kobieta bez dalszego namysłu wbija mu w pierś cienki japoński nóż do papieru.

Szczęśliwie rana nie jest śmiertelna, choć w Harlem Hospital trzeba przed wyciągnięciem ułamanej klingi wyciąć Kingowi jedno żebro. Zamachowczyni została w międzyczasie zidentyfikowana. Jest to czterdziestodwuletnia Izola Curry. Jest najwyraźniej niezrównoważona psychicznie i King rezygnuje z oskarżania jej. Zostaje potem zamknięta w ośrodku leczenia chorób nerwowych w stanie Nowy Jork. Już w kilka tygodni po zamachu "król czarnych" jest znów w formie. Chce urzeczywistnić największe marzenie swego życia (poza równouprawnieniem czarnych) - podróż do Indii, ojczyzny swego idola, Mahatmy Gandhiego. Indyjskie realia nie odpowiadają jednak całkowicie jego wyobrażeniom. Wprawdzie w staraniach rządu Nehru dotyczących rozwiązania problemu "niedotykalnych" widzi odpowiednik swej misji, jednak wszechobecna bieda przytłacza go.

Powróciwszy do USA postanawia skoncentrować swoją pracę na poszerzeniu prawa wyborczego czarnych. W owym czasie jedynie półtora z pięciu milionów czarnych z Południa ma prawo głosu, pozostali czy z obojętności, czy z powodu dyskryminujących przepisów lokalnych, są trzymani z dala od urn wyborczych.

Nowe zadanie nie może być jednak realizowane z miejsca położonego na uboczu Montgomery, dlatego King postanawia przenieść się z powrotem do rodzinnej Atlanty. Zasięg jego działania niepomiernie się zwiększa, lecz na przeprowadzce traci finansowo. Skończyły się wysokie dochody wypłacane z poważanego kościoła - musi zadowolić się skromną pensyjką zastępcy pastora w parafii swego ojca.

Przy czym czarna elita Atlanty - łącznie z "Daddy Kingiem" - wcale nie jest zachwycona jego powrotem. Stara gwardia zawarła już z białymi "swój" pokój i obawia się, że działalność "Młodoturka" może mu zagrozić.

Jest rok 1960 - niezwykle ważny politycznie. John F. Kennedy walczy o prezydenturę z Richardem Nixonem. Popieranie Nixona w ogóle nie wchodzi dla Kinga w rachubę, Kennedy również nie zachwyca go specjalnie. King ponownie zostaje zaaresztowany i Kennedy jest tym, który go wyciąga. Teraz King musi go poprzeć i przy skąpej przewadze w czasie wyborów w

listopadzie właśnie głosy czarnych decydują o zwycięstwie Kennedy'ego. Ich współpraca urywa się bardzo szybko - King, wstrząśnięty interwencją Stanów Zjednoczonych na Kubie, dystansuje się od Białego Domu.

Kingowi mocno doskwierają nieustanne prośby różnych murzyńskich przywódców o osobistą interwencję i pomoc. Na przykład z dużymi tylko oporami dał się wplątać w kampanię w małej mieścinie Alabany, Georgii. Tam po raz pierwszy znajduje swego pogromcę. Sprytny miejscowy szeryf bardzo uprzejmie traktuje Murzynów, jednak ani na jotę nie chce ustąpić w meritum sprawy. Przez to zwyczajowe już poparcie środków masowego przekazu dla pastora nie dopisuje - reporterom brakuje w tym sensacji. King musi się poddać. Wściekły oznajmia, że nieudzielenie mu poparcia ze strony FBI spowodowało jego porażkę, a tym samym nawrót rasizmu i bezprawia. Oskarżeniem tym pozyskuje sobie na całe życie zajadłego wroga - szefa FBI, J. Edgara Hoovera.

Wrogość ta na razie nie powoduje żadnych skutków. Pastor ma już wyszukany nowy cel. Nie chce dalej użerać się z drobnostkami w rodzaju Albany - chce wziąć szturmem cytadelę białego rasizmu w Alabamie - Birmingham. Na brak oddziałującej na opinię społeczną brutalności nie może się tam uskarżać. Szef miejscowej policji "Old Bull" Connor uchodzi za najpodlejszego na całym Południu. Przy codziennych próbach protestów czarni również codziennie są bici i wtrącani do aresztu - a z nimi i King. Jest to jego trzynaste aresztowanie. Organizatorzy już zaczęli zastanawiać się nad zrezygnowaniem z kampanii, gdy czarni uczniowie wymusili zgodę na udział w demonstracji. Całą Ameryką wstrząsnął uwieczniony przez kamery telewizyjne atak policji na dzieci, przypuszczony przy pomocy pałek, armatek wodnych i tresowanych psów. W maju hotel, w którym przed aresztowaniem mieszkał King, zostaje wysadzony w powietrze i prezydent Kennedy jest zmuszony do wysłania wojsk federalnych do Birmingham. Czarni osiągnęli ważne zwycięstwo. Pod wpływem wydarzeń w Birmingham, 19 czerwca 1963 roku, zostaje uchwalone dalsze rozszerzenie praw obywatelskich dla kolorowych.

Swym prestiżem zwycięzcy King może teraz pomóc innym przywódcom murzyńskim w zorganizowaniu masowej demonstracji w Waszyngtonie, jak również w zamienieniu masówki na Presidential Mall w triumf przy pomocy swej słynnej mowy "Miałem taki sen". Po imprezie King świętuje w hotelu Willard w towarzystwie najbliższych współpracowników oraz dwu kobiet zatrudnionych w hotelu. Coretta już odjechała do domu. King nie zdaje sobie sprawy z tego, że FBI założyło podsłuch w jego apartamencie. W nagraniu Hoover konstatuje "odgłosy seksualnej aktywności", a raport z podsłuchu wraz z dokumentami potwierdzającymi rzekome powiązania Kinga z komunistami przekazuje prezydentowi. Kennedy jest nieprzyjemnie dotknięty, nie postanawia jednak niczego. Ani przeciw Kingowi, ani przeciw Hooverowi za nielegalny podsłuch. Szef FBI jest wściekły, raport chowa do późniejszego wykorzystania.

O tym wszystkim King nie ma pojęcia. Ciężkim ciosem jest dla niego wiadomość o zamordowaniu prezydenta Kennedy'ego. Od nowego prezydenta - Lyndona Johnsona, który objął urząd już 22 listopada 1963 roku, Murzyni nie oczekują niczego dobrego. Są mile zaskoczeni, gdy Johnson przeforsowuje przez Kongres kolejną ustawę znoszącą podziały rasowe w sklepach, miejscach pracy i zakładach opieki społecznej.

Tymczasem King niezmordowanie pracuje dalej i jesienią 1964 roku jest u kresu sił. W tym momencie dociera do niego najpiękniejsza wiadomość jego życia - otrzymuje pokojową nagrodę Nobla. Jako trzeci czarny, po bliskowschodnim pokojowym negocjatorze, Ralphie Bunchu i południowym Afrykaninie, Albercie Luthuli. I jako trzydziestopięciolatek jest w ogóle najmłodszym laureatem tej prestiżowej nagrody.

Podczas przygotowań podróży do Oslo King dosłownie zostaje zasypany gratulacjami z całego świata. Jego przeciwnicy są całkowicie wyprowadzeni z równowagi. Hoover ponownie próbuje sprzedać swój raport z nagraniami prezydentowi, lecz Johnson, podobnie jak uprzednio Kennedy, umywa od tego ręce.

Tym razem Hoover nie chce tak łatwo dać za wygraną. Jego ludzie starają się rozpowszechnić "odkrycia" w mediach, natrafiają jednak wszędzie na odmowę. W końcu reporterska gwiazda, Jack Anderson, publikuje - krytyczne wobec Hoovera - streszczenie rewelacji FBI.

Teraz już do akcji musi wkroczyć Biały Dom, za wszelką cenę pragnący zatuszowania skandalu. Przez pośredników udaje się zorganizować "konferencję pokojową" doprowadzającą do - krótkotrwałego - zawieszenia broni pomiędzy skłóconymi obozami.

W trzy dni później King wraz z wielkim orszakiem leci przez Londyn do Oslo. W brytyjskiej stolicy spotyka go duży zaszczyt - jako pierwszemu nieanglikaninowi wolno mu wygłosić kazanie z ambony katedry St. Paul. 10 grudnia z rąk króla Olafa V odbiera zaszczytną nagrodę. W podziękowaniu wygłasza mowę, która za temat ma "Długą drogę z Montgomery do Oslo".

Powrót do Nowego Jorku jest zaiste triumfem, lecz wkrótce przygniatają go realia. Lyndon Johnosn wprawdzie wiele Murzynom obiecał, lecz niewiele ziścił. Więc czarni znów postanawiają stworzyć przypadek precedensowy. Wybierają małą mieścinę w Alabamie - Selma - ponieważ z 15000 mieszkających tam czarnych tylko 333 ma prawo wyborcze. A poza tym urzęduje tam szeryf typu "Old Bull" Connorsa.

Kampania o rejestrację czarnych wyborców w Selma rozpoczyna się 18 stycznia 1965 roku. Walka jest nieoczekiwanie twarda. Znów setki zostają pobite - między nimi King i jego najbliższy asystent, Ralph Abernathy. Jednak w Waszyngtonie Lyndon B. Johnson nadal zwleka - do czasu, aż w końcu biały duchowny zostaje zatłuczony przez rasistów. Wtedy już nie może oprzeć się burzy protestów. 15 marca osobiście przedstawia w Kongresie ustawę o powszechnym prawie wyborczym, kończąc prezentację słowami: "We shall overcome."

Jednak kampania w Selma jeszcze nie jest wygrana. King postanawia zorganizować marsz do Montgomery, by doręczyć gubernatorowi George'owi Wallace'owi petycję. Poinformowany o tym gubernator przetelegrafował do prezydenta, że nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa uczestnikom marszu. Na co Johnson, podobnie jak uprzednio Eisenhower i Kennedy, musi wysłać na Południe wojska federalne. Wallace barykaduje się w swym kapitolu, wzbraniając się przed przyjęciem petycji - mimo to jest moralnie przegrany.

A pastor cały czas unosi się na fali powodzenia. 6 sierpnia Johnson podpisuje nową ustawę wyborczą, która zapobiega wszelkiej dyskryminacji. Wzruszeni bojownicy o prawa obywatelskie przyznają, że nie docenili pragmatyka w rezydencie Białego Domu. Osiągnął on więcej niż jego poprzednicy.

Jednak już w tydzień później w Watts, czarnym getcie Los Angeles, wybuchają ostre zamieszki. Ginie 35 ludzi, a straty materialne sięgają milionów. Jeszcze większe są jednak szkody, które zamieszki wyrządziły ruchowi praw obywatelskich. Biali sympatycy, zaszokowani, dystansują się. Najbardziej wstrząsa Kingiem fakt, że młodzi prowodyrzy zajść, w większości młodociani, uważają się za bohaterów. Pastora spotyka podobny los jak Mahatmę Gandhiego dwadzieścia lat wcześniej - nie tylko "zawodowi radykałowie" ale i szeroka społeczna baza potępia go jako "wuja Toma".

Watts nie pozostaje odosobnionym przypadkiem. W następnych dwunastu miesiącach eksplodują kolejne getta. Z przerażeniem King poznaje, że nowa generacja przywódców murzyńskich coraz bardziej dystansuje się od jego teorii biernego oporu i zasad prowadzenia walki bez walki. Ich sloganem nie jest już tylko "Freedom", lecz "Black Power".

King dzieli nie tylko poglądy Mahatmy Gandhiego, ale i inne cechy - czując się "sumieniem świata" zaczyna krytykować politykę prowadzoną przez Lyndona B. Johnsona w Wietnamie. Prezydent gorzko żali się innym przywódcom murzyńskim na niewdzięczność pastora.

Przy tym King zalicza się raczej do stosunkowo umiarkowanych krytyków amerykańskiej polityki dalekowschodniej. Mówi o "naszej tragedii" i "naszej winie" w Wietnamie, podczas gdy radykałowie dawno już określają

ten konflikt mianem "rasistowskiej wyprawy wojennej".

Wystąpienie "czarnego króla" przeciw wojnie wietnamskiej w czasie, gdy większość Amerykanów jeszcze popiera działania wojenne, ma dalekosiężne skutki. Umiarkowani biali oraz ważne liberalne gazety "detronizują" króla. "Apolityczni" czarni uważają, że King poniechał ich spraw, by wypłynąć na szerokie wody polityki międzynarodowej. A jego starzy wrogowie w FBI odgrzewają znów plotki o jego komunistycznych poplecznikach.

Pomału ruch na rzecz pokoju zdobywa sobie zwolenników, lecz pastor z ubolewaniem musi stwierdzić, że znów radykałowie zyskują w nim górę. I że jego własne przemowy, nolens volens, stają się coraz ostrzejsze. Podczas gdy wojna trwa dalej, w 1967 roku eksplodują dalsze czarne getta. Najpierw Cincinnati, potem Detroit - łącznie w prawie stu miastach. Tymczasem zrozumienie wyrażane przez białą ludność dla głębiej leżących przyczyn niezadowolenia czarnych ciągle maleje. Daje temu wyraz nawet Sąd Najwyższy - do tej pory najlepszy sprzymierzeniec czarnych - potwierdzając wyrok przeciwko Martinowi Lutherowi Kingowi: pięć dni więzienia. Jest to wyrok symboliczny, lecz chodzi głównie o zasadę.

Skazany jest wystarczająco doświadczony, by zrozumieć ten sygnał. Chce zmienić swą strategię, lecz właśnie jego nowy projekt budzi najostrzejsze sprzeciwy. Proponuje zorganizowanie marszu wszystkich biednych do Waszyngtonu, by zmusić rząd do stworzenia nowych miejsc pracy. Nawet jego wieloletni współbojownicy uważają, że jest to prowokacja pod adresem rządu, w dodatku mogąca się skończyć potężnym przelewem krwi. Jednak "król" nie daje odwieść się od zamiaru i jego ludzie rozpoczynają rekrutację ochotników w dotkniętych masowym bezrobociem rejonach.

W lutym 1968 roku generalny plan jest gotowy. W pierwszym stadium tysiące bezrobotnych mają rozbić swe namioty w Waszyngtonie. Tuż za nimi "armia nieuprzywilejowanych" ma sparaliżować działanie służb komunalnych przez "siedzące strajki" i demonstracje. A gdyby Kongres nadal nie godził się na ustępstwa, miałaby nastąpić trzecia faza - bojkoty i marsze protestacyjne w całym kraju. King doskonale wie, na co się porywa, lecz uważa, że czas półśrodków już minął. Nic dziwnego, że w tak napiętej atmosferze mnożą się groźby morderstw pod jego adresem. Samo FBI zarejestrowało około pięćdziesięciu tego rodzaju oświadczeń. Na Południu właściciel hotelu nazwiskiem John Kauffmann wyznaczył nagrodę w wysokości 30 000 dolarów za zamordowanie pastora Kinga. Na co adwokat z St. Louis, John Sutherland, podwyższył nagrodę do 50 000.

A potem po prostu stało się. Nie "niepojęte", lecz - w owym czasie prawie nieuniknione. 3 kwietnia 1968 roku przed południem pastor King dociera na lotnisko w Memphis w stanie Tennessee. Z dwugodzinnym opóźnieniem spowodowanym poszukiwaniem bomby na pokładzie samolotu, o czym uprzedzał anonimowy rozmówca telefoniczny. Pastor tym razem niechętnie przybywa do Memphis. Jest to już trzecia wizyta w ciągu ostatnich dwóch tygodni - z powodu drobnostki. Robotnicy miejscowego zakładu oczyszczania miasta rozpoczęli strajk z powodu zbyt małych ich zdaniem zarobków i po kilku incydentach wezwali na pomoc pastora Kinga. Przy jego wcześniejszych wizytach doszło do gwałtownych wystąpień czarnych młodocianych, w związku z czym "New York Times" uważał, że Martin Luther King opuścił ścieżkę biernego oporu i walki bez walki, sugerując jednocześnie, że w ciągu planowanego marszu na Waszyngton należy spodziewać się dużo gorszego.

Laureat nagrody Nobla wie, że natychmiast musi się zrehabilitować. Na 5 kwietnia wyznacza ponownie demonstrację - ale tym razem wszystko musi odbyć się zgodnie z planem - bez żadnych aktów gwałtu. Z tego powodu już 3 kwietnia pojawia się w mieście nad rzeką Mississippi.

Z lotniska jedzie natychmiast do motelu "Lorraine", gdzie zwykle się zatrzymuje i razem z Abernathym wynajmuje apartament 306. Lokalne rozgłośnie natychmiast meldują o przybyciu sławnego gościa. Z balkonu King ma widok na parking, na którym panuje ożywiony ruch. W sąsiadującej

z motelem remizie strażackiej policja urządziła posterunek mający pastora pilnować, lecz czarni przegnali detektywów. Nadzór policyjny wprawdzie pozostał, lecz za zamkniętymi oknami.

Wieczorem King ma przemawiać na manifestacji w zborze masońskim. Prognoza pogody przepowiada nadciągające tornado - i rzeczywiście wkrótce zaczyna padać deszcz. Pastor chce odwołać manifestację i wysyła w tym celu Abernathy'ego jako swego przedstawiciela. Po wielu minutach wierny towarzysz walki telefonuje, że szef jednak musi przybyć, gdyż oczekuje go już ponad 2000 widzów.

Jest to ostatni triumf Kinga. Dopiero o czwartej rano powraca do motelu i może położyć się spać.

Nazajutrz Abernathy budzi go dopiero na obiad. Jedzenie spożywają w pokoju - obaj z jednego talerza. Potem rozpoczyna się konferencja z doradcami, między nimi jest brat Kinga, Alfred i dwóch młodych mężczyzn, którzy wkrótce mają zyskać sławę - Andrew Young i Jesse Jackson. Wieczorem przewidziane jest jeszcze spotkanie w małym kręgu, w domu miejscowego duchownego, Samuela Kylesa.

Pastor ów pojawia się w motelu o 17.30, by odebrać swych gości. Kierowca, Solomon Jones, czeka już na dole, na parkingu przy samochodzie. Podczas gdy inni schodzą już na dół do wozu, King wychodzi jeszcze na moment na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle słychać huk wystrzału. Kula trafia pastora Kinga w środek głowy z taką siłą, że rzuca nim o podłogę.

Na parkingu ludzie Kinga kryją się między samochodami. Abernathy, znajdujący się jeszcze w drzwiach wspólnego apartamentu, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie rzuca się na balkon. King leży tam w kałuży krwi. Całą dolną część twarzy ma odstrzeloną. "Mój Boże, Martin został zastrzelony" - krzyczy Abernathy, klęka przy nim i zaczyna łagodnie przemiawiać: "Martin, to ja, Ralph, nie bój się". Na miejscu zjawia się Andrew Young i próbuje wyczuć puls. W końcu spogląda na Abernathy'ego. "Już po wszystkim" - mamrocze przez łzy. Również Abernathy płacze, lecz są to łzy gniewu. "Nie mów tego nigdy więcej" - ofukuje młodszego od siebie Younga. - "To nigdy się nie skończy."

Ale jednak coś się skończyło. I obaj zdają sobie z tego sprawę. Z Martinem Lutherem Kingiem Murzyni stracili nie tylko przywódcę, ale proroka, który miał ich zawieść do Ziemi Obiecanej. Wierny Abernathy nie jest w stanie wypełnić takiej luki. A inni są tylko politykami.

Gdy wiadomość o morderstwie rozprzestrzenia się, po czarnych gettach wybuchają najstraszliwsze zamieszki w powojennej historii Ameryki. W ponad stu miastach wybiła godzina ekstremistów. "Biała Ameryka zamordowała Kinga" - brzmi hasło. - "Wyciągajcie swoją broń". Do zwalczania zamieszek rząd musi oddelegować regularne siły zbrojne liczące około 75000 żołnierzy, a ponadto mobilizowane są wszystkie stanowe Gwardie Narodowe. Bilans przywrócenia jakiego takiego ładu - 39 zabitych, w większości Murzynów, z tego dziesięciu w samym Waszyngtonie.

Poszukiwania mordercy rozpoczęły się już w kilka minut po dokonaniu zamachu. Strzał padł z domu położonego w pobliżu motelu, przy Mulberry Street. Podczas przeszukania dokładnie obstawionego domu policjanci odnajdują pod kupką szmat wysokiej klasy karabin kalibru 30.06. Świadkowie zgodnie relacjonują, że widzieli białego forda mustanga odjeżdżającego spod domu z bardzo dużą prędkością. Na podstawie wskazówek zidentyfikowano sprawcę jako Jamesa Earla Raya, zbiegłego więźnia rasy białej. Jest członkiem "American Independent Party" gubernatora Wallace'a. Jego brat, John, właściciel restauracji w St. Louis zeznaje później, że obaj przeczytali artykuł w gazecie, w którym była mowa o nagrodzie za zabicie pastora Kinga.

Pogoń za sprawcą zataczała coraz szersze kręgi i nadal brakowało jakiegokolwiek śladu. Zupełnie jakby ziemia się pod nim rozstąpiła. Dopiero po miesiącach zostaje zatrzymany w Londynie na podstawie międzynarodowego listu gończego, wystawionego jedynie pro forma, gdyż amerykańskie władze były pewne, że mają "szczelne" granice.

James Earl Ray daje się ująć i deportować do Stanów Zjednoczonych nie stawiając oporu. Proces w Memphis staje się farsą - farsą częściowo osłanianą przez amerykańskie praktyki prawne. Morderca przyznaje się do wszystkiego. Osiąga przez to dwie korzyści. Wymyka się w ten sposób karze śmierci i - co jest ustalone w procedurze sądowej - nie wolno wziąć go w krzyżowy ogień pytań. W ten sposób nie musi się wypowiadać na temat ewentualnych mocodawców. Ich istnienie nie ulega bowiem żadnej kwestii. Skąd zbiegły więzień miałby pieniądze na drogi przelot do Londynu, nie mówiąc o kosztownym pobycie w Europie. Jeśli na tę okoliczność był wypytywany przez policję, to zachowała się ona nad podziw dyskretnie, gdyż do tej pory nie ma na ten temat żadnego przecieku.

W dziesięć lat później Ray ponownie trafia na czołówki gazet. "Adwokat sensacji", Mark Lane, który przed laty reprezentował bez powodzenia rodzinę domniemanego mordercy Kennedy'ego, podejmuje się nowej obrony, akurat gdy sprawy morderstw na Kingu i Kennedym trafiają do komisji senackiej. Twierdzi nagle, że jego skazany na dożywocie klient jest całkowicie niewinny. Nie on bowiem, lecz tajemniczy wspólnik nazwiskiem Raoul miał popełnić tę zbrodnię. Jednak Lane nie jest w stanie dostarczyć jakiegokolwiek dowodu i Ray pozostaje za kratkami.

Kim jednak byli mocodawcy? Tak wielu pragnęło śmierci Martina Luthera Kinga, że trudno jest dokonać wyboru. W pierwszym rzędzie podejrzenie pada na białych rasistów, lecz równie często podejmowało się temat spisku zorganizowanego przez FBI. Również wielu czarnych ekstremistycznych przywódców nie życzyło mu dobrze.

Jeśli Ray nie przemówi, morderstwo na zawsze pozostanie niewyjaśnione.

ABDALLAH KRÓL JORDANII (1882 - 1951)

Abdallah ibn Husajn ibn Ali, potomek proroka Mahometa i władca Haszymidzkiego Królestwa Jordanu był zatroskany. Wiosną 1951 roku stał przed najważniejszą decyzją swego życia. Pierwsza wojna arabska przeciw Izraelowi zakończyła się przed dwoma laty zawieszeniem broni podpisanym na wyspie Rodos. Z wojny tej Abdallah wyszedł jeżeli nie sławnym zwycięzcą, to przynajmniej jako jedynemu arabskiemu władcy udało mu się znacznie powiększyć swe terytorium poprzez wchłonięcie tych starych palestyńskich terenów, które wrosły w polityczną geografię Bliskiego Wschodu jako Zachodni Brzeg Jordanu. W 1950 roku jego zdobycz, decyzją rady notabli, została włączona do jego pierwotnie ograniczonego tylko do Transjordanu państwa.

Żaden z arabskich braci - czy to z zazdrości, czy z uwagi na Palestyńczyków, wciąż wykorzystywanych jako pionki w grze - nie uznał tej aneksji. Abdallah wiedział, że status quo, które w posagu wniosło mu większość niepewnych politycznie Palestyńczyków, musi traktować jako sytuację przejściową.

Konieczne było podjęcie decyzji i król wiedział, że wpłynie to z pewnością na jego dalsze losy. Alternatywa była oczywista: kontynuacja przerwanej tylko zawieszeniem broni wojny z Izraelem lub zawarcie pokoju z Żydami.

Miesiącami Abdallah przesuwał podjęcie decyzji. Nie miał nikogo, do kogo mógłby zwrócić się z prośbą o radę. A już najmniej do swych brytyjskich sprzymierzeńców. Traktowali oni Jordanię jako odskocznię do odbudowania mocno podupadłej władzy na Bliskim Wschodzie.

Tak więc niepokój króla był zupełnie zrozumiały. Bez celu przemierzał gabinet tam i z powrotem, co nie było jego codziennym obyczajem. Jedynym dźwiękiem mącącym ciszę był stukot jego oficerek o kamienną posadzkę. Od czasu do czasu skubał swą krótką bródkę lub gładził się po łysinie. Z powodu tej łysiny nienawidził pokazywać się bez nakrycia głowy. Publicznie zawsze występował albo w typowo arabskiej keffieh lub w wojskowej czapce zaprojektowanej przez jego zmarłego brata, Fajsala, zwanej od imienia projektanta "faisalieh".

Król od czasu do czasu wyglądał oknem do ogrodu, gdzie kwiaty właśnie były w pełni swej krasy. Potem znów kontynuował wędrówkę po gabinecie. Był to pokój przestronny, ale dosyć surowy. Jedynym większym meblem było potężne biurko, sprowadzone z Wielkiej Brytanii wraz z należącym do niego fotelem w stylu Tudor - z wysokim oparciem. Było to jedyne siedzisko w pokoju. Kto rozmawiać musiał z królem w jego gabinecie, a nie w pokoju przyjęć - "diwanie" - zmuszony był czynić to stojąc.

Skromny był cały pałac. Zbudowali go Anglicy dla swego emira Transjordanii w latach trzydziestych na obrzeżach Ammanu - wówczas niewielkiego, liczącego około 40 000 mieszkańców miasta, otaczającego akropol starogreckiego miasta Philadelphia. Dziś pałac należy do większego kompleksu, zwanego Basman-Palace, w którym rezyduje wnuk Abdallaha, Husajn. A miasto dawno już rozrosło się poza pałac.

Ostatnie czterdzieści lat od wojny palestyńskiej oznaczało dla Ammanu stadium początkowe błyskawicznego rozwoju. Król Abdallah przeżywał je wraz z tym miastem jak niezbyt zadowolony z siebie obserwator. Cugle władzy utrzymywane mocną ręką przez ostatnie trzydzieści lat teraz groziły wyślizgnięciem się. Zaiste, król miał powody do zmartwień.

W końcu przemógł się do podjęcia decyzji. "Janbek!" - krzyknął tak głośno, że po całym pokoju odbiło się echo. Wzywany natychmiast wskoczył do gabinetu z sąsiedniego pokoju. Był to jeden z Czerkiesów królewskiej gwardii przybocznej. Abdallah mógł na nich liczyć - bardziej im ufał niż "swoim" Beduinom.

Lecz ich służba ograniczała się jedynie do pałacu. W czasie podróży po kraju król musiał zadowalać się arabskimi gwardzistami. Każde inne rozwiązanie odczytywane byłoby jako znak nieufności dla własnych rodaków.

"Co rozkaże mój król?" - zapytał Czerkies. - "Zawołaj mi Samira Paszę: Ma przyjść tu natychmiast."

Samir Pasza, czyli Samir Rifai był najbliższym zausznikiem króla i aktualnie jordańskim premierem. Ciągle zmieniał się tym urzędem ze swym rywalem, Tewfik Paszą abu el Hudą, co było w zasadzie nieistotne, gdyż i tak król miał zawsze ostatnie słowo.

Już po kilku minutach Rifai był na miejscu. Głos Czerkiesa brzmiał przez telefon dość natarczywie - w takim stanie rzeczy nie można było pozwolić, by król czekał. Abdallah przeszedł natychmiast do rzeczy: "Samir, zdecydowałem się - podejmę z Izraelitami rokowania pokojowe".

Rozmowa ta nie była wprawdzie protokołowana, istnieje jednak na jej temat memorandum izraelskiego wywiadu. Najwyraźniej uszy Mossadu sięgały nawet do pałacu Raghadan.

Rifai nie był zdziwiony. Nie trzeba być koniecznie premierem, by zgadnąć myśli, z jakimi od tygodni borykał się Abdallah. Mimo to Samir Pasza odważył się na zgłoszenie uwagi: "Czy wasza wysokość przemyślała całe ryzyko? Hadż Amin poszczuje swych zabójców na was".

Hadż Amin był byłym wielkim muftim Jerozolimy. Pierwszy brytyjski wysoki komisarz Palestyny, sir Herbert Samuel - nawiasem mówiąc Żyd - w błędnie ukierunkowanym przypływie gotowości do ustępstw mianował ekstremistycznego duchownego Amina al Husajniego głową muzułmanów na terenie mandatowym.

Hadż Amin odpłacił mu złą monetą. Latami judził Arabów przeciw Brytyjczykom i Żydom, w końcu przez Irak i Persję poleciał do Berlina na dwór Adolfa Hitlera. Czy to właśnie on przekonał Hitlera do zmiany koncepcji wypędzenia Żydów na rzecz ich totalnej zagłady, do dziś jest sprawą dyskusyjną. Po upadku Trzeciej Rzeszy udało mu się - dziwnym zrządzeniem losu z pomocą Francuzów, mających z Brytyjczykami do wyrównania stare bliskowschodnie rachunki - zbiec do Kairu. Tam bardzo gościnnie przyjął go król Faruk. Po ogłoszeniu wycofania się Brytyjczyków z Palestyny Hadż Amin widział się już władcą Ziemi Świętej, gdy nagle jego rachuby zostały przekreślone przez Izraelitów, a w dodatku Abdallah dokonał aneksji pozostałości arabskiej Palestyny. Zawarcia pokoju z Izraelem wielki mufti nigdy nie wybaczyłby królowi

Jordanii.

Ostrzeżenie Rifaiego nie zrobiło wielkiego wrażenia na Abdallahu: "Nie boję się go. Jestem Beduinem" - zripostował politykowi, wypominając mu jednocześnie jego miejskie pochodzenie. I była to prawda. Abdallah przez całe życie pozostał prawdziwym synem Hedży, wąskiego pasa ziemi, położonego na skraju Wielkiej Pustyni, w którym również zawierały się święte miasta Mekka i Medyna. Urodził się w 1882 roku w Mekce, gdzie jego ojciec, Husajn, jako głowa rodu Haszymidów otrzymał niejako w dziedziczne władanie z rąk tureckiego zwierzchnictwa urząd wielkiego szarifa Świętych Miast. Abdallah studiował na dworze sułtana, a gdy młodoturcy w 1908 roku proklamowali demokratyczną konstytucję, arabski książę, jako deputowany z Mekki został członkiem pierwszego zgromadzenia narodowego. W momencie wybuchu pierwszej wojny światowej sprawował nawet funkcję marszałka parlamentu.

Tymczasem Haszymidzi marzyli o czymś więcej, niż tylko o wiernym wasalowaniu potędze tureckiej. Dla wywiadu brytyjskiego nie było to żadną tajemnicą. Cały szereg tajnych agentów został wysłany do Mekki, by ośmielić szarifa i jego nie mniej ambitnych synów, Fajsala, Alego i Abdallaha (który roztropnie po wybuchu wojny światowej wyjechał do Konstantynopola), do powstania narodowego.

Wśród Haszymidów znaleźli słuchaczy nie tylko chętnych, ale i trzeźwo kalkulujących. Przede wszystkim książęta chcieli wiedzieć, z jakim poparciem ze strony Londynu będą startować. A po drugie, na jaką zapłatę mogą liczyć po zakończeniu wojny.

Sir Henry McMahon - brytyjski rezydent w Kairze - wysłał w końcu swego najlepszego człowieka - pułkownika T. E. Lawrence'a, późniejszego "Lawrence of Arabia". Pułkownik już wtedy nie był postacią całkiem nieznaną. Latami pracował w południowej Palestynie jako archeolog, rozpracowując jednocześnie pustynię dla brytyjskiego wywiadu.

Pułkownik posiadał bardzo rzadką u Europejczyka zdolność predestynującą go do wykonania tak delikatnego zadania - potrafił wczuć się w psychikę Arabów. Na wstępie przedłożył pismo McMahona obiecujące Haszymidom ustanowienie - po zakończeniu działań wojennych - niezawisłego państwa. Ani Lawrence, ani jego partnerzy zza negocjacyjnego stołu nie wiedzieli jednego: mniej więcej w tym samym czasie Wielka Brytania i Francja podzieliły między siebie tereny Syrii i Palestyny. A potem do tego przybyła jeszcze tak zwana "deklaracja Balfoura", gwarantująca Żydom powstanie narodowego państwa w Palestynie.

Czy Haszymidzi zostali wyprowadzeni w pole, czy też nie - w każdym razie Lawrence'owi udało się przekonać szarifa, by w pierwszym posunięciu rozbroił turecki garnizon w Mekce. W siostrzanej Medynie, gdzie stacjonował dużo silniejszy turecki garnizon, Arabowie nie odważyli się już na podobne działania - skapitulował on dopiero po zakończeniu wojny.

Dopiero po dostarczeniu im pieniędzy i broni Haszymidzi pod przewodnictwem księcia Fajsala zdecydowali się wykonać wypad na północ. Najważniejszym sukcesem kampanii było zdobycie portu w Akabie - strategicznej pozycji w rejonie północno-wschodniego końca Morza Czerwonego. Na temat militarnego znaczenia arabskiego powstania poglądy historyków do dziś się rozmijają.

Jego obraz najsugestywniej przekazuje książka pułkownika Lawrence'a pt. "Siedem filarów mądrości".

W ostatnim stadium wojny kampania zamieniła się w wyścig pomiędzy Brytyjczykami i Arabami - jego celem był Damaszek. Fajsal i Lawrence wygrali te zawody i książę z miejsca kazał się obwołać królem Syrii.

Władanie Fajsala było jednak krótkotrwałe. Już po półtora roku został przegnany z Syrii przez Francuzów. Jego brat, Abdallah, któremu Brytyjczycy w zasadzie przeznaczyli tron Iraku, ruszył z pomocą ojczystej Hedży. I rzeczywiście, osiągnął wraz ze swoimi ludźmi Transjordanię, gdzie dopiero Brytyjczycy wstrzymali jego ofensywę mieszanką militarnego nacisku i ustępstw. W ramach odszkodowania dla

swego sprzymierzeńca przyznali Fajsalowi tron iracki, zaś Abdallah jako nagrodę pocieszenia otrzymał teren, na którym się właśnie znajdował - Transjordanię, szybko odłączoną od pierwotnego terytorium powierniczego w Palestynie.

W odróżnieniu od innych arabskich polityków - przed i po nim - Abdallah był wystarczającym realistą, by zadowolić się "wróblem w garści". Zresztą, dynastia nadal głównie była zainteresowana macierzystą Hedżą.

A i tam Haszymidom groziły przykrości. Brytyjczycy bowiem w trakcie szczucia Arabów przeciw Turkom nie tylko szarifa Husajna hojnie wyposażyli w pieniądze i broń. Podobne dary przypadły w udziale władcy Nedżży - Arabii Wewnętrznej - szejkowi Abdulowi assis ibn Saud. Podczas gdy uwaga Haszymidów skoncentrowana była na północy, ibn Saud zaatakował Hedżę. Abdallah, wówczas głównodowodzący wojskami swego ojca, został pobity w nocnej bitwie pod Taifem. Pomału - w ciągu roku - Saudyjczycy wypierali przeciwników aż do granicy Transjordanii, gdzie zostali zatrzymani przez brytyjskie lotnictwo. Jedynie dzięki temu kraj na wschód od Jordanii ostał się przy Haszymidach. W przeciwieństwie do swego ojca, który do końca życia uważał się za oszukanego przez Anglików, Abdallah był im wdzięczny. Jako jedyny arabski władca w 1939 roku wypowiedział Niemcom wojnę, co jednak przez arabskich intelektualistów poczytane zostało za oznakę podległości.

Mimo tych sarkań czasy drugiej wojny światowej były najszczęśliwszymi czasami w życiu Abdallaha. Wpływały bogate brytyjskie subwencje, szczególnie na rozbudowę armii, tak zwanego Legionu Arabskiego, który brytyjscy oficerowie uczynili najbardziej bojową jednostką w obozie arabskim. Zdał on egzamin bojowy przy odbijaniu Iraku, w którym proniemieccy puczyści odebrali władzę innej gałęzi rodu Haszymidów.

Po wojnie Anglicy podziękowali wiernemu Abdallahowi, przekazując mu formalny mandat nad Transjordanią oraz błogosławiąc jego "awans" z emira na króla. Jego państwo - ochrzczone jako Haszymidzkie Królestwo Jordanii - zaczęło coraz poważniej włączać się w politykę Ligi Arabskiej. Liga owa - założona w 1944 roku między innymi z inicjatywy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, Anthony Edena - mniej miała służyć jako nośnik dla arabskiego nacjonalizmu, a bardziej konsolidować brytyjskie wpływy na Bliskim Wschodzie. W pierwszej linii przeciw Francuzom, którzy po uwolnieniu ich ojczyzny spod okupacji, teraz czynili wszystko, by odzyskać swe dawne wpływy w Syrii.

Nie cieszyło to absolutnie Brytyjczyków. Zachęcili Syryjczyków do powstania; gdy Francuzi chcieli je zdławić, Londyn im to uniemożliwił. W wyniku tego powstały dwa niezależne państwa - Syria i Liban - co w żadnym wypadku nie cieszyło Abdallaha, gdyż sam marzył o stworzeniu "żyznego półksiężyca" - połączenia Morza Śródziemnego z Zatoką Perską poprzez przyłączenie francuskiego terytorium mandatowego.

Władcy w Damaszku knuli podobne plany - zamierzali w tym celu zaanektować Jordanię, stwarzając na razie permanentne ognisko niepokoju na północnej granicy Abdallaha.

Niepokój groził też z zachodu. Na mandatowym terytorium Palestyny, pod wpływem pełniejszych informacji o wymiarze holocaustu, narastała nienawiść Żydów do Brytyjczyków, którzy, by pozyskać względy Arabów, przed wojną drastycznie ograniczyli żydowską imigrację. Polityki tej trzymali się również po wojnie. Ocalali z nazistowskiego terroru byli zatrzymywani siłą przed brzegami Palestyny, internowani na Cyprze lub nawet odsyłani do Europy.

Dla arabskich nacjonalistów było to i tak za mało - żądali własnego państwa. Tymczasem jednak arabski opór wobec Anglików, w porównaniu do żydowskiego, był niewielki. W związku z tym Abdallah uważał, że nie ma nic niestosownego w "pożyczeniu" Anglikom swego Legionu Arabskiego do pełnienia służby wartowniczej w urzędach palestyńskich. Przy czym Legion w sposób bardzo zdyscyplinowany wypełnił swoją rolę, nie dając się sprowokować syjonistom do pojedynczych akcji. Przynajmniej tak długo,jak

Brytyjczycy utrzymywali swój mandat.

Gwałtowna zmiana nastąpiła, gdy Londyn złożył cały problem na barki Organizacji Narodów Zjednoczonych, która postanowiła dokonać podziału Palestyny.

Na rozkaz Hadż Amina palestyńscy Arabowie zbojkotowali komisję pojednawczą ONZ, na której sugestii bazowała uchwała ONZ. W dzień po głosowaniu - 27 listopada 1947 roku - wezwali do walki przeciwko zaplanowanemu państwu żydowskiemu.

W pierwszych dniach grudnia w całej Palestynie wybuchają ciężkie arabskie niepokoje. Władze brytyjskie, w przypływie złośliwej radości, nie interweniują zbytnio. Wkrótce cały kraj stoi w ogniu. Liga Arabska, uwolniona już od brytyjskiego dyktatu, również decyduje się na zbrojną interwencję. Na ostatnim spotkaniu Ligi przed 14 maja - dniem, w którym Brytyjczycy składają mandat - uchwalono jednoczesne wkroczenie z południa, wschodu i północy. Larry Collins i Dominique Lapierre w swej doskonale udokumentowanej kronice pod tytułem "O Jerusalem" utrzymują, że to właśnie tak zwani "umiarkowani" - premierzy Egiptu, Jordanii i Libanu - najgłośniej wypowiadali się za wojną.

Przez opublikowanie uchwały o interwencji Legion Arabski Abdallaha znalazł się w dwuznacznym położeniu. Przybył do tego kraju na zaproszenie Anglików, teraz stał się siłą zbrojną państwa, znajdującego się w stanie wojny.

Po protestach władz żydowskich Brytyjczycy obiecali wycofanie Legionu na wschodni brzeg Jordanii przed ostatecznym terminem. Stało się jednak inaczej. Legion opuścił wprawdzie Jerozolimę, ale nie Palestynę. Dwadzieścia kilometrów na północ od Świętego Miasta rozlokowała się jedna brygada, inne zaś zapadły w gotowości bojowej nieco dalej na południu.

Kontakt z nimi utrzymywany był przez różnych emisariuszy - nigdy nie został zerwany. Teraz "Jewish Agency" zdecydowała się na apel, skierowany do najwyższego szczebla: kierownik wydziału politycznego, Golda Myerson (później Meir), została wysłana z tajnym poselstwem do letniej rezydencji Abdallaha.

Do dziś bliskowschodni eksperci i historycy - gdyż wydarzenie to jest już kategorią historyczną - snują przypuszczenia, czy wysłanie do Abdallaha kobiety było rozsądnym krokiem. Może żydowskie kierownictwo stawiało na rycerskość Beduina wobec dzielnej damy, która odważyła się wejść do jaskini lwa? Był to chyba jednak błąd. Abdallah odczuł tę wizytę jako swego rodzaju próbę upokorzenia. On, potomek Proroka, miałby rokować z kobietą?

W każdym razie spotkanie nie doprowadziło do żadnego zbliżenia. Król jedynie był gotów gwarantować bezpieczeństwo Żydom, gdyby zrezygnowali z założenia własnego państwa. Ale właśnie na tym najbardziej zależało żydowskiemu przywództwu.

Wojna była już nieunikniona - wybuchła o jeden dzień wcześniej, niż oczekiwano. Brytyjski rząd ogłosił bowiem pierwotnie, że jego mandat kończy się 14 maja o godzinie 24.00. Tymczasem w rzeczywistości ostatni wysoki komisarz, generał Cunningham, zwinął żagle już wczesnym przedpołudniem i wycofał się ze swymi wojskami z Jerozolimy do portu w Hajfie.

To sprowokowało żydowskie kierownictwo do proklamowania powstania żydowskiego państwa w tym samym dniu, ze schodów muzeum w Tel-Awiwie.

W tym i w następnych dniach najcięższe walki koncentrowały się w Jerozolimie. Przed czasem rozpoczął się wyścig o obsadzenie opuszczonych przez Brytyjczyków pozycji.

Tego dnia obie strony miały szansę na zdobycie Świętego Miasta. Początkowo przewagę mieli Żydzi. W szeroko zakrojonej operacji obsadzili arabskie przedmieścia na południu miasta. Inna jednostka dotarła bezpośrednio do starych murów obronnych, gdzie dopiero skonstatowała utratę kontaktu z resztą oddziałów. Świeżo upieczeni żołnierze nie podążyli bowiem za strażą przednią, lecz skoncentrowali się na grabieniu

brytyjskich budynków rządowych, zlokalizowanych bezpośrednio na zachód od Starego Miasta. Ze zdobyczą udali się po prostu do domów. Pozbawione posiłków straże przednie nie odważyły się tego dnia - w którym nie było prawie arabskiego oporu - na wejście przez bramy miejskie do serca Jerozolimy. Próbowali tej sztuki następnego dnia, lecz sprzyjający moment nie powtórzył się.

Również Arabowie mogli - 14 maja, lub najpóźniej następnego dnia - rozstrzygnąć bitwę o Jerozolimę na swoją korzyść. Jak już wspomniano, zmotoryzowane brygady Legionu Arabskiego stacjonowały na północ i na południe od miasta. Wystarczyłoby wykonać jedno uderzenie czołgami na słabo uzbrojonych Żydów.

Tak właśnie uczyniła brygada z północy. Przepędzili Żydów z kilku zdobytych przez nich przedmieść położonych na północy,jednak ofensywa załamała się, gdy kilka czołgów zostało podpalonych koktajlami Mołotowa.

Wojska z południa w ogóle tego dnia nie dotarły do Jerozolimy, atakując kilka pojedynczych żydowskich osiedli w okolicy Betlejem. Osadnicy przez trzy dni stawiali rozpaczliwy opór, a gdy w końcu zostali pokonani przez czołgi i brygada mogła pociągnąć dalej na Jerozolimę, tamtejszy front już się skonsolidował.

Legion Abdallaha, wzmocniony przybyłymi w międzyczasie wojskami egipskimi, skoncentrował się na obleganiu całkowicie izolowanej żydowskiej części stolicy. Cały miesiąc miasto było ostrzeliwane, co nie załamało jednak obrońców. Równie twardo walczono w pozostałych częściach kraju, dopóki ONZ nie przeforsowała trzydziestodniowego zawieszenia broni. Po krótkim rozejmie walczono dalej jeszcze przez tydzień, gdyż Arabowie nie chcieli zgodzić się na przedłużenie zawieszenia broni. Bezterminowy rozejm nastąpił dopiero, gdy Arabowie stracili ważne pozycje, a Żydzi wywalczyli przez to drogę dla zaopatrzenia Jerozolimy - słynną "Burma-Road".

Następnym krokiem były rokowania pokojowe na wyspie Rodos, zakończone układami między Izraelem a wszystkimi jego sąsiadami, stwarzającymi status quo, które przetrwało aż do wojny sześciodniowej w 1967 roku. Najważniejszym efektem rokowań - obok faktycznego uznania egzystencji Izraela - było przejęcie arabskiej części Palestyny (za wyjątkiem strefy Gazy) przez Jordańczyków.

Układy podpisane na Rodos jasno stwierdzały, że są tylko krokiem przedwstępnym do traktatu pokojowego. Tak widzieli to Izraelici, ale również i Abdallah. Zupełnie inaczej podchodzili do tego inni arabscy politycy - a zwłaszcza Palestyńczycy. Ci marzyli o następnej rundzie, stwarzającej błogosławiony przez Allacha porządek.

Po podpisaniu zawieszenia broni mniej więcej pół miliona Palestyńczyków (liczbę tę wielokrotnie potem zawyżano z przyczyn politycznych) straciło swe domostwa. Większość z nich wegetowało w obozach dla uchodźców, rozrzuconych po różnych arabskich państwach - jedynie Abdallah próbował ich zintegrować ze swoim narodem.

Jednak struktura jordańskich władz - stworzona dla ludności liczącej mniej więcej 500000 dusz, nie mogła sprostać nowym okolicznościom. Właściwi Jordańczycy poczuli się nagle zdominowani przez Palestyńczyków. I podczas gdy los palestyńskich uchodźców nie spędzał snu z powiek pozostałych arabskich przywódców, jedynie Abdallah zdawał sobie sprawę, że układy z Rodos nie są do utrzymania na dłuższą metę. Jego pierwszym krokiem było zintegrowanie terenów Jordanii Zachodniej. W którą stronę miał jednak rozwinąć swój stosunek do Izraelitów?

Po długich namysłach doszło do wspomnianej na wstępie rozmowy z premierem Rifaim. Ten, skonfrontowany z decyzją króla, miał jedną zasadniczą uwagę: "Odradzam Waszej Wysokości występowanie w pojedynkę. Wasza Wysokość potrzebuje sprzymierzeńców".

Tym problemem monarcha też się już zajmował: "Z kim mam się sprzymierzyć? Z tłustym Farukiem z Egiptu, czy ze zbrodniarzami z Damaszku, o których nie wiadomo, czy jutro jeszcze będą przy życiu? Nuri Said - silny człowiek Iraku - jest zbytnio oddalony, a z ibn Saudem nie

chcę mieć nic wspólnego. Pozostaje więc tylko..."

Samir Rifai prawidłowo odgadł myśl swego króla: "...Riadh es Solh z Bejrutu. Wprawdzie na ostatnim spotkaniu Ligi najgłośniej atakował Żydów, ale to przecież w sumie nic nie znaczy".

Abdallah przytaknął zadowolony: "Zadzwoń do Riadha... Albo lepiej wyślij kuriera do Bejrutu. Tak będzie bezpieczniej. Poproś go by odszukał mnie w Ammanie". Potem jeszcze król pochwalił swego polityka: "Sprytnie odgadłeś moją myśl. Również Riadh natychmiast będzie wiedział o co mi chodzi".

Już po kilku dniach przybyła odpowiedź z Libanu. Premier ucieszyłby się, mogąc przybyć do Ammanu. Jako termin zaproponował początek lipca. W ten sposób zwrotnice zostały nastawione.

Również kogoś innego odwiedził w tych dniach kurier, nie przybywający jednak z Bejrutu, lecz z Kairu. Lekarza dr. Musę Husajniego, mieszkającego w willi wschodniojerozolimskiego przedmieścia Szejch Jerrah - luksusowej dzielnicy arabskiej części Jerozolimy, położonej na zboczu góry Skopus.

Musa Husajni zaliczał się do wschodniojerozolimskiej elity. Był przewodniczącym miejscowego "Czerwonego Półksiężyca"- odpowiednika "Czerwonego Krzyża" i, co było znacznie ważniejsze, był naczelnikiem rodu Husajni w Świętym Mieście. Innymi słowy - był "namiestnikiem" nadal przebywającego na wygnaniu Hadż Amina.

Lekarz był żonaty z Niemką i odpowiednio do tego wyglądała jego orientacja polityczna - również po drugiej wojnie światowej. Porażka Trzeciej Rzeszy była dla niego mocnym ciosem - jednak jeszcze mocniejszym było niepowodzenie Arabów w ostatniej wojnie palestyńskiej. Jego cała nienawiść, uprzednio skoncentrowana na Brytyjczykach, skupiła się teraz na Żydach.

Rząd jordański zlecił swemu gubernatorowi w Jerozolimie wzięcie Musy Husajniego pod stałą obserwację, której po pewnym czasie poniechano, gdyż agenci mieli do zameldowania jedynie rzeczy najlepsze: doktor w każdej okoliczności zaznaczał swój podziw i wierność dynastii Haszymidów.

Była to znakomita poza. W rzeczywistości Musa Husajni po ucieczce wielkiego muftiego do Kairu utrzymywał z nim ciągły konspiracyjny kontakt. Po wojnie palestyńskiej kontakty te jeszcze się nasiliły. Z narastającym niepokojem obaj Husajni obserwowali pokojowe gesty, wykonywane przez Abdallaha w kierunku Izraela. W końcu mufti ze swego bezpiecznego kairskiego azylu wydał wyrok: "Abdallah musi umrzeć".

Z tą właśnie wiadomością kurier Hadż Amina trafił do Musy Husajniego.

Obaj spiskowcy zgadzali się co do tego, że zamach w Ammanie nie miał żadnej szansy powodzenia. Król był tam zbyt dobrze strzeżony przez swych Czerkiesów i Beduinów. Jednak, wcześniej czy później, Abdallah musi przybyć do Jerozolimy, by odwiedzić grób swego ojca, szarifa Husajna. Grób ten znajdował się - i znajduje się do dziś - w wielkiej dzielnicy świątyń zwanej Haram as-Sharif, szlachetnej świętości, zamykającej w swych murach dwa wielkie meczety - Skalną Katedrę i Meczet Aksa. W tym świętym miejscu - najświętszym po Mekce i Medynie - mieli uderzyć spiskowcy.

Termin następnej wizyty jordańskiego króla nie był jeszcze ustalony, lecz Musa przyrzekł niezwłocznie podjąć konieczne przygotowania. Pomiędzy Palestyńczykami było wystarczająco wielu fanatyków, gotowych ofiarować życie za wielkiego muftiego. Broni w Jerozolimie też było w nadmiarze - jeszcze z czasów wojny palestyńskiej, gdyż tubylcy chomikowali ją, ukrywając przy wkroczeniu Jordańczyków.

Powróćmy do Abdallaha. W międzyczasie oczekiwał on w Ammanie na przybycie libańskiego premiera. Ten wyjechał z Bejrutu 14 lipca i jeszcze tego samego dnia został przyjęty przez Abdallaha w pałacu Raghadan. Zamiary jordańskiego władcy były znane Libańczykowi dosyć dokładnie. Odpowiadały one znakomicie jego własnym intencjom - tak długo jednak, jak długo nie musiał przejmować inicjatywy. Obaj wkrótce się

dogadali. Abdallah ma nawiązać kontakt z Izraelitami, a Riadh, jak tylko traktat będzie już gotowy do podpisania lub gdy inni arabscy potentatowie się o nim dowiedzą, będzie popierał Abdallaha na forum Ligi Arabskiej.

Na 16 lipca zaplanowano powrót Riadha do Bejrutu. Gdy premier opuszczał swą jordańską rezydencję, podszedł do niego umundurowany człowiek i kilkoma strzałami, oddanymi z bezpośredniej bliskości, zastrzelił go. Sprawcę, zastrzelonego na miejscu przez jordańską eskortę, zidentyfikowano później jako podoficera Legionu Arabskiego - Palestyńczyka. Jego narodowość była wystarczającym powodem, by bliższe informacje dotyczące zamachu utrzymywać w tajemnicy.

W następny piątek Abdallah zamierzał odwiedzić osobiście Jerozolimę, jednak po zamachu na Riadha doradcy, między nimi również Samir Rifai, przypuścili na niego prawdziwy szturm, by odwołał swą podróż. Nawet amerykański poseł w Ammanie nie omieszkał - na dwa dni przed terminem wyjazdu - ostrzec króla. Ten jednak nie dał się zbić z tropu: "Dziękuję ekscelencji za ostrzeżenie, lecz pojadę, nawet jeśli raporty są prawdziwe. Umrę, jeśli przeznaczenie tego chce".

Zdecydowanie Abdallaha przeraziło jego świtę. Dostojnicy, jeden po drugim, znajdowali wymówki, by nie brać udziału w podróży swego króla. Następca tronu, Talal, przebywał w tym czasie na leczeniu w Szwajcarii. Do towarzystwa swego drugiego syna król - nie mający zbyt dobrego stosunku do swych synów - nie przykładał większej wagi. Jednak całkiem bez świty nie mógł pojechać. W Ammanie spędzał właśnie ferie jego ukochany wnuk - najstarszy syn Talala, Husajn, studiujący w angielskim Harrow - więc król zapytał go, czy chce mu towarzyszyć. A ten natychmiast się zgodził.

Następnego dnia dwór miał wstać skoro świt, gdyż przed wizytą w Jerozolimie zaplanowano jeszcze wypad do położonej 50 kilometrów na północ miejscowości Nablus. Gdy Husajn rankiem zameldował się u dziadka, ten zbeształ go za cywilny strój. Wnuk musiał szybko przebrać się w mundur -jedyny, jaki posiadał - oficera jordańskich sił powietrznych, rozbudowywanych właśnie przez Anglików. W ostatniej chwili młodzieniec zdążył wskoczyć do samochodu dziadka, oczekującego już przed bramą pałacu.

Wizyta w Nablusie przebiegła bez żadnych incydentów i na północnej granicy arabskiej części Jerozolimy orszak został powitany przez nowego brytyjskiego komendanta Legionu Arabskiego, Cooke-Paszę, oraz miejscowych notabli.

Pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się również Musa Husajni, kłaniający się królowi z demonstracyjną uniżonością. Abdallah, mający dobre rozeznanie co do politycznych sympatii klanu Husajnich, długo patrzył mu w oczy, ten jednak nie dał po sobie poznać nerwowości, którą musiał w tym momencie odczuwać.

Musa w ostatnim okresie działał bardzo aktywnie. Wyszukał odpowiedniego zamachowca - umysłowo upośledzonego pomocnika krawieckiego nazwiskiem Mustafa Szukri Aszu. Inni spiskowcy zaopatrzyli go w broń.

Po przywitaniu Husajni cofnął się, a król wraz z orszakiem pojechał dalej, w kierunku jerozolimskiej starówki, znajdującej się w owym czasie w całości w rękach jordańskich.

Do otoczonego murem miasta wjechali przez bramę Świętego Stefana jedyną bramę, którą w owym czasie można było sforsować samochodem. Zaraz za bramą Abdallah opuścił swój samochód, by resztę drogi oddzielającej go od północnej bramy Haram as-Sharif odbyć piechotą. Straż osobista utworzyła wokół króla gęsty szpaler, mimo że na ulicy właściwie nie było żadnych tubylczych przechodniów. Jedynie od czasu do czasu dosięgało króla nieśmiałe spojrzenie z okien. Nastrój, jak to potem wspominał Husajn, był przygnębiający jak na pogrzebie.

Przy bramie Haramu skończyła się cierpliwość króla względem nadgorliwych strażników. "Tu już was nie potrzebuję. Tu, w tym świętym miejscu jestem bezpieczny. Nie chcę widzieć wojska w Haram."

Kiedy król gotował się do przekroczenia mniej więcej dziesięciometrowego łuku bramy, onieśmieleni strażnicy cofnęli się. Gdy tylko wyszedł z cienia bramy, już do wnętrza Haramu, rzucił się nań młody mężczyzna, ukryty uprzednio w jednej z licznych nisz, wykutych w dawnych murach obronnych.

Król był zupełnie bezbronny - zamachowiec mógł bez przeszkód otworzyć ogień z najmniejszej odległości. Po kilku strzałach śmiertelnie trafiony Abdallah osunął się na ziemię.

Przez sekundę morderca wpatrywał się tępo w swoją ofiarę. Potem wykonał w tył zwrot i jął uciekać w kierunku meczetu, jakby szukając schronienia.

Spośród orszaku jako pierwszy opamiętał się młody Husajn, tak przynajmniej twierdzi w swych pamiętnikach, i pobiegł za sprawcą, podczas gdy cywilne towarzystwo z orszaku rozpierzchło się na wszystkie strony. Gdy morderca spostrzegł, że jest ścigany, odwrócił się i oddał jeden strzał w kierunku księcia. Strzał był celny - trafił Husajna w pierś, lecz pocisk odbił się od jednego z orderów paradnego munduru.

W międzyczasie również strażnicy ochrony osobistej wtargnęli do Haramu i jak opętani zaczęli strzelać do zamachowca. Podziurawiony jak sito człowiek opadł w końcu na ziemię.

Dopiero teraz zaopiekowano się Abdallahem. Jego osobisty lekarz polecił owinąć go w dywan i zawieźć do najbliższego szpitala. Były to jednak już tylko rutynowe czynności, gdyż królowi już nikt i nic nie był w stanie pomóc.

Również Husajn został przewieziony do szpitala, gdzie otrzymał zastrzyk uspokajający, mimo że nie czuł żadnego szoku. Tylko wielką pustkę. W końcu zawieziono księcia na małe wojskowe lotnisko Kalandia, położone mniej więcej dziesięć kilometrów na północ od Jerozolimy. Książę, zupełnie nie pilnowany, stał tam przez pewien czas na pasie startowym - w tym czasie na lotnisku nie było jeszcze żadnego budynku. W końcu podszedł do niego jasnowłosy oficer lotnictwa - oficerami byli wyłącznie Brytyjczycy - i jak ojciec rzekł: "Proszę ze mną. Zaopiekuję się wami". Był to porucznik John Dagleish, wypożyczony Jordańczykom przez Royal Air Force. Książę ledwo rozumiał jego angielszczyznę z uwagi na ciężki szkocki akcent.

Razem przeszli do małego samolotu, gdzie Dagleish usadowił swego podopiecznego na bocznym siedzeniu w kabinie pilota. Po kilku chwilach maszyna wystartowała w kierunku Ammanu. W pół godziny później są już w domu - wzburzeni dworacy odbierają księcia z lotniska i eskortują go do pałacu. Tam Husajn zażądał natychmiast pistoletu, który od tej pory nosił zawsze przy sobie.

W tym czasie w jerozolimskiej starówce rozpętało się piekło. Beduini Abdallaha szaleją niczym berserkerzy. Biegają po wąskich uliczkach Bazaru, strzelając gęsto dookoła siebie. Kto tylko im się pokaże, z miejsca jest trupem. Do dziś nie policzono, ilu ludzi wtedy zginęło bądź odniosło rany.

Zwłoki mordercy zostały zabrane spod meczetu. Tylko z trudem wyższym oficerom udało się udaremnić rozsiekanie zwłok na kawałki. Pewien policjant zidentyfikował je. Wprawdzie Mustafa Szukri Aszu nie był w stanie już nic zdradzić, jednak policjanci postanowili przesłuchać całą jego rodzinę mieszkającą w wiosce w pobliżu Świętego Miasta. Krewni, ostro wzięci w obroty, zarzekali się, że nic o planach Mustafy nie wiedzieli. Jedyne, co udało się ustalić, to nazwisko człowieka, który dostarczył sprawcy broń: niejaki Abdul Hamad Okke, mieszkający w Hebronie. Zostaje natychmiast aresztowany - nić wiedzie od niego do doktora Musy Husajniego. W ten sposób pomysłodawca zamachu staje się jasny - Amin al Husajni.

Proces przeciwko Okke, Musie Husajniemu wraz z dwoma dalszymi członkami rodu, jak również jeszcze dwu innym spiskowcom, odbył się w sierpniu 1951 roku. Oskarżonymi in absentia jest jeszcze jeden prominent: pułkownik Abdallah el Tell, były komendant Legionu Arabskiego

w Jerozolimie, który natychmiast po zamachu zbiegł do Kairu.

Rozprawa rozwijała się dość dziwnie. Każdy wiedział wprawdzie, że właściwym winnym był Hadż Amin lecz jego imię w ogóle nie padło przy tej okazji. Zbyt duży strach promieniował od tego nazwiska, którego właściciel, prócz Abdallaha, miał na sumieniu wielu innych polityków arabskich.

Musa Husajni i Okke zostali skazani na śmierć i straceni. Inni opędzili się krótszymi czy dłuższymi karami więzienia. Abdallah el Tell, skazany zaocznie na śmierć, został później amnestionowany. Jedyną konsekwencją, która spotkała Hadż Amina, była sugestia króla Faruka, by poszukał sobie innego miejsca na azyl. Wielki mufti przeniósł się do Bejrutu, gdzie został duchowym ojcem Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Po kilku latach zmarł.

Znamienne jest to, że nawet książę Husajn w swych pamiętnikach oskarża po prostu "Egipcjan" o zorganizowanie zamordowania jego dziadka. Również on nie odważy się nazwać muftiego po imieniu.

Podczas procesu polityczna sceneria Jordanii drastycznie zmieniła się. Śmierć Abdallaha postawiła jego londyńskich protektorów przed dylematem. Wprawdzie rząd brytyjski jest świadomy choroby psychicznej następcy tronu - stąd częste kuracje w Szwajcarii - nie odważa się jednak ingerować w sprawy dziedziczenia. Taki jaki jest, niespełna rozumu, Talal obejmuje rządy i natychmiast rozpoczyna niszczyć pokojowe dzieło swego ojca. A premier Abdallaha, Rifai, w trosce o własne bezpieczeństwo wypiera się, jakoby kiedykolwiek był doradcą starego króla w sprawach pokojowych.

Po dwóch latach stan Talala pogarsza się na tyle, że zmusza go do abdykacji na rzecz Husajna. Jednak szansa na pokój na Bliskim Wschodzie, którą Abdallah chciał wykorzystać, jest już dawno przegrana.

FAJSAL II KRÓL IRAKU (1935 - 1958) i NURI AS-SAID (1888 - 1958)

"No co jest z wami, panowie. Jedziemy dalej do Bagdadu, czy z powrotem do King David Hotel w Jerozolimie?"

Mały nieco korpulentny mężczyzna, który zadał to prowokujące pytanie swym dwóm towarzyszom - olbrzymim brytyjskim oficerom, których jasna cera pod wpływem pustynnego słońca przybrała już niebezpiecznie czerwony odcień, sam przypominał raczej stracha na wróble niż arabskiego męża stanu. Jego pomarszczona twarz, z której wystawał haczykowaty nos, pewnemu złośliwemu współczesnemu nasunęła skojarzenie z owcą. A dopiero jego strój - nosił rozpiętą koszulę khaki i angielskie szorty wojskowe, spod których wystawały rękawy i nogawki pasiastej piżamy. Podczas ostatniego postoju ich grupy - w transjordańskim mieście Mafrak - skradziono mu cały bagaż. A teraz na pustynnym szlaku wzdłuż rurociągu naftowego łączącego Mafrak z Kirkukiem ich jeep utknął w piasku.

Ale Nuri as-Said, człowiek, który w owym czasie już od dwudziestu lat sterował politycznymi losami miedzyrzecza Mezopotamii - zwanego od pierwszej wojny światowej oficjalnie Irakiem - nie był typem, którego drobne przeciwności losu mogłyby zatrzymać. A już najmniej fakt, że w tym czasie był wyklętym zbiegiem, za którego głowę jego własny rząd wyznaczył cenę. W tych majowych dniach 1941 roku Nuri był w trakcie przywracania - tak jak on to pojmował - bożego porządku w swoim kraju.

Jego aktualnym przeciwnikiem był inny iracki polityk - Raszid Ali al-Gailani, który podburzony obietnicami pomocy ze strony hitlerowskich Niemiec, stanął na czele wstecznego ruchu zowiącego się "Złoty Plac", przechwycił władzę w Bagdadzie, a co gorsza wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii - dotychczasowej opiekunce Iraku. Wszystko w nadziei, że niezwyciężeni niemieccy spadochroniarze, którzy wylądowali na Krecie, całkowicie oczyszczą kraj z Anglików.

Po wybuchu puczu Gilaniego, skierowanego między innymi przeciwko jego osobie, Nuri as-Said zbiegł do Kairu i natychmiast rozpoczął działania w celu umożliwienia swego powrotu. Przewroty nie były dla niego czymś

nowym, nauczył się żyć z tym niebezpieczeństwem niezależnie od tego, z której strony groziło.

Swoją karierę urodzony w 1888 roku Nuri rozpoczął jako turecki oficer, choć może adekwatniejszym określeniem byłoby - egzekutor podatków. Osiągnął takie sukcesy, że od razu dostał się na akademię wojskową do Konstantynopola.

Podczas wojny bałkańskiej przeszedł do historii - nie tylko tureckiej ale i światowej jako pierwszy pilot bojowy w całej historii wojen. Mimo odniesionych sukcesów osobistych wojna nie potrafiła przekonać Nuriego do sprawy sułtana, wręcz przeciwnie - przekonała go o militarnej słabości Porty Ottomańskiej. Po powrocie do Bagdadu od razu przyłączył się do tajnej organizacji noszącej górnolotną nazwę "Al Ahad" - Jedność. Przywódcą tej grupy był miejscowy major nazwiskiem Asis Ali. Wkrótce jednak aresztowano go, a Nuri został wysłany przez swych współtowarzyszy do Konstantynopola celem namówienia brytyjskiego ambasadora do wstawiennictwa za aresztowanym. Nuriemu udaje się to znakomicie i w ten sposób rozpoczyna się jego długoletni związek z Brytyjczykami - mający przetrwać aż do jego śmierci.

W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Nuri otrzymuje od Brytyjczyków polecenie - ma zniknąć z Bagdadu i - podobnie jak pułkownik T. E. Lawrence w Arabii - ma podburzyć koczownicze plemiona przeciw Turkom. Dotarł jednak jedynie do Basry, gdzie zapalenie płuc wyłączyło go z dalszej walki. Brytyjczycy, którzy wkrótce wzięli to portowe miasto, zatroszczyli się o jego zdrowie, lecz trzymając go jednocześnie pod kluczem. Głównie dlatego, że jego dowódcy dostawali rozkazy ze sztabu w Indiach i nie dowierzali agentowi, który utrzymywał, iż jest dyrygowany prosto z Londynu. Dopiero pod koniec 1915 roku nieporozumienie - czy też spór kompetencyjny wyjaśnił się i Nuri został wezwany do brytyjskiej kwatery głównej do Kairu. W międzyczasie pierwsze brytyjskie uderzenie na Irak - w okolicy Kutel Amarna - zakończyło się dla napastników ciężką porażką i Londyn odsuwa na razie pomysł podburzenia irackich nomadów. Miast tego ich czołowy iracki agent zostaje odesłany do Arabii celem wspomożenia pułkownika Lawrence'a. Egocentryczny pułkownik nie jest wcale wielbicielem tego typu doradców, jednak Nuri zaprzyjaźnia się blisko z nominalnym przywódcą arabskiego powstania - emirem Fajsalem - synem szarifa Husajniego z Mekki - inicjatorem powstania antytureckiego. W ten sposób powstał drugi czynnik mający, wywrzeć wpływ na jego dalsze losy - złączenie z domem Haszymidów.

Przez pewien czas dowodzi skąpą artylerią arabskich powstańców, jednak jako żołnierz zawodowy nie jest w stanie pogodzić się z ich partyzanckim stylem prowadzenia wojny, zwanym przez Anglików "hit and run". Co jednak nie wpływa ujemnie na jego przyjaźń z Fajsalem oraz zupełnie nieislamskie zamiłowanie do szkockiej whisky.

Po wyprzedzeniu przez Fajsala Brytyjczyków w wyścigu do Damaszku, jesienią 1918 roku, instaluje on Nuriego jako komendanta tej syryjskiej metropolii. Ten wykazał się znacznymi umiejętnościami, nie tylko przywrócił porządek i spokój w mieście, ale i zneutralizował próbę przejęcia władzy przez syryjskich potentatów, niezbyt zachwyconych haszymidzkim "wyzwolicielem".

Wdzięczny emir mianował go natychmiast generałem, a Brytyjczycy nagrodzili jego usługi nadając mu dwa ordery.

Bywały w świecie oficer towarzyszy swemu władcy na konferencji pokojowej w Wersalu, oraz na rokowaniach w San Remo, gdzie roztrząsa się sprawy bliskowschodnie. Nie potrafi jednak przy pomocy swych wojskowych czy politycznych umiejętności zapobiec wypędzeniu Fajsala z Syrii przez Francuzów. Tymczasem emir udaje się na emigrację.

Jednocześnie w Iraku wybuchło powstanie skierowane przeciw obcym. Brytyjczycy nie chcąc nowej wojny na Bliskim Wschodzie, postanawiają przyznać tron iracki Fajsalowi, w stosunku do którego i tak gnębią ich wyrzuty sumienia w kwestii wynagrodzenia jego wojennych zasług. Nic nie

szkodzi, że pierwotnie iracki tron był przeznaczony dla jego brata - Abdallaha. Fajsal jest tym ważniejszym Haszymidą. Zwołana pośpiesznie w Kairze konferencja irackich notabli oferuje tron Fajsalowi - który łaskawie się zgadza. Poszkodowany Abdallah zostaje udobruchany tytułem emira Transjordanii - wydzielonej z mandatowego terytorium Palestyny.

Podczas kairskiej konferencji Nuri rzucił na szalę cały swój wpływ na Brytyjczyków, by dopomóc swemu protektorowi. Teraz świeżo upieczony król rewanżuje mu się mianując go szefem sztabu nowo powstałej armii irackiej.

Zasługi Nuriego przy jednoczeniu plemion irackich - w końcu Międzyrzecze od XVI wieku nie stanowiło jednolitego państwa - padły ofiarą niepamięci ze strony jego rewolucyjnych następców, podobnie jak jego zasługi w budowaniu relatywnie nowoczesnej struktury państwowej przy pomocy zysków z pól naftowych Kirkuk i Khaankin.

To, że pola naftowe eksploatowane są przez brytyjskie towarzystwa, jest w owych czasach rzeczą normalną. Jednak to, że Irakijczycy jak na owe stosunki otrzymują znaczne udziały w zyskach, zawdzięczają jedynie obrotności Fajsala i Nuriego. Odwrotną stroną medalu jest natomiast pominięcie Kurdów - prawowitych właścicieli pól naftowych - w podziale zysku. Ich racje zostają poświęcone na rzecz racji stanu. Skutki tego odczuwane są do dziś.

Już wtedy Nuri jest w Iraku "silnym człowiekiem", gdyż Fajsal - nieodrodny syn pustyni - nie potrafi bądź nie chce zająć się żmudnymi codziennymi rządami. Generał rezygnuje jednak z oficjalnego odgrywania swej roli. Do 1925 roku zadowala się rolą szefa sztabu, a później ministra obrony.

Najdrażliwszym dla nowych władców problemem jest ich stosunek do protekcji Wielkiej Brytanii. Już w 1922 roku mandat otrzymany przez Londyn z Ligi Narodów zastąpiony zostaje przymierzem, przynajmniej pro-forma akceptującym zasadę niezawisłości Iraku.

W następnych latach Fajsal i Nuri niezmordowanie starają się o rozszerzenie swobody działania wobec Londynu. Mimo że zawsze działają na gruncie przyjacielsko-towarzyskim, ich wysiłki wieńczą coraz większe sukcesy. W końcu "silny człowiek" w 1930 roku we własnej osobie obejmuje stanowisko premiera. Przedtem jednak, jeszcze jako minister obrony, wynegocjował z Brytyjczykami ostateczny tekst przymierza umożliwiającego Irakowi, jako pierwszemu arabskiemu państwu, wstąpienie do Ligi Narodów. Wprawdzie Anglicy zatrzymują sobie prawo do korzystania z baz lotniczych w Mezopotamii - przede wszystkim lotniska w Habbanya - jednak od tej pory stosunki między obu państwami układają się na zasadzie całkowitego równouprawnienia.

Pierwsze owoce niepodległości są jednak krwawe. Iraccy Arabowie wyładowują swą narosłą przez cały czas "okupacji" frustrację na "asyryjskiej" to jest nestoriańsko-chrześcijańskiej mniejszości, która zbyt długo stawiała na angielską kartę. Prawdziwy wymiar "asyryjskiej masakry" do dziś jest nie do ustalenia.

Po upadku brytyjskiej dominacji również arabscy nacjonaliści wychodzą na światło dzienne i zaczynają kwestionować do tej pory nienaruszalną pozycję Nuriego. Na czele stoi już wspomniany adwokat Raszid Ali al-Gailani, człowiek który w poprzednich gabinetach rządowych wypełniał pomniejsze funkcje. Teraz założył radykalną partię "Narodowe Bractwo" z zadaniem wymazania wszelkiego śladu brytyjskich wpływów.

Król Fasjal, już wtedy ciężko chory, stara się uzyskać kompromis. Przekonuje Nuriego, by ten w imię narodowej jedności złożył swą funkcję i mianuje Raszida jego następcą. Dla równowagi eks-premier objąć ma tekę ministra spraw zagranicznych.

W 1933 roku król Fasjal umiera na zawał serca, a jego syn Ghazi jest zbyt słabą osobowością, by utrzymać w ręku cugle. Sytuacja zaostrza się z roku na rok. W końcu w październiku 1936 roku ambitny generał Badr Sidki przy pomocy kilku dwuznacznej opinii polityków zagarnia władzę. Nuri ucieka do Kairu pod opiekuńcze skrzydła Brytyjczyków.

Nie można dziś z całą pewnością stwierdzić, czy to Nuri as-Said przekonał Brytyjczyków do wkroczenia do Iraku, czy też sami doszli do wniosku, że coś należy w tej sprawie uczynić. Prawdopodobnie jednak decydującym czynnikiem było ogólne położenie we wschodnim basenie Morza Śródziemnego. Zdobycie Abisynii przez Włochów sprowadziło Wielką Brytanię w oczach Arabów do roli papierowego tygrysa. Egipscy nacjonaliści wymuszają na Anglikach traktat przypominający bardzo traktat angielsko-iracki. W sąsiedniej Palestynie, nie bez pomocy włoskiego judzenia, wybucha arabskie powstanie. Po raz pierwszy irackie pola naftowe - obok Kanału Sueskiego najważniejsza strategicznie posiadłość Brytyjczyków na Bliskim Wschodzie - wydają się zagrożone.

Bezpośrednią wojskową interwencję Londyn na razie uważa za zbędną. Pozwala raczej zagrać swoim bagdadzkim, nadal znacznym wpływom i rozdziela na właściwych miejscach olbrzymie łapówki. Rachunek wyrównuje się w ciągu jednego roku. Badr Sidki zostaje zamordowany, a po kilku miesiącach Nuri as-Said może powrócić do Bagdadu jako zwycięzca. W dniu Bożego Narodzenia 1938 roku król Ghazi ponownie mianuje go premierem.

"Silny człowiek" nie powrócił nawet o dzień za wcześnie. W kwietniu 1939 roku król Ghazi ginie w wypadku samochodowym. Antybrytyjskie siły wywołują zbrojne wystąpienia w całym kraju. Brytyjski konsul w Mosulu zostaje zamordowany. Mimo to Nuriemu udaje się odzyskać kontrolę nad sytuacją. Trzyletni synek Ghaziego - Fasjal II - zostaje obwołany królem, zaś kuzyn zmarłego tragicznie monarchy - emir Abdal Illah - regentem.

Właśnie w tym czasie Wielka Brytania potrzebuje bagdadzkiego sprzymierzeńca bardziej niż kiedykolwiek. 3 września 1939 roku wybucha druga wojna światowa. Wprawdzie rząd bagdadzki nie odważa się przystąpić do wojny po stronie aliantów, jednak zrywa stosunki z Trzecią Rzeszą.

Ale i przeciwnicy Nuriego mają teraz potężnych sprzymierzeńców. Do ich kieszeni poprzez Turcję i Iran płyną niemieckie pieniądze. W samym Bagdadzie judzi arcywróg Wielkiej Brytanii - były wielki mufti Jerozolimy - Hadż Amin al-Husajni, który musiał zbiec ze swego miasta po rozpętaniu tam w 1937 roku antybrytyjskiego powstania. Z przyczyn oportunistycznych i właściwie przeciw swemu zdrowemu rozsądkowi Nuri zgotował uciekinierowi triumfalne przyjęcie.

A to się teraz mści. Mufti sprzymierza się ze starym wrogiem Nuriego - Raszidem Alim. "Narodowe Bractwo" zostało wprawdzie przez rząd rozwiązane, lecz w jego miejsce powstało tajne sprzysiężenie "Złoty Plac", na którego czele prócz Raszida stoi czterech mocarnych generałów dowodzących dwoma dywizjami piechoty, jedną dywizją pancerną oraz całością lotniczych sił zbrojnych.

Wojskowe sukcesy Trzeciej Rzeszy w Europie Południowo-Wschodniej dostarczają sprzyjających warunków do powstania w Iraku. W końcu po zdobyciu Krety niemieckie wojska stacjonują niemal w zasięgu ręki. Najpierw czterej potężni generałowie zmuszają chwiejnego regenta do nominacji Raszida Alego na stanowisko premiera. Ponownie pozory wobec Londynu zachować ma mianowanie Nuriego ministrem spraw zagranicznych.

Tymczasem eks-premier szturmuje Anglików, by ci odzyskali sympatię Arabów przez całkowite zerwanie z Żydami z Palestyny. Dzięki temu, argumentuje, Irak mógłby wypowiedzieć wojnę Hitlerowi.

Może gdyby Neville Chamberlain rezydował jeszcze na Downing Street Nr 10, propozycja Nuriego zostałaby zaakceptowana. Jakby nie było, Londyn wyszedł już mocno naprzeciw Arabom przez ustalenie jesienią 1939 roku tak zwanej "Białej Księgi", drastycznie ograniczającej żydowską imigrację i wykupywanie ziemi. Jednak w Londynie nie rządzi już Chamberlain lecz Winston Churchill. A on nie jest skłonny, przy całej sympatii dla Nuriego, wyciągać mu kasztany z ognia.

Nuri prawdopodobnie nie liczył się wcale z przyjęciem swego projektu przez Anglików. W kwietniu 1941 roku ustępuje ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, przekonując jednak jednocześnie regenta, by ten zdjął ze stanowiska premiera Raszida Alego - dla równowagi.

Jednak fala ekstremizmu nie daje się już zatrzymać. Reakcją na dymisjonowanie Raszida Alego było wymaszerowanie rebelianckich wojsk z koszar. Abdall Illah został zmuszony do anulowania dymisji Raszida. Jednocześnie rebelianci przecinają brytyjskie linie łączności i zaopatrzenia między Indiami a Bliskim Wschodem oraz oblegają lotnisko Habbanya.

2 maja oblężony garnizon brytyjskiej placówki podejmuje próbę przedarcia się przez oblegających, na co Raszid Ali w przypływie manii wielkości wypowiada Wielkiej Brytanii wojnę. W olbrzymim zamieszaniu Nuriemu i Abdul Illahowi udaje się zbiec do Transjordanii. Swą wściekłość rebelianci wyładowują na niewinnych Żydach z Bagdadu i innych irackich miast. Podjudzone przez eks-muftiego Hadż Amina tłumy palą żydowskie getta i zabijają setki niewinnych ludzi.

Władza spoczywa wyłącznie w rękach Raszida Alego i Hadż Amina. Tylko jednego im brakuje: nie przybyli spodziewani niemieccy spadochroniarze. Hitler wycofał się ze swych planów dotyczących wschodniego basenu Morza Śródziemnego, koncentrując się już na inwazji Związku Radzieckiego.

To daje Brytyjczykom szansę na kontruderzenie. Brakuje im jednak wojsk. Z dużym trudem udało się im obalić wierny reżymowi z Vichy francuski rząd w Syrii, z radością przyjmują więc propozycję emira Transjordanii Abdallaha. Proponuje on wypożyczenie - dowodzonego przez Brytyjczyków - Legionu Arabskiego w celu odbicia Iraku i restaurowania tam władzy Haszymidów. I tak najniebezpieczniejszą misję przejmują żydowscy sabotażyści z Palestyny, którzy zostają wysłani za linię frontu z zadaniem sparaliżowania łączności i zaopatrzenia wojsk Raszida Alego. Epizodowi temu nie brakuje odrobiny pikanterii: komendantem żydowskich komandosów jest nie kto inny jak David Raziel - przywódca antybrytyjskiego ruchu oporu Irgun Zvai Leumi, który w związku z wojną światową zawarł chwilowy pokój z Anglikami. W czasie jednej z akcji zostaje zastrzelony i przymierze jego ludzi z Brytyjczykami nie trwa długo - jest to jednak zupełnie inna historia.

W dniu 12 maja brytyjsko-haszymidzki korpus ekspedycyjny rozpoczyna marsz na Bagdad wzdłuż rurociągu Kirkuk-Hajfa. Z osobistym orszakiem Nuri as-Saida następującym im na pięty. Jednocześnie okrążone w Habbanyi lotnictwo brytyjskie wchodzi do akcji i sympatyzujący z Niemcami reżym rozsypuje się jak domek z kart. Raszid Ali i mufti uciekają do Persji, gdzie stary szach Reza udziela im chwilowego schronienia. Po czterech tygodniach cały Irak pewnie trzymany jest przez Anglików. Nuri as-Said ponownie świętuje swój powrót. Jest teraz nieograniczonym władcą Iraku. Może sobie pozwolić na oddanie stanowiska premiera politykowi wybranemu przez siebie i zza zasłony pociągać jedynie za sznurki. Już knuje dalekosiężne plany. Słusznie przypuszcza, że po wojnie Brytyjczycy wyprą Francuzów z Bliskiego Wschodu. Wspólnie z Londynem pragnie stworzyć nową bliskowschodnią konstelację.

Rząd brytyjski ma podobne zamiary. W 1944 roku z inicjatywy brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony Edena w Kairze założona zostaje Liga Arabska. Irak jest przy tym od początku, jednak ostatecznie brytyjskie plany rozczarowują Nuri as-Saida. W ich koncepcji bowiem przewodnia rola przewidziana jest nie dla Iraku lecz dla Egiptu. Siedzibą Ligi Arabskiej zostaje wybrany Kair, a sekretarzem generalnym Egipcjanin - Azzam Pasza.

Ponadto Nuriego gnębią problemy wewnątrzpolityczne. W styczniu 1948 roku wysyła swojego premiera - Salaha Jabr do Londynu celem wynegocjowania nowego traktatu z Wielką Brytanią. Gdy ten jednak podpisuje w Londynie dokument gwarantujący Anglikom pewne wpływy, w Iraku wybuchają groźne zamieszki. Ponad dwieście ludzi ginie, materialne straty są ogromne, a nowy traktat nigdy nie wchodzi w życie.

Wkrótce po tych wydarzeniach wybucha wojna palestyńska. Czy z osobistego przekonania, czy z oportunizmu, Nuri postanawia krakać jak wrony. Jeszcze przed upływem terminu brytyjskiego mandatu - 14 maja 1948 roku - wysyła ochotników do arabskich części kraju. Gdy w drugiej

połowie maja następuje "oficjalny" wybuch wojny, Irak udziela się w niej siłą jednej brygady. Jednak nawet udział Irakijczyków nie może zapobiec porażce Arabów. Gdy walki się kończą, rząd bagdadzki teatralnie wzbrania się przed podpisaniem zawieszenia broni z państwem Izrael - tak jak to uczyniły arabskie państwa "frontowe".

Iraccy wojownicy w ciszy powracają do domu. Przy czym Bagdad jeszcze stosunkowo nieźle na tym wszystkim wyszedł. Ponieważ nie graniczy z Palestyną, nie utracił nawet skrawka terytorium, poza tym krajowi oszczędzony został zalew arabskimi uchodźcami.

Ucierpiał jedynie prestiż Nuriego as-Saida. Plamę na honorze postanawia wywabić gwałtownym wzrostem gospodarczym kraju. Rzeczywiście, w tych latach, o których teraz w Bagdadzie nikt nie chce pamiętać, osiągnięto najbardziej znaczący postęp. Dzięki budowie tamy Samarra stolicy nie nękają już coroczne wylewy Tygrysu, spiętrzoną wodę zaś można wykorzystywać do realizacji projektów nawadniania pustyń.

Jednak upodobaniem Nuriego nadal pozostaje polityka zagraniczna. Razem z seniorem rodu Haszymidów, awansowanym z emira na króla Jordanii, Abdallahem, pracują nad koncepcją "Federacji Żyznego Półksiężyca", mającej rozciągać się od Morza Czerwonego, poprzez Jordanię, Syrię i Irak, aż do Zatoki Perskiej. Naturalnie brakowałoby w tej federacji jądra - Izraela, jednak Nuri jak i Abdallah pogodzili się już z egzystencją żydowskiego państwa. Na pytanie dziennikarza, czy wyobraziłby sobie dyplomatyczne uznanie Izraela, Nuri odpowiada lakonicznie: "Czemu nie?"

Wkrótce po tym Abdallah zostaje zamordowany, lecz jego partner nie wierzy jeszcze we własne zagrożenie. Niezmordowanie nadal stawia na brytyjską kartę - zachęcony dosyć antyizraelsko nastawioną polityką Londynu z późnych lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych. W lutym 1952 roku uważa, że jest bliski osiągnięcia wyznaczonego celu. Podpisuje traktat z Turcją, który na krótko wejdzie do światowej historii jako "Pakt Bagdadzki". Po kilku miesiącach przyłączają się Iran i Pakistan oraz Wielka Brytania - jedyny europejski partner sojuszu. Nuri ma powód do olbrzymiej radości. Egipt może ze "swoją" Ligą Arabską robić, co mu się żywnie podoba, Irak jest teraz ośrodkiem o wiele ważniejszej organizacji.

Podczas gdy zachodnie środki masowego przekazu wiwatują, na cześć powstania Paktu Bagdadzkiego jako zupełnie nowego czynnika polityki bliskowschodniej, mogącego wprowadzić pozytywne zmiany, nowy władca Egiptu, Gamal Abd el-Naser, nie posiada się z wściekłości. Pakt burzył bowiem jego koncepcję arabskiego mocarstwa sięgającego od Atlantyku aż do Oceanu Indyjskiego, którą zamierzał realizować przy pomocy Ligi Arabskiej.

Naser reaguje impulsywnie - pierwszym jego krokiem jest upaństwowienie Kanału Sueskiego. Jest to igranie z ogniem. Wspólna akcja Anglików, Francuzów i Izraelitów, którzy obsadzają pół strefy Kanału i Półwysep Synajski, o mało nie doprowadziła do jego upadku. Jedynie niezdecydowana postawa Stanów Zjednoczonych umożliwiła mu zamianę militarnej porażki na polityczne zwycięstwo. Wszyscy przyjaciele Zachodu w świecie arabskim zostają zepchnięci do defensywy, najbardziej Nuri as-Said.

Następnym krokiem Nasera jest utworzenie w 1958 roku Zjednoczonej Republiki Arabskiej, składającej się z Egiptu i Syrii - w sumie jest to jednoznaczne z przyłączeniem Syrii do Egiptu.

Oba królestwa haszymidzkie - Jordania rządzona przez młodego Husajna oraz Irak, którego król, Fajsal II, dopiero co osiągnął pełnoletność, zostały w ten sposób państwami frontowymi, ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu zagrożeniami. Jeszcze raz Nuri as-Said wyczarowuje patentowe rozwiązanie ze swego kapelusza - jako przeciwwagę dla Zjednoczonej Republiki Arabskiej tworzy z obu państw haszymidzkich Unię Arabską. A obaj monarchowie ustanawiają się nawzajem swymi spadkobiercami i dziedzicami tronów.

Przyjazne przyjęcie powstania "kontrfederacji" przez zachodnie media

nie może jednak przesłonić podstawowych słabości nowego tworu państwowego. A zachodni "opiekunowie" popełniają w dodatku następny wiele ważący błąd: uważają, że nie Irak, lecz Jordania jest najsilniej zagrożona spiskami ze strony Nasera. W końcu w Ammanie było już wiele prób obalenia Husajna. Pod naciskiem "ulicy" król był nawet zmuszony do zdymisjonowania brytyjskiego komendanta swego Legionu Arabskiego, Johna Bagota Glubba Paszy. W przeciwieństwie do tego pozycja Nuriego as-Saida w Iraku wydawała się zachodnim mocarstwom niewzruszona.

Król Fajsal spokojnie może przez trzy dni świętować z okazji swych zaręczyn z Turczynką z najlepszej rodziny. Nikt nie widzi zbierających się chmur gradowych. To znaczy: Nuri jako doświadczony polityk doskonale zdaje sobie sprawę, że niebezpieczne siły, z poparciem lub bez poparcia Nasera, knują jego obalenie. Wierzy jednak, że są to pojedynczy, niezadowoleni wojskowi czy politycy, nie stanowiący jednak jednorodnego ruchu, podobnego do tego, który w Egipcie obalił króla Faruka.

Prawie codziennie - jak donosi jego najbliższy przyjaciel, Anglik, były minister, Anthony Nutting - Nuri otrzymuje ostrzeżenie przeciw temu czy owemu zdradzieckiemu oficerowi. Nie zezwala jednak na zdjęcie ewentualnych spiskowców z ich stanowisk. Z jednej strony dlatego, że w większości chodzi o nieudowodnione oskarżenia czy plotki, z drugiej uważa, że podejrzanych ludzi można mieć lepiej na oku, gdy zajmują stanowiska państwowe. A w końcu próbuje wygrywać jedne kliki oficerskie przeciw innym.

"Mocny człowiek" godzi się tylko z jednym środkiem zabezpieczającym: Bagdad nigdy nie może być kontrolowany przez jedną tylko jednostkę wojskową. Zawsze musi to być kombinacja możliwie odległych rodzajów sił zbrojnych. I jeżeli to możliwe - pod komendą różnych oficerów, nie znoszących się nawzajem.

System wydaje się sprawdzać - ściślej mówiąc sprawdza się aż do 14 lipca 1958 roku. Z jakiegoś, do dziś nie znanego powodu, tego dnia nie zostają wprowadzone zwykłe środki bezpieczeństwa. W Bagdadzie znajduje się tylko jedna brygada pod komendą wyjątkowo nie lubianego wśród kolegów oficera nazwiskiem Abd al-Karim Kasem. Być może Nuri stwierdził, że od tego zatwardziałego zupaka nie musi się niczego obawiać.

Okazało się to śmiertelnym błędem. Czy Kasem od początku myślał o dokonaniu puczu, czy też nie - nie przegapił jednorazowej szansy. Po nastaniu ciemności jego czołgi w pierwszej kolejności obsadzają miejscową radiostację i kompletnie zastraszony spiker radiowy musi odczytać informację obwieszczającą zwycięstwo rewolucji - zanim ta jeszcze się rozpoczęła. Potem inne czołgi pojawiają się przed królewskim pałacem. Strażnicy bramy pałacowej zbiegli bądź cofnęli się do wnętrza pałacu. Zamknęli wprawdzie bramę, lecz nie stanowi to poważnej przeszkody dla czołgów - jedna salwa armatnia załatwia sprawę. Na wszelki wypadek rebelianci oddają jeszcze kilka strzałów z czołgowych armat w fasadę pałacu, po czym wjeżdżają do środka. Królewska straż przyboczna, wyposażona wyłącznie w lekką broń, stawia jedynie symboliczny opór. Młody król wraz z regentem nie zdążyli uciec - zostają wytropieni i na miejscu zastrzeleni.

Tylko jeden generał próbuje się bronić - szef sztabu generalnego, Daghestani. W dodatku nie jest on prawdziwym Irakijczykiem - pochodzi bowiem z Kaukazu. Jego pradziadek, legendarny Szamyl, dziesiątki lat spędził w ojczystych górach, walcząc z rosyjskimi okupantami. Po kapitulacji został z całą rodziną zesłany do Bagdadu - zmarł w 1871 roku podczas pielgrzymki do Mekki. Rannego prawnuka rebelianci wrzucają do lochu.

Mimo planowego przebiegu operacji Kasem jeszcze nie jest pewny zwycięstwa. Brakuje mu do kompletu najniebezpieczniejszego wroga - Nuriego as-Saida. Buntownicy wprawdzie szturmem zdobyli jego willę, lecz na miejscu zastali jedynie jego zastraszoną żonę. A jego samego jakby ziemia pochłonęła.

Ludzie Kasema podejrzewają, że mógł się schronić w ambasadzie

brytyjskiej - wbrew wszelkim konwencjom podkładają pod nią ogień. Budynek doszczętnie się wypala, wśród ludzi z niego wywleczonych nie ma jednak Nuriego.

Rebelianci poczynają się denerwować. Przez radio wzywają społeczeństwo do poszukiwania "wroga państwa i ludu". Zostaje w końcu rozpoznany na ulicy i z miejsca zlinczowany przez tłuszczę. Jego pohańbione zwłoki zostają powieszone na słupie latarni.

Później powstańcy twierdzą, że Nuri usiłował zbiec przebrany za kobietę. Jest to dosyć typowe prawidło, przy pomocy którego islamscy włodarze próbują kompromitować swych wrogów. Jeszcze stosunkowo niedawno teherański reżym Chomeiniego oświadczył, że obalonemu prezydentowi Abolhassanowi Bani Sadr udało się zbiec w kobiecych strojach. Inna rzecz, że długie czarne suknie mahometańskich kobiet wraz z kwefami znakomicie nadają się na przebrania.

Zresztą nie jest to istotny problem. Wraz z zamordowaniem Nuriego as-Saida Kasem ostatecznie wygrał tę bitwę. Jednym ciosem ostatni bastion brytyjskich wpływów na Bliskim Wschodzie został zniszczony. W krótkim czasie również Pakt Bagdadzki - bez Bagdadu - ulega rozpadowi.

W ogólnym przygotowywaniu tego przewrotu niewątpliwie maczał palce egipski przywódca - Gamal Abd el-Naser. Wieść o zwycięstwie rewolucji w Bagdadzie jako pierwsze rozpowszechnia w świecie Radio Kair. Jednak w końcowym rozliczeniu egipski "rais" zostaje wyłączony z podziału owoców swego sukcesu. "Mózgiem" opozycji irackiej był pułkownik Abd as-Salam Mohammed Aref i on właśnie według wyobrażeń Nasera po przewrocie miał objąć władzę i sprowadzić Irak na łono Zjednoczonej Republiki Arabskiej.

Tymczasem Kasem nawet we śnie nie zamierzał dzielić się z kimś zdobytą władzą. Już w kilka tygodni po rewolucji jego współtowarzysz walki, Aref, zostaje całkowicie odsunięty. Gdy w następnym roku w Mossulu wybucha rewolta skierowana przeciw reżymowi Kasema, ogłasza on Nasera arcywrogiem państwa, niesłusznie podejrzewając go o inspirowanie zamieszek.

Rewolucyjny rząd w Bagdadzie w ciągu krótkiego czasu zmienia się w terrorystyczny reżym, jakiego Irak od stuleci nie przeżywał. Kasem otacza się bezprzykładnym kultem jednostki, do czasu gdy w 1963 roku, z okazji kolejnego przewrotu, zostaje brutalnie zamordowany. Jego zwłoki zostają w telewizji wystawione na pokaz.

Przewroty w Iraku pozostają na porządku dziennym. Po śmierci Kasema do władzy na krótko dochodzi Aref. Po kilku miesiącach ginie w tajemniczej katastrofie lotniczej. Po nim następuje cały szereg mocnych mężczyzn, z których ostatni, Saddam Husajn, wtrącił kraj w wyniszczającą wojnę przeciw Iranowi, a po niej bezskutecznie próbował zaanektować bogaty Kuwejt - inny wytwór zakończenia angielskiej dominacji na Bliskim Wschodzie.

Marzenie Nuriego as-Saida o utworzeniu "Żyznego Półksiężyca" nadal pozostaje wizją z Tysiąca i Jednej Nocy.

ANWAR ES-SADAT (1918 - 1981)

Czerwono-biało-czarne flagi powiewające wieczorem, 19 listopada 1977 roku, na rześkim jesiennym wietrze nad budynkiem przylotów telawiwskiego lotniska imienia Davida Ben-Guriona były nowiutkie. Świeżo wydrukowane były też partytury egipskiego hymnu narodowego, której kartki miała przed sobą rozłożone izraelska orkiestra kompanii honorowej.

Na próby nie starczyło już czasu, zresztą fałszowanie nie będzie przeszkadzało. Obecni izraelscy politycy i tak nigdy jeszcze nie słyszeli egipskiego hymnu, a przybywający goście też nie będą oczekiwali perfekcji.

Tego listopadowego wieczora zaczęło się już robić nieco chłodno, jednak komitetowi powitalnemu, stojącemu na skraju pasa startowego, pot nadal występował na czoła. Czy on rzeczywiście przybędzie? On, to jest Anwar es -Sadat, prezydent Egiptu i do niedawna jeszcze arcywróg

Izraela.

Jak gwiazda pragnąca zwiększyć dramatyzm swego wystąpienia, Sadat kazał na siebie czekać. W końcu prezydencka maszyna, śnieżnobiała z czerwonymi pasami, ukazała się na niebie, podchodząc od razu do perfekcyjnie wykonanego lądowania. Napięcie oczekujących nie zelżało. Czy Sadat jest rzeczywiście w samolocie? Podstawiono schody i przednie drzwi otworzyły się. W nich ukazała się doskonale znana sylwetka. "On" przybył rzeczywiście, schodził pomału po schodach i obejmował swych gospodarzy z serdecznością, której w tej chwili nikt z obecnych nie uważał za sztuczną. Mimo że "raisa" wszędzie już wyprzedzała sława doskonałego aktora.

Marzenie stało się rzeczywistością. Po raz pierwszy egipski mąż stanu w przyjaznych zamiarach postawił stopę na izraelskiej ziemi.

W późniejszym czasie "ojcostwo" misji Sadata uzurpowało sobie wielu polityków. Prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jimmy Cartera i conducatora Rumunii, Nicolae Ceausescu, określano jako pośredników, podobnie jak szacha Iranu i króla Maroka, Hasana. Nigdy nie wyjaśniono, jak znaczącym był naprawdę ich udział.

Następne dni upływają jak we śnie. Sadat oczarowuje swych gospodarzy - zwykle mrukliwego premiera Menachema Begina, starą i zmęczoną Goldę Meir. Z dwoma izraelskimi politykami nawiązał nawet coś w rodzaju przyjacielskich stosunków: z dwoma wojskowymi w gabinecie, ministrem spraw zagranicznych, Mosze Dajanem oraz z ministrem obrony; Ezrą Weizmannem. Przed Knesetem - żydowskim parlamentem - Sadat wygłasza nadzwyczaj twarde przemówienie, na które przedstawiciele ludu reagują owacją.

Posłanie egipskiego prezydenta jest proste, prawie zbyt proste: "Zawrzyjmy pokój!", "Nigdy więcej wojny!". Sadat nie zajmuje się detalami. To zemści się później.

W międzyczasie zachodni świat jak oczarowany śledzi spektakl na ekranach telewizorów. Inni też się przyglądają, też jak zaklęciem przykuci do telewizorów, lecz zgrzytając zębami: rywale Sadata w świecie arabskim. Dla nich to, co uczynił, jest zdradą. Nawet jeśli sami igrali z podobnymi myślami.

W pozyskiwaniu żydowskich rozmówców - jak również zachodnich polityków - Sadat, prócz zdolności męża stanu, stosował również swój chłopski spryt, który z syna ubogiego fellacha z małej wioski Abu Kom uczynił nowożytnego faraona. Jego matka była Nubijką, dlatego egipska elita, której nigdy nie udało mu się do końca pozyskać, z uwagi na ciemny kolor jego karnacji za plecami przezywała go "el Assuad" - czarnuch.

To, że Sadat mimo niskiego pochodzenia w ogóle mógł rozpocząć karierę wojskową, zawdzięcza - jak twierdzi jego biograf, Helmut Schulze - wyłącznie temu krajowi, z którym w młodości w ogóle nie mógł się zaprzyjaźnić - Wielkiej Brytanii, która w 1936 roku, przynajmniej na papierze, zapewniła Egipcjanom niezawisłe państwo. Łącznie z "prawdziwą" armią, w której oficerowie awansowaliby z uwagi na swe zdolności, a nie - jak natrząsał się brytyjski gubernator prowincji Synaj - z uwagi na ciężar swego ciała. Dla pozyskania kadr oficerskich trzeba było sięgnąć do młodych, ambitnych mężczyzn, również z niższych warstw.

Nowa "prawdziwa" armia nie pomogła specjalnie Brytyjczykom w czasie drugiej wojny światowej. Rządzący król Faruk, wtedy jeszcze młodzieniec smukły i zgrabny, od niedawna na tronie, w ogóle wzbraniał się przed przystąpieniem do wojny po stronie aliantów. Nawet wtedy, gdy Włosi działając z Libii napadli na jego kraj. Większość oficerów sympatyzowała z Niemcami, a szef sztabu Asis al-Masri zamierzał nawet przejść na ich stronę, lecz zachowywał się tak niezręcznie, że spisek spalił na panewce.

W spisek ten był również zamieszany młody podporucznik Sadat. Był w stałym kontakcie z dwoma niemieckimi szpiegami, którzy założyli swą kwaterę na łodzi mieszkalnej, zakotwiczonej na Nilu. Niedużo brakowało, a skończyłoby się to nieszczęściem. Musi zniknąć - zostaje złapany

dopiero w dwa lata później. I to nie za współdziałanie z niemieckimi szpiegami, lecz za udział w sprzysiężeniu mającym za cel zamordowanie probrytyjsko nastawionego egipskiego ministra finansów, Amina Osmana Paszy. Morderstwa polityczne w ówczesnym Kairze są na porządku dziennym. Ofiarami padają między innymi dwaj premierzy i to pod rząd. Mordercy pochodzą przeważnie z kręgów "Bractwa Muzułmańskiego", organizacji fanatycznych fundamentalistów. W końcu król Faruk nie widzi innego sposobu rozwiązania sytuacji i zleca zlikwidowanie szefa Bractwa wynajętym mordercom.

W swej autobiografii Sadat przyznaje się do swego ambiwalentnego stosunku do tych ekstremistów. Niektóre morderstwa, jak twierdzi, były całkowicie usprawiedliwione. Inne zalicza zaś do przestępstw. Nie przypuszczał, oczywiście, że sam padnie ofiarą muzułmańskich fundamentalistów.

Pierwszą wojnę palestyńską, z 1948 roku, Sadat przegapia z konieczności - siedzi jeszcze w więzieniu wojskowym. Koniec końców, okazuje się to dlań plusem, gdyż nie jest zamieszany w porażkę armii egipskiej. Gdy po wojnie ujawnia się brak kadr oficerskich, w 1950 roku zostaje zrehabilitowany i w stopniu kapitana przywrócony do służby czynnej.

W ówczesnym Egipcie oznacza to wysoki status społeczny. Nareszcie może poślubić swą narzeczoną - Jehan, wykształconą półkrwi Angielkę. Tymczasem w armii znów zanosi się na przesilenie. Sadat przyłącza się do koła "Wolnych oficerów", które za cel wyznaczyło sobie obalenie króla. Przywódcą tej grupy jest niejaki Gamal Abd el-Naser. Sadat odgrywa jedynie pomocniczą rolę, nie zna nawet hasła mającego wzniecić powstanie.

Gdy król Faruk zostaje obalony, w 1952 roku, zadanie Sadata ogranicza się do odczytania rewolucyjnej proklamacji w radiu.

Ma to swoje plusy. Sadat nie jest bowiem zamieszany w walki diadochów, toczące się bezpośrednio po zwycięstwie rewolucji. Naser odsuwa od władzy nominalnego przywódcę rewolucji, generała Mahammeda Nagiba, oraz wyklucza z walki potencjalnych rywali. Dla skromnego Sadata, nie stanowiącego dla Nasera żadnej konkurencji, rozpoczyna się ruch ku górze. Początkowo zostaje sekretarzem generalnym jednościowej partii, potem przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, w końcu wiceprezydentem.

Gdy w 1970 roku Naser nagle umiera, niepozorny wiceprezydent jest najmniejszym wspólnym mianownikiem, na jaki zgodzić się mogą pozostali przy życiu po czystkach Nasera decydenci.

Sadat zostaje prezydentem, nikt jednak nie przypuszcza, że będzie to coś więcej, niż tylko rozwiązanie tymczasowe. Jednak diadochowie wyłączają się nawzajem bądź zostają w krótkim czasie unieszkodliwieni przez tak nie docenianego "raisa".

Również Izraelici nie doceniali Sadata. Żaden z ich przywódców nie przypuszczał, że ten zmienny polityk, na przemian flirtujący z Rosjanami i z Amerykanami, mógłby kiedykolwiek stanowić militarne zagrożenie.

Rachunek za ten mylny wniosek otrzymali w czasie wojny Jom Kippur w 1973 roku, gdy Izrael stanął niemal na krawędzi zagłady. Żydzi potrafili się jednak opamiętać i konflikt zakończył się sukcesem wojska izraelskiego.

Oczywistą koleją rzeczy Sadat w swych pamiętnikach koncentrował się na sukcesach wojennych z 1973 roku, zbywając końcowy efekt - izraelskie czołgi, stojące o sto kilometrów od Kairu - lakoniczną uwagą o wielkich stratach. Ale i tak wygranie jednej tylko rundy wystarczyło, by egipskie samopoczucie wzrosło na tyle, że Sadat mógł myśleć o rokowaniach pokojowych wcale nie z przegranej pozycji. I w tym różnił się zdecydowanie od Nasera. Naser zawsze myślał o następnej wojnie. Dla Sadata nie było żadnej następnej rundy. Do dziś nie jest wyjaśnione, w jakim stopniu na decyzję Sadata wpłynęły wydarzenia z początku 1977 roku. Pewne jest jedynie, że izraelski wywiad - słynny Mossad - dyskretnie przekazał Egipcjanom informacje na temat spisku na życie

Sadata, dzięki czemu udało się go unieszkodliwić w zarodku.

Gdyby jednak Sadat już wcześniej nie zastanawiał się nad możliwością pokojowego rozwiązania, nawet przyjazny gest Izraelitów nic by nie pomógł. W ten sposób jednak Sadat skłoniony został do przeszacowania osoby premiera Izraela, Menachema Begina, uchodzącego do tej pory w jego oczach za nieprzejednanego ekstremistę.

Poza tym "rais" zdawał sobie sprawę, że pod bokiem wyrasta mu wróg gorszy od Żydów - jego "brat", przywódca Dżamachiru Ludowej - Libii, Muammar el-Kadafi. Kadafi zaczął mianowicie uważać się za nowego przywódcę świata arabskiego i był przekonany, że przy pomocy swych petromiliardów jest w stanie zmienić oblicze świata.

Między psychiczną gotowością do pokoju a pierwszymi praktycznymi krokami upłynęło kilka miesięcy. Co w tym czasie się wydarzyło, pozostało do dziś zresztą ścisłą tajemnicą. Sadat doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przedwczesne ujawnienie jego planów byłoby równoznaczne z ich zniweczeniem. Z tego powodu musiał zrezygnować z przygotowania swych zamierzeń na szerszej bazie obozu arabskiego.

Tak czy inaczej, Sadat był gotów do samotnej wyprawy do Jerozolimy, a wyniki tej wyprawy zostały częścią składową - pozytywną - historii światowej.

Brama do pokoju stała otworem, jednak nikt chwilowo nie ważył się przestąpić progu. Po triumfie w Jerozolimie następują rozczarowania. Wprawdzie Sadat może teraz publicznie zabiegać o arabskie poparcie dla swej inicjatywy, nie znajduje jednak sprzymierzeńców. Nic nie pomaga, nawet gdy przypomina swym "braciom", że na forum Knesetu postawił żądania, o których innym politykom arabskim nawet się nie śniło. Poza formalnym uznaniem państwa Izrael - jak argumentuje - nie uczynił żadnego ustępstwa.

Nawet w Kairze wystąpienia Sadata są różnie oceniane. Jego minister spraw zagranicznych składa dymisję - również jego następca, Mohammed Ibrahim Kamel, nie zajmuje długo tego stanowiska. To, że mimo wszystko nie przerywa się nić łącząca Kair z Jerozolimą, stanowi zasługę wiceministra spraw zagranicznych, Boutrusa-Ghali, politycznie przeżywającego kolejnych ministrów, nie mogącego jednak zostać szefem resortu. Jest on mianowicie Koptem i w dodatku ma żonę Żydówkę.

Również Izraelici rozczarowują Sadata, przy czym nawet żydowski minister, Ezra Weizmann, nie obarcza winą strony egipskiej, szukając winnych we własnych szeregach. W swych pamiętnikach Ezra Weizmann przypomina, jak Sadat szkicował swą wielką koncepcję pokojową, a Begin kontrował zarzutami zaczerpniętymi z prawniczych pism słynnego specjalisty spraw międzynarodowych, Hersza Lauterpachta. Przez pewien czas wydawało się nawet, że duch Jerozolimy rozpryśnie się o skomplikowaną rzeczywistość.

To, że nie doszło do zerwania, świat zawdzięcza "pokojowym lobby" z obu stron. W końcu amerykańskiemu prezydentowi, Jimmy'emu Carterowi, udaje się obu kontrahentów z powrotem posadzić za negocjacyjnym stołem w położonej na uboczu, oficjalnej letniej rezydencji prezydenckiej Camp David, której "dobry duch" oczarował swego czasu samego Nikitę Chruszczowa podczas jego wizyty w USA.

Tym razem "dobry duch" jest solidnie zmęczony. Po dziesiątym dniu rokowań wydaje się, że konferencja spełznie na niczym. Odpowiednio do tego poinformowano całą prasę. Jednak trzynasty dzień przynosi przełom. Podpisany zostaje układ z Camp David - ramowy traktat pokojowy pomiędzy Izraelem a Egiptem.

Światowa prasa, jak i inne media, obwołują Sadata bohaterem dnia. Carter i Begin pozostają bardziej w tle, zdając sobie sprawę z tego, że egipski prezydent wziął na siebie największe ryzyko. Już wtedy w radykalnej prasie arabskiej pojawiły się groźby, że jedna kula może powstrzymać tę krucjatę pokojową.

W rzeczywistości układ z Camp David był rozsądnym kompromisem, w którym każda ze stron musiała się posunąć do granic możliwości. Nie był

jednak ostatecznym układem pokojowym. Minęło jeszcze pięć miesięcy wypełnionych twardymi negocjacjami, zanim można było podpisać w Waszyngtonie formalny traktat pokojowy.

Czy 25 marca 1979 roku w Waszyngtonie Sadat jednocześnie podpisał na siebie wyrok śmierci? Odpowiedź na to pytanie będzie możliwa dopiero, gdy na jaw wyjdą wszystkie fakty dotyczące tła zamachu. Być może nie nastąpi to nigdy.

W każdym razie po Camp David w obozie arabskim pod adresem Sadata padły najokropniejsze groźby. Ze wszystkich arabskich przywódców jedynie dzielny szejk Omanu, Kabus, odważył się stanąć po stronie Egiptu.

Mimo to w kraju nie było śladu działalności opozycji. "Rais" nadal unosił się na fali popularności, która sięgnęła zenitu, gdy objęto ponownie w posiadanie Półwysep Synajski.

Ten punkt z kolei mocno ciążył Menachemowi Beginowi. Ostatnich żydowskich osadników musiano siłą wywlekać z ich wiosek i dostarczać za aktualną granicę egipsko-izraelską.

Jako następny krok traktat pokojowy przewidywał rokowania na temat przyznania Arabom autonomii w Zachodniej Jordanii i w strefie Gazy. Rozmowy załamały się jednak bardzo szybko, gdyż zarówno Egipcjanie, jak i Izraelczycy próbowali naginać w swoją stronę "gumowe paragrafy" układu ramowego. Było to pierwsze załamanie Sadata i jego przeciwnicy doskonale wiedzieli, jak to wykorzystać.

Sadat w tym okresie był świadom, że działa w ciągłym zagrożeniu życia. Otoczył się liczną strażą przyboczną, złożoną wyłącznie z ludzi, którym mógł zaufać. Zazwyczaj "raisa" chroniło co najmniej ośmiu strażników wypełniających jak dotąd swe zadania znakomicie, czy to w kraju, czy za granicą. Inna rzecz, że ich efektywność jeszcze nigdy nie została wystawiona na próbę.

Jednego jednak Sadat nie przewidywał: że jesienią 1981 roku kule, które miały go trafić, jak również granaty, którymi miał zostać obrzucony, zostały już skradzione z arsenału armii egipskiej.

Według oficjalnego raportu egipskiej komisji rządowej plan zamordowania prezydenta został po raz pierwszy omówiony podczas spotkania spiskowców w dniu 25 września 1981 roku - a więc tylko na jedenaście dni przed dokonaniem zbrodni.

Wersja ta była kwestionowana, przynajmniej w prywatnych rozmowach, przez licznych akredytowanych w Kairze zachodnich attache wojskowych. Plan morderstwa, uknuty z wojskową precyzją, wymagał niewątpliwie dłuższego przygotowania.

Jako motyw spiskowców podano niezaprzeczalnie fanatyzm religijny. I to nie układ z Camp David, lecz postępowe stanowisko Sadata, szczególnie wobec kwestii równouprawnienia kobiet w społeczeństwie egipskim, był bezpośrednim powodem skłaniającym zamachowców do akcji. Wersja brzmi prawdopodobnie - prawie zbyt prawdopodobnie. Zupełnie, jakby chciano przy jej pomocy osłonić inny - polityczny - powód.

Raport komisji głosi, że inicjatorami spisku byli młody porucznik Ahmed Szawki al Istambuli oraz inżynier zwący się Abd el Salam Farag. Dalej raport stwierdza, że właściwym pomysłodawcą był Farag, Istambuli zaś spełniał rolę "mózgu" operacji pod względem techniczno-wojskowym. Trzecim zidentyfikowanym spiskowcem był księgarz, Abd el Al, porucznik w stanie spoczynku. Również pozostali spiskowcy wywodzili się z kręgów wojskowych: Atta Tayil Hamida Rahil, eks-porucznik i jego przyjaciel, Husajn Abbas Mohammed, służący czynnie jako podoficer.

Cała piątka należała do małej grupki fundamentalistów islamskich, zwącej się "Tafkir wa Hidżra", co oznaczało "Pojednanie i Hidżra". Hidżra czyli ucieczka proroka Mahometa i garstki jemu wiernych z Mekki do Medyny, co było początkiem islamskiej rachuby czasu. "Tafkir wa Hidżra" był ekstremistycznym odłamem wspomnianego już "Bractwa Muzułmańskiego", którego znaczenie w owym czasie bardzo zmalało.

Czy wszechobecna egipska służba bezpieczeństwa była świadoma istnienia tej grupki - na ten temat raport milczy - wiadomo jedynie, że Farag,

jako znany religijny fanatyk, był przez pewien czas pod obserwacją policji. Z tym, że nie w czasie zamachu. Pytanie "dlaczego?" do dziś nie doczekało się odpowiedzi.

Należy wyjść z udowodnionego faktu, że zamachowcy spotkali się 25 września 1981 roku - po raz pierwszy czy też może kolejny. Po tym, jak postanowili zamordować prezydenta, debata skoncentrowała się na problemie, gdzie najłatwiej można dostać się do Sadata. Istambuli miał już pomysł. Wiedział, że tak naprawdę zupełnie bezpiecznie Sadat czuł się jedynie w kręgu swych wojskowych towarzyszy. I właśnie tam porucznik chciał go przydybać. Spotykał Sadata już wielokrotnie, niejako oko w oko, lecz zawsze z pewnej odległości, z okazji corocznych defilad wojskowych, upamiętniających egipskie "zwycięstwo" nad Izraelem w wojnie Jom Kippur - zawsze 6 października.

Imprezy te rokrocznie odbywały się według tego samego schematu. Były wprawdzie różnice dotyczące terminów czy składu wojsk biorących udział w paradzie, lecz zawsze były one meldowane z dużym wyprzedzeniem odpowiedzialnemu oficerowi.

Od 1977 roku parady te odbywały się w Heliopolis, byłym elitarnym przedmieściu Kairu. Za plac defilad służyła tam była brytyjska jednostka lotnicza - w miejsce zburzonych baraków obok płyty lotniska zbudowano pojemne trybuny. W ich centralnym punkcie stała trybuna honorowa, oddzielona od placu defilad jedynie niskim żywopłotem. Pomiędzy w tym roku defilującymi jednostkami miała również znajdować się jednostka, w której służył porucznik Istambuli. W związku z tym mógł "na spokojnie" zlustrować miejsce zamachu.

Zasadniczym zadaniem porucznika było teraz przeszmuglowanie reszty spiskowców do oddziału. Nie było to takie skomplikowane. W dzień przed paradą poinformował po prostu kilku swoich ludzi, że na czas święta narodowego otrzymali urlopy celem odwiedzenia swoich rodzin. Zupełnie zrozumiałe, że prości żołnierze z radością spakowali swe tłumoki i zniknęli z koszar. Natomiast trochę mniej oczywiste jest przyjęcie przez przełożonego Istambulego tłumaczenia swego podwładnego, że kilku ludzi zgłosiło się jako chorzy, ale że już załatwił zastępstwo na czas defilady. Przynajmniej to ostatnie wydawałoby się trochę dziwne.

Raport oficjalnej komisji przechodzi nad tym do porządku dziennego.

Jako byłym, czy też jeszcze aktywnym członkom sił zbrojnych, Abd el Alowi, Hamidowi Rahilowi i Abbasowi Mohammedowi, odgrywanie ról zwykłych żołnierzy nie sprawiło żadnej trudności. Jedyny w towarzystwie cywil, Farag, mógłby podpaść, zrezygnowano więc z jego udziału. Wypełnił on zresztą swoje zadanie w fazie przygotowawczej. W Asjut, stolicy Górnego Egiptu i jednocześnie twierdzy fundamentalizmu załatwił bowiem broń, amunicję i granaty z pewnego magazynu wojskowego. To znaczy, nie bezpośrednio - kradzież odbyła się znacznie wcześniej, a broń była już nieco przechodzona - używano jej w starciach pomiędzy muzułmanami a Koptami w Asjut.

Rankiem 6 września Istambuli wstał na długo przed świtem. O godzinie 4.00 w jego kwaterze zameldowali się zastępcy "chorych" żołnierzy. Nikt nie sprawdził ich przy wejściu. Przed koszarami Istambuli dokonał sprawdzianu ich wyglądu zewnętrznego i demonstracyjnie ofuknął ich przed innymi żołnierzami z powodu niedociągnięć w umundurowaniu. Wszystkim czterem spiskowcom ta komedia musiała wydawać się nadzwyczaj zabawną. Potem wszyscy udali się na miejsce startu kolumny.

Po odesłaniu żołnierzy Istambuli przechodzi do akcji. Chowa granaty pod hełmami ukrytymi pod ławkami jego bojowego wozu. Jeszcze w nocy załadował pewną ilość magazynków do szybkostrzelnych karabinów. Punktualnie o 6.30 przekazuje je swym kompanom, by nimi zastąpili puste magazynki wyfasowane z bronią. Spiskowcy posiadają teraz po 25 sztuk amunicji i po jednym granacie, prócz Istambulego, który dwa granaty zachował dla siebie. Dodatkowo ma jeszcze naładowany służbowy pistolet.

Zbliża się czas odjazdu. Istambuli dokonuje inspekcji swego pojazdu. Kierowca jeszcze nie przybył na miejsce, lecz jego karabin jest już

zamocowany obok siedzenia. Porucznik wykorzystuje czas, by również i tę broń załadować ostrą amunicją.

Po kilku minutach pojawia się kierowca, nawet nie myśląc o sprawdzeniu swego - jak sądził - nie nabitego karabinu, zajmuje miejsce za kierownicą.

Istambuli może sobie pogratulować - wszystko przebiega zgodnie z planem.

W tym czasie Sadat właśnie budzi się w swej willi na wschodnim brzegu Nilu. Nie jest rannym ptaszkiem, mimo to tego dnia nawet rano jest w wyjątkowo dobrym humorze. W końcu jest to 6 października - dzień jego zwycięstwa.

Nie musi się spieszyć. Wiceprezydent Hosni Mubarak i jego prywatny sekretarz, Fawzi Abd el Hafez, zapowiedziani są dopiero na 9.30, by towarzyszyć mu do kwatery głównej sił zbrojnych. Prezydent wkłada przez siebie samego zaprojektowany błękitny mundur marszałkowski i jest już całkowicie gotów, gdy przybywają jego ludzie.

Zgodnie z planem udają się do kwatery głównej, gdzie Sadat zostaje powitany przez naczelnych dowódców trzech rodzajów broni oraz kilku innych wysokich rangą wojskowych. Po dwóch kwadransach kolumna "raisa", już teraz w komplecie, wyrusza w kierunku Heliopolis.

Gdzie tylko widać zgromadzone tłumy, prezydent wstaje w swym otwartym samochodzie, flankowany przez Mubaraka i ministra obrony narodowej, Mohammeda Abu Ghazela, by pozdrowić swych obywateli. Samochód prezydencki jest eskortowany przez motocyklistów, dodatkowo pół tuzina ochroniarzy stoi na jego stopniach.

Zastosowane środki bezpieczeństwa okazują się zbędne. Tłumy jak zwykle wiwatują. Nigdzie nie widać podejrzanych osób czy ruchów. Eskorta rozluźnia się. Pierwsza część ich zadania została wypełniona.

Tuż przed jedenastą Sadat dociera na plac defilad i zajmuje miejsce na trybunie honorowej. Cały ceremoniał zna już na pamięć. Najpierw duchowny recytuje kilka wersetów z Koranu. Potem dowódca gwardii honorowej z obnażoną szablą melduje prezydentowi gotowość żołnierzy do uroczystego złożenia wieńca na grobie nieznanego żołnierza.

Sadat ze swym sztabem przechodzi przez plac defilad, do pomnika. Salutuje, podczas gdy dwaj gwardziści w staromodnych niemieckich hełmach stalowych składają olbrzymią wiązankę na marmurowej płycie pomnika.

Na tym kończy się pierwsza część ceremonii. Sadat ponownie zajmuje swe miejsce na trybunie. Przedtem jeszcze macha swej żonie, Jehan, siedzącej wraz z innymi damami w głębi trybun. Defilada może się rozpocząć.

Rozpoczyna się z pewnym opóźnieniem, lecz do tego wszyscy są przyzwyczajeni. Odstępy pomiędzy poszczególnymi jednostkami również nie są równomierne. W Egipcie nigdy nie stosowano pruskiej dyscypliny, nie przywiązując do tego żadnej wagi.

Czoło tworzą jeźdźcy na wielbłądach z patroli pustynnych. Za nimi czołgi - chluba egipskiej armii. Potem - marszobiegiem - spadochroniarze, skandujący wciąż "Misr" - Egipt. Następnie w programie są ciężkie wozy bojowe, lecz już uwidoczniają się pierwsze komplikacje. Pech jednego z motocyklistów eskorty sprawia, że jego maszyna gaśnie przed samą trybuną honorową. Nie pozostaje mu nic innego, jak zepchnąć ciężki motocykl na pobocze.

Dokładnie o 12.38 wóz bojowy Istambulego - jest to sowiecka maszyna typu CIL 151, sprzężona z armatką kalibru 130 mm, wyprodukowaną w Korei Północnej - pojawia się przed gośćmi honorowymi. Porucznik wydaje kierowcy bezpośredni rozkaz zatrzymania pojazdu. Gdy ten, całkowicie zaskoczony, zwleka, Istambuli przykłada mu do piersi jego własny karabin i jednym potężnym szarpnięciem zaciąga hamulec ręczny. Silnik gaśnie i pojazd zatrzymuje się.

W tym momencie, jak na zamówienie, odrzutowce jednej z formacji egipskich sił powietrznych z rykiem przelatują nad placem defilad, ciągnąc za sobą kolorowe smugi kondensacyjne, ściągające na siebie uwagę widzów, fotografów, być może również ochroniarzy.

W ryku odrzutowych silników tonie huk wystrzałów i detonacja pierwszego granatu. Istambuli uprzednio zeskoczył z pojazdu, jakby chcąc skontrolować silnik, co również Hamidawi Rahilowi dało okazję do opuszczenia maszyny bez wzbudzania przedwczesnych podejrzeń. Teraz obaj rzucają swe granaty w kierunku trybuny honorowej. Jednocześnie Abd el Al i Abbas Mohammed otwierają ogień do dostojnych gości z wysokości platformy wozu bojowego, z dystansu mniejszego niż 25 metrów, nie stanowiącego większego problemu nawet dla mniej wprawnych strzelców.

A co czynią ochroniarze? Początkowo nic. Stoją jak sparaliżowani. W późniejszym dochodzeniu wyszło na jaw, że poprzedniej nocy może zbyt hucznie świętowali w "Jackie's", elitarnej dyskotece kairskiej. W dodatku są źle ustawieni. Tylko czterech z nich znajduje się bezpośrednio przy prezydencie. Również żołnierze gwardii honorowej, zabezpieczający całą trybunę, zupełnie osłupieli.

Jedynie spiker z wysokości swego stanowiska z miejsca rozpoznał sytuację, krzycząc: "Zdrada, zdrada!".

Sam Sadat, jak na doświadczonego żołnierza, reaguje nietypowo. Zamiast natychmiast kryć się, wstał nawet z siedzenia - wtedy jeszcze nawet nie zraniony, pozostając w ten sposób przez sekundy zupełnie nie osłoniętym.

Podobno, nim trafiła go pierwsza kula, zdążył jeszcze krzyknąć "czego chcecie?" w kierunku zamachowców.

Mimo gęstego ostrzału, za sprawą paradoksu, pierwszym pociskiem, który go trafia, jest rykoszet, kula odbita od marmurowej balustrady trybuny honorowej. Przebił go na wylot od prawego biodra do lewego ramienia.

Dopiero teraz ochroniarze otrząsnęli się z osłupienia. Nie próbują jednak chronić prezydenta, lecz wikłają zamachowców, którym w międzyczasie udało się bez przeszkód przedostać aż pod balustradę, w bezsensowny pojedynek ogniowy.

Prawidłową reakcją wykazał się jedynie cywil, osobisty sekretarz Sadata, Fawzi Abd el Hafez. Początkowo bezskutecznie próbuje chronić swego "raisa" odwróconym krzesłem, w końcu zasłania go własnym ciałem. Ginie przeszyty pięcioma pociskami.

W miarę zorganizowana akcja rozpoczęła się dopiero po wielu minutach. W jej wyniku ujęto trzech - zranionych uprzednio - zamachowców, w tym jako pierwszego - Istambulego. Natomiast Abbasowi Mohammedowi udało się w zamieszaniu uciec, co należy również złożyć na karb braku stosownych środków bezpieczeństwa. Ujęty zostaje dopiero w trzy dni później przez funkcjonariuszy cywilnej służby bezpieczeństwa.

W pierwszych reakcjach massmediów jest mowa o akcji samobójczej, jednak pogląd ten zostaje szybko zrewidowany. Zamachowcy musieli mieć wyliczoną realną szansę ucieczki z publicznego miejsca zbrodni, gdyż cała czwórka pod mundurami nosiła stroje cywilne.

Dopiero po pochwyceniu trzech zamachowców rozpoczęły się starania o Sadata. Razem z lekarzem osobistym prezydenta, dr Mohammedem Atteyą, któremu w międzyczasie udało się przedrzeć na trybunę, ochroniarze przenoszą ciężko rannego do helikoptera stojącego za trybuną. Maszyna, mająca po obchodach przetransportować "raisa" do domu, startuje natychmiast, biorąc kurs na szpital wojskowy położony w Ma'adi na południe od Kairu.

Gdy helikopter dociera do szpitala o godzinie 13.20, prezydent znajduje się już w stanie śmierci klinicznej. Lekarze stwierdzają brak pulsu, brak akcji serca, krew płynie mu z ust, a źrenice szeroko otwartych oczu nie reagują na światło.

Wiceprezydent Hosni Mubarak, w czasie zamachu stojący tuż przy Sadacie, cudem niemal wyszedł z tego jedynie lekko ranny. Teraz poleca rozgłośniom radiowym wygłosić oświadczenie stwierdzające, że prezydent został jedynie ranny.

Również Jehan Sadat uspokojona zostaje podobnym oświadczeniem. Razem z dziećmi przewieziono ją do pałacu Kubbeh, byłej rezydencji króla Faruka, będącym teraz siedzibą rządu, a stamtąd helikopterem do domu.

Po zaopiekowaniu się dziećmi Jehan - nadal w mniemaniu, że jej mąż

jest jeszcze przy życiu - udaje się do szpitala.

Brutalna prawda dociera do niej w bramie szpitala, gdzie francuski ambasador, odwożący swego rannego belgijskiego kolegę, składa jej kondolencje. Nadal jednak Jehan nie wyklucza jakiejś pomyłki, a Mubarak stara się ją uspokoić. Dopiero po godzinie zostaje wpuszczona na salę operacyjną, gdzie Sadat już spoczywa na marach.

Pogrzeb - 10 października - przekształca się w ostatnią wielką manifestację solidarności ze zmarłym. Jednak wielu z obecnych nie może pozbyć się odczucia, że wraz z Sadatem pogrzebano dzieło jego życia.

Trzeba przyznać, że państwo pozostawił w stanie uporządkowanym. Przejęcie władzy przez Hosni Mubaraka odbywa się bez większych tarć, nie dochodzi do sprzeczek ani rywalizacji, jakie miały miejsce po śmierci Nasera.

Natomiast arabscy ekstremiści - między nimi również przywódca Organizacji Wyzwolenia Palestyny, Jaser Arafat - reagują nieopisaną radością.

Hosni Mubarak podczas pogrzebu przyrzekł uroczyście kontynuować pokojowe dzieło swego poprzednika. Brakuje mu jednak charyzmy, a prawdopodobnie i wizji Sadata. Negocjacje pokojowe prowadzone z Izraelem w sprawie dalszych losów Palestyńczyków zaczynają kuleć.

W rok później, w związku z agresją Izraela na Liban, wydaje się, że proces odprężenia jest już skazany na zagładę. To, że nie dochodzi do ostatecznego rozłamu, jest prawdopodobnie ostatnią zasługą Sadata.

Proces przeciwko spiskowcom rozpoczyna się już 25 listopada. Na dokładniejsze zbadanie przyczyn kierujących zamachowcami zabrakło czasu.

W jednej celi znalazło się obok czterech właściwych zamachowców również około tuzina członków "Tafkir wa Hidżra" wraz z ich mentorem - Faragiem.

Proces trwa do 6 marca 1982 roku i oskarżonym zapewniono całkowitą wolność w kwestii wygłoszenia ich poglądów. Jednak jedynie przed "wyselekcjonowaną" publicznością.

Pytania o ewentualnych animatorów w ogóle nie zadano. W pierwszej fazie śledztwa padło wprawdzie nazwisko arcywroga Sadata, byłego egipskiego szefa sztabu, Saad ed-Din Szazli, szacownego gościa państwowego na dworze libijskiego dyktatora, Muammara Kadafiego. W procesie nie został jednak wspomniany.

Pięciu głównych oskarżonych zostało skazanych na śmierć. Istambuli przez rozstrzelanie, pozostali na szubienicy.

Wszyscy inni oskarżeni otrzymali kary więzienia. Prawie wszyscy wyszli już na wolność na mocy amnestii.

MOHANDAS KARAMCHAD MAHATMA GANDHI (1869 - 1948)
INDIRA GANDHI (1917 - 1984) i RAJIV GANDHI (1945 - 1991)

Miał to być moment triumfu - w tej chwili jednak był przesłonięty głęboką troską. 1 maja 1947 roku mniej więcej tuzin mężczyzn zgromadziło się w chatce położonej w dzielnicy zamiataczy ulic w gettcie "nietykalnych" New Delhi.

Za kilka miesięcy - większość z zebranych była doskonale świadoma - mieli zasiąść w przestronnych i przewiewnych biurach po brytyjskich urzędnikach kolonialnych, przejąć ich insygnia władzy i rozjeżdżać się ich czarnymi limuzynami.

Mimo to w tym małym kręgu przeważał nastrój skrępowania. Odpowiedzialnym za to, że nie przeważała radość, był - jeśli można go określić - "gospodarz" - mały łysy kruchy człowieczek z odstającymi uszami, odziany jedynie w przepaskę biodrową z ręcznie tkanego płótna.

Mohandas Karamchad Gandhi, zwany przez rodaków ale i przez cały świat już od dziesiątków lat "Mahatma" - wielka dusza, dotarł już prawie do kresu swej długiej drogi. Dziesiątki lat walczył o niepodległość Indii. Teraz Wielka Brytania w osobie wicekróla Louisa Mountbattena, Earl of Burma ogłosiła gotowość przyznania niepodległości "perle brytyjskiej

korony" - Cesarstwu Indii - zwanych tak od czasów królowej Wiktorii.

Ale cóż to była za wolność? Na pewno nie taka, o jakiej marzył Mahatma. Pytanie, z którym Hindusi zostali brutalnie skonfrontowani, brzmiało: jedno państwo czy podział?

Hinduscy mahometanie pod wodzą zimnego muzułmanina Ali Jinnaha obstawali przy podziale. Nawet jeżeli za cenę podziału powstać miałyby dwa twory państwowe - jeden na wschodzie, drugi na zachodzie - z niemożliwymi do wytyczenia granicami.

Reprezentująca Hindusów All India Congress Party walczyła - jak to głosiła nawet jej nazwa - przeciwko podziałowi.

Dotarłszy do rozstajów "pragmatycy" byli gotowi zgodzić się z podziałem, jeżeli miałoby to przyśpieszyć uzyskanie niepodległości.

Tylko jeden człowiek nie zaniechał jeszcze swej walki o jedność Indii - Mahatma.

Jako "całkowitą ostateczność" przekazał wicekrólowi Mountbattenowi prawdziwie salomonową propozycję. Dla zachowania jedności państwa byłby gotów zaakceptować muzułmanina Jinnaha w roli głowy państwa. Na Mountbattenie - bohaterze wojennym - propozycja ta zrobiła olbrzymie wrażenie. Wątpił jedynie, czy Gandhi byłby w stanie skłonić do niej swą partię. Natomiast "wielka dusza" był o tym święcie przekonany.

Właśnie w tym celu zwołał kierownictwo Kongresu do swej chaty w dzielnicy "nietykalnych" - co już samo przez się stanowiło upokorzenie dla niektórych zwolenników kastowości między nimi. Raz jeszcze namiętnie zaapelował o zachowanie jedności Indii. Potem podniósł wzrok na dwu mężczyzn siedzących dokładnie naprzeciwko - na Pandita Jawaharlala Nehru - arystokratycznego bramina, którego gazety zdążyły już mianować pierwszym premierem niepodległych Indii oraz na Vallahbhai Patela - trzeźwego realistę i właściwego przywódcę Kongresu.

Jeszcze panowało milczenie, ale z niego Gandhi już mógł wywnioskować swą porażkę. Po dłuższym milczeniu Nehru i Patel jęli argumentować, że ofiarę podziału Indii trzeba przyjąć za cenę uzyskania niepodległości.

W ten sposób zapadł wyrok. Pozostali funkcjonariusze partii przyłączyli się do zdania "pragmatyków". Gandhi nie miał już nic do powiedzenia. Czy jeszcze rzeczywiście był "wielką duszą" Indii czy też tylko "półnagim fakirem", jak nazwał go Winston Churchill.

Przez dziesiątki lat świat identyfikował Indie z Gandhim a Gazidhiego z Hindusami. Obraz ten jednak nie odpowiadał całkowicie prawdzie. Nie mogło tak być choćby ze względu na jego pochodzenie. Gandhi nie był typowym Hindusem. Był synem "premiera" miniaturowego księstewka położonego w okolicy Bombaju. Ponieważ w przyszłości miał przejąć tę posadę, rodzina wysłała dziewiętnastolatka na studia prawnicze do Londynu. Gandhi był wtedy wiernym poddanym Imperium. Ubierał się po europejsku, nawet za cenę karykaturalnego wyglądu. Z brytyjskim dyplomem adwokackim powrócił do domu, jednak nie odniósł żadnych sukcesów na salach rozpraw - był zbyt nieśmiały. Na co rodzina wysłała go do Afryki Południowej do krewnych, zamożnych ludzi, którym miał udzielać porad prawnych. Chodziło początkowo o kilka miesięcy, które rozdęły się potem w lata.

Dla Gandhiego i jego młodej żony oznaczało to początkowo jedynie przeprowadzkę z jednej części Imperium do innego. Jednak wkrótce w Afryce Południowej wybiła dla niego godzina prawdy: podczas podróży pociągiem z Durbanu do Johannesburga. Adwokat zgodnie ze swym stanem podróżował oczywiście pierwszą klasą, gdy nagle biały człowiek zażądał od niego opuszczenia przedziału. Gandhi świadom pozycji po europejsku wykształconego prawnika odmówił. Na co biały na następnej stacji - było to miasteczko Pietermaritzburg - wezwał policjanta, który Hindusa po prostu wyrzucił z pociągu.

Siedząc nocą na małym dworcu oportunista zamienił się w bojownika. Również cały jego temperament zmienił się w ciągu ośmiu godzin. Nagle skądś znalazł się ów dar wymowy, którego tak bardzo brakowało mu jako adwokatowi. W ciągu krótkiego czasu Gandhi staje się cenionym doradcą

prawnym i uzyskuje swe pierwsze wielkie zwycięstwo nad przedsiębiorstwem kolejowym. Od tego czasu Hindusom wolno jeździć pierwszą klasą - o ile mogą sobie na to pozwolić.

Za przypadek w pociągu Gandhi nie wini rządu angielskiego lecz miejscowych białych - w czasie wojny burskiej organizuje batalion sanitarny doskonale służący Brytyjczykom.

Po wojnie burskiej, ponowna podróż pociągiem znów zmienia życie Gandhiego. Biały przyjaciel daje mu książkę jako lekturę na drogę. Jest to dzieło angielskiego socjologa i filozofa Johna Ruskina zawierające jego zasadę rezygnacji z materialnej własności. Podróżny widzi w tym powtórzenie hinduskiej nauki, którą głosi Bhagavadgita i jeszcze w pociągu postanawia podążyć za tym nakazem.

Nie jest to bynajmniej symboliczna decyzja hołysza. W tym czasie zalicza się do najbogatszych hinduskich adwokatów w całej Południowej Afryce. W swym postanowieniu jest konsekwentny. W tydzień po swym kluczowym przeżyciu duchowym wraz z rodziną przenosi się na podupadłą farmę koło Phoenix - poza Durbanem, by żyć bez wygód współczesnej cywilizacji.

I przemaga się do jeszcze jednego ślubowania - do Brahmacharya - całkowitej abstynencji seksualnej. Sprawi to mu jeszcze w życiu sporo kłopotów - ale to nie należy już do tego rozdziału.

Rezygnacja z materialnych przywilejów i z cielesnych rozkoszy nie oznacza jednak wycofania się z polityki, w której miesza oburącz. W 1906 roku oczekuje go pierwsza polityczna próba sił. Brytyjskie władze wydały prawo zmuszające wszystkich Hindusów do zarejestrowania się. Gandhi wzywa wszystkich swych rodaków z Południowej Afryki do walki przeciw temu prawu. Jak ma wyglądać opór, jest na razie niejasne, dla inicjatora jedno jest pewne - może polegać na przemocy.

W końcu wybuch pierwszej wojny światowej zmusza Brytyjczyków do ustępstw na rzecz Hindusów. Gandhi powraca do Indii, uważając swe zadanie za zakończone.

Sława wyprzedziła go na jego drodze powrotnej do ojczyzny. Gdy w styczniu 1915 roku wysiada w Bombaju, spotyka go entuzjastyczne przyjęcie. Jak król - albo przynajmniej jak wicekról przekracza "Gateway of India" - wiktoriański łuk triumfalny w porcie w Bombaju.

Rząd hinduski jest mniej zachwycony, lecz uspokaja się, gdy przybysz na razie nie zajmuje się polityką, lecz zakłada aśram dla najuboższych z ubogich, w czasie całej wojny zachowując się lojalnie.

Nie odwrócił się jednak plecami do polityki. Gdy Londyn po zakończeniu wojny rozczarowuje nadzieje Hindusów na samorządność, a nawet zwiększa walkę przeciw samorządowej agitacji, Gandhi ponownie wzywa do biernego oporu. 7 kwietnia 1919 całe Indie mają milczeć i przez to doprowadzić do sparaliżowania całego kraju.

Pomysł sam w sobie jest dobry, jednak nie wszędzie Hindusi trzymają się przykazań Gandhiego. Dochodzi do rozruchów, najgorszych w północnym Amritsarze, gdzie wojska brytyjskie zmuszone zostają do strzelania w tłum. W wyniku tego ginie lub zostaje rannych ponad 1500 osób.

Masakra z Amritsaru staje się punktem zwrotnym hinduskiej polityki. Skończyły się czasy politycznej pasywności. Istnieje już instrument do urzeczywistniania narodowych celów - jest to założona (co jest znamienne) przez Brytyjczyka Octaviana Hume'a w 1885 roku partia "Kongres". Za zgodą wicekróla zresztą, który chętnie widział ujęcie tubylczej polityki w cywilizowane formy.

Z początku Kongres trzymał się tych "cywilizowanych form", lecz masakra w Amritsarze i działalność Gandhiego zmieniają wszystko.

Podczas posiedzenia w Kalkucie w 1920 roku Gandhi przedkłada partii program. Cel: całkowita niepodległość Indii. Środki: niewspółpracowanie.

Niewspółpracowanie oznacza bojkot brytyjskich instytucji oraz - co bardziej ważne - bojkot brytyjskich produktów. Pierwszym celem jest brytyjski przemysł tekstylny. Do tej pory hinduską bawełnę importowano do Lancashire, skąd po przerobieniu i znacznie już wyższych cenach

wracała do Indii. Tekstylia te miano teraz wytwarzać w Indiach samodzielnie, na tradycyjnych kołowrotkach, które przez to urosły do rangi symbolu kraju.

Mniej więcej po roku Gandhi postawił ostatni akcent nad swoją kampanią: postanowił nosić wyłącznie odzienie z utkanego w domu płótna - również to mocno podniosło jego poważanie.

W rzeczywistości prymitywne kołowrotki nie miały większego ekonomicznego znaczenia, jednak kampania zmusiła Brytyjczyków do wyrażenia zgody na budowę nowoczesnych fabryk tekstylnych przez hinduskich przedsiębiorców.

Tymczasem konfrontacja przeciąga się. Brytyjczycy zwlekają z wtrąceniem Gandhiego do więzienia, gdyż to uczyniłoby z niego męczennika. W końcu stawiają go jednak przed sądem i skazują na sześć lat więzienia. Już po kilku miesiącach zostaje wypuszczony na wolność z uwagi na słaby stan zdrowia. Martwy Gandhi mógłby wywołać rewolucję.

Dopiero w 1931 roku Anglicy są gotowi do ustępstw. 17 lutego Gandhi w tradycyjnym stroju, podpierając się bambusowym kosturem, wkracza do rezydencji wicekróla lorda Irvina. Rozmowy - z licznymi przerwami - trwają trzy tygodnie. Łącznie Mahatma spotyka się z wicekrólem osiem razy. W wyniku Indie otrzymują zawieszenie broni. Aresztowani nacjonaliści zostają wypuszczeni na wolność, Gandhi odwołuje bierny opór i zgłasza swą gotowość wzięcia udziału w "indyjskiej" konferencji w Londynie.

"Wielka dusza" ma wiatr w żaglach. W sześć miesięcy po przyjęciu go w pałacu wicekróla, król Jerzy V ściska mu dłoń w Buckingham Palace. Przepaska biodrowa i bambusowy kostur zostały uznane strojem godnym królewskiego pałacu.

Londyńska konferencja nie zakończyła się żadnym pozytywnym rezultatem. Natomiast dla Gandhiego była olbrzymim sukcesem. Mały człowiek stał się międzynarodową osobistością. Londyńska śmietanka gromadzi się wokół niego. Potem odwiedza jeszcze Francję, Szwajcarię i Włochy wszędzie święcąc triumfy.

Natomiast jego przyjęcie w domu nie wypada tak świetnie. Hindusi są rozczarowani, a sam Gandhi jest świadom tego, że wraca z pustymi rękami. Nie bez powodu w łonie Kongresu rośnie radykalna opozycja. Powiększa się ona znacznie, gdy Gandhi w ramach reakcji na przyznanie przez Anglię w 1935 roku samorządności odwraca się chwilowo od walki narodowowyzwoleńczej poświęcając się problemom wewnętrznym, jak na przykład sprawie dyskryminacji "nietykalnych" czy skrajnej nędzy na wiejskich terenach.

Mimo swej skłonności do ascezy i niezaprzeczalnemu brakowi potrzeb, Gandhi lubi ulegać jednej pokusie - uwielbia być "sumieniem świata". Jednak rady, jakich w ramach swej pokusy udziela, są bardzo często absurdalne. Na przykład wezwał Etiopczyków, by dali się bez stawiania oporu wymordować Włochom. A niemieckim Żydom proponuje, by godnie znosili prześladowania ze strony hitlerowskiego reżymu, i w ten sposób zawstydzili swych prześladowców.

Mimo tych dziwacznych rad cały świat bierze pod uwagę jego stanowisko, co stwarza mu coraz więcej zazdrosnych wrogów.

W 1939 roku jeden z jego największych rywali i jednocześnie jeden z radykalniejszych hinduskich polityków - Subhas Chadra Bose zostaje wybrany prezydentem Kongresu. Ich konfrontacja - po kilku miesiącach, tuż po wybuchu drugiej wojny światowej - jest rzeczą nieuniknioną.

Jako jedyny z przywódców Kongresu, Gandhi nawołuje do czynnego poparcia Wielkiej Brytanii. Nehru i Patel są zdania, że za tego rodzaju "dobre sprawowanie" w stosunku do swego hegemona można by uzyskać ustępstwa politycznej natury, natomiast Bose przedkłada ucieczkę do Trzeciej Rzeszy - mimo że Anglicy klasyfikowali go raczej jako ekstremistę lewicującego.

W Wiedniu, dokąd się w końcu udaje, Bose nie znajduje specjalnego zrozumienia wśród władz niemieckich. Poprzez Związek Radziecki- wówczas

jeszcze sprzymierzony z hitlerowskimi Niemcami - Bose udaje się do Japonii, gdzie - już po ataku na Pearl Harbour - tworzy coś w rodzaju emigracyjnego hinduskiego rządu.

W Indiach Kongres sam oscyluje pomiędzy współpracą a opozycją. Gdy Japończycy - z Bosem na holu - pojawiają się na hinduskiej granicy, Gandhi proponuje nie stawiać oporu - dać się wymordować bez walki. Siłą rzeczy Brytyjczykom ten patent na obronę nie wydaje się zbyt skutecznym sposobem, lecz Londyn musi działać bardzo delikatnie, chcąc pozyskać "serca i umysły" Hindusów. Wysłanie zwolennika Gandhiego - socjalisty sir Stafforda Crippsa, który po wojnie, w 1948 roku, przybył do Indii z propozycją niezależności przy współuczestnictwie we Wspólnocie Brytyjskiej - musiało kosztować Winstona Churchilla mnóstwo samozaparcia.

Zwykle tak rozważny i niepochopny Gandhi tym razem odpowiada nieoględnie. Określa on propozycję Churchilla jako "wystawienie czeku bez pokrycia na zbankrutowany bank". Dla Brytyjczyków ma tylko jedno wezwanie: "Quit India!" - opuśćcie Indie.

Zapalczywemu Churchillowi kończy się cierpliwość.

Zleca zamknięcie całego kierownictwa Kongresu. W więzieniu Gandhi deklaruje głodówkę "aż do śmierci". Jednak nie on jest tym, który umiera. Jego żona, która podążyła za nim do więzienia, zachorowała na zapalenie płuc, a Gandhi nie zezwolił z przyczyn religijnych na iniekcyjne użycie nowego, cudownego środka - penicyliny. Po kilku dniach jest martwa. Po jej śmierci Gandhi wyraźnie podupada i Brytyjczycy z czystym sumieniem mogą go wypuścić "ze względu na stan zdrowia".

Sytuacja w Indiach zmienia się wraz z pierwszymi powojennymi wyborami w Wielkiej Brytanii, w wyniku których do władzy dochodzi Labour Party. Dla nowego premiera - Clementa Attlee'ego Indie nie stanowią już "klejnotu w koronie", lecz ognisko niepokoju, którego jak najprędzej trzeba się pozbyć. Do takiego wniosku dochodzi komisja ministerialna, którą Attlee niezwłocznie wysłał do Indii. Komisja proponuje bezwarunkowe oddanie Indii, przy przekazaniu władzy w ręce organów federacyjnych, przy czym rząd centralny byłby jedynie odpowiedzialny za politykę zagraniczną, obronność i komunikację.

Propozycje te są bardzo bliskie ideom Kongresu. Tym razem jednak muzułmanie stają okoniem. Gdy we wrześniu 1946 roku wicekról, marszałek polny Wavell mianuje Nehru szefem rządu tymczasowego, Liga Muzułmańska wzywa jawnie do otwartego oporu.

Gdy dotychczas walka Hindusów zwracała się wyłącznie przeciwko Brytyjczykom, to w tej chwili walka narodowowyzwoleńcza zmienia się w wojnę domową. W całym kraju dochodzi do masakr, czemu nie jest w stanie zapobiec ani rząd tymczasowy, ani słaba już administracja brytyjska.

Tylko Gandhi wie, co należy czynić. Piechotą przemierza tereny dotknięte najcięższym terrorem próbując pośredniczyć pomiędzy zwaśnionymi grupami etnicznymi. Tu i ówdzie nawet udaje mu się wydusić rozejmy. W tych dniach Indie potrzebowały niezliczonej ilości Gandhich.

Rząd Attlee'ego ponownie kapituluje pod naciskiem Hindusów. Nowy plan już nie wyklucza podziału kraju, do którego wysłany został nowy wicekról - Earl Mountbatten - ze zleceniem zachęcenia do tego planu obu skłóconych partii.

Wszystko zależało od negocjacyjnych talentów Mountbattena. Dla muzułmanów istniała tylko jedna alternatywa: podział lub wojna. Hindusi po pewnej zwłoce przychylają się do podziału. Plan podziału Indii oficjalnie przedstawiony zostaje przez Attlee'ego w Londynie 3 czerwca 1947 roku. Tylko samotny Gandhi pozostaje, niczym głos wołający na puszczy: "32 lata pracy poszły na marne". W końcu i on jako ostatni zrezygnował z koncepcji utrzymania jedności.

Mountbatten otrzymuje z Londynu wolną rękę tylko w jednej kwestii: wolno mu samodzielnie wyznaczyć datę brytyjskiego odejścia. A jego decyzja brzmi: "Tak szybko jak to tylko możliwe".

15 sierpnia 1947 roku - więc trochę ponad dwa miesiące po ogłoszeniu

podziału - trwające wieki brytyjskie panowanie w Indiach ma się zakończyć.

Dzień ten w New Delhi oraz w Karaczi - stolicy nowego państwa - Pakistanu obchodzony był jeszcze uroczyście - z salutami, armatami i fajerwerkami. Ale już w kilka dni później w niespotykanym do tej pory wymiarze wybucha wojna pomiędzy muzułmanami a Hindusami sprzymierzonymi z Sikhami. Brytyjczycy są w trakcie wyprowadzki, a nowe rządy nie potrafią opanować sytuacji.

Najcięższe zamieszki wybuchają pod koniec sierpnia w Kalkucie - największym "mieszanym" mieście Indii. Gandhi jest natychmiast na miejscu i ponownie grozi głodówką aż do śmierci, gdyby mordowanie się nie ustało. Jego groźba znajduje posłuch, jednak klimat zmienia się wyczuwalnie. Po raz pierwszy Gandhi obrzucony zostaje kamieniami.

Po Kalkucie najkrwawszym terenem jest podzielona między Indie a Pakistan prowincja Pendżab, na północy kraju. Tam nie tylko trwają cały czas masakry, ale dodatkowo dochodzi do prawdziwej wędrówki ludów. Hindusi przemieszczają się na Wschód, a muzułmanie na Zachód. Ponad 10,5 miliona ludzi traci swe domostwa.

Niecałe trzy tygodnie od ogłoszenia niepodległości nowy rząd Indii kapituluje przed przemocą. Lord Mountbatten - dotychczasowa nominalna głowa państwa - pośpiesznie wezwany zostaje do swej letniej rezydencji w Simli; po przybyciu do Delhi niepodległy rząd prosi go o przywództwo nad komisją stanu wyjątkowego. Tylko tak doświadczony żołnierz może opanować sytuację. Mountbatten jest zaskoczony, lecz przyjmuje oferowaną funkcję z pewnego rodzaju wewnętrzną satysfakcją. Hindusi tak długo walczyli o niepodległość, a teraz kiedy ją mają, potrzebują Brytyjczyka, by rozwiązał ich wewnętrzne konflikty.

Cudów wprawdzie nie potrafi robić, lecz dzięki skoncentrowanemu użyciu wszystkich stojących do dyspozycji sił zbrojnych - których okazało się żałośnie mało - Mountbattenowi udało się uzyskać kontrolę nad sytuacją. Kolumny uciekinierów wprawdzie nadal przemierzają kraj ze wschodu na zachód lub odwrotnie - w zależności od narodowości, ale są chronione przez lojalnych żołnierzy.

Gandhi również jest aktywny. Po opanowaniu sytuacji w Kalkucie wywnioskował, że jedynie jego osobista obecność może uzdrowić sytuację - postanowił piechotą przemierzyć Pendżab. Tym razem jednak dociera tylko do Delhi - i żywy już tego miasta nie opuści. Mahatma nie może zatrzymać się w dzielnicy nędzy, jak to zwykle praktykował, gdyż rejon ten jest przepełniony uciekinierami. Stosując delikatną przemoc Patel sprowadził go do willi jednego z najbogatszych ludzi w Indiach - C. D. Birli. Dom ten znajduje się przy Albuquerque Road - zwanej tak od imienia portugalskiego zdobywcy - i otoczony jest wysokim murem. Wydaje się, że tam Mahatma jest bezpieczny i hinduscy ministrowie oddychają z ulgą. Wiadomość o jego przybyciu lotem błyskawicy rozprzestrzeniła się po całym mieście. Przywódcy muzułmanów mają nadzieję, że będzie on w stanie uratować ich współwyznawców, jak to czynił w Kalkucie. I Gandhi przyrzeka im pozostać na razie w Delhi. Odwiedza obóz uchodźców, gdzie spędzeni są muzułmanie, lecz jego przyjęcie w żadnym razie nie wypada przyjaźnie, jak tego oczekiwali przywódcy.

Jeszcze silniej ujawnia się nieprzyjazna atmosfera wśród hinduskich ekstremistów, którzy nie chcą zrozumieć, czemu Mahatma tak wstawia się za muzułmanami, podczas gdy Hindusi są mordowani w Pakistanie.

Mimo gróźb Gandhi nadal obstaje przy publicznych godzinnych modłach odprawianych w ogrodzie willi. Po raz pierwszy spośród własnych szeregów dobiega go: "Gandhi murdabad" - precz z Gandhim.

Mahatma wprawdzie ignoruje te okrzyki, lecz Nehru i Patel doskonale wiedzą, z którego kąta je słychać: od ekstremistycznej hinduskiej organizacji R.S.S.S., która jeszcze w czasach kolonialnych przeprowadzała terrorystyczne ataki na muzułmanów. Teraz radykałowie głęboko wierzą, że nadeszła ich godzina. Z jednej strony ich "cienkie" do tej pory szeregi zaludniły się zgorzkniałymi i wypełnionymi

nienawiścią uciekinierami, z drugiej strony, jak twierdzili, po opuszczeniu Indii przez Brytyjczyków jedynie niewielu polityków stało im na drodze do realizacji ich aspiracji - przepędzenia z kraju wszystkich muzułmanów. Tymi politykami byli - Nehru, Patel a przede wszystkim Gandhi - "fałszywy prorok".

Spisek przeciwko Gandhiemu aż do jego korzeni prześledziło dwoje dziennikarzy - Larry Collins i Dominique Lapierre w znakomitej książce pod tytułem "O północy - wolność".

A pierwociny spisku sięgały miasta Poona - byłej letniej rezydencji brytyjskich prominentów. Tam 1 listopada 1947 roku miejscowy lider młodzieżowej organizacji R.S.S.S. zaprosił hinduskich notabli do swej "redakcji i drukarni" - którą właściwie była obrzydliwa szopa - z okazji powołania do życia nowego czasopisma. Lider ów, Nathuram Godse, opisany przez współczesnych jako fanatyczny asceta - z jedną tylko słabością - do dobrze zaparzonej kawy.

Między obecnymi znajdował się również partner Godsego - 34-letni Narajan Apte figurujący w czasopiśmie jako wydawca. W odróżnieniu od pięć lat starszego nieśmiałego Godsego Apte był bardziej typem "machera". Miał słabostkę do płci odmiennej i angielskiej odzieży, a także, jeśli można wierzyć gazetom, maczał palce we wszystkich legalnych i nielegalnych interesach prowadzonych w Poonie.

Ich działalność nie uszła uwagi hinduskiej policji. Od dnia uzyskania niepodległości byli pod dyskretną obserwacją. Czuwanie nad ekstremistami nie jest jednak nieustanne, ponieważ w trakcie krwawych bóli porodowych wolności służby bezpieczeństwa są bardziej potrzebne w ważniejszych dziedzinach.

Małe święto z 1 listopada Apte otworzył referatem na temat "błogosławionej działalności" swojej gazety. Potem Godse wygłasza płomienną mowę zakończoną pełnym nienawiści wybuchem przeciwko Gandhiemu. "Jak długo " - rzucił pytanie - "będziemy musieli to jeszcze znosić?"

Mówca pełnym skromności gestem oddalił aplauz gości, gdyż - jak stwierdził - niepowinno się oklaskiwać jego, lecz człowieka, którego jego kompan Apte przedstawił jedynie na filmie: Veera Savarkara, niekoronowanego króla hinduskich ekstremistów, ultrasa, który od lat potępiał kierownictwo Kongresu jako bandę kolaboracjonistów. Savarkar, którego zwolennicy zwą "Dzielnym" jest przywódcą Hindu Rasztra Dal - terrorystycznego ugrupowania w łonie R.S.S.S. Prócz tego jest homoseksualistą i narkomanem. Wszyscy członkowie Hindu Rasztra Dal pochodzą z kasty braminów i składali przysięgę na posłuszeństwo Savarkarowi.

Ich interesom ma teraz służyć gazeta Godsego - "Hindu Rasztra"- jako tuba głosowa, gdyż Savarkar przekazał na jej rozruch 15000 rupii - wówczas znaczną sumę.

Po wyświetleniu filmu goście się rozchodzą. Tylko jeden pozostaje zajmując Godsego intensywną rozmową. Również on jest notowany na policji - jest to Wiszu Karkare, właściciel schroniska w Ahmednagarze koło Bombaju, od dawna podejrzewany o czynne sprzyjanie oraz przechowywanie terrorystów.

Wprawdzie szpicel policyjny obserwował rozmowę Godsego z Karkarem,jednak nie słysząc treści nie mógł podejrzewać, że knują oni spisek przeciwko Mahatmie. Tylko jednego brakowało spiskowcom - broni potrzebnej do dokonania zbrodni. I mimo że brzmi to paradoksalnie w tym kraju nawiedzonym od dłuższego czasu wojną domową broń była towarem deficytowym. Do zabijania wystarczały szable i lance, w razie potrzeby nawet pałki. Ale takimi środkami mordercy nie zdołaliby zgładzić Gandhiego, nawet gdy bez żadnej ochrony, jak to miał w zwyczaju, wtapiał się w tłum.

Ale Apte znał rozwiązanie. Od czegóż jego długoletnie kontakty ze światem przestępczym? Zna człowieka, który im z pewnością będzie w stanie pomóc - Dagimbra Badge'a, małego szefa w hierarchii bombaskiego

półświatka. Policja łapała go już trzydziestosiedmiokrotnie na przeróżnych wykroczeniach, lecz tylko raz został skazany na 40 dni odsiadki. W tej chwili policja znów go prześladowała. Z tego powodu funkcjonował w przebraniu "świętego męża" i wykorzystywał przy okazji księgarnię jako zasłonę dla kwitnącego sklepu z bronią. Przy okazji mógł również zaoferować cieszące się dużym powodzeniem kamizelki kuloodporne, produkowane we własnym zakresie przez niego i jego ojca.

Do tego człowieka zwrócił się Apte. Potrzebuje pistoletów, granatów ręcznych i bawełny strzelniczej. Badge potrząsnął głową. Tak cennego towaru nie ma na składzie. Ale do końca grudnia mógłby załatwić. Nie mógł przecież dopuścić, by umknął mu tak duży interes. W sumie hinduscy ekstremiści byli jego najlepszymi klientami, chociaż, co musiał ze smutkiem przyznać, ogólnie panujące bezprawie negatywnie wpływało na jego interesy.

Nie pytał Aptego, po co mu broń. Pewnych rzeczy lepiej było nie wiedzieć. Czy Gandhi przeczuwał spisek knuty przeciw niemu? Konkretów zapewne nie, lecz w ostatnich tygodniach życia był pełen przeczuć śmierci. Chciał wypełnić jeszcze tylko jedną wielką misję: podróż do Pakistanu celem odbycia rozmów z Jinnahem, teraz generalnym gubernatorem Pakistanu.

Jego doradcy uważali, iż podróż taka stanowi zagrożenie dla jego życia, lecz Gandhi odpowiadał tylko: "Moje życie jest w ręku Boga". Zamierzał jednak zostać w Delhi do czasu ustanowienia tu pokoju. A tu właśnie czyhało niebezpieczeństwo.

Gdy żaden z jego apeli nie poskutkował, sięgnął do ostatniej posiadanej przez siebie broni - głodówki aż do śmierci. 13 stycznia przerwał przyjmowanie pokarmów, jednak tym razem nie nastąpiła zwykła reakcja. Jego rodacy byli już przyzwyczajeni do niezawisłości, a ponieważ ilość masakr i tak znacznie się zmniejszyła, nie widzieli już potrzeby dramatycznych gestów. Tu i ówdzie padały nawet uwagi: "Dajcie mu umrzeć".

Dla Aptego i Godsego wiadomość o głodówce Gandhiego, która dotarła do nich redakcyjnym dalekopisem "Hindu Rasztra", stanowi wyzwanie. Ich plany przybrały już konkretne formy, a teraz nie pozostaje im zbyt wiele czasu. Gandhi nie może zagłodzić się na śmierć. Musi umrzeć gwałtownie.

Tymczasem do tria spiskowców - Godsego, Aptego i Karkary - dołączył Madanlal Pahwa, uciekinier z Pakistanu, dysponujący już terrorystycznymi doświadczeniami. I cała czwórka może beztrosko szlifować plan zamordowania Gandhiego - policja zawiesiła inwigilację ekstremistów.

Ich kolejnym krokiem jest odwiedzenie handlarza bronią, Badge'a. A ten postarał się spełnić obietnicę. Przed spiskowcami wykłada obfitą kolekcję, składającą się z granatów ręcznych, detonatorów, spłonek i bawełny strzelniczej. Brakuje jeszcze tylko pistoletu automatycznego, ale i ten fałszywy "sadhu" podejmuje się zdobyć. Następne spotkanie zamachowców zostaje wyznaczone na 14 stycznia w kwaterze głównej hinduskiej ekstremy w Bombaju.

W rodzinnej Poonie Godsemu przed spełnieniem swego, godnego Herostratesa, czynu pozostaje jeszcze tylko jedno: przepisuje swe polisy ubezpieczenia na życie - jedną na imię żony swego brata, Gopala - który zresztą też już jest zamieszany w spisek, tyle że marginalnie, drugą zaś na żonę swego przyjaciela Aptego. W tym właśnie leży różnica w nastawieniu obu głównych sprawców. Podczas gdy Godse rozliczył się już ze swoim życiem, Apte jest przekonany, że wyjdzie z tego bez szwanku.

Zgodnie z umową spiskowcy spotykają się w "Savarkar Sadan", centrali "Towarzystwa Wielkohinduskiego". Również handlarz Badge przychodzi na spotkanie, w przebraniu wędrownego muzykanta, przynosząc pistolet ukryty w bębenku - tyle że jest to bardzo stary model. Godsemu w pierwszym rzędzie zależy, by dla przedsięwzięcia uzyskać błogosławieńwo Sarvarkara, jego życzenie szybko zostaje spełnione. "Uczniowie" całują stopy "nauczyciela" i są wolni - mogą odejść do swego zadania.

W ostatniej chwili czterej spiskowcy postanawiają wziąć ze sobą do

Delhi również Badge'a. Jako ekspert od materiałów wybuchowych może istotnie być przydatny do wykonania zadania, zostaje więc wtajemniczony. Uspokaja żółtodziobów - posiadanym materiałem wybuchowym można by wysadzić w powietrze nie tylko Gandhiego, ale również Nehru i innych zdrajców.

Pahwa i Karkare zostają wysłani do Delhi pociągiem. Badge i Gopal Godse mają podążyć za nimi po dwu dniach. Ten ostatni, biorący do tej pory jedynie marginalny udział w spisku, stał się kluczową figurą - nabył mianowicie od jakiegoś żołnierza sprawny wojskowy pistolet.

Apte i Godse, zgodnie ze swą godnością, lecą do Delhi samolotem. W tym czasie jeszcze nie są świadomi, że podczas ich przyjazdu stan zdrowia Gandhiego znacznie się pogorszył - lekarze liczą się nawet z jego śmiercią. Co godzinę All India Radio przekazuje z willi komunikaty lekarskie.

Świadomość, że Gandhi rzeczywiście jest gotów do zagłodzenia się na śmierć, doprowadza do zmiany nastrojów. Tysiące uciekinierów z Pakistanu, skandujący jeszcze niedawno "Gandhi murdabad", podpisuje teraz oświadczenie, wzywające do powrotu do swych domów muzułmanów zbiegłych z Indii do Pakistanu. Gandhi jednak nie chce zadowolić się krótkotrwałym pokojem. Formułuje siedmiopunktowy program, który muusi zostać podpisany przez przywódców wszystkich ważnych organizacji politycznych, i dopiero wtedy zamierza przerwać głodówkę.

Po dwu dniach podpisali program wszyscy prócz przywódców R.S.S.S. To Gandhiemu nie wystarcza. Wszyscy muszą podpisać. Po tym oświadczeniu traci przytomność. Teraz i ekstremiści dają swą zgodę i podpis. Potem wszyscy - od pakistańskiego wysokiego komisarza po przywódcę Towarzystwa Wielkohinduskiego - zbierają się przy posłaniu Gandhiego. Ktoś zimnym kompresem doprowadza go do przytomności. Mahatma wzywa wszystkich obecnych, by świętą przysięgą potwierdzili, że zrobią z Indii lepszy kraj. Obecni jednogłośnie odpowiadają: "Przysięgamy!"

Jeszcze raz Gandhi odniósł zwycięstwo i nawet Jinnah ogłasza publicznie, że jest gotów go przyjąć. Nikt nie przeczuwa, że jego czas już dobiega końca.

W tym czasie wszyscy spiskowcy znajdują się już w Delhi. Spotykają się w hotelu Marina przy Connaught Circus - handlowym centrum stolicy, gdzie Godse i Apte meldują się pod fałszywymi nazwiskami.

Postanawiają rozpocząć od rozpoznania terenu. Gopal Godse wziął już uprzednio udział w jednym ze spotkań modlitewnych i powrócił z alarmującymi doniesieniami na temat silnej straży. Wiadomość nie potwierdza się jednak, gdy cała czwórka dokonuje inspekcji ogrodu podczas trwania modlitwy - nie widać żadnego strażnika. Natomiast tuż za trybuną, gdzie rozstawiony jest mikrofon Gandhiego, stoi chatka najwyraźniej używana przez służbę domową jedynie sporadycznie. Jej dwa otwarte okna znajdują się jedynie o kilka metrów od siedziska Gandhiego. Apte decyduje, że Gopal Godse i Badge mają wkraść się do tej chatki i od tyłu zastrzelić Mahatmę. Jednocześnie inni, w celu odwrócenia uwagi tłumu, rzucą granaty ręczne. Teraz chodzi jeszcze o załatwienie kluczy do tej chatki. Za dziesięć rupii jeden ze służących zgadza się wpuścić spiskowców w każdej chwili, "by mogli z bliska wysłuchać mowy Gandhiego".

Cała akcja ma się odbyć już następnego dnia, lecz raz jeszcze los czuwa nad Gandhim. Po pierwsze spiskowcy spóźniają się na miejsce. A potem już spotykają ich same niepowodzenia. Badge wzbrania się przed wejściem do chaty, ponieważ służący z kluczem jest jednooki. Jest to zły omen i nic nie jest w stanie przeprowadzić go przez próg. Gopal musi więc działać dalej samodzielnie, lecz już w chacie stwierdza, że okna położone są wysoko ponad jego głową. Ziemia dookoła jest bowiem znacznie wyżej niż klepisko w chatce. Nie może więc przez okno celnie strzelać, ani nawet pokusić się o rzut granatem.

Jedynym, który trzyma się planu jest Mandanlal Pahwa. Przerzuca przez mur bombę, podczas gdy Godse, Apte i Karkare czekają na otwartym placyku

bezpośrednio przed willą. Ma to umożliwić Gopalowi i Badge'owi zabicie Mahatmy oraz dopomóc w ucieczce. Jednak Badge'a nie ma w umówionym miejscu, Gopal zaś z przyczyn wyżej opisanych nie może działać. Ponieważ w wyniku wybuchu bomby nikt nie został poszkodowany, tłum rychło się uspokaja. Mordercze trio stojące przed willą traci odwagę. Cichcem umykają, przy odjeździe widząc jeszcze, jak Pahwa zostaje pojmany przez policję.

Zamach wygląda na udaremniony. Przed spiskowcami stoi jedno jedyne pytanie: "Czy Pahwa będzie sypał?" Pahwa milczy, przynajmniej tak długo, dopóki - jak sądzi - koledzy zniknęli w bezpiecznym miejscu. A potem próbuje sprowadzić policję na fałszywe tropy zagmatwanymi zeznaniami. Przy konsekwentnie przeprowadzonym śledztwie w ciągu stosunkowo krótkiego czasu wszyscy zamachowcy powinni znaleźć się za kratkami, zwłaszcza że tylko Badge uciekł z Delhi - pozostali nadal znajdują się w hinduskiej stolicy. Jednak działania przeciw spiskowcom, rozpoczęte z wielką energią, wkrótce tracą na sile. Może dlatego, że ślady prowadziły do tak ważnej osobistości, jaką był Savarkar? Są to mętne wody, w których funkcjonariusze policji wolą raczej nie łowić.

Po zamachu policjanci próbują przekonać Gandhiego o konieczności wprowadzenia ostrzejszych środków bezpieczeństwa. I podobnie jak zawsze w przeszłości, trafają na kategoryczną odmowę: "Bóg jest moją jedyną tarczą" - odpowiada molestowany Mahatma. Musi więc być strzeżony wbrew swej woli. Przy następnych modłach tuziny policjantów w cywilu mieszają się z tłumem wiernych. Przez kilka kolejnych dni nic się nie dzieje, wystarcza to hinduskiej policji do rozluźnienia ochrony.

W tydzień po nieudanym zamachu spiskowcy spotykają się na dworcu kolejowym w Thanat, niedaleko Bombaju. Wiedzą, że policja musi być już na ich tropie. Jeśli chcą uderzyć jeszcze raz, muszą się spieszyć. Nie mają tym razem czasu na szczegółowe zaplanowanie akcji, łącznie z manewrami odwracającymi uwagę czy drogami ucieczki. Uderzenie musi zostać zadane przez jednego, zdolnego do poświęcenia się sprawcę. Nathuram Godse oświadcza patetycznie: "Ja to uczynię".

Mimo wszystko będzie potrzebował pomocników. Karkare zostaje natychmiast odesłany do Delhi, Godse i Apte podążają za nim w kilka dni później.

30 stycznia wypada piątek - święty dzień muzułmanów. Tego dnia delhijscy muzułmanie, do niedawna drżący o swe życie, zapraszają Gandhiego do odwiedzenia wielkiego meczetu. Jest to ukoronowanie jego wielkiego dzieła pojednania.

Trzej spiskowcy znajdują się tego dnia w wyjątkowo ekstatycznych nastrojach. Już o 7 rano spotykają się w pokoju Godsego, który tym razem zameldował się pod fałszywym nazwiskiem w delhijskim hotelu dworcowym. Dyskutują, w jaki sposób najbezpieczniej przeszmuglować pistolet do ogrodu willi Birli. W końcu decydują się nabyć na bazarze wysłużony mundur khaki, zaopatrzony w olbrzymie kieszenie. W jednej z nich można śmiało ukryć pistolet tak, by nawet jego zarys nie był widoczny z zewnątrz. Potem udają się do świątyni Lakszmi-Narajan, by ofiarować kilka monet przed posążkiem Kali - bogini śmierci, w intencji powodzenia zamachu.

Potem Karkare skubie zatopionego w myślach Godsego - "Nathuram, już czas". Jest piąta po południu.

Willa zwana Birla-House nie jest zbytnio oddalona. Bez żadnej kontroli przedostają się przez bramę wejściową. Apte i Karkare torują Godsemu drogę aż do skraju platformy modlitewnej. W końcu fanatyczny morderca stoi oddalony tylko o dwa metry od miejsca, które ma zająć Gandhi.

Lecz Mahatma spóźnia się tego wieczora. Spiskowcy zaczynają się już nawet niepokoić, czy w ogóle się zjawi. W końcu "wielka dusza" pojawia się. Ponieważ jest spóźniony, postanawia przejść bezpośrednio środkiem trawnika. Tłum rozdziela się na dwie części, Gandhi kroczy środkiem i nagle Godse widzi go tuż koło siebie. Wyciąga z kieszeni pistolet i ukrywając go pomiędzy ręką a rękawem koszuli, występuje z tłumu i kłania

się: "Namaste Gandhii". Manu, jedna z adeptek Gandhiego, chce go łagodnie odsunąć na bok, lecz w tym momencie Godse wyszarpuje swą lewą rękę do przodu i trzy razy naciska spust. Wszystkie strzały trafiają w nagą pierś Gandhiego, który pomału osuwając się ku ziemi, zdążył jeszcze wyrzec swe ostatnie słowa: "He-Ram - O, Boże.

Godse zostaje pochwycony na miejscu. Policji nie chodzi początkowo o ustalenie jego tożsamości, lecz o wyznanie religijne. Gdy okazuje się, że jest hinduistą, wszyscy mimowolnie oddychają z ulgą. Gdyby zabójcą był muzułmanin, wywołałoby to bezprzykładną masakrę ludności tego wyznania w całych Indiach.

Dopiero po zamachu długo wstrzymywane śledztwo nabiera rozmachu. Nathuram Godse milczy uporczywie, mimo to w ciągu tygodnia wszyscy spiskowcy siedzą za kratkami. Również Veer Savarkar.

Proces przeciwko zamachowcom rozpoczyna się 27 maja 1948 roku i trwa bardzo krótko, gdyż na koronnego świadka zgłosił się Digamber Badge, uchodząc w ten sposób policyjnemu pościgowi. Nathuram Godse i Narajan Apte zostają skazani na śmierć. Pozostali otrzymują kary długoletniego więzienia. Jedynie Veer Savarkar zostaje uniewinniony z braku dostatecznych dowodów. Strach władz przed jego współwyznawcami okazał się zbyt silny.

Podczas gdy Godse z fatalistycznym spokojem przyjmował swój los, Apte do końca liczył na jakiś ratujący go cud, gdyż horoskop przepowiadał mu długie życie. Załamał się dopiero w miejscu kaźni - głowę musiano mu siłą wtykać w pętlę. Pozostali skazani zostali wypuszczeni na wolność w latach sześćdziesiątych - niektórzy z nich jeszcze żyją.

Dla Indii - kraju, któremu poświęcił się Gandhi - jego śmierć stanowi swoistą cezurę. Z jednej strony szok po zabiciu Gandhiego zakończył epokę rozruchów, przelewu krwi na tle narodowościowo-religijnym. Z drugiej strony, wraz z jego ciałem spopielono pretensje Indii do bycia krajem szczególnego rodzaju.

Mahatma nie był jednak jedynym Gandhim, który padł w New Delhi ofiarą skrytobójczej kuli. Gdy najbliżsi krewni "wielkiej duszy" nad brzegiem rzeki Jummy podpalają stos z jego doczesną powłoką, poniżej, obok imponującej postaci Jawaharlala Nehru, stoi delikatna, młoda kobieta, nosząca nie całkiem prawnie nazwisko zmarłego. Indira Gandhi, córka premiera Nehru, nie jest bowiem krewną Mahatmy. W latach trzydziestych wyszła za mąż za parsa (wyznawcę staroperskiej religii Zaratustry) nazwiskiem Firuz Ghandy, zmieniając pisownię nazwiska na bardziej spektakularną przy swoim starcie w politykę. Małżeństwo córki z wyznawcą innej religii było dla starego bramina Nehru ciężkim ciosem. Publicznie jednak nie ustosunkował się do tego tematu, a związek Indiry w końcu okazał się dla jego opinii reformatora pozytywny.

Indira urodziła mężowi dwu synów, kończąc na tym życie rodzinne poświęciła się wyłącznie polityce. Towarzyszyła swemu ojcu do więzienia, a po jego nominacji na stanowisko premiera zawłaszczyła rolę "first lady", co bardzo ukłuło jej ciotkę, Lakszmi Pandit, która przynajmniej za granicami próbowała odebrać jej tę funkcję.

Nehru umarł w 1964 roku, lecz czas jeszcze nie dojrzał dla Indiry. Szefowie Kongresu mianowali skromnego Lala Bahadura Szastri szefem rządu i dopiero wraz z jego śmiercią - w 1966 roku, podczas wizyty w Związku Radzieckim - wybija jej wielka godzina. Nie dlatego, by Kongres uważał ją za najlepszą kandydatkę - czołowi politycy pragnęli bowiem zapobiec wzlotowi ostatniego z wielkich, pamiętających walkę o niepodległość, Morarii Desaia.

Weterani Kongresu już wkrótce gorzko żałowali swej decyzji. Indira wcale nie była "mniejszym złem" - z całą energią występuje przeciw swym kolegom. Wkrótce zupełnie otwarcie nazywa się ją "jedynym mężczyzną w rządzie". Inna rzecz, że rząd skompletowała sobie raczej ze słabszych osobistości.

Swe pierwsze wybory jako szef rządu Indira wygrywa z łatwością. Potem jednak jej styl rządzenia coraz bardziej nabiera cech autorytarnych.

Szczególnie przy próbach wypracowania swemu synowi, Sanjayowi, pozycji "następcy tronu" nie dba o jakiekolwiek sprzeciwy czy protesty. A właśnie Sanjay przy dyskusyjnych problemach opowiada się zwykle za rozwiązaniami radykalnymi. Wynikiem takiego postępowania jest narastający opór, który Indira i Sanjay przełamują w 1975 roku, ogłaszając stan wyjątkowy.

Już wkrótce szefowa rządu jest przekonana, że lud zrozumiał konieczność stosowania drastycznych środków i że w demokratyczny sposób uzyska jego poparcie. Jest to ciężki błąd: w wyborach z 1977 roku Indira doznaje miażdżącej klęski.

I gdy wygląda na to, że córka Nehru jest już skończona jako polityk, z zupełnie nieoczekiwanej strony przychodzi pomoc. Starzy politycy, którzy wchodzą na jej miejsce, okazują się zupełnie niesprawni. Następca Indiry, Morarji Desai, po krótkich wewnętrznych sporach ustępuje, a opozycja polityczna, zjednoczona uprzednio jednym celem - obaleniem Indiry - kompletnie się rozpada. Po wyborach w 1980 roku Indira triumfalnie powraca na stanowisko premiera.

Jednak nie ma szczęścia bez goryczy - wkrótce po powrocie na scenę polityczną dosięga ją ciężki osobisty cios. Jej najukochańszy syn, Sanjay, ginie podczas wypadku lotniczego. Jego starszy brat, Rajiv - okazujący do tej pory kompletny brak zainteresowania polityką, musi zapełnić lukę.

Do kłopotów natury osobistej wkrótce dołączają również kłopoty polityczne, Indira podejmuje bowiem problemy, które jej poprzednicy starali się jedynie tuszować. Głównie chodzi o skomplikowany stosunek do wspólnoty religijnej Sikhów. W krwawych walkach narodowowyzwoleńczych roku 1947 członkowie tej wojowniczej sekty opowiedzieli się po stronie Hindusów. Ich postawa nie mogła jednak zapobiec podziałowi ich bezpośredniej ojczyzny - prowincji Pendżab.

W pozostałym przy Indiach Pendżabie Wschodnim dochodzi do gwałtownego zróżnicowania pomiędzy miejscowymi Hindusami a żyjącymi na o wiele wyższym poziomie Sikhami. Ci ostatni w końcu przeprowadzają kolejny podział. Uzyskują faktyczną kontrolę nad "nową" prowincją Pendżab, podczas gdy tereny zdominowane przez Hindusów tworzą odrębną prowincję - Haryana.

Wkrótce dochodzi do kolejnej konfrontacji - tym razem o sztucznie utworzoną stolicę, Chanigarh. Stara metropolia, Lahore, leży bowiem w Pakistanie. Po wydzieleniu z Indii Pakistanu i utracie Lahore, Nehru zlecił słynnemu architektowi Le Corbusierowi zaprojektowanie nowej stolicy prowincji - właśnie tak powstało Chanigarh. Po drugim podziale Pendżabu Chanigarh ma służyć obu prowincjom jako wspólna stolica. Brzmi to bardzo prosto, lecz Sikhowie nie chcą się tym zadowolić.

Początkowo Indira nie przypisuje temu konfliktowi zbyt dużego znaczenia - w końcu w Chanigarh siedzi rząd sikhijski, sprzymierzony z wielką partią - Kongresem. Przez to nie zauważa, że postawa Sikhów staje się coraz bardziej radykalna. Proces radykalizacji postępuje, aż pewna mniejszościowa grupa żąda utworzenia niepodległego sikhijskiego państwa - Khalistanu.

Przy pierwszych sikhijskich zamachach terrorystycznych rząd reaguje ostro. Wojsko wychodzi na ulice - w reakcji na to sikhijscy ekstreniści wraz ze swym wodzem, Jarnail Sirgh Bhindranwale Singhiem chronią się w Złotej Świątyni w Amritsarze - największej sikhijskiej świętości, by zorganizować kontruderzenie. Indira zwleka długo, lecz w końcu decyduje się na krok, na który nie poważył się do tej pory żaden z jej poprzedników. Poleca szturm na Złotą Świątynię. Świętość zostaje mocno uszkodzona, zaś pomiędzy prawie tysiącem zabitych znajduje się również Bhindranwale.

W ten sposób osoba Indiry stała się głównym celem ekstremistów. Szefowa rządu nadal jednak uważa, że większość wspólnoty sikhijskiej stoi po jej stronie, dlatego między innymi wzbrania się przed usunięciem Sikhów ze swej gwardii przybocznej.

30 października 1984 roku, jak co dzień, pani premier opuszcza swą rezydencję, by udać się do swego biura. Przy opuszczaniu willi jeden z ochroniarzy podchodzi do niej, pozdrawiając tradycyjnym "Namaste". Indira chce mu podziękować, jej reakcja jest jednak zbyt wolna - on i jeszcze jeden Sikh otwierają ogień. Pani premier pada na miejscu trupem.

Jeden z morderców, Beant Singh, zostaje na miejscu zastrzelony przez innych gwardzistów, drugi, Sawant Singh, aresztowany. W efekcie końcowym w policyjnym areszcie znajduje się o wiele więcej Sikhów, jednak udowodnienie istnienia większego spisku okazuje się niemożliwe.

Reakcją na śmierć Indiry jest fala przemocy. Jednak oczekiwany chaos nie następuje. Zaskakująco szybko "następca tronu", Rajiv Gandhi, obejmuje władzę, wygrywając również następne wybory z przygniatającą przewagą. W ten sposób czysto polityczna część przejęcia władzy zostaje oficjalnie potwierdzona. W końcu w lipcu 1985 roku Rajiv Gandhi podpisuje "układ pokojowy" z umiarkowaną większością Sikhów. W odwecie przywódca umiarkowanych, Harchand Longowal Singh, zostaje zamordowany przez ekstremistów. Ale nienawiść przyszła z innej strony, ze strony Tamilskich Tygrysów. Bomba przez nich przygotowana i wręczona w kwietnych girlandach rozerwała w 1991 roku Rajiva Gandhiego.

* * *

Nad brzegiem rzeki Jummy, na skarpie przed wyniosłymi murami delhijskiego Czerwonego Fortu stoi duży, kwadratowy pomnik-grobowiec z ciemnego marmuru. Wygląda prawie jak platforma czy podium. I dokładnie to ma przedstawiać. Ma przypominać to podium, na którym przed więcej niż czterdziestu laty spopielono na stosie z sandałowego drewna doczesne szczątki Mahatmy Gandhiego.

Odwiedzenie tego miejsca pamięci narodowej stało się dla wszystkich - bardziej czy mniej dostojnych gości hinduskiej stolicy - niemalże "ćwiczeniem obowiązkowym". Gospodarze przygotowują też każdorazowo girlandę z kolorowych kwiatów, którą odwiedzający mają złożyć na cenotafie, nad jedyną inskrypcją - wyrytymi w sanskrycie słowami "He Ram" - O, Boże - ostatnimi słowami Mahatmy Gandhiego.

Cytat ten wprowadza współczesnych spadkobierców Gandhiego w pewnego rodzaju konflikt sumień. "W zasadzie On nie wierzył wcale w Boga" - twierdzą dziś hinduscy intelektualiści. Nie jest to jednak istotne, gdy patrzy się na historyczne znaczenie tej wybitnej postaci.

Niedaleko od cenotafu Gandhiego wznosi się druga - dużo skromniejsza platforma - w miejscu, gdzie spopielone zostały zwłoki Jawaharlala Nehru, pierwszego premiera niepodległych Indii.

A na początku 1985 roku kamieniarze pracowali nad kolejnym marmurowym kwadratem w obrębie tego miejsca - dla Indiry Gandhi, której śmiertelna powłoka została tu w listopadzie 1984 roku spopielona po brutalnym jej zamordowaniu.

Symbolika tego nietypowego cmentarza i fakt, że z trojga najwybitniejszych postaci XX-wiecznych Indii dwoje musiało gwałtownie pożegnać się z życiem, jest jasna. Od Gandhiego do Gandhi rozciąga się najnowsza historia Indii, od "wielkiej duszy" do stalowej realistki zwanej też "żelaznym motylem".

Jasnym jest również dylemat, z którym konfrontowane są państwa postkolonialne. W czasie panowania kolonialistów był tylko jeden wróg biały pan wraz ze swoim sługusem. Wraz z wypędzeniem władz kolonialnych sprawy się komplikują i wspólny wróg już nie jednoczy.

Pojawiają się nowe antagonizmy - natury religijnej i etnicznej.

Pomniki nie mają za zadanie przypominać jedynie o zmarłych. Wskazują również na to, że wyzwoleni są w stanie zniszczyć swoich wyzwolicieli.

GABRIEL NARUTOWICZ (1865 - 1922)

"Od kiedy Polska Polską, nie było u nas zbrodni, jaka się w tych dniach dokonała" - zabójstwo prezydenta Narutowicza

Dnia 5 listopada 1922 roku w Rzeczypospolitej przeprowadzono wybory do Sejmu i Senatu. Po raz pierwszy od chwili odzyskania niepodległości można było spokojnie, bez zagrożenia z zewnątrz zająć się sprawami państwa, jego ustroju i przyszłości. Wyborów dokonywano w oparciu o nowo uchwaloną ustawę zasadniczą - Konstytucję Marcową. Żaden z bloków wyborczych nie zdobył decydującej przewagi, głosy uległy rozbiciu. Prawica uzyskała 29% ogółu oddanych głosów, centrum 23%, lewica blisko 25%, reprezentanci mniejszości narodowych ponad 21,5%. Tak więc żadne ugrupowanie, podobnie jak to miało miejsce w Sejmie Ustawodawczym, nie było zdolne samodzielnie stworzyć silnego gabinetu; musiały one zabiegać o tworzenie koalicji. Podobny układ sił zaistniał i w Senacie, choć tam prawica miała nieznaczną przewagę. Porozumienie, jakie zawarło kierownictwo PSL "Piast" z liderami prawicowego Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej, przesądziło o obsadzeniu stanowisk marszałka Sejmu przez Macieja Rataja, zaś Senatu przez byłego marszałka Sejmu Ustawodawczego, Wojciecha Trąmpczyńskiego. Ciekawie zapowiadała się walka o urząd prezydencki. Większość zwracała swe oczy na Piłsudskiego, zaś prawica poddała Naczelnika Państwa i blok mniejszości narodowych niewybrednym atakom. Rzucono hasło stworzenia rządów tzw. polskiej większości. Szansa na stworzenie koalicji dwóch największych partii chłopskich, "Piasta" i "Wyzwolenia", została przekreślona przez liderów tego ostatniego ugrupowania. Kandydaturę Marszałka wysunęli działacze PSL "Piast", opowiadając się tym samym za współpracą zarówno z nim, jak i z lewicą. Ku zaskoczeniu wszystkich, Piłsudski, usprawiedliwiając swe stanowisko niewielkimi kompetencjami głowy państwa, w dniu 5 grudnia odmówił kandydowania, lansując kandydaturę wójta z Wierzchosławic. Nieustępliwe w swej negacji stanowisko działaczy "Wyzwolenia" zmieniło bieg wypadków. Marszałek Maciej Rataj zwołał członków obu izb w celu dokonania wyboru prezydenta Rzeczypospolitej. Zgłoszono pięć nazwisk. Kandydatem prawicy został hr. Maurycy Zamoyski, "Piasta", popierany przez Marszałka, Stanisław Wojciechowski, PPS - Ignacy Daszyński, bloku mniejszości prof. Jan Baudouin de Courtenay, PSL "Wyzwolenie" - prof Gabriel Narutowicz. Pierwsza tura głosowania nie przyniosła rozstrzygnięcia. Zamoyski otrzymał 222 głosy, Wojciechowski 105, Courtenay 103, Narutowicz 62, Daszyński 47. Aby zwyciężyć, trzeba było mieć absolutną większość, która wynosiła 271 głosów. Podobny był przebieg trzech dalszych głosowań. Kolejno odpadali tylko ci, którzy zdobyli najmniej głosów. Do piątej, rozstrzygającej tury zakwalifikowali się jedynie Zamoyski i Narutowicz. Układ sił był klarowny, rozkład głosów łatwy do odgadnięcia. Wszystko zależało od postawy posłów z klubu "Piasta". W zaistniałej sytuacji oddanie przez chłopskich reprezentantów głosów na ordynata, największego posiadacza ziemi w Polsce, zostałoby źle odczytane przez elektorat wiejski. Endecy wykazali dużo energii, próbowali zerwać obrady, a gdy to się nie udało, chcieli zmusić przedstawicieli mniejszości narodowych, by głosowali na Zamoyskiego bądź nie uczestniczyli w wyborze prezydenta. Narutowicz zdobył 289 głosów, Zamoyski 227, 29 głosów unieważniono. Wynik wyborów zaskoczył prawicę.

Natychmiast po wyborze działacze skupieni wokół CZZJN opublikowali wspólną odezwę, atakując prezydenta. Z góry wykluczyli wszelką z nim współpracę, zapowiedzieli odmowę współpracy z jakimkolwiek powołanym przezeń rządem, gdyż uznano, że prezydent jest "narzucony przez obce narodowości: Żydów, Niemców i Ukraińców". Do ataku przystąpiła prasa. 10 grudnia 1922 roku w 337 numerze "Rzeczypospolitej" redaktor Stanisław Stroński, jeden z czołowych przedstawicieli endecji, opublikował artykuł pt. "Ich prezydent". Pisał w nim: "Obce narodowości, Żydzi, Niemcy i Ukraińcy głosami swymi w liczbie 103, dołączonymi do mniejszości głosów polskich w liczbie 186, narzuciły wczoraj większości polskiej w liczbie 256, mianowicie 227 za Maurycym Zamoyskim i 29 kartek białych, wybór p. Gabriela Narutowicza na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej". W tej samej gazecie nr 339 w dniu 11 grudnia Marian Gregorczyk w artykule pt. "Co dalej?" głosił: "Nie o osobę pana Narutowicza tu chodzi, ale o

sposób, w jaki został wybrany. Sposób ten, chociaż prawny i prawomocny, chociaż zgodny z Konstytucją, zawiera rzecz jedną, której zrozumieć, z którą pogodzić się nie może żaden Polak. O wyborze prezydenta rozstrzygnięto poza plecami Narodu Polskiego". Autor radził prezydentowi złożyć rezygnację. W podobnym tonie pisano w "Gazecie Warszawskiej" (nr 339 z 13 grudnia), "Gazecie Porannej 2 grosze", w "Kurierze Warszawskim". Najdalej w napaści na Majestat Rzeczypospolitej posunął się Stroński w artykule pt. "Zawada" ("Rzeczpospolita" nr 341 z 14 grudnia) pisząc: "Pan Narutowicz osobą swą zawalił drogę ku naprawie gospodarczej - skarbowej w państwie, która już przeświecała przed oczyma wśród otchłani rozstroju (...). Zawada jest skuteczna. Pierzchły widoki uzdrowienia gospodarczo-skarbowego i wzmocnienia stanowiska za granicą. Zamiast tego wynurza się po staremu pan Piłsudski. Naj bude jak buwało. To znaczy ta zawada".

Odsądzano Narutowicza od czci i wiary, odmawiano mu jakichkolwiek zasług. Senator Koskowski w artykule pt. "Pan Narutowicz" ("Kurier Warszawski" nr 339 z 10 grudnia) pisał: "Powołano na czoło Rzeczypospolitej człowieka, który nie posiada za sobą żadnych zasług patriotycznych, który nie reprezentuje ani doświadczenia politycznego, ani znajomości kraju, który pracował wśród nas od niedawna, a nieudolnie (...). Pan Narutowicz urodził się gdzieś na Żmudzi, kształcił się na Libawie czy w Mitawie, wcześnie wyjechał do Szwajcarii, tam został i zarobkował, do Polski przybył dwa lata temu. Do roku tedy 55 swego życia Polski nie znał zupełnie. Nie znał jej i nie pracował dla niej. Byli liczni Polacy zmuszeni wskutek warunków niewoli mieszkać za granicą. Wielu z nich zarobiło na dostojne imię kraju. Narutowicza wśród nich nie było". Tekst powyższy i jemu podobne korespondowały z okrzykami tłumów. Jak odnotował w swych pamiętnikach metropolita warszawski, arcybiskup Kakowski (cytuję teksty dotychczas nie publikowane), po ulicach krzyczano: "Wybraniec Żydów i Niemców, mason, liberał, bezwyznaniowiec, cudzoziemiec, zdrada!" Pocieszano się, że nie przyjmie wyboru, bo nie złoży przysięgi konstytucyjnej na Trójcę Świętą. Skoro dowiedziano się, że wybór przyjął i przysięgę gotów złożyć, podniecona nieopatrznie przez dzienniki, rozgorączkowana młodzież akademicka postanowiła nie dopuścić go do gmachu Sejmu dla złożenia przysięgi.

Dnia 9 i 10 grudnia protest przybrał inny charakter, w Warszawie doszło do ulicznych wystąpień. Na trasie przejazdu prezydenta ułożono barykady z ławek. W zajściach uaktywniła się zwłaszcza młodzież, nawet szkół średnich. Nie liczono się z powagą urzędu, który powinien być w największej czci i poważaniu. Uroczystość zaprzysiężenia wyznaczono na 11 grudnia. Opozycja postanowiła udaremnić prezydentowi-elektowi przybycie na posiedzenie Zgromadzenia Narodowego. Sądzono także, że przysięgę będzie odbierał metropolita, postanowiono i jego nie dopuścić do gmachu Sejmu. Kakowski jednak nie chciał, gdyż ceremoniał przewidywał jedynie składanie przysięgi. Pełniący funkcję premiera prof. Julian Nowak nie zarządził żadnych środków prewencyjnych, co więcej, w ostatniej chwili wycofał się z obowiązku towarzyszenia Narutowiczowi w odkrytym powozie, wyznaczając na swoje miejsce szefa protokołu MSZ, hr. Stefana Przeździeckiego. Jedynie Marszałek w wieczór poprzedzający uroczystość, to jest 10 grudnia, wyznaczył wzmocnioną ochronę powozu elekta. 11 grudnia, już około godziny 9 rano zaczęli się zbierać członkowie parlamentu. Wchodzący przynosili wieści, że na pl. Trzech Krzyży zbierają się tłumy, że wyloty ulic obstawia policja, że swoiste kordony ustawia "straż narodowa", dopuszczając do gmachu tylko przedstawicieli prawicy. Niepokój wzbudziło wejście Żyda, senatora Kowalskiego, który z pokrwawioną twarzą informował, że młodzież narodowa lży i bije przedstawicieli lewicy. Senatora Limanowskiego i posła Daszyńskiego uwięziono w jednej z bram przy placu, co wywołało konsternację socjalistów. Na jadącego prezydenta posypały się kamienie (jeden z nich przebił cylinder), grudy zmarzniętego błota i śniegu. Napastowano go okutymi żelazem kijami. Od napaści bronił prezydenta hr.

Przeździecki, zasłaniając go sobą, blady, wołał do atakujących: hańba! Prezydent mimo dużego guza na czole okazywał napastnikom twarz spokojną, niemal pogodną. Nie wziął nawet ze sobą broni. Jak wyznał wieczorem Marszałkowi: "Uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelałem bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić". Posłowie prawicy, z wyjątkiem Harusewicza, zbojkotowali posiedzenie, a i on siedząc w loży dziennikarskiej rzucił kilka obelżywych słów pod adresem elekta. Jego wystąpienie przyjęto gradem epitetów, toteż niezwłocznie opuścił salę. Wkrótce potem, choć z pewnym opóźnieniem, odbył się uroczysty akt zaprzysiężenia pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Narutowicz, przygnębiony i przybity, z mocą i spokojem wygłosił rotę przysięgi.

Przez blisko dwie godziny prezydent nie mógł opuścić sejmowego dziedzińca, gdyż przejazd był zatarasowany, a i droga nie była bezpieczna. Straży nie chciał argumentując, że "prezydent Polski z kozakami jeździć nie może". W kuluarach sejmowych wrzało. Przedstawiciele endecji, Głąbiński i Zdanowski, w rozmowie z przywódcą PSL "Wyzwolenie" Thuguttem dali wyraz swej bezsiły przyznając się, że nie panują nad ulicą. Minister spraw wewnętrznych stracił głowę, policja częściowo stanęła po stronie napastników. Godził i uspokajał Piłsudski. Na posiedzeniu konwentu seniorów uchwalono projekt odezwy skierowanej do mieszkańców Warszawy. Odezwa nigdy nie ujrzała światła dziennego, gdyż nie było zgody na wspólne jej sygnowanie. Aleksandra Piłsudska zaniepokojona sytuacją przybyła wieczorem z córkami prosić Narutowicza, aby przyjechał nocować w Belwederze, gdyż pobyt w Łazienkach, gdzie chwilowo mieszkał, uważała za niebezpieczny. Odmówił. Piłsudski zarządził więc wystawienie straży dookoła domu. Całą swoją gorycz wylał w rozmowie z Marszałkiem pytając: "Po co te brudy?". Rzucił na stół stos anonimów rojących się od pogróżek. Wyznał, że po tych kilku dniach zmienił swe zdanie o bezwzględności sądów Piłsudskiego. Mówił doń: "Ma pan rację, to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tym, kto karki im deptał i bił po pysku".

Przykład zachowania mieszkańców Warszawy zrobił swoje. Przeciw wyborowi protestowano i w innych miastach. Jak donosiła prasa, 12 grudnia w Kaliszu "(...) poważna część obywateli miasta na znak protestu przeciw wyborowi p. Narutowicza przez mniejszości narodowe wywiesiła czarne chorągwie".

W tak niesprzyjającej aurze rozpoczynał rządy pierwszy prezydent Odrodzonej, człowiek znany i ceniony na zachodzie Europy, który oddał się na usługi Ojczyzny. Jak się miały do prawdy słowa senatora Koskowkiego?

Narutowicz urodził się 17 marca 1865 roku w Teleszach na Żmudzi, w rodzinie ziemiańskiej. Ojciec, Jan Narutowicz, jako jeden z pierwszych na Litwie uwłaszczył chłopów. Wziął czynny udział w powstaniu 1863 roku. Tuż po zgonie męża, matka przyszłego prezydenta, Ewa z Krzyżanowskich, chroniąc syna przed zrusyfikowaną szkołą wywiozła go do Libawy. Po maturze Narutowicz wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny w Petersburgu. Zagrożony gruźlicą przerwał naukę i wyjechał na leczenie do Davos. Podleczywszy zdrowie podjął studia na politechnice w Zurichu, którą ukończył w 1890 roku. Utrzymywał kontakty z polską emigracją. Użyczył swych dokumentów działaczowi "Proletariatu", Aleksandrowi Dąbskiemu. Rzecz się wydała i nazwisko Narutowicza znalazło się na liście proskrypcyjnej rosyjskiej ochrany. Odciętą miał drogę powrotu. Przyjął na siebie los emigranta. Wśród jego znajomych byli wówczas: Feliks i Ignacy Daszyńscy, Zofia Poznańska, Hanna Billewicz, Zofia Kodis. Po studiach podjął pracę przy regulacji Renu. Osiągnięte wyniki zwróciły na niego uwagę najwybitniejszego specjalisty w tej dziedzinie, Kursternera, który w 1896 roku uczynił Narutowicza szefem swego biura, a następnie wspólnikiem. Zasłynął Narutowicz jako wybitny specjalista w dziedzinie budownictwa hydroenergetycznego. Budował szwajcarską sieć elektryczną i szereg elektrowni wodnych, w tym największą w Europie -

Muhlenberg koło Berna. W 1901 roku założył rodzinę. Ożenił się z Eugenią Krzyżanowską. Mieszkanie Narutowiczów stało się przystanią dla Polaków przebywających w Szwajcarii. Wśród częstych gości byli: Teodor Tomasz Jeż (płk Zygmunt Miłkowski), Wacław Berent, Ignacy Mościcki. W 1911 roku zrobił Narutowicz objazd Galicji, planując przyszłe wodne ujęcia. W czasie I wojny światowej wspierał poczynania Józefa Piłsudskiego, współdziałał z sienkiewiczowskim Komitetem Pomocy w Vevey. Choroba, a następnie śmierć żony uniemożliwiły mu natychmiastowy powrót do kraju; wrócił we wrześniu 1920 roku. W międzyczasie wzywany kilkakrotnie, przyjeżdżał do Polski służąc pomocą i radą. Po powrocie objął stanowisko ministra robót publicznych, a w maju 1922 roku został ministrem spraw zagranicznych, odnosząc znaczne sukcesy w okresie swych ministerialnych posług. Rozumiał i popierał poczynania Naczelnika Państwa, z którym oprócz przyjaźni związało go pokrewieństwo. W 1922 roku z listy Państwowego Zjednoczenia na Kresach kandydował na posła, lecz mandatu nie zdobył. Znacznym dlań zaskoczeniem było wysunięcie jego kandydatury przez klub PSL "Wyzwolenie" na prezydenta, tym bardziej że kandydatem Marszałka był Wincenty Witos. Niechętnie zaakceptował tę propozycję.

Przytoczony wcześniej materiał daje pewne przesłanki pozwalające zrozumieć mechanizm "nagonki" zorganizowanej na prezydenta. Niejako "odium", jakie towarzyszyło Naczelnikowi Państwa, spadło na Narutowicza. Ideologię, jak to widać choćby po wystąpieniu senatora Koskowskiego, czy wypowiedziach Strońskiego, dopasowano by do każdego innego człowieka, który znalazłby się na miejscu Narutowicza, a który nie reprezentowałby obozu prawicy. 10 grudnia prezydent otrzymał z Warszawy anonim, w którym znalazły się słowa: "(...) wobec wyboru p. ministra na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej głosami lewicy i mniejszości narodowych, bloku nam wrogiego, będąc przekonani, że p. minister będzie ugodowcem, będzie zmuszony wywdzięczyć się blokowi mniejszości (Żydom), że p. minister nie stworzy rządu o silnej ręce, rządu, że tak powiem, poznańskiego, wreszcie, że p. minister śmiał przyjąć ofiarowaną sobie kandydaturę, grozimy p. ministrowi jak najfanatyczniejszym mordem politycznym. Z poważaniem - polski faszysta". Dzień zaprzysiężenia "upamiętnił" podobny list wysłany z Wilna. Czytamy w nim między innymi: "Panie Ministrze. Dosięże Pana kara śmierci, o ile Pan natychmiast nie złoży godności prezydenta (dn. 10 XII). Patriota". 11 grudnia przyszedł list z Lublina: "Na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej został Pan obrany nie większością głosów narodowych, lecz głosami odwiecznych wrogów Polski - Niemców i Żydów. Obowiązkiem więc Pana, jako człowieka uczciwego i szlachetnego Polaka (a wiemy, że Pan Minister te zalety posiada) jest zrzec się tego zaszczytu przed złożeniem przysięgi. Życzliwy". Datę 12 grudnia nosi list ze Lwowa. Wyznaczono w nim prezydentowi, pod groźbą utraty życia, czterodobowy termin na złożenie urzędu.

Jak widzimy, Narutowicza wiązano z obozem lewicy, choć on sam z nim się nie utożsamiał. Chcąc okazać się prezydentem wszystkich obywateli Rzeczypospolitej, rozpoczął swe urzędowanie od rozmów z chadecją, powierzając tworzenie gabinetu Darowskiemu. Kontrkandydatowi do godności prezydenckiej, Maurycemu Zamoyskiemu, wówczas posłowi w Paryżu, wysłał propozycję objęcia stanowiska ministra spraw zagranicznych. Pomawiany o przynależność do masonerii (wedle tradycji rodzinnej nigdy do niej nie należał) na jedno z pierwszych spotkań wyznaczył rozmowę z Kakowskim (15 grudnia). Na 16 grudnia zaplanował rewizytę arcybiskupa.

W czwartek, 14 grudnia, szef Kancelarii Prezydenckiej, prof. Stanisław Car przyjął telefonicznie prośbę prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Kozłowskiego, ażeby prezydent podtrzymał tradycję zrodzoną za Naczelnika Państwa i wziął osobiście udział w otwarciu wystawy w gmachu Zachęty w dniu 16 grudnia. Profesor wyraził wątpliwość, czy nowoobrany prezydent znajdzie czas. Po naleganiach Kozłowskiego jednak ustąpił, oświadczając, że spyta prezydenta, a decyzję osobiście przekaże prezesowi następnego dnia. W piątek w południe zjawił się Kozłowski w Kancelarii Prezydenckiej. Dowiedział się, że prezydent przybędzie

prawdopodobnie około godziny 12, wracając od metropolity. Car podkreślił, że z otwarciem wystawy nie należy jednak czekać dłużej niż do 12.15. Zalecał tylko prezesowi, biorąc pod uwagę nastroje w mieście, by owej wieści nie rozgłaszać. Z listy zaplanowanych honorowych gości (premier, Haller, Kakowski) udało się Kozłowskiemu zdobyć jeszcze zapewnienie Nowaka, że swą obecnością uświetni uroczystość. Premierowi oczywiście Kozłowski wyznał, że będzie prezydent, dlatego też prosił go o wcześniejsze przybycie. Innych gości powiadomiono jedynie, że przybędzie prezes rady ministrów. Proszono ich, by przybyli wcześniej, aby uniknąć gafy, do jakiej doszło podczas jednej z wizyt Marszałka, który przybył jak zwykł to czynić, punktualnie, a gości było niewielu.

Prezydent postanowił połączyć swój pobyt na Miodowej z uroczystością w Zachęcie. Postanowiono jedynie zmienić nieco trasę przejazdu głowy państwa. Do Kakowskiego jechał Alejami Ujazdowskimi, Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, z powrotem miał wrócić przez Królewską, z pobytem w Zachęcie, i Marszałkowską. Jak wyznał później Car, "(...) gdy się mówiło o ewentualnym niebezpieczeństwie, to się miało na myśli jakieś nieprzyjazne manifestacje, ale nikomu do głowy nawet nie przyszło, żeby miało grozić jakieś poważne niebezpieczeństwo". Premier Nowak, zakładając że mówił prawdę, miał perswadować prezydentowi, żeby do Zachęty nie jechał. Ale wiemy też, że nie wydał żadnych poleceń, nie uczynił nic, żeby wzmocnić stan bezpieczeństwa Narutowicza.

Arcybiskup cenił prezydenta. Oto jak go scharakteryzował: "Pomimo pozorów, w gruncie rzeczy był Polakiem: zachował w domowym pożyciu mowę polską, ożenił się z Polką, dzieci wychował w miłości dla Polski, marzył o wyzwoleniu Polski spod jarzma nieprzyjacielskiego, miał duszę polską. Z gruntu liberalny, zarażony pojęciami protestantów i Rosjan, wśród których żył i wychował się, zachował jednak cześć dla religii i przywiązanie do Kościoła katolickiego, skąd naród polski czerpał siłę odporności podczas niewoli. Gdyby był bezwyznaniowcem, nie dałby dzieciom religijnego wykształcenia, nie umieściłby córki w klasztorze sióstr zakonnych, nie żegnałby się znakiem krzyża świętego przed udaniem się na spoczynek nocny, nie odmawiałby po przebudzeniu się z rana krótkiej modlitwy jak to zwykł był czynić..." Z Narutowiczem spotykał się Kakowski kilkakrotnie, jeszcze wówczas, kiedy pełnił on funkcje ministerialne. Aby wpłynąć na uspokojenie nastrojów w Warszawie, zażądał audiencji u prezydenta. Spotkanie zaczęło się dnia 15 grudnia o godzinie 17.00. Warto zacytować pamiętnik kardynała: "...Wyszedł na moje spotkanie sterroryzowany, przygnębiony ale spokojny i serdecznie mnie powitał. Kiedym mu złożył życzenia, w godzinnej rozmowie opowiadał mi, jak na spowiedzi, o swojem przeszłym życiu, o chęci pogodzenia zwaśnionych stronnictw i służenia wszystkim, o przychylnym stosunku do Kościoła, z którym chce żyć w zgodzie, o pogróżkach zamachu na swoje życie otrzymanych przez telefon i w listach anonimowych. W końcu prosił mnie, abym mu służył radą i pomocą. Uspokajałem go jak mogłem i zapewniłem o lojalności duchowieństwa katolickiego, zwłaszcza Episkopatu. Gdym się żegnał, ukląkł na dwa kolana i prosił o błogosławieństwo. Rzecz niebywała! Miałem wrażenie, jak gdyby po spowiedzi prosił o rozgrzeszenie. Dałem mu błogosławieństwo w formie uroczystej i wyszedłem wzruszony..."

Narutowicz zapowiedział Arcybiskupowi swą rewizytę następnego dnia o 11.00. Przyjechał pół godziny później. W trakcie rozmowy zameldowano Kakowskiemu marszałka sejmu, Macieja Rataja. Wspólnie zastanawiano się nad sytuacją i sposobami uspokojenia wzburzonych nastrojów. Kakowski świadom autorytetu i możliwości oddziaływania przyrzekł swą współpracę.

Punktualnie o godz. 12.00 Narutowicz opuścił arcybiskupa i Rataja udając się do Zachęty. Kilka minut wcześniej do gmachu przybyli wysłani przodem adiutanci prezydenta, by uprzedzić Kozłowskiego o przyjeździe dostojnego gościa. Tuż po nich przybył premier. Zgromadzeni goście czekali już w holu. Kozłowski witając Nowaka powiedział, że za chwilę przybędzie prezydent. Zastępca prezesa, Eugeniusz Okuń, czuwał nad

porządkiem, zachowaniem przejścia. Adiutanci wyszli na zewnątrz, aby dać znać, kiedy przyjedzie auto. W tym czasie nadszedł artysta malarz i krytyk literacki w jednej osobie Eligiusz Niewiadomski. Jako członek władz Towarzystwa miał wstęp wolny na wszystkie imprezy. W stronę zgromadzonych rzucił pytanie: Co to za uroczystość? Ktoś poinformował go o spodziewanym przyjeździe prezydenta. W chwilę potem oficer zameldował o przybyciu auta. Nastąpiła ceremonia powitania. Kozłowski dziękował Narutowiczowi za przybycie, przedstawiał obecnych. Przemówił prezydent. Podkreślił swe zainteresowanie sztuką, wyraził radość z faktu, że wreszcie po dwóch latach niebytności znalazł się w Zachęcie.

Wystawa była urządzona na pierwszym piętrze. Skierowano się ku schodom. Prezydentowi w roli informatorów towarzyszyli członkowie zarządu i koneser sztuki, premier Nowak. Skierowano się do dużej sali. Prezydent z ciekawością wypytywał o autorów poszczególnych obrazów. Aby informacja była bardziej pełna, wręczono mu katalog. Obejrzano płótna wiszące na dwóch ścianach, prezydent zatrzymał się przy płótnie Kopczyńskiego wiszącym na brzegu trzeciej ściany. Orszak poprzedzał Kozłowski, najbliżej obrazu stał Narutowicz, obok premier Nowak i Okuń, dalej ministrowie. Trwała wymiana zdań na temat widocznego na płótnie frontonu gmachu Zachęty, gdy wtem podszedł poseł angielski z małżonką. Nastąpiła ceremonia powitania. Przedstawiciel Wielkiej Brytanii przepraszał, że dopiero po kilku dniach składa życzenia. Swą nieobecność podczas oficjalnej uroczystości usprawiedliwiał chorobą. Prezydent żartował, atmosfera zrobiła się mniej oficjalna, głośna. Kozłowski zabawiał rozmową posła Tomassiniego. Wtem padły trzy strzały, jeden po drugim. Jak zeznawali później świadkowie, myślano, że to w sąsiednim pomieszczeniu. Okuń sądził, że oddano je gdzieś na zewnątrz budynku na wiwat. Zaintrygowany prezes Kozłowski przerwał rozmowę. Dojrzał prezydenta patrzącego zdziwionym wzrokiem. Zauważył mrugnięcie oczu. Narutowicz zaczął się słaniać, oparł się na ręce i upadł na wznak. Pamięć Okunia zarejestrowała skłon głowy prezydenta, upadek okularów. W kierunku prezydenta rzucili się Nowak, za nim Skotnicki z Przeździeckim. Okuń dojrzał Niewiadomskiego trzymającego rewolwer. Złapał go za rękę krzycząc: "Niewiadomski, bójcie się Boga, strzelacie?". Ten odparł: "Do was strzelać nie będę". Zamachowiec trzymał głowę podniesioną, nie zdradzając żadnej ochoty do ucieczki. Adiutant Sołtan złapał z tyłu mordercę za ręce i wyrwał mu broń. Ktoś rzucił w stronę Niewiadomskiego: "Za czyje pieniądze?". W tym czasie złożono Prezydenta w pozycji półleżącej na stojącej w środku sali kanapce. Rozległy się wołania: "Doktora, doktora!". Kozłowski krzyczał: "Czy jest doktor". "Jest, jest" - odpowiedziały głosy. Młody człowiek nachylił się nad Narutowiczem. Rzucił komendę: "Połóżcie go na ziemi". Na przyciągniętym skądś dywaniku, na podłodze, przy kanapie, z głową w kierunku drzwi wejściowych ułożono ciało prezydenta. Kozłowski pomagał. "Może zatamuje się krew?" Ktoś nachyla się, bada puls. "Panie doktorze! Jeszcze oddycha!" Młody człowiek nienaturalnie szorstko rzuca: "Krwotok wewnętrzny, płucny, zaduszenie". Przedstawia się: "Doktor Śniegocki asystent prof. Sawickiego". Kozłowski pyta patrząc w kierunku Niewiadomskiego, którego trzymał adiutant: "Kto to? Czy to pan Wojdyno?". Ktoś mówi: "Nie, to Niewiadomski!". Skotnicki potwierdza: "Tak, to Niewiadomski, to ten wariat, dlatego Ponikowski usunął go z Ministerium". Niewiadomskiego usadzono w trzcinowym fotelu. Blady zachował kamienną, iście marmurową twarz.

Jeden z adiutantów zbiegł na dół. Chciał zadzwonić do Belwederu. Nie mógł dostać się do telefonu, drzwi były zamknięte. O wydarzeniach powiadomił doktora i naczelnika policji. Przybyły na miejsce tragedii dr Leśniewski stwierdził, że do prezydenta oddano od tyłu, skosem od lewej strony trzy strzały. Dwie kule przeszyły klatkę piersiową, trzecia trafiła w okolicę lędźwiową kręgosłupa. Jeden ze strzałów uszkodził płuca i serce powodując prawie natychmiastową śmierć. O 13.02 podpisano protokół lekarski. Wstępne rozpoznanie Leśniewskiego potwierdzili

później biegli: prof. med. Wiktor Grzywo-Dąbrowski i pułkownik Piestrzyński.

Świadkiem mordu był ks. Antoni Szlagowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, późniejszy bp sufragan warszawskiej metropolii. Zdążył on jeszcze udzielić prezydentowi absolucji "in articulo mortis". W kilka minut później zawiadomił arcybiskupa o dokonanym mordzie. Ten po otrzymaniu tragicznej wieści natychmiast zwołał kapitułę warszawską na naradę, co należy w zaistniałej sytuacji czynić. Jednomyślnie postanowiono wydać odezwę do narodu, wezwać społeczeństwo do spokoju, a duchowieństwo do potępienia zbrodniczego czynu z ambon. Ustalono zarządzić najwspanialszy chrześcijański pogrzeb, w którym mieli wziąć udział: biskupi, kapituła i duchowieństwo. Postanowiono, że metropolita odprawi mszę św. przy zwłokach w Belwederze i poprowadzi kondukt żałobny do katedry. W dniu złożenia zwłok do grobu Kakowski z duchowieństwem miał odprawić uroczyste egzekwie. W celu uniknięcia mów polityków, gdyż atmosfera i tak była podminowana, postanowiono złożyć zwłoki Narutowicza w podziemiach warszawskiej katedry. Propozycję Kakowskiego rząd przyjął z wdzięcznością wprowadzając zmianę, że zwłoki miały być przez trzy dni wystawione na Zamku na widok publiczny.

Z gmachu Zachęty Niewiadomskiego odwieziono do więzienia. Po oględzinach lekarskich i prokuratorskich ciało prezydenta przykryte biało-czerwonym sztandarem wyniesiono do samochodu. Wieść o zabójstwie Narutowicza zaczęła się już rozchodzić po mieście, gdyż przy wyjściu zebrało się sporo ludzi, w tym przedstawiciele prasy. Widziano wiele zapłakanych osób. W tym samym czasie, kiedy ruszyło auto ze zwłokami prezydenta, pod sztandarami PPS posuwał się kondukt żałobny robotnika Kałuszyńskiego, który zginął w starciach, do jakich doszło 11 grudnia.

W sali wystawowej rozpoczęto czynności śledcze. Przypuszczając, że jedna z kul przeszyła ciało na wylot, zaczęto jej szukać. W poszukiwaniach prokuratorowi Huebuerowi i sędziemu Skorzyńskiemu towarzyszyli Kozłowski z Okuniem. Kiedy Okuń z woźnym odsunęli wspomnianą już kanapę, znaleźli leżące na podłodze łuski.

Polska Agencja Telegraficzna opublikowała oficjalny komunikat, podpisany przez zastępcę Prezydenckiej Kancelarii, Łepkowskiego o zabójstwie. Podano między innymi, że morderca próbował zbiec, lecz został ujęty przez adiutanta. Niewiadomski, już na sali sądowej prosił o sprostowanie tej nieścisłości. Wieść poszła w Polskę i świat wywołując falę oburzenia nawet w obozie politycznym, z którym identyfikowano mordercę.

Wszyscy poznali jego nazwisko, podawano jego życiorys i spekulacje na temat dramatu. Niewiadomski urodził się w grudniu 1869 roku w Warszawie, w rodzinie urzędnika mennicy. W 1887 roku skończył szkołę realną. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, którą ukończył w 1894 roku ze złotym medalem. W latach 1894 - 1896 przebywał w Paryżu pracując "pędzlem i piórem". Zarówno w trakcie pobytu nad Newą jak i nad Sekwaną współpracował z dziennikiem rosyjskim "Nowosti". Po powrocie do kraju pracował nad mapą Tatr i atlasem do dziejów Polski. W 1897 roku został prof. rysunku na Politechnice. Ożenił się wówczas z Marią de Tilly. Należał do Ligi Narodowej, za co w 1901 roku został aresztowany i uwięziony w Cytadeli. Wyrzucono go z Politechniki. Po wyjściu z więzienia zajmował się teorią i historią sztuki. Wykonał malowidło i witraże dla kościoła w Koninie. W czasie I wojny światowej wykładał historię powszechną w szkołach, pracując jednocześnie w warszawskim Komitecie Obywatelskim. W 1918 roku został kierownikiem malarstwa i rzeźby w Ministerstwie Kultury i Sztuki. W czasie wojny z Rosją sowiecką pracował w II oddziale, niezadowolony ze stosunków tam panujących zrezygnował z pracy administracyjnej i wraz z synem wstąpił do 5 pp LP. W 1921 roku zwolniono go z ministerstwa. Podjął pracę w szkolnictwie prywatnym. Był autorem wielu cennych pism krytycznych i różnych prac z dziedziny sztuki. Miał opinię pracowitego, pryncypialnego, ale przy tym oschłego i trochę dziwacznego.

Oczekiwano sądowej rozprawy, aby uzyskać odpowiedź na powszechnie stawiane pytanie, co było powodem mordu, jakimi motywami kierował się Niewiadomski, żeby, cytując za "Rozkazem do Armii" ministra spraw wojskowych Kazimierza Sosnkowskiego: "Po raz pierwszy w dziejach Ojczyzny naszej, padła na naród plama skrytobójstwa popełnionego ręką zbrodniczą na uświęconej osobie Głowy Państwa".

Proces trwał jeden dzień. Rozprawa odbyła się 30 grudnia 1922 roku w Sali Kolumnowej Sądu Okręgowego w Warszawie. Prowadził ją Wacław Laskowski. W kolegium sędziowskim zasiedli: Jan Kozakowski, Tadeusz Krassowski, Maria Majewska. Oskarżał prokurator Kazimierz Rudnicki, bronił Niewiadomskiego z urzędu adwokat Stanisław Kijeński. Powództwo cywilne w imieniu Leopolda Skulskiego, opiekuna nieletnich: Stanisława i Anny Narutowiczów, działającego na mocy uchwały Rady Familijnej podjętej w dn. 29 grudnia wniósł adwokat Franciszek Paschalski. Domagał się on o zasądzenie od oskarżonego Eligiusza Niewiadomskiego, po ustaleniu jego winy, na rzecz dzieci Narutowicza jednej marki tytułem wynagrodzenia szkód, strat moralnych i materialnych wyrządzonych im przez zabójstwo ojca. Na sali rozpraw Niewiadomski zabierał głos kilkakrotnie. W dwóch dłuższych wystąpieniach, na początku rozprawy i w czasie, który jest zwykle ostatnim głosem oskarżonego, podnosił, aby śmierci Narutowicza nie rozpatrywać "...jako faktu oderwanego od całego łańcucha wydarzeń i przeżyć". Strzały, co ukrył w śledztwie wstępnym, właściwie przeznaczone były dla Józefa Piłsudskiego. Jedynie rezygnacja Marszałka z kandydowania do funkcji prezydenta i wysunięcie na to stanowisko Narutowicza przesądziły o jego śmierci. Przyznał, iż decyzję o zabiciu Naczelnika Państwa podjął w chwili utworzenia rządu Jędrzeja Moraczewskiego. Z jednej strony podziwiał Marszałka jako "...człowieka osobiście dobrego, szlachetnego i niepozbawionego rysów bohaterskich..." otoczonego aureolą bojownika o niepodległość. Z drugiej strony nienawidził go za to, że reprezentuje obóz lewicy, ruch socjalistyczny. Osobiście uważał, że "socjaliści najbardziej nienawidzą to, co jest w nich najpiękniejszym, w tych przeciwnikach, w tych ludziach ubogich duchem, słabych, ułomnych, nienawidzą to, co jest pięknym promieniem ich duszy, to jest uczucie narodowości i miłości Ojczyzny...". Poznał, że "Piłsudski miał duszę twardą dla siebie, miękką dla innych, co jest jeszcze piękniejsze", ale ten rodzaj piękna przeniesiony na funkcję Naczelnika Państwa uważał za zgubny. Mówił: "...Miękka ręka potrzebna jest złodziejom, paskarzom, bandytom, przeniewiercom grosza publicznego, chłopstwu, które się wykręca od płacenia podatków, żydostwu, spiskowcom, zdrajcom stanu, potrzebna jest aferzystom politycznym, potrzebna jest Lauerom, Horwitzom, Okuniom, Daszyńskim, Osmołowskim..." - wrogom Polski. Oceniał, że Piłsudski nie odda władzy, że będzie przeszkadzał w tworzeniu rządów prawicy, zaś popularność socjalistów utożsamiał z popularnością Naczelnika. Balon popularności "...raz przekłuty, sądził, że się okaże tym, czym istotnie jest, drobnym, nikłym woreczkiem..." Zrezygnował z zabicia Marszałka po jego odstąpieniu od zamysłu kandydowania z pewną ulgą, lecz i z obawą "...bo zabity, byłby ofiarą fizyczną. Jego popularność, jego idee i jego duch byłyby pozostały i triumfowały. Czyn byłby uznany za czyn szaleńca i zbrodniarza. Zamiast wzmocnić ideę narodową, byłby jej zadał cios". Narutowicza uznał za podobnie "miękką rękę", jak Piłsudskiego. Utożsamiał go z tym samym obozem, który "losy Polski oddał w ręce fornali i pastuchów bydła...", dla których "...Ojczyzna jest tylko o tyle, o ile ma się z niej korzyść wyraźną, materialną natychmiast..." Wołał: "Udało im się przeprowadzić swojego kandydata głosami Żydów przeciw większości polskiej. Naród nie zorientował się i wybór przyjął. Zasiadł (Narutowicz) na fotelu prezydenta splamionym krwią naszych synów pomordowanych przez bojówki socjalistyczne w pamiętny poniedziałek 11 grudnia. Przeciwko tym hańbom trzeba było zaprotestować głośno i silnie, bronić majestatu Rzeczypospolitej..." Podkreślił, że wcale nie znał Narutowicza, dla niego "jednak istniał nie jako człowiek, ale jako symbol systemu

politycznego, symbol zupełnego oderwania od człowieka (...)". Był dla niego "symbolem sytuacji politycznej, symbolem hańby". Tę hańbę jego strzały "starły z czoła żywej Polski..." Oddał je z rewolweru, który posiadał jeszcze z czasów wojny 1920 r. - z hiszpańskiej cebry cal. 7,65.

Prokurator zażądał dla oskarżonego kary śmierci. Paschalski wykazał, że większość zarzutów stawianych przez prawicę Narutowiczowi mija się z prawdą. Podobnie Piłsudski, nie przyjął prezydentury, gdyż konstytucja nie daje gwarancji silnych rządów. Podkreślił nieodpowiedzialną i niechlubną rolę prasy. Kończył mowę życzeniem "...W tej Polsce przyszłości, aby nigdy więcej nie znalazł się już człowiek, który zechce budować Ojczyznę, zabijając jej prezydenta..." Obrońca, adwokat Kijeński postulował, by zakwalifikować zabójstwo Narutowicza, jako czyn człowieka oszalałego z bólu na "...fakt zniewagi naszej wspólnej Matki, zniewagi Ojczyzny..." Żądał skazania Niewiadomskiego na bezterminowe więzienie. W tym momencie ostro zaprotestował sam oskarżony. Podobnie jak to wcześniej oświadczył w liście do Kakowskiego, żądał dla siebie kary śmierci mówiąc: "...Odebrałem mu życie, spełniłem ciężką rzecz. Nie ujawniłem skruchy, przeciwnie - ujawniłem pewną nadzieję, że echa moich strzałów dosięgną najdalszych zakątków ziemi polskiej..." Życzeniu Niewiadomskiego stało się zadość - został stracony.

Każdy, kto czyta dzisiaj, po latach, sprawozdanie z rozprawy, musi zwrócić uwagę na oddalony przez prokuratora wniosek adwokata Paschalskiego. Domagał się on wyjaśnienia, dlaczego Władysław Ludwik Evert, dziennikarz, redaktor "Pochodni", w Sosnowcu, dn. 16 grudnia o godz. 10 rano, a więc na dwie godziny przed morderstwem, dowiedział się o zabójstwie (sic!), z podaniem nazwiska zabójcy - Niewiadomskiego!

Uderza, że w charakterze świadka nie zeznawał także premier Nowak, który był osobiście odpowiedzialny za ochronę prezydenta i który łamiąc protokół dziwnie się zachował w dniu zaprzysiężenia.

Niewiadomskiemu sprzyjało szczęście. Ale czy tylko? Czy tylko liczył na fakt, że Narutowicz podtrzyma zwyczaj Naczelnika Państwa i przybędzie na otwarcie wystawy. Wiedział, że Piłsudski, gdy bywał na podobnych imprezach, nie miał żadnej ochrony, towarzyszyli mu tylko adiutanci i szwadron reprezentacyjny szwoleżerów. Na zebraniu zarządu Towarzystwa postawiono wniosek o zaproszeniu prezydenta. Czy Niewiadomski o tym nie wiedział?

BRONISŁAW PIERACKI (1895 - 1934)

15 czerwca 1934 r. około godziny 15.40 przed klubem towarzyskim na ulicy Foksal 3 w Warszawie został śmiertelnie postrzelony 39-letni minister spraw wewnętrznych, Bronisław Pieracki. Przewieziony do Szpitala Ujazdowskiego zmarł na stole operacyjnym. Zamachowca nie udało się ująć i nigdy nie stanął przed sądem. W toku drobiazgowego i żmudnego śledztwa aresztowano jednak wszystkich bezpośrednich organizatorów zamachu oraz pomocników zabójcy. Proces rozpoczął się w Warszawie 18 listopada 1935 r., wyrok ogłoszono 13 stycznia 1936 r. Ustalono ponad wszelką wątpliwość osobę zamachowca oraz kulisy i mechanizm przygotowań. Do Pierackigo strzelał 21-letni Ukrainiec - Grzegorz Maciejko z rozkazu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Po dokonaniu zamachu przy pomocy OUN zbiegł za granicę. Na ławie oskarżonych zasiadło 12 osób, z prowidnykiem krajowym OUN na Zachodnią Ukrainę, Stefanem Banderą na czele. Akta śledztwa zamknęły się w 25 tomach po 400 stron każdy.

Śledztwo i proces dały odpowiedź na wiele pytań, a Bandera w toku kolejnego procesu toczącego się przeciw ukraińskim nacjonalistom w dniach 25 maja - 27 czerwca 1936 r. we Lwowie potwierdził dobrowolnie ustalenia procesu warszawskiego. Dla wymiaru sprawiedliwości nie było niejasności, dla historyków niejasnymi albo kontrowersyjnymi mogą być dziś raczej zagadnienia dla zamachu drugoplanowe - kontakty OUN z wywiadem III Rzeszy, różnice zdań co do taktyki działania w

kierownictwie organizacji i kilka innych, drobnych kwestii. Będzie o nich jeszcze mowa. Na temat zabójstwa Pierackiego narosło jednakże w polskiej literaturze, szczególnie publicystycznej, bardzo wiele mitów i niejasności. "Zasłużył" się na tym polu zwłaszcza autor rewolwerowych szkiców o dziejach II Rzeczypospolitej, Jerzy Rawicz artykułem w "Literaturze" ("Wokół śmierci Bronisława Pierackiego", "Literatura", 1976 nr 4 i 5), a następnie szkicem w książce "Pozostało do wyjaśnienia" (Czytelnik, Warszawa 1979). Wcześniej pogmatwali sprawę autorzy "Pitawalu politycznego 1918 - 1939", Roman Juryś i Tadeusz Szafar (Czytelnik Warszawa 1971), w wielu wątkach pogubili się nawet zawodowi historycy. Tło i okoliczności zamachu w świetle zgromadzonych dowodów, po ogłoszeniu wyroku, klarowne, uzupełniające się i jasne, dla J. Rawicza stały się tworzywem do stawiania bezsensownych hipotez dotyczących inspiratorskiej roli ludzi z ówczesnego obozu rządzącego. Można jedynie przypuszczać, że zamordowany z polecenia KGB w 1959 r. w Monachium Stefan Bandera - główny organizator zamachu na Pierackiego - zaprotestowałby z pewnością przeciwko określeniu OUN mianem "ślepego narzędzia" w polskich rękach. Rewelacje Rawicza obalają w całej rozciągłości dwa rzetelnie udokumentowane szkice wiceprokuratora Władysława Żeleńskiego - oskarżyciela w procesie o zabójstwo Pierackiego, ogłoszone na łamach paryskich "Zeszytów Historycznych" (nr 25 z 1973 i nr 46 z 1978). Do wielu z pozornych niejasności wypadnie powrócić.

Mimo sztucznie mnożonych mitów i publicystycznych pytań retorycznych, dziś wiemy, dlaczego to właśnie Pieracki padł ofiarą śmiertelnego zamachu. Urodzony w 1895 r. w Gorlicach, Bronisław Wilhelm Pieracki już w gimnazjum w Nowym Sączu należał do tajnej organizacji uczniowskiej. Zdobył wykształcenie wojskowe w szkole oficerskiej Strzelca, po wybuchu I wojny światowej wstąpił do 2 pułku piechoty Legionów. Ranny w 1915 r. pod Jastkowem, walczył następnie w szeregach 4 pułku Legionów na Wołyniu. 1 listopada 1916 r. awansował na kapitana. W czasie walk polsko-ukraińskich o Lwów w listopadzie 1918 r. był jednym z głównych organizatorów obrony. Rok 1918 zakończył w stopniu majora. W 1920 r. przez kilka miesięcy sprawował obowiązki kierownika Sekcji Wyznań Niekatolickich Ministerstwa Spraw Wojskowych. Tam zetknął się po raz kolejny z kwestią ukraińską. Do 1928 r. pracował na różnych wysokich stanowiskach wojskowych dochodząc do stopnia pułkownika. W marcu 1928 r. został posłem z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, ale już w październiku zrzekł się mandatu, gdyż z polecenia marszałka Piłsudskiego objął stanowisko drugiego zastępcy szefa Sztabu Generalnego. W kwietniu 1929 r. marszałek polecił mu objąć funkcję wiceministra spraw wewnętrznych oraz zaprowadzić w tym resorcie porządek i wzmocnić jego sprawność. Przeprowadzenie zwycięskich, choć totalnie sfałszowanych wyborów brzeskich, sprawna rozprawa z opozycją, organizacja pacyfikacji Małopolski Wschodniej we wrześniu - listopadzie 1930 r. zaskarbiły wiceministrowi uznanie Piłsudskiego. W grudniu 1930 r. Pieracki został ministrem bez teki w rządzie Walerego Sławka (równało się to randze wiceministra), w czerwcu 1931 r. objął tekę ministra spraw wewnętrznych, wyrastając na jedną z głównych postaci grupy pułkowników. Kariera zaiste błyskawiczna; przy młodym wieku i zaufaniu Marszałka otwierały się przed ministrem wielkie perspektywy.

Jako minister Pieracki zaostrzył wyraźnie kurs wobec komunistów, prawa polityczne mniejszości narodowych uzależniał zaś od ich stosunku do państwa polskiego. W trakcie kilku swoich wystąpień publicznych wyraźnie odcinał się od koncepcji rasistowskich i endeckiego antysemityzmu. 10 lutego 1934 r. przemawiając w sejmie oświadczył m.in.: "Żadne akty terroru i gwałtu indywidualnego czy zbiorowego (...) nie mogą liczyć na pobłażliwość i nie ujdą należytej kary. Nie będą także tolerowane żadne fizyczne przejawy walk rasowych i narodowościowych (...). Naszą siłą mocarstwową w przeszłości była zdolność współżycia i wciągania w krąg idei państwowej innych szczepów rasowych i narodowości". W myśl tej

wykładni minister szukał możliwości porozumienia z Ukraińcami. W marcu 1934 r. z jego inicjatywy został powołany przez Radę Ministrów Komitet do Spraw Narodowościowych. W dniach 3 - 9 czerwca Pieracki przebywał w Małopolsce Wschodniej. Konferował m.in. z metropolitą Cerkwi greckokatolickiej, arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim. Wizyta spotkała się z przychylnymi komentarzami prasy i środowisk ukraińskich. Poza OUN. Wszystkie przygotowania do zamachu były bowiem już zakończone...

16 czerwca jak zwykle minister Pieracki przyjechał przed godziną 16 do klubu na Foksal, gdzie gromadziła się cała elita rządzącego obozu. Po wyjściu z samochodu skierował się ku drzwiom klubu. Wówczas podszedł do niego młody mężczyzna i strzelił z bliskiej odległości trzykrotnie w tył głowy. Następnie zbiegł w kierunku ulicy Kopernika. W natychmiast zorganizowanej pogoni wzięło udział kilkanaście osób w tym dwóch policjantów i kierowca ministra. W trakcie ucieczki zamachowiec kilkakrotnie ostrzeliwał się, zgubił kapelusz i trzymaną pod lewym ramieniem paczkę. W rejonie ulicy Okólnik ścigający zgubili jego trop. Jak się później okazało, sprawca zabójstwa ukrył się na najwyższym piętrze domu przy Okólniku 5, tam zostawił swój płaszcz letni, po czym przez nikogo nie zatrzymywany odszedł. W tym czasie policja, poinformowana przez jakiegoś przechodnia, przeszukiwała nie zabudowane tereny po prawej stronie ulicy.

Wiadomość o zamachu obiegła błyskawicznie Warszawę. Niemal natychmiast rozpoczęto przesłuchiwania świadków. Wynikało z nich, że zamachowiec czekał na Pierackiego od kilku godzin, przechadzając się przed klubem z niewielką paczką zawiniętą w papier, trzymaną pod ramieniem. Według opisów świadków był to młody, wysoki mężczyzna, blondyn lub szatyn o bujnej czuprynie, w zielonkawym płaszczu gabardinowym. Zanim podszedł do Pierackiego, manipulował dosyć gwałtownie przy paczce, dopiero później - strzelał.

Paczkę tę, zgubioną przez zamachowca przy ucieczce, poddano oględzinom, a po przekonaniu się, iż jest to solidnie skonstruowana bomba, przekazano specjalistom wojskowym. Badania wykazały, że zabójca nie użył bomby, ponieważ nie udało mu się zgnieść zbyt grubego szkła rurki zapalnika.

Zanim wyjaśniono sprawę bomby, policja odnalazła płaszcz zostawiony na klatce domu przy ulicy Okólnik 5. W jego kieszeni znaleziono małą żółto-niebieską kokardkę - symbol ukraińskich nacjonalistów. Pomimo tego dowodu w opinii społecznej zamach wiązano raczej z Obozem Narodowo - Radykalnym, zwłaszcza że przed dwoma dniami władze zamknęły drukarnię, w której odbijano organ ONR - "Sztafetę". Szybko wyszło też na jaw, że w dniu zamachu, krótko przed końcem urzędowania do sekretarza Pierackiego dzwonił przywódca ONR Jan Mosdorf, domagając się przyjęcia przez ministra. Sekretarz stwierdził, iż spotkanie może nastąpić najwcześniej w poniedziałek (zamach miał miejsce w piątek), na co Mosdorf odpowiedział: "to już będzie za późno" i zrezygnował z wizyty w ministerstwie. Później zaś na długie miesiące zniknął... Warszawa pamiętała także o mordzie na prezydencie Gabrielu Narutowiczu i to dodatkowo kierowało posądzenia w stronę obozu narodowego, tym bardziej że to Pieracki zdelegalizował Obóz Wielkiej Polski. Powybijano szyby redakcji endeckiej "Gazety Warszawskiej". Pierwszymi "kuracjuszami" obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej byli obok komunistów właśnie oenerowcy.

Bardzo szybko jednak, bo już w niedzielę 17 czerwca, śledztwo weszło na prawidłowe tory. W tym dniu prokurator Żeleński przeprowadził oględziny mieszkania w Krakowie przy Rynku Dębickim, należącego do Jarosława Karpyncia, ukraińskiego studenta, aresztowanego 14 czerwca pod zarzutem przynależności do OUN. W wyniku rewizji zebrano niepodważalne dowody, że bomba zgubiona w Warszawie została wyprodukowana właśnie w mieszkaniu Karpyncia. Znaleziono resztki arkusza blachy, z której wycięto boki puszki zawierającej bombę. Początkowo Karpyneć zaprzeczał jakiemukolwiek związkowi z zamachem, przewieziony do Warszawy przyznał

się jednak zarówno do przynależności do OUN, jak i do skonstruowania bomby. Nie miał większych szans - jego mieszkanie było obserwowane przez policję od szeregu tygodni, wiedziano że Karpyneć oraz jego bliski znajomy i sąsiad, Mikołaj Kłymyszyn, stanowią ogniwo szlaku przerzutowego Cieszyn - Kraków - Lwów, którym z terenu Czechosłowacji szła bibuła i środki do akcji terrorystycznych dla OUN. U Kłymyszyna znaleziono szyfry i notatki organizacyjne, w pobliżu zaś jego mieszkania dużą partię nielegalnych druków, które wyrzucił w obawie przed rewizją. Mimo to Kłymyszyn konsekwentnie "szedł w zaparte", przyznał się jedynie do członkostwa OUN.

Natychmiast wyszło też na jaw, że 30 maja Kłymyszyn przyprowadził do mieszkania Karpyncia nieznajomego mężczyznę z teczką. Pozostał on u Karpyncia cały dzień, a około północy wraz z Kłymyszynem udał się na dworzec kolejowy. Tam ślad się urwał, gdyż policja obserwowała pociąg odchodzący do Lwowa, nieznajomy zaś wsiadł do pociągu warszawskiego. Skojarzono zakupione 30 maja przez Karpyncia 5 dkg kalichlorku z zawartością znalezionej w Warszawie bomby. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna bawiący wówczas w Krakowie zabrał skonstruowaną przez Karpyncia bombę, a poprzez jego zgubienie stracono szansę wykrycia przygotowań do zamachu. Takich konstatacji na temat zbyt późnego wkraczania do akcji władz bezpieczeństwa czy policji, nazbierało się w toku śledztwa więcej.

W przeddzień zamachu - 14 czerwca nastąpiły aresztowania licznych członków OUN w Krakowie i Lwowie. Zwlekano z tą decyzją, chcąc uchwycić jak najwięcej nici organizacyjnych, być może - na co brak odpowiedzi - nie chciano wiązać aresztowań z pobytem Pierackiego w dniach 3-9 czerwca w Małopolsce Wschodniej, nie wiadomo też, kto wydał polecenie przeprowadzenia aresztowań. Czy Pieracki? To szczegół drugorzędny. Faktem jest, że nic o planach zamachu wówczas nie wiedziano.

W międzyczasie śledztwo poszło wyraźnie do przodu. Wysłany do Wolnego Miasta Gdańska z poleceniem obserwacji kierowanej przez Andrzeja Fedynę ekspozytury OUN, specjalista do spraw ukraińskich, przodownik Budny ze Lwowa, wpadł na nowy ślad. 22 czerwca Budny obserwując Fedynę zauważył z nim nieznanego, młodego blondyna. Mężczyzna ten w towarzystwie kobiety, z którą rozmawiał po ukraińsku, pojechał do Sopotu, gdzie wsiadł na statek "Preussen" płynący do Świnoujścia. Władze warszawskie postanowiły interweniować na szczeblu dyplomatycznym. Ambasador Rzeczypospolitej w Berlinie, Józef Lipski, pomijając Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy, zwrócił się wprost do gestapo z żądaniem aresztowania płynącego z Gdańska mężczyzny. Równocześnie polecił konsulowi polskiemu w Szczecinie, Heliodorowi Starkowi, udać się do Świnoujścia oraz asystować przy aresztowaniu i przesłuchiwaniu nieznajomego.

Okoliczności sprawy opisał Lipski w swoich wspomnieniach wydanych przez Wacława Jędrzejewicza w 1968 r. ("Diplomat in Berlin 1933 - 1939"). Zatrzymany, nie zdając sobie sprawy z obecności polskiego konsula, okazał nowy paszport wydany przez Konsulat Generalnej Rzeszy w Gdańsku na nazwisko Eugen Skyba, oświadczył gestapowcom, że nazywa się Mikołaj Łebed, uczestniczył w zamachu na pocztę w Gródku Jagiellońskim i jedzie do krewnych do Berlina. Ambasador Lipski zwrócił się do Himmlera z kategorycznym żądaniem wydania władzom polskim aresztowanego Łebeda vel Skyby. Równocześnie do ministra Reichswehry, generała Blomberga, udał się polski attach, w Berlinie ppłk Antoni Szymański w imieniu marszałka Piłsudskiego, stawiając również sprawę ekstradycji.

Umowy o ekstradycji między Niemcami a Polską nie było, jednak sprawa dla Niemców stała się wybitnie niezręczna. Minęło zaledwie kilka miesięcy od podpisania w styczniu 1934 r. wspólnej deklaracji o niestosowaniu przemocy. Zamachu na Pierackiego dokonano w kilka godzin po odjeździe z Warszawy ministra Goebbelsa, przyjętego pod naciskiem Berlina przez marszałka Piłsudskiego. Wreszcie Polacy mieli w ręku dowody na ułatwienie Łebedowi przez Niemców ucieczki - w postaci paszportu; ważne też było jego oświadczenie po zatrzymaniu, przy którym

obecny był konsul Stark. Decyzję podjął sam Hitler. W rezultacie po wielogodzinnej zwłoce Łebeda odstawiono na lotnisko, skąd specjalnym samolotem przetransportowano go do Warszawy.

Początkowo polskie władze śledcze nie otrzymały informacji o oświadczeniu Łebeda ze Świnoujścia, a on sam odmówił jakichkolwiek odpowiedzi. Skonfrontowano go zatem z czterema posterunkowymi z Krakowa, którzy obserwowali mieszkanie Karpyncia 30 maja i "zawalili" sprawę nieznajomego. Wszyscy czterej, niezależnie od siebie, rozpoznali w Łebedzie blondyna z teczką. Jego fotografia została rozesłana po Małopolsce Wschodniej. Rychło rozpoznano w nim organizatora wspomnianego napadu na urząd w Gródku jesienią 1932 r. W konfrontacji z faktem, że pochwyceni wówczas ounowcy przyznali się przed egzekucją do zamordowania w 1931 r. Tadeusza Hołówki, dawało to pewność, iż w ręce policji wpadł ktoś bardzo ważny.

Następnym etapem było wyjaśnienie łamigłówki z pobytem Łebeda w Warszawie. Dzięki wyznaczeniu ogromnej nagrody za informacje pomocne w śledztwie szybko wykryto, iż Łebed mieszkał przez miesiąc w Warszawie przy ulicy Koszykowej pod przybranym nazwiskiem Swaryczewski. Zniknął wieczorem w dniu zamachu, pozostawiając w mieszkaniu walizkę, a po paru dniach nadesłał z Gdyni kartkę, w której przepraszał za "studencki wyjazd" i prosił gospodynię o przechowanie rzeczy. Stwierdzono, że w Warszawie przebywała też młoda kobieta, która często towarzyszyła Swaryczewskiemu. I ona - Wanda Kwiecińska - mieszkająca przy ulicy Służewskiej, zniknęła 15 czerwca. Listy gończe za Kwiecińską doprowadziły do 23-letniej Darii Hnatkiwskiej z powiatu Kosów. Przodownik Budny rozpoznał ją jako kobietę towarzyszącą Łebedowi w Gdańsku, rozpoznała ją gospodyni z ulicy Służewskiej, a grafolog stwierdził, iż to ona napisała kartkę z Gdyni.

W międzyczasie nastąpiły nowe ustalenia. Niemcy przekazali stronie polskiej kilka przedmiotów należących do Łebeda, wśród nich dwa notesy. W jednym z nich znaleziono zapisek po ukraińsku następującej treści:

"Akt, jego wykorzystanie i skapitalizowanie. Wydać komunikat krótki i długi, z naświetleniem faktu (zemsta) - rozpowszechnić w legalnej prasie, jeżeli się nie da ulotkami (na wsi)".

Pojawił się też nowy ślad. W schronisku noclegowym przy ulicy Wolskiej przez parę dni przebywał młody mężczyzna - niejaki Włodzimierz Olszański. 15 czerwca rano opuścił schronisko pozostawiając teczkę i kilka koszul. Nigdy już nie powrócił. Ustalono, że jego personalia i adres były fałszywe, a rysopis pokrywał się z rysopisem zabójcy. Personel zaś kategorycznie stwierdził, że porzucone płaszcz i kapelusz należały do Olszańskiego.

Postawiony wobec bezspornych dowodów Mikołaj Łebed przyznał się do turystycznego pobytu z narzeczoną w Warszawie. 30 maja w Krakowie miał jakoby szukać mieszkania, do Gdańska zaś uciekł w obawie przed policją, która go niesłusznie posądzała o przynależność do OUN i mogła aresztować w związku z zamachem... Zatrzymanie Hnatkiwskiej pozornie zamknęło koło. Ustalono, że spełniała ona funkcję jego łączniczki, jednak Łebed nadal uparcie milczał na temat zamachu. Wciąż brakowało wielu zasadniczych elementów łamigłówki, śledztwo stanęło wyraźnie w miejscu. Ruszyło znów w sierpniu - wrześniu i to w tempie zaiste zawrotnym.

Oto 9 maja we Lwowie zastrzelony został przez OUN absolwent gimnazjum Jakub Baczyński oskarżony o pozostawanie na usługach policji. 25 lipca ounowcy zabili Jana Babija, dyrektora gimnazjum ukraińskiego za zbytnią lojalność wobec państwa polskiego. W związku z zabójstwem Babija 10 sierpnia aresztowano 25-letniego studenta Iwana Malucę, we wrześniu zaś podejrzanego o współudział w zamachu na Baczyńskiego - 24-letniego Romana Myhala. Obaj zaczęli sypać. Prokurator uważa, że nastąpiło to w wyniku załamania nerwowego, gdyż doszli do wniosku, że OUN działa na szkodę narodu ukraińskiego i ujawniając tajemnicę chcieli się przyczynić - jak to oświadczyli - do ostrzeżenia młodzieży przed zgubnymi skutkami przynależności do organizacji. Trudno jednak w tę szczerość intencji

uwierzyć. Każda policja ma swoje metody, co stanowi superpubliczną tajemnicę. Nie musiały to być wcale tortury, czym próbowali bezskutecznie szermować obrońcy ounowców w trakcie procesu w Warszawie.

Maluca zeznał policji, a później sędziemu śledczemu, że wśród aresztowanych 14 czerwca we Lwowie członków OUN znajduje się prowidnyk krajowy OUN - Stefan Bandera, i że od dwóch lat kierował on organizacją w kraju, łącznie z przygotowaniami do zamachu na Pierackiego, które rozpoczęto już w październiku 1933 r. Łebed wysłany został wówczas do Warszawy z poleceniem rozpracowania trybu życia Pierackiego. Używał wtedy nazwiska Józef Daćko. Z rozkazu Bandery Maluca organizował tzw. "chaty", czyli lokale na użytek członków organizacji. W Lublinie urządził "chatę" u członka OUN, studenta Jakuba Czornija, który mieszkał u posterunkowego policji. W pierwszej połowie maja Łebed oświadczył we Lwowie Malucy, iż wyjeżdża do Warszawy, a OUN na rozkaz Naczelnego Prowidu ma przejść do "mokrej roboty". Maluca przydzielił Łebedowi do pomocy Hnatkiwską i skontaktował go z kierownikiem referatu bojowego w krajowej Egzekutywie, Bohdanem Pidhajnym.

Po tych rewelacjach sypnęły się dalsze. Stwierdzono, że Pieracki został zastrzelony z tego samego pistoletu co Baczyński. Myhal zaś zeznał, iż po wykonaniu wyroku na Baczyńskim pistolet zwrócił Pidhajnemu. Aresztowany również 14 czerwca, a teraz już całkowicie zdekonspirowany przez Malucę i Myhala, Pidhajny także zaczął sypać. Jak zeznał, z polecenia Bandery w pierwszej połowie maja skontaktował z nim Grzegorza Maciejkę, pseudonim "Gonta", który palił się do udziału w "poważnej robocie" przygotowanej przez Banderę. Pidhajny przekazał Banderze pistolet, a ten w jego obecności dał broń Maciejce. Wkrótce potem Pidhajny dowiedział się, że "Gonta" wyjechał do Warszawy "na Pierackiego".

Wkrótce nie było już żadnej wątpliwości. Grzegorz Maciejko "Gonta" - to Włodzimierz Olszański ze schroniska noclegowego przy Wolskiej. Maciejko - absolwent wieczorowej szkoły zawodowej, mieszkał u swego wuja we Lwowie. Jako praktykant w zakładzie drukarskim zarabiał grosze. Rozpoznano jego koszule pozostawione w schronisku. Akcją w Warszawie chciał się zrehabilitować za to, że przed rokiem bezwiednie przyczynił się do ujęcia przez policję członka OUN. Znano jego kontakty z organizacją, przez kilka miesięcy siedział w więzieniu, zwolniono go jednak z braku dostatecznych dowodów.

Po dokonaniu zamachu powrócił do Lwowa. Zrelacjonował Malucy, Myhalowi i szefowi swego oddziału bojowego Eugeniuszowi Kaczmarskiemu, że miał rzucić bombę, gdy minister wysiadał z samochodu, lecz nie udało mu się jej odbezpieczyć (stwierdził, iż "w bombie nic się nie dzieje"), wobec czego zastrzelił Pierackiego w sieni budynku. Proste i logiczne. Wypada jedynie zapytać o jedno: czy Maciejko nie zdawał sobie sprawy, że wybuch bomby mógł spowodować i jego śmierć, lub choćby rany czy kontuzję...? Z ustaleń prokuratora Żeleńskiego wynika, że Bandera miał chyba taką nadzieję, wybierając do tak poważnej akcji niezbyt lotnego Maciejkę.

W drodze do Warszawy Maciejko skorzystał z "chaty" Czornija. We Lwowie Maluca, Myhal i Kaczmarski ukryli go, a następnie zastępujący prowidnyka Banderę Maluca zorganizował przerzut Maciejki do Czechosłowacji przy pomocy aplikanta adwokackiego Jarosława Raka i studentki Katarzyny Zaryckiej. 5 sierpnia 1934 r. na granicy w Jasinie przejął Maciejkę Jarosław Baranowski, członek Naczelnego Prowidu OUN. Wszyscy troje: Czornij, Rak i Zarycka zostali aresztowani, do pomocy w ucieczce Maciejki nie chcieli się jednak przyznać, chociaż Czornij zeznał, że przenocował nieznanego mężczyznę, a Rak i Zarycka przyznali, iż udali się na wycieczkę z nieznajomym, którego im polecił Maluca, po czym mężczyzna ten się zgubił...

Za Maciejką rozesłano listy gończe. Nigdy jednak nie wrócił do Polski. Ostatecznie osiadł w Argentynie, gdzie żył pod przybranym nazwiskiem, jako obywatel litewski Petro Knysz. Zmarł w zapomnieniu i biedzie w 1966 r. Ze zrozumiałych względów miejsce jego pobytu OUN skrzętnie

ukrywała. Przypomniano sobie o nim jako o bohaterze dopiero po jego śmierci. Umarli bowiem to najbezpieczniejsi świadkowie...

Właściwie każdy sędzia śledczy mógłby być zadowolony już w tym miejscu z wyników, zwłaszcza przy sprawie tak wielkiej wagi jak zabójstwo ministra. Znaleziono sprawców, rozwikłano wiele tajemnic, rozbito i sparaliżowano siatkę organizacyjną OUN. Śledztwo zaczęło jednak sypać dalszymi rewelacjami, o szerszym, państwowym i międzynarodowym już kontekście i tle, które o taki dreszcz emocji przyprawiły po latach Jerzego Rawicza, a w szczegółach zwiodły kilku poważnych skądinąd historyków. Bez ich przypomnienia sprawa zamachu byłaby wyjaśniona niejako połowicznie.

Przede wszystkim ujawniono wielkie zaniedbania resortu spraw wewnętrznych w kwestii ochrony władzy oraz dygnitarzy państwowych, a w wielu przypadkach brak niemal elementarnych środków bezpieczeństwa. Pękła "bomba" z tzw. archiwum Senyka, które od grudnia 1933 r. znajdowało się w polskich rękach. Z materiałów zawartych w archiwum wynikało niezbicie, że Ukraińcy przygotowywali zamach na Pierackiego już od dawna. Odkryto to, niestety, za późno. Dopiero po II wojnie światowej wypłynęła - nie ujawniona wówczas opinii publicznej i nie znana sądowi - sprawa ostrzeżenia Polski przez Niemcy o gotujących się zamachach terrorystycznych, wyrażonego wobec polskiego attach, wojskowego w Berlinie, ppłk. Antoniego Szymańskiego w dniu 23 maja 1934 r. Fakty te posłużyły Rawiczowi po czterdziestu latach od zabójstwa Pierackiego do postawienia nieco zawoalowanej, ale czytelnej tezy, że polski wywiad wojskowy, osławiona "dwójka" i jej ekspozytura w MSW mogły wiedzieć na podstawie archiwum Senyka i ostrzeżenia niemieckiego o planowanym zamachu na Pierackigo, lecz umyślnie milczały.

Na potwierdzenie tej tezy Rawicz wskazuje na trzy możliwości zapobieżenia zamachowi:

1. wykorzystanie informacji z archiwum Senyka,
2. wykorzystanie ostrzeżenia niemieckiego,
3. wcześniejsze "zdjęcie" Karpyncia, zlikwidowanie jego laboratorium i przeprowadzenie aresztowań ounowców.

W konkluzji stwierdza: -"Tak więc trojakie możliwości zapobieżenia zamachowi nie zostały wykorzystane. Jeżeli ponadto stwierdzimy, iż istniała penetracja ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego przez różne organa bezpieczeństwa, tym bardziej podejrzana staje się bezczynność tych organów". Na poparcie swoich wątpliwości przytacza wypowiedź sejmową posła ukraińskiego, Dymytro Lewickiego, z 6 listopada 1934 r., w której określił on zabójstwo Pierackiego jako "czyn prowokowany". Kreśli też charakterystykę Pierackiego, z której wynika, że minister nie był człowiekiem lubianym, był za to ambitny, bezwzględny, żądny władzy, niebezpieczny i dwulicowy. W ślad za S. Catem-Mackiewiczem Rawicz widzi w Pierackim tego, który bez wiedzy rządzącego obozu szukał porozumienia z młodzieżą nacjonalistyczną i Ukraińcami. W tym drugim przypadku pozostawia jednak furtkę otwartą, nie formułując odpowiedzi, czy rozmowy Pierackiego w Małopolsce Wschodniej odbyły się za wiedzą premiera Kozłowskiego, czy też nie. W kontekście tych rozważań znów pada pytanie, dla kogo był niebezpieczny minister Pieracki?

Należy wyjaśnić owe wątpliwości. Bezspornym jest fakt zaniedbań w pracy służb bezpieczeństwa. Minister Pieracki nie był wcale strzeżony (nie miał "obstawy") - podobno sam tak zadecydował - co nie powinno być w tym przypadku brane pod uwagę, gdyż jako minister przestał być człowiekiem prywatnym. Podobnie nie strzeżono klubu na Foksal, gdzie gromadzili się czołowi dygnitarze państwowi. Zamachowiec mógł zabić w klubie i tuzin osób, a później zbiec. Zastanawiające jest też, że spacerował przez kilka godzin z paczką-bombą pod pachą i z pistoletem przed lokalem, do którego przyjeżdżali w międzyczasie ministrowie (np. minister pracy i opieki społecznej, Jerzy Paciorkowski), a nikt się nim nie zainteresował. Te rażące zaniedbania stały się przyczyną reorganizacji personalnej MSW, zarządzonej na polecenie marszałka

Piłsudskiego. 28 czerwca ministrem spraw wewnętrznych mianowano Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego, niezwłocznie nastąpiły liczne zmiany kadrowe.

Rażącym zaniedbaniem było niedocenienie przez Oddział II i MSW wagi materiałów znajdujących się w archiwum Senyka. W tym miejscu należy wyjaśnić, co to było owo archiwum i w jaki sposób trafiło w polskie ręce. Jak wiadomo OUN utworzono w 1929 r. na specjalnie zwołanym kongresie w Wiedniu, z połączenia Wojskowej Organizacji (UWO) i kilku pomniejszych związków. Kierownictwo OUN sprawował Naczelny Prowid z płk Eugeniuszem Konowalcem na czele, który kierował równocześnie wojskowym ramieniem organizacji - UW0. Konowalec rezydował w Wiedniu, natomiast w Pradze przebywał stale członek Prowidu - płk Emil Senyk. Jesienią 1933 r. kierownik kontrwywiadu II Oddziału Sztabu czeskiego, mjr Bartik, przeprowadził rewizje u kilku Ukraińców w Pradze. W mieszkaniu Senyka znaleziono wielką liczbę dokumentów pisanych po ukraińsku. Mjr Bartik pozostając w doskonałych stosunkach z polskim oficerem łącznikowym przy czeskim II Oddziale - mjr Jerzym Krzymowskim poprosił go o pomoc w przestudiowaniu dokumentów. Krzymowski przewiózł je do Warszawy, gdzie sporządzono po dwie fotokopie, po czym większość oryginałów zwrócił Bartikowi. Gdyby Bartik wiedział o wartości archiwum Senyka, negliżującego postawę Pragi, z pewnością strona polska nigdy nie ujrzałaby nawet jednego dokumentu. Jednak Bartik ani jego ludzie nie znali ukraińskiego.

W Warszawie Oddział II przekazał komplet fotokopii Wydziałowi Bezpieczeństwa MSW. Nad archiwum posadzono paru urzędników i - nie doceniając wagi materiałów - nie śpieszono się z ich porządkowaniem oraz rozszyfrowywaniem. Całość materiału przekazanego później w czasie śledztwa sędziemu Wituńskiemu składała się z 418 oryginałów i 2055 fotokopii różnych dokumentów, maszynopisów i rękopisów różnych sprawozdań, listów, rachunków, depesz władz naczelnych OUN-UWO. Kiedy przy tłumaczeniu z ukraińskiego natrafiono na dowody przygotowania zamachu, Pieracki już od kilku miesięcy nie żył. Na jaw wyszedł kolejny skandal.

Dokumenty z archiwum Senyka przyniosły wiele nowych dowodów przeciw Banderze i Łebedowi, ale wobec już zebranych przeciw nim materiałów stanowiły dla śledztwa materiał pomocniczy. Ujawniły natomiast genezę zamachu, powiązania organizacyjne władz OUN z "bazą" w Rzeczypospolitej, drogi i kanały łączności, źródła finansowania oraz rolę państw ościennych w działalności OUN. Wynikało z nich, że OUN była subsydiowana i wspomagana przez rząd Litwy (jasnym się więc staje, skąd Maciejko miał litewski paszport), że władze Czechosłowacji tolerują działalność OUN prowadzoną przeciw Polsce z terenu ich państwa. Z listów Konowalca, Senyka i innych przywódców wynikało, iż wobec trudności w prowadzeniu zbiórki pieniędzy wśród emigrantów ukraińskich, głównie w USA i Kanadzie, istniała stała potrzeba dokonywania aktów terrorystycznych w Polsce i ich "kapitalizowania" w publicznych kwestach. W archiwum nie znaleziono jednakże dowodów na finansowanie akcji ukraińskich nacjonalistów przez III Rzeszę. Wobec wydania przez Niemców Łebeda, a także z uwagi na układ ze stycznia 1934 r., sprawę współpracy OUN z wywiadem niemieckim w procesie sądowym pominięto.

Na podstawie archiwum skonstruowano genezę zamachu. Już w 1931 r., władze krajowe OUN - UWO zaproponowały rozszerzenie akcji terrorystycznej na Warszawę - czyli "Kawkę". Planowano wysadzenie lub podpalenie dworców kolejowych i obiektów wojskowych, ewentualnie zamachy na ministra Felicjana Sławoja-Składkowskiego, wiceministrów Józefa Becka lub Bronisława Nakoniecznikowa-Klukowskiego. W lutym 1933 r. "baza" zaproponowała "jeden czyn" w "Kawce" jako odwet za nieudany napad na pocztę w Gródku, gdzie stracono 5 ludzi (dwóch zabitych, trzech schwytanych i skazanych na kary śmierci). Wówczas Konowalec powierzył Banderze funkcję prowidnyka krajowego. W kwietniu 1933 r., odbyła się w Berlinie konferencja czołowych przywódców OUN z udziałem Bandery. Obwinionego o niepowodzenie "skoku" w Gródku Łebeda skazano na

zrehabilitowanie się poprzez wykonanie nowego zadania bojowego. Przyjęto propozycję przeprowadzenia "jednego czynu w Kawce".

W połowie lipca 1933 r., władze krajowe OUN były gotowe. Zaplanowano akty terroru na "bazie" i w "Kawce". W rozszyfrowanym dokumencie sprecyzowano wyraźnie cel: minister oświaty lub spraw wewnętrznych, czyli Janusz Jędrzejewicz lub Pieracki.

Łebed vel "Marko Przeklęty" przyjechał w sierpniu do Lwowa, po czym w październiku znalazł się w Warszawie, gdzie pod nazwiskiem Daćko prowadził rozpoznanie. Równocześnie nasiliły się akty terrorystyczne OUN w Małopolsce Wschodniej. Materiał dowodowy śledztwa dopełniły w ten sposób akta Senyka.

Należy podjąć także zagadnienie "śladu niemieckiego", który stał się aktualny dopiero po II wojnie światowej: ostrzeżenia majora Roessinga z 23 maja 1934 r., o szykujących się w Polsce zamachach terrorystycznych OUN i rzekomego polecenia wydanego Konowalcowi w grudniu 1933 r, przez władze niemieckie w Berlinie, by OUN ograniczyła lub wstrzymała akcję terrorystyczną w Polsce. Na temat stosunku III Rzeszy do zamachu na Pierackiego pisze obszernie W. Żeleński. Raport płk. Szymańskiego o ostrzeżeniu zachował się w aktach przedwojennego MSZ. Jest to więc fakt bezsporny. Z zebranych przez Żeleńskiego informacji wynika, że Roessing, poza ogólną informacją, nie podał jednak żadnych szczegółów, które mogłyby posłużyć do podjęcia jakichś kroków zapobiegawczych, podobnie relacjonował ten fakt płk. później gen. Szymański.

Po dogłębnej analizie źródeł Żeleński uznaje za możliwe nakazanie przez Niemców Konowalcowi wstrzymania działań zwróconych przeciw Polsce, a podjęcia kroków antysowieckich. Zakaz ten wywołał oburzenie i spotkał się z oporem w szeregach OUN. Nie było jednak mowy o "buncie młodych" w kraju, o którym wspominają niektórzy historycy. Wprost przeciwnie, zarówno "starzy" na emigracji, jak i "młodzi" w kraju przesądzili zgodnie, wbrew Niemcom, o wykonaniu zamachu. W konkluzji Żeleński podkreśla, że nie ma żadnego dowodu na to, by zamach został przeprowadzony z udziałem Niemców, a istnieje wiele dowodów, iż odbył się poza zasięgiem i wbrew ich intencjom. Jednak Abwehra dowiedziała się o przygotowaniach zamachu; wobec oficjalnej zmiany stosunków zdecydowano się więc na ostrzeżenie Polski poprzez ogólnikowe informacje Roessinga. Nie mogły one wiele zaszkodzić Ukraińcom, a stanowiły cenny atut w grze dyplomatycznej z Polską. Gdyby bowiem wywiad niemiecki maczał w zamachu ręce, wydanie Łebeda byłoby dla Niemców zbyt wielkim ryzykiem. "Gdy mjr Roessing uprzedzał, oczywiście z rozkazu przełożonych, płk. Szymańskiego o gotujących się zamachach w Polsce, z pewnością odsłaniał rąbek tajemnic cudzych, ukraińskich, a nie własnych" - podsumował swoje wywody Żeleński. Mimo to sprawa wymaga bez wątpienia dalszych, dogłębnych badań archiwalnych.

Rozprawa rozpoczęła się dopiero 18 listopada 1935 r. W międzyczasie nowo wybrany we wrześniu sejm, w którym znaleźli się przedstawiciele największego ukraińskiego stronnictwa politycznego - UNDO, zdecydował o wprowadzeniu amnestii zmieniającej karę śmierci na dożywotnie więzienie. Amnestię ogłoszono 2 stycznia 1936 r., lecz jej zasady znane były obrońcom dużo wcześniej. Nad salą rozpraw nie unosiło się zatem "widmo śmierci". Większość spośród 12 oskarżonych, z Banderą na czele, zachowywała w trakcie procesu demonstracyjnie antypolską postawę, żądając prawa zeznawania po ukraińsku, chociaż znała język polski. Wobec odrzucenia przez sąd tych żądań (dwujęzyczność według prawodawstwa polskiego obowiązywała jedynie w województwach wschodnich), oskarżeni odmówili zeznań. W tej sytuacji odbierano im głos i odczytywano zeznania złożone po polsku w trakcie śledztwa. Przy ogromnej objętości materiału dowodowego trwało to strasznie długo.

Stefana Banderę wznoszącego antypolskie okrzyki usunięto z sali rozpraw. Maluca i Myhal złożyli zeznania po polsku, przyznając się do zarzucanych czynów.

W trakcie rozprawy dochodziło wielokrotnie do dramatycznych starć,

obrona wskazywała na wymuszenie przez policję zeznań torturami. W świetle dowodów zarzuty te upadły, natomiast sam Żeleński szczerze przyznaje, że obrona nie stawała na wysokości zadania, komplet sądzący nie okazał dosyć umiaru w sposobie jego prowadzenia procesu, a on sam dał parokrotnie dowody niedostatecznej rozwagi. Proces prowadzono jego zdaniem w sposób zbyt ostry i bezwzględny. Krytyce poddał tendencyjny obraz rozprawy przedstawiony przez R. Jurysia i T. Szafara w ich "Pitawalu politycznym 1918 - 1939".

Obrońcy oskarżonych próbowali sugerować pochodzenie sprawcy czynu spoza OUN, nawiązując do pierwotnych podejrzeń wobec ONR. Niespodziewanie dla wszystkich na sali rozpraw zjawił się osobiście przywódca ONR Mosdorf, ukrywający się ponad rok i wyjaśnił znaczenie swoich zagadkowych słów - "za późno" w dniu zamachu Pierackiego. Miały one dotyczyć terminu uchylenia decyzji o zamknięciu drukarni "Sztafety" i politycznych uwarunkowaniach tej decyzji. Wobec bezspornych dowodów obciążających ounowców jego zeznania miały raczej symboliczne znaczenie.

Obrońcy próbowali również sięgać do argumentów politycznych i wątków narodowościowych. Replikował Żeleński. "Niech do tej sprawy panowie obrońcy nie wnoszą momentów politycznych, niech nie zadrażniają atmosfery. To nie jest proces zwrócony przeciw społeczeństwu ukraińskiemu (...) i nikt nie ma prawa przypuszczać, że proces ten, choćby pośrednio, przeciw temu społeczeństwu się zwraca - stwierdził prokurator. - My tutaj oskarżamy tylko określonych ludzi i tylko określoną organizację, która - jak to słyszeliśmy od samych podsądnych - jest nieszczęściem społeczeństwa ukraińskiego."

W mowie oskarżycielskiej Żeleński szczególnie ostro potępił Naczelny Prowid OUN, wysyłający młodych na krwawe akty terrorystyczne, by ich zbrodnie później "kapitalizować" w publicznych kwestach. Wskazał na agenturalne powiązania OUN z obcymi państwami. Na zakończenie podkreślił, iż Pierackiego zabito, gdyż dochody organizacji malały, zawiodły inne akty terroru, a co więcej - poderwały jej imię, sięgnięto więc do morderstwa ministra, a już na dwa miesiące przed zamachem Konowalec wysłał do Ameryki Senyka, by przygotował zbiórkę pieniędzy na fundusz bojowy OUN - UW0. Zażądał surowych kar dla oskarżonych, a dla Bandery, Łebeda i Karpyncia kary śmierci, co - wobec ogłoszonej amnestii - równało się dożywociu.

Nie udało się do końca wyjaśnić, dlaczego wybór padł jednak na Pierackiego, a nie na Jędrzejewicza. Najpewniej zadecydował o tym fakt rozmów Pierackiego z Ukraińcami i rodząca się, niebezpieczna dla OUN, możliwość ugody. A może przesądził o tym również sposób życia ministra, nie uznającego obstawy. Prokurator Żeleński po latach nie zawahał się zaakcentować, że Pieracki chciał poprawy stosunków polsko-ukraińskich i dlatego zginął...

13 stycznia ogłoszono wyrok. Wszystkich oskarżonych uznano winnymi zarzucanych im czynów. Bandera, Łebed i Karpyneć zostali skazani na kary śmierci - w myśl amnestii na dożywotnie więzienie, Kłymyszyn i Pidhajny - na dożywocie, Hnatkiwska na 15 lat, Maluca, Myhal i Kaczmarski na 12 lat, Zarycka na 8 lat, Czornij i Rak - na 7 lat więzienia każdy. W kwietniu Sąd Apelacyjny zmniejszył karę Czornija do 2 lat, a Zaryckiej i Raka do 4 lat. Inne wyroki utrzymano w mocy.

W trakcie wspomnianej rozprawy we Lwowie w dniach 25 maja - 27 czerwca 1937 r., przed sądem stanęło 23 oskarżonych z Banderą na czele. Tym razem zeznawali po ukraińsku. Obrońca Bandery przyznał wprost, że jego klient jako prowidnyk krajowy wydał polecenie wykonania wyroków na Baczyńskim, Babiju, Pierackim i wojewodzie Józewskim. Ten ostatni wyrok pozostał w sferze planów. Sam Bandera dobrowolnie stwierdził, iż wydał bojowcowi ukraińskiemu rozkaz zabicia Pierackiego. Nie zdradził tylko jego nazwiska. Skazano go na siedmiokrotną karę dożywotniego więzienia.

Bronisław Pieracki spoczął na cmentarzu w Nowym Sączu, ulicę Freta nazwano jego imieniem. A jak potoczyły się losy organizatorów zamachu? O Grzegorzu Maciejce była już mowa. Stefan Bandera uwolniony we wrześniu

1939 r., stanął później na czele Ukraińskiej Powstańczej Armii. Po wojnie osiadł w Bawarii i zginął z rąk agenta KGB w 1959 r., Łebed i Hnatkiwska pobrali się jeszcze w więzieniu, przeżyli wojnę i znaleźli się później w USA. Podobnie Kłymyszyn i Rak. Pidhajny służył w dywizji SS "Hałyczyna" i wyemigrował po wojnie do Kanady. Zarycka po wojnie została skazana na dożywocie przez sąd sowiecki. Czornij, Kaczmarski, Maluca, Myhal i Karpyneć poginęli w różnych okolicznościach, Maluca jako żołnierz niemiecki pod Stalingradem.

Zamach na ministra Pierackiego nie przyniósł OUN spodziewanych korzyści. "Można zaryzykować tezę, że na płaszczyźnie moralno-propagandowej był on wręcz porażką OUN" - stwiedził znawca stosunków narodowościowych w międzywojennej Polsce, Andrzej Chojnowski. - "Legalne ugrupowania ukraińskie potępiły nie tylko fakt zabójstwa, lecz także całą działalność podziemnej organizacji, uniemożliwiającą uzyskanie realnych zdobyczy narodowych w państwie polskim". Przeciwko OUN - UWO zdecydowanie wystąpiło UNDO. Ostre słowa potępienia zawierał również list pasterski metropolity Szeptyckiego. Zamach spowodował też falę represji, które poważnie osłabiły organizację. Ounowcy zapełnili więzienia i obóz w Berezie. Fala terroru wyraźnie osłabła.

Do wyjaśnienia motywów i okoliczności zamachu pozostały jedynie szczegóły...